BIBLIOTEKA
PWSP
KRAKÓW
8036

BIBLJOTEKA HISTORYCZNA
KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

KAZIMIERZ MORAWSKI

RZYM

PORTRETY I SZKICE

KRAKÓW 1924
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

RZYM

KAZIMIERZ MORAWSKI

RZYM

PORTRETY I SZKICE

WYDANIE DRUGIE

KRAKÓW 1924
KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

BIBLIOTEKA
Państwowej
Wyższej Szkoły Pedagogicznej
W KRAKOWIE

8036

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

I.

CESARZ TYBERJUSZ.

W pyłach bibljotek i w zabytkach życia i sztuki, w kamieniach rytych, a nawet w ziemi pokładach szuka dzisiaj historja światła dla rozjaśnienia przeszłości człowieka; jak na polu praktycznem, tak w życiu umysłowem mnożą się usiłowania, żeby to światło zdwajać, potęgować i mnożyć, aby z jego pomocą badacz mógł się przedzierać przez najskrytsze tajniki duszy ludzkości i całych społeczeństw. I niewątpliwie starania te szczęśliwym nieraz wieńczą się skutkiem; mamy obrazy dziejów i społeczeństw, które w szerokich rysach odbijają prawdę lub do prawdy mocno się zbliżają. — Ale trudniejsze zadania napotyka historja wobec pojedynczych ludzkich postaci, z których trudniej wydrzeć ostateczną tajemnicę ich jestestwa i istoty. Bo dusza pojedynczego człowieka więcej jest subtelna i więcej skomplikowana, niż dusza całych społeczeństw, w labiryncie jednej piersi trudniej znaleźć nić przewodnią Arjadny, któraby nas do ostatecznej celki zaprowadziła, skrytki, z której wychodzą stanowcze imperatywy czucia i działania. Pytanie, *quid est veritas*, ponawia się ciągle wobec tych postaci, a odpowiedzi wypadają najczęściej według duszy pytającego lub duszy epoki, która je stawiała.

1.

Do największych rozkoszy, których człowiek w wiecznem mieście doznaje, należy niewątpliwie przechadzka po sali biustów Kapitolińskiego Muzeum. Najlepiej się tam udać po zwiedzeniu Palatynu i pałacu Cezarów. Fantazja podniecona widokami ruin, przez które, mimo całego spustoszenia, prześwieca wszechwładza i majestat rzymskich imperatorów, spotka się tu oko w oko z głowami, przed których skinieniem i spojrzeniem drżał kiedyś i kiedyś się korzył nieomal świat cały, w których się wylęgały myśli, wprawiające naprzemian ludzkość w podziw lub osłupienie.

Dynastja pierwsza Juljo-Klaudjuszów góruje nad innemi ustawieniem, typami i przeważającym interesem historycznym. Mamy tu prawdziwie świetny kamienny komentarz do jednej z najważniejszych chwil historji, a zarazem do dzieła jednego z najznakomitszych historjografów, do roczników wielkiego Tacyta. Od Augusta do Nerona, w przeciągu lat kilkudziesięciu staczają się tu dzieje szalonemi krokami po pochyłości, od artysty, który z mistrzostwem grał swą sztukę na wielkiej arenie życia i historji, do histrjona, który po wielkim swym przodku przejął tylko w spuściźnie pozy i przybory teatralne.

Augustus, Tyberjusz, Kaligula, Klaudjusz i Nero, tworzą etapy tego dziwnego i dziwacznego dramatu. Zastanawiano się już często, jaka głębsza przyczyna sprowadziła tak prędką degenerację i wyrodzenie się tych władców i tej dynastji. Przypuszczano, iż wpłynęły na to po części powody czysto fizjologiczne, małżeństwa częste wśród rodziny, które mogą pewne przyrodzone skłonności wystopniować do demonicznej potęgi. Ale powody moralne z pewnością głębszą tu odegrały rolę. Ta władza cesarska nie była ścieśnioną żadnemi określonemi granicami; wystawioną jest ona ciągle na opozycję i przeciwieństwa, które jednak łamać i gnębić nie przychodziło jej trudno. Niepewność stanowiska, z pewnością własnej

wszechwładzy i świadomością wszechwładnych środków, wytwarzają ten niepokój zarazem i te okrucieństwa, które tak często sprzęgają się w jednej osobie i nawzajem wyradzają. Nero wyraził prawdę, która leżała na dnie całego tego rozwoju, gdy upojony swemi powodzeniami powiedział kiedyś, że poprzednicy jego nie wiedzieli dokładnie, co im właściwie czynić było wolno.

Dynastja ta fizycznie szczycić się mogła przepięknemi typami. Kto widział popiersie młodego Augusta w Watykańskiem Muzeum, ten zawsze tęsknić już będzie za tym ideałem piękności chłopięcej; kto się przypatrzył mądrej jego twarzy na statuach i biustach z wieku późniejszego, temu oczy te mądre przyświecać będą przy rozczytywaniu się w dziejach powstania cesarstwa, które należało do najpotężniejszych tworów historji ludzkości. Przejdźmy na chwilę obok głowy jego następcy, aby się zatrzymać przy twarzy trzeciego z rzędu, Kaliguli. Mamy tu przed sobą młodzieńca — bo Kaligula zamordowanym został mając lat 28 — ale rysy mają coś dziwnie twardego, samowolnego, wyraz jakiejś wyuzdanej junakerji, która żadnych więzów nie ścierpi i wszelkie prawa obyczajów i tradycji z lubością łamać będzie. Szał Cezarów na żadnem czole podobnie wyrazistego nie zostawił piętna [1]. Następuje piękna, ale już miękka, zmęczona postać dziwaka Klaudjusza. Słabnięcie energji w złem czy dobrem, wypisane na jej czole, pewna hipertrofja ciała pokrywa nieudolność umysłową czy kalectwo. I po tem wszystkiem zamyka ten szereg miękka, rozlana głowa Nerona, zmysłowa, że możnaby go wziąć za władcę Wschodu, z wyrazem człowieka, który całą skalę senzacji przeszedł i wyczerpał, przebył w bród całe kały rozpusty i krwi ludzkiej, a potężnemi nozdrzami wywietrzać

---

[1] Straszny obraz jego twarzy odmalował Seneka, *Dialog. lib.* II, rozdział 18.

się zdaje, coby mogło jeszcze podrażnić zużytą i znużoną wrażliwość i wyobraźnię.

Wszystkie te twarze poniekąd zrozumiałe, wytłumaczone dziejami i dzieje te naodwrót wyjaśniające — prócz jednej, pełnej zadumy i powagi, która sąsiaduje z Augustem. Jest to twarz pasierba jego i następcy, Tyberjusza. Potężna, ale nie otyła ta głowa, na potężnem osadzona ciele, przykryta bujnym włosem, który spada z tyłu głęboko aż na szyję, nos orli, w oczach i ustach dużo siły, ale zarazem pewnej goryczy, która świadczy, że w tej duszy rozstrój był na dnie, że przez te oczy nigdy nie biła pogoda, że jakieś wielkie smutki postać tę przeorały, których tajników dumne i zaciśnięte usta nie wyjawią, o których jednak twarz cała głośno, choć ogólnikowo nam świadczy.

Kilku historyków starożytności chciało z tej postaci wydrzeć jej tajemnicę. Pisał historję Tyberjusza współczesny mu Wellejusz, człowiek drobnego umysłu i pojęć, przywalony i oślepiony majestatem panującego władcy. Wśród dymu służalczego kadzidła zaciera się w jego przedstawieniu i tak ciemna postać Cezara, charakterystyka obraca się w superlatywach, które tak dużo mówią, że aż mało mówią. Los panujący nad spuścizną starożytności dziwnie igrał z powierzonemi mu skarbami, a naigrawać się zdawał z miłujących ją potomnych; poszarpał on dzieła Liwjusza i Tacyta, a z toni wyratował książeczkę drobną ciasnego Wellejusza, który nam daje fakta i szczególiki, ale nie daje obrazu osób i duszy, którym swem zrozumieniem dorość nie potrafił.

Wszyscy inni dziejopisarze Tyberjusza mają tę niższość a zarazem wyższość wobec Wellejusza, że żyli w późniejszych czasach i żadnemi względami na bohatera swojego krępowanymi nie byli. Swetonjusz, biograf Cezarów z II wieku, jest niewątpliwie od Wellejusza uczeńszy, ale z drobiazgowością właściwą erudytom goni za drobnostkami i szczegółami, jego wiadomości gubią się w powodzi wiadomostek. Sweto-

njusza biografje, chociaż dla obfitości materjału nadzwyczaj cenne, są najdobitniejszym przykładem, jak biografij pisać nie należy. Są tam rubryki dla cnót i występków, ale niema rubryki dla duszy i ostatecznych pobudek, z których te objawy wypłynęły. Ludzie traktowani jak martwe istoty lub medale, których naraz tylko jedną stronę widzieć można; po kartkach jasnych i promiennych następują ciemne i groźne, bez żadnego nawiązania do tego, co poprzedza. Biografja Swetonjusza, jak wogóle najczęściej biografja starożytna, rozkłada człowieka żywego na martwe części składowe, drobi go w oderwanych słówkach i faktach, zamiast żeby z tych nagromadzonych cząsteczek składać organiczną całość, w którą pisarz powinien tchnąć życie i prawdę.

W późniejszych czasach, w początku III wieku, pisał o Tyberjuszu w Rzymskiej historji Grek, ale rzymski senator, Cassius Dio. Wiele materjału nowego on nam nie przyniósł, charakter działających osobistości mniej mógł rozumieć, jak rodowity Rzymianin. Autor, lubujący się w ogólnikowych poglądach i pojęciach, pod któremi pojedyncze fakta układa, nie ma zmysłu wielkiego dla zrozumienia osobistości i mało ma plastyczności w ich przedstawieniu. Pewna gadatliwość, Grekom właściwa, źle przystaje do twardych faktów i twardych postaci, które się przed naszemi przesuwają oczyma.

Z umysłu na koniec pozostawiliśmy jednego historyka, który najgłębiej sięgnął w swej analizie Tyberjusza i panuje nad całym problemem tajemniczej tej postaci. W początku II w. spisał Tacyt swoje wielkie historyczne dzieła, w epoce, kiedy z tronu Cezarów po wielkich przewrotach pierwszego wieku jaśniejsze i pogodniejsze zabłysło światło, a rządy mądrego Trajana godziły ludzi z teraźniejszością i panującym stanem rzeczy. Ale ta dusza ponura i smutna nie spoczęła na dniu dzisiejszym, lecz z lubością odrywała wzrok swój wstecz ku katastrofie upadku rzeczypospolitej, do tego pierwszego wieku przed Chr., który kruszył i burzył, aby w miej-

sce form przeżytych nowy ustrój państwa wprowadzić. Tacyt w gruncie był przekonanym o konieczności tego przewrotu i przełomu, ale za dużo zajmował się przeszłością Rzymu, za rodowitym był Rzymianinem, aby wśród złomów rzeczypospolitej tęsknem okiem nie wodzić. Przesuwały się przed jego okiem mądrość i przebiegłość pierwszych cesarzy, wyrodzenie, swywola i rozbestwienie ich następców, służalczość i spodlenie potomków wielkich rodów, wszystko budziło jego ciekawość, podniecało uczucie, zaostrzało rylec czy pióro. Kto się rodził i lata dziecinne przepędził za Nerona, lata młodzieńcze i część wieku męskiego przebył pod Domicjanem, ten mógł zapewne nieco przesiąknąć goryczą i na resztę dni się zasępić. Indywidualne te cierpienia zabarwiły też z pewnością jego sposób myślenia i przedstawienia rzeczy. To, czego pod gniotącemi rządami Domicjana wypowiedzieć nie było można, wezbrało w jego duszy, aby teraz wybuchnąć głosem sądu i potępienia. Tacyt nas zapewnia, że będzie pisał *sine ira et studio,* bez namiętności i stronniczości, a my dalecy jesteśmy od tego, aby mu świadome i zasadnicze fałszowanie prawdy zarzucać. Ale *ira* towarzyszyła mimo tego jego dziełu ciągle, ta *ira* szlachetna, którą świętym gniewem nazywamy; w słowach jego drży zawsze jakiś przydźwięk współczucia czy odrazy, który wytwarza to nadzwyczajne ciepło, a nawet palący żar jego przedstawienia. Historyk też nie jest powołany do zamrażania prawdy, a najmniej historyk własnego narodu. Czy w bólu, czy w radości, powinien on współczuć z pokoleniami przeszłości, przez pozornie nagą opowieść faktów wysłyszeć powinniśmy pulsację jego serca. To stanowi u nas niespożyty urok pióra Szujskiego i Kalinki, to tworzyło wyjątkowe stanowisko Tacyta wśród historyków starożytności. Bo nikogo z nim porównać nie będziemy mogli: wielki Tucytydes kryje się za swem dziełem i przysłania słowami swoje uczucia nawet tam, gdy o cierpkie przejścia własnego życia potrąca. Wytwarza to majestat i wielkość w swoim

rodzaju, ale duszy nowożytnego człowieka przypadnie zawsze więcej do smaku subjektywizm Tacyta, ten subjektywizm, który tak szarpie wyrazy na myślach, jak te myśli szarpały mu duszę. Bo w formie przedstawienia ten subjektywizm przedewszystkiem się uwydatnia. Po dobrotliwej szerokości Liwjuszowej opowieści, która płynie prostem i regularnem korytem, mamy tu same zwroty niespodziane. Odcienia myśli i drgnienia serca odbijają się w niezwyczajnem ugrupowaniu wyrazów, które silić się zdają, aby nam ujawnić w całej pełni towarzyszące tworzeniu myśli i niepokoje autora. Co chwila podniecenie uczucia odmienia nagle spodziewane rozwinięcie zdania. Lapidarność i patetyczność rzymska, a z drugiej strony indywidualność autora, który dużo w życiu milczeć i przemilczać dużo musiał, złożyły się na krótkość okresów. Ale wyrazy ciężarne więcej tu mówią, niż rozwałkowane perjody. Chmura prawdziwa myśli i uczuć niewypowiedzianych uwiesiła się przy zwięzłym tekście i zapełniła puste odstępy wyrazów i linij. Z krótkich, urywanych zdań wysłyszeć możemy nieraz jęki pokoleń, przekleństwa pisarza; czasem robią one wrażenie ostrego grotu, który musiał się wrażać w serce ofiary i wierci ją po dziś dzień.

Ta forma wytwarza już w części wysoką dramatyczność przedstawienia; dramatyczność ta podniesiona jest jeszcze artystycznem ugrupowaniem faktów i głęboką psychologją pisarza, który postacie działające w historji do głębi duszy odsłonić nam się stara. Czy kiedy maluje tajniki ludzi, tęskniących za wolnością utraconą, czy kiedy roztwiera przed nami wnętrza tyranów, pełne rozstroju i rozterki, mistrzem jest on nieporównanym. Psychologja zbrodni ma w jego dziełach najpiękniejsze swe karty.

Toteż historyk ten po wszystkie czasy, obok interesu nadzwyczajnego, gorącą miłość w duszach szlachetniejszych budzić będzie. Kochamy go za jego miłości i za jego nienawiści, za wszystkie szlachetne myśli w nieśmiertelnej wypo-

wiedziane formie i za wszystkie przemilczenia, niemniej wymowne; kochamy go wreszcie za gromy jego rękami rzucone, które po wszystkie wieki furczeć będą na głowami prześladowców narodów. Chateaubriand kiedyś nazwał Tacyta rzecznikiem, *qui s'est chargé de la vengeance des peuples*, a jeden z najgłębszych filologów naszych czasów [1] powiedział: Biada pokoleniu, które Tacyta zupełnie zrozumie. — Nikt pono, niestety, tyle do tego danych warunków nie ma, co my, którym krzywdy ręką innych cezarów wymierzane codziennie od tylu pokoleń krwawiły i raniły serca, ktorym tak dobrze i lepiej znane to wymuszone *silentium*, pełne łez, tłumionego oburzenia i rozpaczy, jak je po przebytych 15 latach strasznej Domicjanowskiej epoki w Agrykoli odmalował i pomścił zarazem Tacitus.

Ale wielki ten historyk znalazł w XIX wieku wielu poważnych i mniej poważnych przeciwników. Pobudki ich i powody były rozmaite i zarzuty też rozmaitej doniosłości. Jedne zarzuty wyradzały się z pewnego kultu imperjalizmu, który w XIX wieku dosyć częstem bywał zjawiskiem. Na czele tych krytyków postawić należy największego imperatora stulecia, Napoleona I, który do Tacyta czuł żywą odrazę, a na kongresie książęcym w Erfurcie, w rozmowie z Wielandem, wyraził się, że Tacyt działalności i uczuć nie dosyć zbadał, aby być nieuprzedzonym. Należałoby według Napoleona ludzi i narody tak brać i pojmować, jakimi wśród danych okoliczności i warunków być mogli. Cesarze rzymscy nie byli tak złymi, jak ich Tacyt przedstawia. W ustach Napoleona objaw ten bardzo naturalny; ujmując się za ofiarami Tacyta, bronił on siebie i swojej sprawy. Mniej naturalnem zato, że poza Renem, w Niemczech, zapanował zwyczaj natrząsania się i naigrawania z wszelkiej opozycji, choćby ona z najszlachetniejszych płynęła pobudek. Pomijając mniejsze nazwiska, jak

[1] Lehrs: *Populäre Aufsätze*, str. 452.

Stahra i Freytaga, przypominam, w jaki sposób Mommsen, posuwający kult Cezara do idololatrji, obchodzi się z jego przeciwnikami; przypominam, że uczeń Mommsena, Hermann Schiller, naśmiewa się z marzycieli i utopistów, których szereg poczyna się od Katona Utyceńskiego, a kończy z Traseą Paetusem. Duch taki uznał za stosowne, aby te wszystkie postaci, które nie umiały się pogodzić z nowym stanem rzeczy, ochrzcić mianem Don Kiszótów. Schiller posunął się w swym zapale tak daleko, że nawet delatorów Cesarstwa rzymskiego tłumaczy i usprawiedliwia [1]. Wobec tego Tacyt musiał być oczywiście ogłoszonym za historjografa politycznej Don Kiszoterji.

Inne źródło zarzutów jest daleko ważniejszem. W pojmowaniu Cesarstwa rzymskiego nastąpił w nowszych czasach przełom stanowczy. Od czasu kiedy Mommsen napisy i dokumenta publiczne wciągnął w zakres badania, przekonano się, że ta epoka cesarstwa, tak ciemno przez historyków starożytnych przedstawiana, ma swe strony świetlane, że poza Rzymem, w bliższych i odległych prowincjach rosła kultura i cywilizacja, że było w nich mniej nędzy i ucisku, jak za republiki. Biorąc więc rzeczy na wagę, suma szczęścia ludzkości zdawała się przeważać nad nieszczęściami Rzymu. Tacyt bynajmniej nie przeocza dobrodziejstw przez cesarstwo wymierzanych prowincjom, ale według pojęć nowoczesnych nie dosyć je uwydatnia; giną one za bardzo w ponurych ciemnościach, które roztaczają się przeważnie nad jego opowieścią. Ale tu przypomnieć musimy, że Tacyt był historykiem starożytnym, a cała historjografja starożytna przeważnie jest polityczna i dzieje kultury rzadko tylko uwzględnia; że Tacyt przedewszystkiem jest Rzymianinem, że to, wskutek czego żywioł prawdziwy rzymski, tradycje dawne i obyczaj marniały, stanowczo zasępiać go musiało, a w cierpieniu tem wzgląd

[1] *Geschichte Nero's*, str. 375.

na to, że nie-Rzymianom, mieszkańcom prowincyj, nieco lepiej się działo, żadnej ulgi ani pociechy przynieść mu nie mógł. Żądać od Tacyta innego stanowiska i innego punktu widzenia, jest to żądać, aby o wieki wyprzedzał swe czasy i z wysokości tych wieków oceniał ten rozwój, który my dopiero z odległej trybuny nowoczesnej przejrzeć i pojąć zdołaliśmy.

Wreszcie piętnują inni Tacyta jako zakutego arystokratę, który dlatego tylko cesarzy źle sądzi, że oni tej arystokracji dawali się we znaki. Cesarstwo rzymskie, jak każde cesarstwo, jest demokratyczne, opierało się na masach i popierało interesa tych mas wobec żywiołów, które miały dawne tradycje, dawne miłości i trudniej z nowym rzeczy porządkiem pogodzić się mogły. Żywioły te znajdowały główne swoje ognisko w senacie, instytucji, która przetrwała republikę, miała świetną i pełną chwały za sobą przeszłość, a dziś pozostała jedynym organem wolnego zdania, *palladium* wolności i ostatniem pewnej swobody zabezpieczeniem. Tacyt kochał tę instytucję za siebie i przeszłe pokolenia, śledził pilnie jej rozwój i może zbyt skrzętnie zapisywał wszelkie starcia między Cezarami i senatem [1]. Ale był arystokratą w dobrem tego słowa znaczeniu, od wielkich imion żądał i cnót wielkich i nielitościwemi razami smagał indywidua, które w kałuży serwilizmu lub upodlenia brzemię wielkiego nazwiska jeszcze głębiej pogrążało. Tacyt jest podobnym do tych szlachetnych wśród upadających narodów, którzy podwójny ciężar cierpień na swe barki brać muszą, cierpią za krzywdy wrogów i za swoich obojętność, grzechy lub obłędy, a mimo tego sztandar swój umiłowany wysoko wznoszą, aby sterczał tem jaskrawiej ponad karki zgięte czy skarłowaciałe i oddaleniem swem odstęp uwydatniał między smutną rzeczywistością a ideałem.

Nie myślimy bronić Tacyta od zarzutu pewnych zbo-

[1] Por. Wallichs: *Geschichtsschreibung des Tacitus*, Rendsburg 1888.

czeń w odcieniach, pewnych niedokładności w szczegółach [1]; przyznamy, że nadużył niekiedy patetyczności, która mu kładła w usta zbyt silne i dobitne wyrazy; ale szczegóły te, które tutaj nie należą, nie zmienią ogólnego naszego zdania, że po wszystkie wieki należeć on będzie do największych mistrzów słowa i historji i do najszlachetniejszych. Poruszyć zaś to wszystko musieliśmy, bo przedstawienie Tyberjusza dało pochop do największej liczby zarzutów, przeciw Tacytowi w nowszych czasach podnoszonych.

W charakterystyce Tyberjusza odbiega on znacznie od innych historyków. Swetonjusz i Cassius Dio nie umieli bardzo skrajnych właściwości tej natury powiązać, rozłamali dlatego to życie na dwie połowy, z których pierwsza odznaczała się rzekomo rozmaitemi dodatniemi objawami, podczas gdy schyłek tego życia stał się jednym szeregiem zbrodni i występków. Opowiadają tutaj szczegóły tak straszne, że prawie trudno im wierzyć, zwłaszcza, że ulicy i ulicznym pogłoskom otworzyli na rozcież święte podwoje historji. Tacyt zbyt był wykwintną naturą i zbyt wykwintne miał pióro, aby siebie i czytelnika opowieścią tych wstrętnych kalać drobiazgów. U niego Tyberjusz jest więcej jednolitym, ani tak dobrym zamłodu, ani tak kolosalnie przewrotnym później, jak go inni pisarze przedstawiają. Ale Tacyt popadł tu w drugie przeciwieństwo. Aby tę naturę, która niewątpliwie z biegiem czasu się psuła i rozstrajała, stanowczo wytłumaczyć, szuka on nici przewodniej, węzła, którymby całą postać spoił — i znajduje go w udawaniu i symulacji. Tacyt skłonnym jest do tego, aby u Tyberjusza wszędzie przyjmować zakorzenioną przewrotność, i dlatego tam, gdzie lepsze rysy jego panowania porusza, których bynajmniej nie przemilcza, uważa cesarza za komedjanta, który jakąś rolę przed ludźmi odgrywał i to rolę

[1] Dobrze je uwydatnił Filip Fabia w wielkiem dziele: *Les sources de Tacite*, Paris, 1893, mianowicie str. 271 i 275.

najczęściej podszytą podstępem i złemi motywami. Ta symulacja Tyberjusza, która tutaj na pierwszy plan jest wysuniętą, dobrzeby licowała z nienawiścią, którą Tyberjusz przez całe życie ścigał tych, co z rzemiosła i za pieniądze coś udają, histrjonów i aktorów. Wypędzał ich cesarz z Italji i karał wszelkie ich wybryki, chciał nawet karę cielesną wprowadzić jako groźbę dla nich na przyszłość. Zdawaćby się mogło, że sztuka, którą według Tacyta sam z takiem mistrzostwem uprawiał, kłuła go w oczy u drugich.

Jedyny to w swoim rodzaju objaw w literaturze historycznej wszystkich narodów, te zapasy Tacyta z Tyberjuszem, aby mu wydrzeć tajemnice jego jestestwa. Najsmutniejszy z historyków mierzy się tu oko w oko z najsmutniejszym Rzymu cesarzem, pisarz najoszczędniejszy w słowie staje wobec małomownego, najskrytszego człowieka i zapuszcza mu swą historyczną sondę aż do dna duszy; tajemnica, którą tamten przez życie zachował i wziął ze sobą do grobu, ma teraz po wieku nieledwie odsłonić się przed naszemi oczyma. Na wszystkie występne zamiary cesarza, które zawsze nie prostą drogą, lecz ubocznemi i przysłoniętemi szlakami zdążają do celu, ma Tacyt broń podobną i piętno palące wypada u niego z pośród słów pozornie spokojnych równie niespodzianie, jak sztylet nagle z zanadrza wyciągnięty. Ale przed lepszemi objawami tego panowania cofa się psychologja Tacyta. Nie umie on ich zrozumieć i wytłumaczyć i rzuca tu cesarzowi w oczy słowo mordercze: *Udajesz*. Czyżbyśmy tu na ślepo mieli zawierzyć jego znajomości świata i ludzi?

My w takie mistrzostwo symulacji u Tyberjusza nie wierzymy. Nie mamy bowiem w historji dwóch tylko lokacyj, lewicy dla kozłów i prawicy dla aniołów, pod które całą dotychczasową i współczesną ludzkość umieścić czy wtłaczaćby należało, ale znamy natury skomplikowane, u których złe i dobre żywioły dziwnie się z sobą plączą i krzyżują, aż wreszcie jeden bierze górę i zwycięża. A taką naturą był Tyberjusz.

2.

Jego młodość niejedno w jego historji tłumaczy. Żadnym węzłem krwi z Augustem nie związany, pochodził on po mieczu i po kądzieli z jednego z najprzedniejszych rodów rzymskich, ze sławnej familji Klaudjuszów. Ród ten po wszystkie czasy odznaczał się śmiałością pomysłów, bezwzględnością w ich przeprowadzeniu, a przedewszystkiem niezmierną dumą arystokratyczną. Wspomnijmy choćby słowa kobiety, pewnej Klaudji, która, gdy tłum w drogę jej wchodził na ulicach Rzymu, wyraziła w niecierpliwości życzenie, aby brat jej, który kiedyś w nieszczęśliwej bitwie morskiej dużo narodu wytracił, odżył na nowo i zdziesiątkował ponownie zgęszczone Rzymu pospólstwo.

Ojciec Tyberjusza należał do otwartych republikanów i ucierał się na polu walki z samowładczemi zakusami triumwirów i Augusta samego; matką była sławna Liwja, owa Liwja, która zasiadła potem na tronie obok Augusta, swemi radami przyczyniła się do ustalenia monarchji, a swym rozumem potrafiła własnemu synowi zgotować drogę do cesarstwa. Nie naszem zadaniem opisywać tu życie i dzieje Tyberjusza, uwydatnimy więc tylko kilka rysów i szczegółów doniosłych dla jego charakteru i przyszłości.

W roku 38 przed Chrystusem pogodził się republikanin Tiberius Nero z jaśniejącem słońcem Augusta, a pogodził się tak dobrze, że mu nawet żonę swą własną Liwję w małżeństwo odstąpił. Wprowadziła ona do domu Augusta czteroletniego Tyberjusza, po kilku miesiącach urodził się już w domu Augusta, brat drugi, Drusus. Z pierwszej młodości Tyberjusza, którego losy spoiły się odtąd z dziejami ojczyma, późniejszego cesarza Augusta, niewiele mamy szczegółów, ale jeden zato bardzo charakterystyczny. Autor żydowski Philo, który nam tyle ciekawych szczegółów o władcach Rzymu przekazał,

donosi[1], że go w chłopięcych latach »starcem« nazywano. Ciekawe to świadectwo dla człowieka, który nigdy wiosny naprawdę nie zaznał i bez uśmiechu miał przejść nieledwie przez życie.

Kiedy Augustus w 31 roku przed Chrystusem został jedynowładcą Rzymu, liczył pasierb jego Tyberjusz jedenaście lat życia. Skoro doszedł do młodzieńczego wieku, postanowił go August użyć do wypraw wojennych. Szczególnem zrządzeniem los go przeznaczył teraz do rzemiosła, które, jako najbardziej pokojowy z Cezarów zupełnie zarzucił na tronie, do ciągłych walk i trudów obozowych. Nie będziemy opisywać jego triumfów na północnej granicy państwa, którą on, zdobywając Recję i Noricum w r. 15 przed Chrystusem, podbijając Pannonję od r. 12 przed Chrystusem, dopiero ustalił i ubezpieczył. Ale ze świadectw wszystkich autorów widocznem, że do wojennego rzemiosła szczególnie się nadawał, że był wodzem pełnym energji, ale i sprawiedliwości dla swych żołnierzy, że przed żadnym trudem ani niebezpieczeństwem nie uchylił czoła, ani się cofał[2]. Walczył on wielokrotnie pod rządami Augusta z Germanami nad Renem, z Germanami i innemi ludami nad Dunajem. Do najświetniejszych jego przedsięwzięć wojennych, a zarazem najcięższych walk, jakie Rzym w dziejach przeżył, należało uśmierzenie buntu illiryjskich szczepów w Pannonji. Zapasy te długotrwałe wypełniły lata 6—9 po Chryst., a rozgrywały się w dzisiejszej Austrji, na Węgrzech i w Kroacji. Skończyły się pogromem Illirów i umocnieniem panowania rzymskiego między Adrjatykiem i Dunajem. Jako wódz był Tyberjusz własnym szefem sztabu i gorliwym a zapobiegliwym gospodarzem w dziedzinie administracji wojennej i wyżywienia swoich żołnierzy. A umiał być przytem wobec wrogów zręcznym politykiem i dyplomatą. Wojenne te jego czyny i zasługi przypadły na okres młodzieńczy i męski przed objęciem rządów.

---

[1] *Legatio ad Gaium*, p. 1012.

[2] Por. mianowicie Velleius, II, 114.

Gotowały mu te laury sławę, ale nie dawały szczęścia, a tem mniej uprawniać mogły do jakichkolwiek ambicyj, dążących do następstwa po Auguście. Z trzech małżeństw swoich miał cesarz August tylko jedną córkę po drugiej żonie, Skribonji. Była nią sławna i obyczajami swojemi wkrótce osławiona Julja, słaba podstawa, na której całe zamysły cesarza dla zapewnienia następcy po sobie z konieczności opierać się musiały.

Wydaną naprzód została piękna córka Augusta, którą na monecie azjatyckiej spotykamy z atrybucjami Wenery, za siostrzeńca Augusta, Marcellusa, ale młodzieniec ten, sławiony przez poetów jako ulubieniec narodu, wydartym został już po latach dwóch małżeństwa, w roku 23 przed Chrystusem, przyszłości i chwale, nie zostawiwszy żadnego potomstwa. Szczęśliwsze pod ostatnim względem były drugie śluby Julji, z politycznych czysto względów sklecone. Nie żaden książę ani krewny Augusta, lecz mądry jego doradca, M. Agrippa, wyniesionym został w roku 21 do godności cesarskiego zięcia. W roku 20 i 17 rodzą się z tego małżeństwa Gaius i Lucius, a August adoptuje natychmiast tych wnuków i opiera na nich przyszłości nadzieje.

Niebawem losy Tyberjusza w dziwny sposób powiązać się miały z Julją i jej synami. Tyberjusz był ożeniony z Wipsanją Agrippiną, córką owego Agrippy i pierwszej jego małżonki, Pomponji[1]. Małżeństwo było szczęśliwe i przyniosło mu syna Druzusa, ale krótkie to szczęście wcześnie zniszczonem i rozerwanem być miało. Kiedy bowiem Julja przez śmierć Agrippy, w roku 12 przed Chrystusem, owdowiała po raz drugi, postanowił August, nie wiemy z jakich powodów, wydać ją za mąż ponownie.

Cesarz August kochał ją szalenie, przebaczał jej wszel-

[1] Była ona wnuczką słynnego przyjaciela Cycerona, Pomponiusa Atticusa.

kie wybryki, nie śmiał wierzyć w to, co powszechnie o niej opowiadano; zapewniał, że dwie ma córki, których wszelkie kaprysy znosić mu należy, Julję i republikę. Otoczona zawsze zgrają wielbicieli, zadziwiała ona wszystkich nadzwyczajną wykwintnością i wykształceniem, olśniewała swą pięknością i wdziękami. August niepokoił się zbyt hałaśliwem jej życiem. Raz po przedstawieniu gladjatorów śmiał jej zrobić uwagę, że przyszła na widowisko w zbyt wesołem młodych ludzi towarzystwie i porównał z tem poważne i spokojne otoczenie Liwji. Swywolna Julja rozbroiła ojca zapewnieniem, że i jej przyjaciele razem z nią się zestarzeją.

Jak sobie Agrippa z nią radził, nie wiemy; August po jego śmierci postanowił znowu ślubami ustalić jej życie, a wzrok jego padł na pasierba Tyberjusza. Potrzeba jednak było do tego rozerwać przedtem pierwsze tegoż małżeństwo i to małżeństwo szczęśliwe. Wiek ów pod tym względem nie cofał się jednak przed żadnemi środkami. Przecież i do ślubu Augusta z Liwją aż dwa rozwody utorowały drogę. Teraz więc nakazano w podobny sposób Tyberjuszowi odesłać Wipsanję i zawrzeć związek z wdową po własnym teściu, Agrippie.

Jest to jeden z najważniejszych przełomów w życiu Tyberjusza. Potargano przy tem jego najświętsze uczucia miłości, a zbliżono do kobiety, odmiennej zupełnie usposobieniem, która swoją swywolą z pewnością nie zdołała rozchmurzyć tego posępnego czoła. Rozdarcie jego było wielkie. Swetonjusz opowiada [1], że skoro raz w późniejszym czasie zoczył Tyberjusz pierwszą żonę na ulicy, tęsknym i załzawionym wzrokiem gonił jej postać i kroki. Jedyna to łza Tyberjusza, o której historja nam opowiada. Ten, który swe uczucia wiecznie na uwięzi trzymał, zamykał swe wnętrze szczelnie przed oczyma bliźnich, tutaj zwyciężonym został przez wezbraną

[1] *Tib.*, rozdz. 7.

serca swego żałość. Łza ta tem zrozumialsza, że była wylaną nad minionem szczęściem *nella miseria*.

Bo sprzężenie Tyberjusza z Julją było pod każdym względem nieszczęśliwym pomysłem. Rola księcia Konsorta była jego dumie wstrętną i przykrą; a gdyby przynajmniej domowe szczęście wynagradzało niemiłe pozory! Ale te dwa usposobienia żadną miarą iść z sobą nie mogły. Stary już zamłodu Tyberjusz nie mógł się pogodzić z tą kobietą, która wiecznie młodą być chciała i, jak Makrobjusz opowiada, później kazała sobie wyrywać z wielką gorliwością siwiejące już włosy. Przytem duma Klaudjuszów natrafiła tu na pychę rodową córki cesarskiej. Julja rzucała w twarz Tyberjuszowi nieznośny dla małżonka zarzut nierówności, nazywała go parwenjuszem. A jeżeli duma Tyberjusza się sromała przed stanowiskiem księcia Konsorta, to równie wstrętnem mu było niezawodnie położenie ojczyma względem przyszłych Cezarów. Nie miał on z pewnością tak wielkiej ambicji, aby gwałtownemi środkami dobijać się o tron po Auguście, ale miał zbyt wiele samowiedzy i poczucia własnej godności, aby służyć li tylko za narzędzie, któreby zabezpieczyło małoletnich tronu następców i przeprowadziło do spodziewanej rządów przystani.

W tych okolicznościach dojrzała u Tyberjusza myśl porzucenia Rzymu. Pobudki wyliczono powyżej, ale w dziełach historycznych pomijają dziś zbytecznie jeden z głównych także z pewnością powodów, obrażoną dumę małżonka. Jeżeli obok Julji starzało się i teraz młode jej, zwykłe towarzystwo, to Tyberjusz nie był człowiekiem po temu, aby to znosić spokojnie. Postanowił więc zerwać zupełnie z dotychczasowem życiem i przedzielić się od Julji, którą pogardzał, lądami i morzem.

Kiedy Tyberjusz zdradził się z swym zamiarem wyjazdu, August nie zdawał się wyrozumiewać jego powodów i ociągał się z daniem urlopu. Tyberjusz zaciekł się jednak jak dalece w swym gniewie i uporze, że przez dni cztery od

pokarmu się wstrzymał, aby zezwolenie wymusić. Poczem w roku 6 przed Chrystusem, bez żadnych oficjalnych pożegnań, wśród milczenia podążył do Ostji, aby odpłynąć na wyspę Rhodus, która się stała celem jego dobrowolnego wygnania [1].

Żeglowała z nim po morzu cała gorycz nagromadzona dotąd w jego duszy, wywołana zniszczeniem szczęścia jego wyboru, upokorzeniami lat ostatnich; niechęć do dworu cesarskiego, dla którego był niezbędnym sługą i księciem na przyprzążce, towarzyszyła mu za morze. Tyberjusz prośbę swą o zezwolenie na wyjazd tem usprawiedliwiał, że potrzebuje *requiem laborum*, wytchnienia od pracy. Ale on potrzebował wytchnienia od ludzi, do których zaczął nieprzezwyciężoną mieć nieufność; pojawiła się tu u niego po raz pierwszy ta skłonność do samotności, która go odtąd nie opuściła już nigdy.

Trwało to wygnanie rodyjskie przez lat siedm, aż do roku pierwszego naszej ery. Trzydziestopięcioletni Tyberjusz przeżył tu lata, w których usposobienie człowieka twardnieje, traci pierwotną giętkość i przybiera ostateczną formę na resztę żywota. Wystawiamy go sobie, jak na wzór Achillesa opłakującego nad szumem fali morskiej porwanie Bryzeidy, żalił się tu morzu na losy okrutne, które mu szczęście zrujnowały domowe. Czyż dlatego, aby własną duszę leczyć, oglądał smutki innych, odwiedzając chorych na wyspie? Jestto środek, którego Chrześcijaństwo nauczyło, który jednak w starożytności wyjątkowo się pojawia i dorzuca nową zagadkę do tej tajemniczej postaci [2]. Zresztą słyszymy, że wczasu swego na Rhodus używał do pogłębienia wykształcenia, które posiadał

---

[1] Niektórzy widzieli w tem pierwszy objaw obłędu prześladowczego (*Verfolgungswahn*), który upatrują w Tyberjuszu. Porównaj Ihne: *Zur Ehrenrettung des Kaisers Tiberius*, Strassburg, 1892, str 160.

[2] Por. Suetonius: *Tib.* 11.

w wysokim stopniu, że dużo czasu trawił po szkołach i na dysputach tamtejszych greckich nauczycieli. Umysł ten nie młody, ani świeży, przyciągała nie tyle wiośniana poezja helleńskiego świata, co spory erudytów zestarzałej Grecji, dociekania gramatyczne i antykwarskie. Zaciekawiała go nietyle Hekuba Homera, lecz pytanie, jak się jej matka, o której Homer nie wspomina, nazywać mogła; nietyle śpiew Syren, nęcących Odysseusza, jak niepewność, jakie one wyśpiewywały melodje. Ta dusza ponura lubiła siebie i drugich trapić takiemi problematami, których żadne słońce rozświecić nie mogło. Podobnie jak oczy jego, według świadectwa autorów, w nocy widziały, tak i umysł błąkał się chętnie po tych pomrocznych manowcach jałowej erudycji[1]. Te skłonności filologiczne i antykwarskie nie opuściły go do końca. Wyraźnie otrzymał on zamłodu dosyć gruntowne wykształcenie, zapoznał się dokładnie z grecką nauką i literaturą. Słyszymy, że lubował się w poetach hellenistycznej epoki, Euforjonie i Partenjuszu, co więcej, nawet sam w młodych latach, puszczał się na pole poezji i próbował sił swoich we wierszach, czy greckich czyto łacińskich. — Na polu prozy odznaczył się w pierwszym okresie życia swemi mowami, wystąpił przedewszystkiem kilkakrotnie jako chwalca pogrzebowy. Nie wątpimy, że te literackie skłonności i wykształcenie osłodziły mu nieco samotne dosyć wczasy rodyjskie, a zarazem pogłębiły się wśród greckich wpływów miejsca i otoczenia.

Słyszymy, że w końcu swojego pobytu na Rhodus przywdział płaszcz i obuwie uczonego greckiego i tak się po wnętrzu wyspy przechadzał, stroniąc od brzegów, które go narażały na nagabywanie przez Rzymian na wschód zmierzających. Cały ten pobyt rodyjski był gwałtem samowolnym, zadanym

[1] Cassius Dio 57, 2. Może w tych pytaniach było nieco sceptycznej ironji względem nauki i uczonych. — Że Tyberjusz w młodszym wieku, nawet na wyprawach wojennych, lubiał się otaczać literatami, o tem świadczy 3-cia epistoła I księgi Horacjusza.

naturze do czynu przeznaczonej i w czynie już wypróbowanej. Toteż słyszymy, że po pięciu latach zamierzał Tyberjusz powrócić do Rzymu. Prócz innych powodów skłaniało go do tego niewątpliwie i to, że jedna z głównych przyczyn oddalenia się jego już nie istniała. Swywolna Julja, po wyjeździe Tyberjusza, nie zaniechała dotychczasowego życia; doszło do tego, że zaślepionemu miłością ojcu otwarły się oczy i August widział się zmuszonym w roku 2 przed Chr. oddalić ją na wyspę położoną koło Ischji dzisiejszej, aby stolicy i sobie oszczędzić widoku takiego upadku. Trudno o tragiczniejsze rozwiązanie małżeńskiego dramatu. Po niesnaskach domowych, znajdujemy obu małżonków oddzielonych od siebie i świata, na dwóch wyspach śródziemnego morza; wielkiemu rozumowi Augusta kombinacje polityczne udawały się świetnie, — w sprawach rodzinnych wszystko mu rwało i łamało się w rękach.

Cesarz był jednak z początku głuchym na prośby swego pasierba i chciał w ten sposób za jego wyjazd uporny go ukarać. Ponownym naleganiom i wstawieniu się Liwji udało się dopiero zmiękczyć Augusta i uzyskać pozwolenie powrotu; udzielonem ono zostało w roku 1 po Chrystusie, z tem zastrzeżeniem, aby rodyjski pustelnik od spraw politycznych zupełnie się na uboczu trzymał[1]. — Tymczasem losy rachowały inaczej, jak rozum polityczny Augusta. Z wnuków jego młodszy, Lucius, umarł już w roku 2 naszej ery, starszego śmierć zabrała w dwa lata później, w roku 4. I ostatecznie nie został nikt inny na dworze cesarskim, na którymby August nadzieję cesarstwa mógł oprzeć, oprócz Tyberjusza.

Prócz z faktów, które wspomnieliśmy, wnioskować także należy ze świadectw autorów starożytnych, że stosunki między tymi dwoma ludźmi, których los i przypadek tak blisko

---

[1] W powrocie może się Tyberjusz pojawił w Olimpji. Jest on pierwszym rzymskim Olimpioniką, o którym wieść nas doszła. Porównaj Mommsen: *Römische Geschichte*. T. V, str. 264.

złączył, najcieplejszemi być nie musiały. August odznaczał się pewną swobodą i wesołością w obejściu, którą zyskiwał sobie serca stronników; posępność Tyberjusza była mu przeciwną. Opowiadano sobie, że ilekroć Tyberjusz wchodził na komnaty Augusta, stary cesarz przerywał odrazu weselszą pogadankę, jakby obecność pasierba go mroziła.

Ale teraz spustoszenie śmierci, namowy Liwji i wzgląd na tęgość wojenną Tyberjusza, przeważyły na szali ponad antypatją. W r. 4 po Chr. został pasierb Augusta adoptowanym; stary cesarz zgodził się i zgodzić się poniekąd musiał, że po nim nie spadkobierca z jego krwi i kości nastąpi, lecz potomek rodu Klaudjuszów; bo adopcja ta była stopniem to tronu. *Reipublicae causa*, w interesie państwa to zrobiłem, mówił August, jakby dla stwierdzenia przed światem, że nie osobiste gorętsze uczucie, lecz konieczność polityczna kierowała tym krokiem. Tyberjusz i przy tym fakcie tak doniosłym dla jego przyszłości zranionym został w swem sercu; choć miał już syna dorosłego z Wipsanji, kazał mu August natychmiast adoptować Germanikusa, syna po zmarłym młodszym jego bracie Druzusie, tego Germanikusa, którego losy wpłynęły znacznie na cały bieg panowania Tyberjusza. W samym progu odjęto więc Tyberjuszowi nadzieję utworzenia dynastji i bezpośredniego, prawowitego po sobie następstwa.

Odtąd wir wypadków wciąga znów nowego następcę tronu w wyprawy wojenne. Uspokojeniem Germanji i zabezpieczeniem północnej granicy Italji od illiryjskich szczepów kończy się panowanie Augusta, a obydwa te zadania spełnione zostają z wielką dzielnością przez Tyberjusza. Kiedy też w roku 14 po Chrystusie cesarz August w Noli oczy zamykał, wzrok wszystkich zwrócił się na jego pasierba, który mimo rozgłosu wojennego jako wielka zagadka wstępował na stopnie opustoszałego tronu imperjum.

Zagadką są niewątpliwie prawie wszyscy następcy w chwili, gdy obejmują ster rządów; bo innym człowiek się przedstawia

w świetle nieokreślonem nadziei, a inaczej występuje na twardym gruncie żądań życia i ludzi. Wielkie *credit* czy *sperat* lat minionych zamienia się teraz na trudniejsze rzeczywistości *debet*. Ale jeżeli ludzie i narody często w swych sądach i uczuciach co do przyszłych swych władców się myliły, to stan umysłów Rzymu po śmierci Augusta szczególnie musiał być niepewnym i zaniepokojonym. Tyberjusza znali zapewne z wojskowej strony żołnierze w obozie, ale w Rzymie nikt go nie znał naprawdę, bo i niewiele tu przebywał, a gdy przebywał, nie odsłaniał przed ludem swej duszy. Widziano go smutnym, wiedziano, że dużo się w życiu nacierpiał, ale czy mu osobiste utrapienia roztkliwiły czy zatwardziły serce, tego nie wiedział nikt. W najtrudniejszej chwili, kiedy nowa forma rządu miała się ustalić przejściem w rękę pierwszego następcy, witano nowego Cezara z zupełną niewiadomością, co on właściwie przynosi w zawojach swej purpury, czy szczęście, czy trwogę.

3.

Kiedy Tyberjusz wstępował w roku 14 na tron Cezarów, miał już lat 55; w wieku więc, kiedy dla innych nastaje wieczór życia z jego uciszeniem i wypoczynkiem, powołanym on został do najcięższych obowiązków władcy nad Rzymem. Fizycznie z pewnością zdolnym był znosić jeszcze największe trudy i mozoły; Tyberjusz cieszył się, według świadectwa starożytnych, przez cały ciąg panowania zdrowiem nienaruszonem, mimo że doktorów nie używał nigdy, a może właśnie dlatego. Wzrostem przewyższał przeciętnych ludzi. Na barczystych plecach i szerokiej piersi nosił kark w tył wygięty i sztywny jak duma Klaudjuszów. Siła jego w rękach była powszechnie znana; świeże i nietknięte jabłka przewiercał z łatwością palcami. Twarz piękną zdobiły ogromne oczy, przez które jednak trudno było zajrzeć w głąb duszy; jedynie

wyrzuty nagle występujące twarz tę często oszpecały, a podobno przyczyniło się i to wkońcu do tego, że Tyberjusz coraz bardziej stronił od ludzi.

Na jenerała był ten potomek Klaudjuszów doskonały. I męstwo i wspaniała postawa nadawały mu piętno wodza, a małomówność nie była tam żadnym błędem, gdzie o krótkie, stanowcze chodzi rozkazy. Stanowisko panującego jednak jest odmiennem i od innych zależy warunków. Powiedziano, że pasterz powinien znać owce swoje i nawzajem od nich być znanym, a tutaj ani jedno ani drugie nie miało miejsca. Z urodzenia nie wesół i nie młody, nabrał Tyberjusz wskutek dusznej atmosfery, która go otaczała na dworze Augusta, zupełnej nieufności do ludzi. Nieufność ta ujawniała się przedewszystkiem w tem, że przyjaciół nie miał prawie żadnych, albo bardzo niewielu, że wnętrze swe ściśle i stanowczo zamknął przed bliźnimi. — Zamknięcie w sobie jest niewątpliwie znamieniem natur głębszych, które myśli swych i uczuć nie lubią pospolitować na powszedniem życia targowisku; zamknięcie w sobie może doprowadzić do wielkiego pogłębienia myśli i uczuć, które nie wietrzeją przez słowa i dojrzewają w cichości. Kto wiele słów używa, obrazi duszę swoją, mówi Ekklezjastyk, bo dusza ludzka jest świątynią, która powinna mieć swoje *sanctum sanctorum*, znane tylko Bogu, lecz ukryte przed oczyma pospólstwa. Ale takie zupełne zamknięcie u człowieka, postawionego w wirze życia i na tegoż szczycie, musiało wielkie pociągać za sobą niebezpieczeństwa. Tam, gdzie potrzebna narada i porozumienie, znajdowano *rara occulti pectoris vox*, jak Tacyt się wyraża, człowieka milczącego, który nawet w razie gdy przemawiał, niejasno się tłumaczył, jakby zawiścił ludziom głębszego przeniknięcia swej myśli. Słowa przytem nie płynęły mu łatwo, lecz przebijać się niejako musiały przez te usta przeważnie zawarte. Niejedno dobre poruszenie serca z pewnością szło przez to na marne, to pierwsze poruszenie, o którem Francuzi mówią, że jest naj-

częściej dobrem, aby następnie zginąć wśród analizy wewnętrznej, która poddaje uczucia i myśli takiej wiwisekcji, że je wkońcu zabija lub ubezwładnia.

Duma Klaudjuszów przyczyniała się do tego upornego milczenia. Cesarz nie chciał, aby jego uczucia poznane były przez ogół; nawet w dniach wielkich utrapień, kiedy słowo do przyjaznej duszy wyrzeczone może przecież sprawić pewną ulgę w udręczeniu, zachowywał on marmurową prawdziwie postać i pozory. Wśród ostatecznej, śmiertelnej choroby jedynego syna Druzusa, chodzi on codzień do senatu, zjawia się tam bezpośrednio po jego śmierci, aby innych obecnością swoją podniecać. Kiedyś uronił łzę publicznie za pierwszą żoną Wipsanją, teraz zatwardza się samowolnie, tłumi swą boleść, aby mu się nie przelała w słowa poza ust krawędzie. Jest to gwałt zadany naturze i niebezpieczny w następstwach; przy takiem trzymaniu uczuć na uwięzi najprędzej marnieją instynkta dodatnie w człowieku, oziębłe pozory mogą wkońcu zamrozić i wnętrze. A ciągła obawa, aby nie pofolgować czułości, zdoła ostatecznie wrodzone zapasy czucia i współczucia wysuszyć.

Tymczasem spływały do tego zawartego wnętrza wszelkie gorycze, daleko bardziej piekące i bolesne u ludzi zamkniętych. Wszystkie urazy, których kiedykolwiek doznał, gromadziły się tutaj niewypowiedziane, zaostrzając się i drażniąc coraz dotkliwiej. Przetrawiał je cesarz sam z sobą w chwilach samotności, pielęgnował je skrzętnie, snuł mściwe myśli, które niekiedy po długim lat przeciągu w czyn się zamieniały. Zdolność zapomnienia i przebaczenia, którą w obcowaniu z ludźmi się nabywa i rozwija, niszczała u niego stopniowo; każde słowo urażające rzucało tu posiew na daleką przyszłość — *odia in longum iaciens* — jak Tacyt się wyraża, który powoli dojrzewał w duszy cesarskiej. Usposobienia takie, przetrawiające się wewnętrznie, dochodzą wkońcu prawie do upodobania w zgryzocie, szukają skrzętnie nowego zarzewia, któreby

podniecało ich gorycz. Toteż Grek Cassius Dio opowiada nam, że Tyberjusz z biegiem czasu polował zupełnie na wszelkie złośliwości i kalumnje na niego rzucane, to, co w tajemnicy i na uboczu było powiedzianem, wywlekał w senacie, lubując się niejako w tem, co go boleśnie raniło [1].

Gorycz z każdym rokiem wzrastająca objawiała się pierwotnie w pewnej szorstkości obejścia. Po swobodnym, uśmiechniętym Auguście, który miał coś w sobie króla-mieszczanina, nastąpił jego pasierb, zdobywający się niekiedy na majestat cara, pozę Mikołaja, ale pozbawiony wszelkiego wdzięku w działaniu. Silił się on prawie, aby go nie mieć. Miał on jakąś *cupido severitatis*, żądzę surowości, która go skłaniała do tego, że nawet wtedy, kiedy dobrodziejstwo wyświadczał, czynił to w sposób twardy, niemiły dla obdarowanego. Za to, że życie tak mu swych uśmiechów poskąpiło, skąpił on tych uśmiechów i ludziom. Na dworze panował obyczaj, że cesarze przyjmowali najzaufańszych swych przyjaciół pocałunkiem. Charakterystycznem jest bardzo, co kilku autorów donosi, że Tyberjusz zwyczaj ten zniósł i usunął [2].

Co się zaczęło od drażnienia formą, od działania naprzekór czy opinji, czy życzeniom otoczenia, to mogło z biegiem czasu wywołać groźniejsze objawy, doprowadzić do okrucieństwa. Tyberjusz z natury ani krwi, ani ofiar nie pożądał; dopiero późniejsze życia wypadki na takie zawiodły go drogi. Ale w tej duszy zamkniętej drzemały może już wcześnie na dnie jakieś instynkta złowrogie, a Tyberjusz badający jej głębię, odnalazł je może w ostatniej skrytce swego wnętrza. Kiedy w początkach panowania służalczy senat ofiarował mu różne szumne tytuły i przywileje, odmówił je Tyberjusz, tem odmowę motywując, że kiedyś przypadkiem mogłaby w nim zajść jakaś zmiana na gorsze, a wtedy blask tych tytułów

[1] Dio, 58, 25.

[2] Por. Friedländer *Sittengeschichte Roms* I, 142.

byłby pokalanym i kłułby w oczy tych samych, którzy je kiedyś nadali [1].

Dla samotnika została chyba rozmowa z bogami. Tylko że ci bogowie już dawno wypowiedzieli ostatnie słowo, wyszli na oficjalnych opiekunów państwa, ale dla indywiduów i osobistych potrzeb nie mieli serca, ani odpowiedniego języka. Olimp starodawny błyszczał jeszcze cudnemi blaski w poezji Augustowskiej; dla prozy życia i rzeczywistości marnym był tylko mirażem. W Tyberjuszu religja dawnych Rzymian zupełnie była martwą, a mimo symulacji zarzucanej mu przez Tacyta, nie zdobył się on nawet na pewien faryzeizm, z jakim August w celach państwowych i politycznych dawnych bogów do własnej przyjął służby, udając przed ludem, że on im w służbę się oddał. Dla Tyberjusza na opustoszałem niebie zostały już tylko gwiazdy, z których z upodobaniem wyczytywał bieg wypadków i wyciągał horoskopy fatalistyczne dla siebie i ludzi. Nie bał się bogów, tylko piorun Jowisza napełniał go jeszcze trwogą i strachem. Szczególnym jest objawem w tem religijnie wyjałowionem społeczeństwie, ta nerwowa, dziecinna trwoga przed burzą. Augustus chronił się przed nią do lochów, u Tyberjusza podobną strachliwość potwierdza Swetonjusz; obydwaj używali talizmanów dla oddalenia grożących stąd niebezpieczeństw.

Ani więc ludzie, ani bogowie, nie rozchmurzali ponurego tego czoła. Wiek ten cały, mimo orgij Cezarów i świetności Rzymu, jest smutnym; odgłosy tego przebijają w słowach ówczesnych pisarzy, przebijają w czynach tylu ludzi, którzy wtedy z taką niesłychaną rezygnacją na samobójstwo się zrywali. Autor, zbliżony czasem do Tyberjusza, upatruje w tem wyższość ludzi nad bogami, że tamci samowolnie życie sobie odbierać mogą, i sławi dobrotliwość przyrody, która tyle trucizn na usługi człowieka dostarcza. A właśnie tenże sam Pli-

[1] Por. Suetonius *Tib.*, rozdz. 67.

njusz Starszy, autor tak pesymistyczny, nazywa Teberjusza najsmutniejszym z ludzi, *tristissimus hominum*. Jest w tem wyrażeniu jakaś groza i jakiś majestat, który mimowoli skłania do współczucia i uszanowania; słyszy się w niem jakieś wielkie *miserere* pokoleń, nad któremby miał górować jęk Tyberjusza. Jest to smutek czysto indywidualny człowieka, który w życiu tak sporo doznał goryczy, a prócz tego smutek potomka starego i starzejącego się rodu; wreszcie choroba wieku wyryła też na tem czole swoje złowrogie piętno, ów smutek świecki, który śmierć sprawuje, jak św. Paweł się wyraża — *tristitia saeculi mortem operatur*.

Morzyła ta *tristitia* u niego przedewszystkiem ambicję do tronu. Opowiedzieliśmy, że zamłodu trzymał się na uboczu od wszelkich intryg, któreby do celu tego zmierzały, że uciekł przed duszną atmosferą dworu do samotności na dalekim Wschodzie, aż bieg wypadków i żniwo śmierci nie utorowały mu do rządów drogi. Człowiek, który tak ludzi unikał, nie mógł gwałtownie pragnąć stanowiska, ktore go z konieczności do ciągłego z ludźmi zetknięcia prowadziło. Miał on *taedium coetus*, wstręt do licznych zebrań i zbiegowisk, który go nawet wstrzymywał od uczęszczania na zapasy tak popularne gladjatorów; abstencja to, która zarówno Rzym razić musiała, jakby dziś raziło Hiszpanów wstrzymywanie się panującego od udziału w zapasach z bykami. — A i inne rzeczy, które się oddają cesarzowi, bo są cesarskie, jego nie nęciły. Wszyscy autorzy jednogłośnie podnoszą w jego charakterze brak namiętności, która tylu cesarzy wprowadziła na bezdroża, brak chciwości pieniężnej. Dopiero pod koniec życia miał on jej do pewnego stopnia pofolgować [1], zresztą w sprawach majątkowych okazywał bezinteresowność wielką. Bo i do czegóż te pieniądze byłyby mu się przydały? W życiu codziennem odznaczał się prostotą ogromną, tak wielką, że stół

[1] Tacyt *Ann.*, IV, 20.

jego słynął z miary i oszczędności. Opowiadano sobie, że na ucztach pojawiały się często resztki z dnia poprzedniego. Wogóle, nie leżało w jego naturze otaczanie się pompą i wystawnością. Odmiennie od wszystkich imperatorów swego i innych wieków, Tyberjusz nie podejmował żadnych budowli znaczniejszych, dbał może o to za mało, jakby na panującego nie utwierdzonego dynastyczną tradycją, na cesarza demokratycznego przystało. Toteż Rzym dzisiejszy prawie żadnych po nim nie wykazuje pamiątek, a historja miasta, spiesząc od Augusta do następnych Cezarów, pomija nazwisko Tyberjusza prawie głuchem milczeniem.

Żadne więc ani niskie, ani wyższe osobiste pobudki, nie pchały Tyberjusza na stopnie tronu. Zostawać mogła jedna, ta, dla której Augustus go adoptował — *reipublicae causa*, wzgląd na istnienie i korzyści państwa. Otóż tu zapytać się należy, czem było to państwo, jak je August urządził i następcy przekazał?

Augusta ambicją i celem była, jak wiadomo, powolna, pokojowa ewolucja czy transformacja dawnej republiki w nowy ustrój państwowy. Do dawnych urzędów i magistratur przybył rzekomo tylko jeden nowy w osobie cesarza, który wspólnie z senatem miał rządzić Rzymem i państwem. Nie była to więc monarchja w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale diarchja, w której głównemi organami rządu był cesarz i senat. Jeżeli do tego czasu senat w Rzymie rządził przeważnie, to teraz wobec niego staje najpierwszy z obywateli, który przez to, że ma władzę trybuńską, staje się właściwym reprezentantem i organem zwierzchności ludu, przez to, że ma władzę prokonsularną, najwyższym jest wodzem nad wszystkiemi wojskami imperjum. Wojsko i lud, oto dwa węgły, na których spoczywa nowa budowa pryncypatu. Potęga senatu, a więc rodów i arystokracji, nie jest usuniętą, ale uszczuploną przez podział z nowym władcą, który działalność senatu

kontroluje, śledzi i swym wpływem przeważnym czyni od siebie zależnym[1].

Był więc cień jakiś dawnej republiki, w którym August roztoczył swój namiot imperatorski, cień, który miał służyć do tego, aby wschodzące słońce Cezarów dawnych republikanów nie kłuło zbytecznie w oczy. Ale jak każdy cień, miał on te złe strony, że stwarzał sytuację niejasną, słabo rozgraniczał kompetencje między cesarzem a senatem, a wiele zostawiał dobrej woli czy mądrości ludzi, podczas gdy instytucje powinny stanowczo i jasno ludzi wiązać i nimi kierować. Cała ta koncepcja Augusta wyrachowaną jest przez niego i obrachowaną na jego osobę. Augustus nie dosyć brał pod rozwagę, że inni ludzie i inne charaktery po nim przyjdą, które nie zdołają trudności w niej leżących pokonać, albo zechcą jej nieokreśloność na swoją korzyść wyzyskać. A przytem zachowanie republikańskich form i pozorów musiało, choćby duch z nich uleciał, stać się zarzewiem podniecającem ciągle pamięć tego, co zaginęło, musiało zwracać myśl ku przeszłości, a mogło ją niewątpliwie rozżarzyć do zamiaru, aby w te formy tchnąć przy pierwszej okoliczności dawnego ducha i dawną siłę.

Z przemądrym artyzmem trzeba było tu postępować, aby umysły utrzymać na wodzy, aby w senacie utrzymać złudzenie, że on jest współrządcą, a w rzeczywistości z roli organu zepchnąć go na stanowisko narzędzia. Bo w rzeczywistości rządził cesarz wszechwładnie; jego *veto* mogło w każdej chwili postanowienia senatu zawiesić, wskutek czego tenże niczego nie przedsiębrał, nie upewniwszy się wprzódy o woli cesarskiej w tej mierze. Stosunek ten nie wytworzył się tyle *de iure*, ile raczej *de facto*, rozwinął się i ustalił pod wpływem przeważnej osobistości Augusta, który jak nikt umiał grać na ludziach, nakręcać zegar historji tak, żeby pozornie

[1] Por. Asbach: *Röm. Kaiserthum*, — w Raumera *Histor. Taschenbuch* z r. 1888.

bił po staremu, a w rzeczywistości wybijał ostatnie godziny rzymskiej wolności.

W tej niejasności i niepewności ogólnej leżało całe złe cesarstwa. Żaden z urzędników naprawdę nie wiedział, dokąd jego kompetencja wobec woli cesarza sięga, senat niby wywyższony, wić się musiał, giąć i naginać, aby nie narazić sobie osoby władcy, który rzekomo stał obok niego, w rzeczywistości zaś dużo ponad nim[1]. Wyrodziła się atmosfera duszna, przesiąknięta nieufnością i strachem, która musiała paraliżować energję, demoralizować cesarzy i ludzi. Władza cesarska, jak słusznie powiedziano, nie była tyle nieograniczoną, jak raczej z umysłu określoną niejasno.

W senacie miało się to wszystko ujawnić niebawem; — z najróżnolitszemi żywiołami trzeba było się liczyć w jego łonie. Prawdziwych, szczerych sług cesarstwa, oddanych całą duszą nowemu porządkowi i nowym władcom, było z pewnością w senacie najmniej. Nowy ustrój zbyt krótko istniał, aby taką silną sobie wyrobić podporę. Ale zamiast sług liczny zato był zastęp służalców. Odznaczają się tu w pierwszym rzędzie kreatury cesarskie, ci, których wola cesarska do ciała tego wprowadziła, ludzie nowi, bez tradycji żadnej, a z wielkiemi długami wdzięczności na przyszłość.

> Bo odkąd lada chłystek mianowan szlachcicem,
> Niejeden szlachcic zamienił się w chłystka,

moglibyśmy o nich i ich naśladowcach powiedzieć z Szekspirem. Bo wtórowali im dzielnie upadli potomkowie dawnej arystokracji rzymskiej. Arystokracja ta strasznie zdziesiątkowaną została w wojnach domowych republiki, a ci, co się zostali, nie dosyć dbali o to, aby sztandar jej i imiona zachować w czci i poszanowaniu. Zostały się tym synom wielkich rodów rzymskich strzępy majątków, strzępy dawnej sławy

[1] Por. piękny ustęp w dziele Kurth'a: *Les origines da la civilisation*: *L'empire romain*, t. I.

i tylko już strzępy honoru i godności. Ich widok najtwardsze wyrazy z duszy Tacyta wyrywa. Zamiast z godnością zachować się wobec nowego rzeczy stanu, płaszczyli się oni przed Cezarem, zamiast zawojami swej togi przysłaniać nierzadką nędzę materjalną, zrobili oni zeń środek do żebraniny u nowych Rzymu panów, a odsłaniając ubóstwo majątkowe odsłaniali przytem inne i wstydliwsze, moralne. Im większą była ich służalczość wobec żywych, tem większą swywola i radości wobec zmarłych Cezarów. Dawne serca bicie odzyskiwali jeszcze raz po raz, ale wobec trupa. Prawdziwi to *morituri*, nieznużeni w pokłonach i salutacjach, do których ich giętkie karki szczególnie się nadawały. Z dawnego majestatu patrycjuszów rzymskich uronili wszystko; chybabyśmy powiedzieć mogli na ich obronę, że w chwili śmierci przypominali sobie niekiedy zobowiązania wobec przeszłości i nazwiska. Dziwnym rzeczywiście jest objawem, że ci ludzie, którzy żyć nie umieli po rzymsku, umierali, gdy ich przypadkiem dosięgła okrutna ręka władcy, z pewną powagą, nawet majestatem, godnym ich przodków. W pokalaną swą togę drapują się oni *in articulo mortis*, jak chyba senatorowie przy napadzie Gallów lepiej nie umieli. Tacyt też nie omieszkał opowieścią tych zgonów rozjaśniać ponurego wątku swoich Annalów.

Zostawała mniejsza i lepsza część arystokracji, stojąca na straży dawnej cnoty i dawnego honoru. Przez jej usta wśród ogólnego płaszczenia się przemawiał niekiedy głos podnioślejszy, ich milczenie wśród wylewów służalczych górowało niekiedy nad głosami spodlonych i dobitniej wrażało się w uszy Cezarów. Ale wśród tego odłamu arystokracji zagnieździła się skłonność do opozycji, niby szlachetnej ale bezpłodnej,[1] do abstencji. Żeby swego sztandaru nie pokalać w brudzie i w życiu, buduje się dlań ołtarz we własnem domostwie i wśród czterech murów składa mu się ofiary, nie troszcząc

[1] Por. o tem Boissier: *L'opposition sous les Césars*, str. 100.

się o to, co poza murami się dzieje. Jest to kult połowiczny, bo bez wyznawstwa i męczeństwa. Doprowadzić on musi do pewnego wyjałowienia energji, do rozmiłowania się w kwietyzmie i we własnej osobie. Mówił już Liwjusz o arystokratach za republiki, którzy ustąpili na wieś i własne interesa mieli na pieczy, zapominając o publicznym: *Cesserunt in agros suarumque rerum erant amissa publica*, ostrzegał przed słodyczą prywatnej wygody, która odejmuje zmysł i współczucie dla klęsk publicznych. A Tacyt, opowiadając o niebezpieczeństwach bierności, twierdzi, że to, co z początku wymuszonem było, wkońcu staje się potrzebą i słodyczą życia, ostrzega przed miodem inercji, *invisa primo desidia postremo amatur*. Nie przeczymy, że pobudki tych ludzi były najczęściej szlachetne, ubierały się nawet najczęściej i drapowały w płaszcz filozoficzny, ale w ten płaszcz można się było tak otulić, że się aż stawał ciepłym i wygodnym i nie dopuszczał odgłosów ze świata, mogących zaniepokoić tych męczenników, którzy przedewszystkiem pożądali spokoju.

Z takiemi elementami musiał się więc cesarz rzymski ciągle i zawsze liczyć, opierać się na gruncie nieszczerych stosunków, szanować drażliwości, wrażliwości i obrażliwości, które wśród parwenjuszów i epigonów, z jakich senat przeważnie się składał, najbardziej zakwitają. Uśmiech ironiczny Augusta umiał nad wielu rzeczami przejść do porządku dziennego; ani go sromała podłość służalstwa, ani troszczyła niema czy głośniejsza zaciętość opozycji. Przejrzał on z pewnością do gruntu nieszczerość niejednego ukłonu lub pochlebstwa, ale na komedję odpowiadał jeszcze misterniejszą sztuką skończonego aktora. Przytem pamięć dziada Cezara i krwi Juljuszów, ubóstwionej, otaczała go bądź co bądź jakimś nimbusem majestatu.

Ale po nim stanął wobec senatu dumny potomek Klaudjuszów, który nie miał w sobie ani majestatu krwi Cezara, ani, co tu było ważniejszem, *love's majesty*, majestatu

wdzięku, o którym wspomina Szekspirowski Ryszard Trzeci. Czuł on się niepewnym wobec tego ciała, z którem ustrój państwowy go sprzągał. Powiada o nim Tacyt na jednem miejscu, że nie lubił cnót wybitnych, a nienawidził występków, a na innem, że bał się wolności, a pogardzał służalstwem. To wszystko tłumaczy należycie jego postępowanie w progu panowania.

Gdy go otaczający podniecali do odwagi, wyraził się był drastycznie, że chyba nie wiedzą, co to za straszne zwierzę jest imperjum, *quanta belua esset imperium.* Teraz trzeba mu było z tą bestją się zmierzyć i oko w oko jej zajrzeć.

Po śmierci Augusta, zaprzysięga on wojsko i urzędników na swoje imię; tam, gdzie rozkaz wystarczał, rozkazuje stanowczo, bo się do tego w obozach przyzwyczaił. Inaczej zupełnie występuje w senacie. Tu mówi o swej nieudolności, wzbrania się przed nakładaniem na niego zbyt gniotącego ciężaru, wspomina, żeby go należało na różne barki rozłożyć, napomyka więc o podziale władzy. Tyberjusz był głową o krętych ścieżkach, tak, że trudno często zbadać i wyśledzić te przepastne krainy jego myśli. Że nie myślał poważnie o usunięciu się od tronu, można być pewnym, a ci niezawodnie trafili w sedno rzeczy, którzy przypuszczają, że Tyberjusz swem wahaniem się zamierzał wywołać w łonie senatu jakąś manifestację, któraby go cesarzem uznała stanowczo i wolę Augusta stwierdziła i ulegalizowała. Kiedy mu przypadło z postanowienia Augusta razem z tem ciałem rządzić, życzył on sobie jakiegoś hołdu wstępnego, któryby mu grunt pod nogami ustalił. Ale senat, który przed biciem pokłonów w pojedynczych przypadkach się nie wzdrygał, nie odgadł teraz, czy nie chciał odgadnąć myśli Cezara i uchylił się od wszelkiej zbiorowej demonstracji. Natura energiczniejsza byłaby z pewnością stanowczym czynem rozcięła trudności, stokroć większe dla człowieka zamkniętego, pełnego nieufności

i goryczy względem ludzi. Tyberjusz jednak nie był naturą stworzoną do zamachu stanu. Postanowił więc przyjąć położenie, jakie było, i łamać się z życiem i trudnościami, na których doraźne przełamanie ani siły ani woli mu nie starczyło.

Straszyć go to musiało tem bardziej, im wyżej pojmował zadanie i stanowisko panującego. Bo to przyznać mu trzeba, że pod tym względem miał wyobrażenia wyprzedzające swój wiek i całą niemal starożytność. Na wstępnem posiedzeniu senatu wyraził się, że przykrą i ciężką służbę na jego barki wkładają; później znowu, wśród obrad senatu przemówił w podobnym sensie, twierdząc, że dobry cesarz senatowi służyć powinien i wszystkim obywatelom, a niekiedy i pojedynczym. Ten wyraz *służba* powracał więc często w jego przemowach. Widoczne u niego jakieś uczucie obowiązku względem państwa, do jakiego u królów starożytności nie jesteśmy przyzwyczajeni. Dziwne są jego słowa, zamieszczone w edykcie wydanym wśród żałoby publicznej po śmierci bratanka Germanikusa. Zwraca on tam umysły zasępione do życia i czynu i napomina, że książęta są śmiertelni, rzeczpospolita nieśmiertelna — *principes mortales, rempublicam aeternam esse*[1]. Dziwniejszym jeszcze ten ojciec, który po śmierci jedynego syna czuje w sobie powołanie podniecania i pocieszania senatorów, ten ojciec przypominający, że on w miłości państwa pociech szukał i pociechy odnalazł: *se fortiora solacia e complexu reipublicae petivisse*[2].

Pierwszy raz tu może w historji państwo występuje jako jakieś bożyszcze oderwane, postawione na ołtarzu, przed którem królowie i poddani korzyć się mają. Ogromnie to zaimponowało niektórym wyznawcom tego samego kultu w naszych czasach. Tu po raz pierwszy miałoby więc zabrzmieć w ustach królewskich słowo *służba*, które później zabrzmiało

[1] Tacyt, *Ann.*, III, 6.
[2] Tacyt, *Ann.*, IV, 8.

w ustach północnego władcy, Fryderyka, zwanego Wielkim. Zaczęto porównywać dwie te postaci ze sobą,[1] upatrzono pewne podobieństwo w nieszczęśliwej obydwóch panujących młodości, we wspólnej im pogardzie ludzi, a sławiąc Fryderyka, wywyższano przytem Tyberjusza. Mamy niewątpliwie uszanowanie dla wszelkiej obowiązkowości na tronach, ale nie powiemy, żeby ten kult państwa był gwarancją szczęścia i błogości dla ludów. Wiemy, że ten kult abstrakcyjnego bóstwa może wypłynąć z braku miłości czynników, które to państwo składają, lub też do wyziębienia tych uczuć prowadzić; wiemy, że wśród tych namiętnych państwa uścisków jest coś mroźnego, a można przy nich podusić indywidualności, ludzi i społeczeństwa.

Mimo wielkich zamiarów państwowych Tyberjusza, zawisła też jakaś czarna, duszna chmura nad całem jego panowaniem. Wykonywa on ściśle niektóre obowiązki, nie szanuje swojej osoby, aby brać udział w posiedzeniach senatu lub sądowych obradach, klęski publiczne i los prowincyj znajdują w nim ofiarność i rzecznika, a jednak obraz tego panowania z roku na rok staje się coraz bardziej ponurym i ciemnym. Stan i atmosfera moralna była zbyt ciężką, aby pewne materjalne korzyści mogły były ją zrównoważyć; choć maszyna funkcjonowała w niektórych kierunkach poprawnie, nie jesteśmy zdania, aby sama maszyna, w której zawsze więcej tłoków niż dźwigni, mogła zapewnić postęp moralny człowieka, aby jakaś inskrypcja uwydatniająca na prowincji zasługi Tyberjusza około poddanych, zdołała rozjaśnić tragedję, spisaną w rocznikach historyków[2].

---

[1] Uczynił to pierwszy Mommsen. Por. Freytag: *Tiberius und Tacitus*, str. 311.

[2] Że cesarstwo musiało zwyrodnieć w panowanie urzędników z absolutnym księciem na czele i doprowadzić wkońcu do upadku cywilizacji, ładnie to rozwinął Wilamowitz w swoim *Herakles*, I, 175.

Na czele państwa, w samem ognisku rządu, spotykamy tę grę pełną dwuznaczności i tarcia pomiędzy cesarzem i senatem, która z roku na rok staje się drażliwszą, bardziej przygnębiającą. Położenie nie wyjaśniło się w początku; ani cesarz nie powiedział, czegoby właściwie od senatu wymagał, ani senatorowie nie zdradzili swych tajnych względem niego uczuć i antypatyj. Tyberjusz mimo tego postanawia w najściślejszem tego słowa znaczeniu wespół ze senatem rządzić. Tam on odsyła wszelkie ważniejsze sprawy i pozwala nad niemi obradować, ale obecność jego, choć milczy, trzyma myśli i języki na uwięzi. Czuje on całą duszność i nieszczerość tej atmosfery, odpycha od siebie akty służalcze ludzi, którzy się płaszczą przed jego obliczem, jakby nie chcieli mu zajrzeć oko w oko. Tacyt opowiada, że ilekroć wychodził z sali posiedzeń, wykrzykiwał na ludzi do niewoli stworzonych[1]. Ale czy on tej demoralizacji nie był winien? Jego postać zagadkowa i lodowata, siedząca wśród senatorów, mroziła z pewnością myśli podnioślejsze; wiedziano, że każde słowo śmielsze padnie w tę duszę, pozornie się w niej utopi, a powoli rozżarzyć zdoła płomienie nienawiści. Cieplejsza otwartość byłaby tu niejedno zmieniła i wygładziła, ale to nie leżało w usposobieniu i naturze Tyberjusza[2].

Wszystkie nawpół przysłonięte, dwuznacznie wypowiedziane, lub tylko pomyślane i domyślane złości, które ta arystokracja przeciw niemu żywiła, napełniały go coraz większą i rosnącą goryczą. A zemsta i kara nie obrały sobie prostej drogi do celu. Zamiast z otwartą wystąpić przeciw wrogom przyłbicą, wymyślił tu cesarz inny środek, rzucił między spo-

---

[1] *Ann.*, III, 65.

[2] Mommsen: *Staatsrecht*, II, 2, str. 1040 mówi: Das unheimliche Misstrauen, das die august. Organisation durchdringt und das in seinem Nachfolger und dem Vollender des Systems seinen höchsten, ebenzo grossartigen wie entsetzlichen Ausdruck gefunden hat, ist nie vom Principat gewichen.

łeczeństwo broń i sztylety, któremi wzajemnie szarpać i kaleczyć się miano w obronie cesarza, a pozornie nie z jego rozkazu. — Starożytność rzymska, jak wogóle klasyczna, nie znała instytucji państwowej prokuratorji, która występki i plany przeciw bezpieczeństwu publicznemu i państwu wymierzane odkrywa i śledzi. Co dziś cięży na urzędzie, było atrybucją każdego wolnego obywatela, który ze skargą tego rodzaju publicznie mógł wystąpić. Społeczeństwo więc niejako nad samem sobą czuwać tu miało i siebie samego bronić. Jeżeli za rzeczypospolitej rzymskiej zwycięskie stronnictwo używało często tej broni, aby niepokoić i niszczyć swych przeciwników, to za cesarstwa została z tej instytucji ukutą broń w obronie osoby i interesów cesarza. Delatorzy podjęli rolę szpiegowania każdego głosu, ubliżającego nowym władcom, aby podejrzanych lub ujętych przeprowadzać przed trybunał i sędziów. Osobistości, do tego zadania przydatne, znajdywały się wśród niższych warstw, ale i wśród samej arystokracji, której upadli członkowie ratowali swą nędzę materjalną posługami siepaczy i szpiegów. Bo służba ta obiecywała korzyści z majątków zagrabionych po dotkniętych ofiarach i skarbiła łaski i fawory cesarskie. Jest to okropnością, gdy rządy podniecają złości ludzkie i wyzyskują dla własnych korzyści — powiada gdzieś Ranke. A właśnie klasa delatorów na tem się opierała i temu zawdzięczała istnienie i powodzenie.

Obraza majestatu stała się ich główną strawą i przedmiotem najbaczniejszej uwagi. Pojęcie tej obrazy istniało już za rzeczypospolitej; ktokolwiek wzbudził podejrzenie, że popełnił coś występnego lub zamierza popełnić przeciw wielkości i godności ludu rzymskiego, mógł być na podstawie tego prawa pociągniętym do odpowiedzialności. Teraz reprezentantem ludu jest cesarz i prawo to ma się stać puklerzem i osłoną jego osoby[1]. August jednak skromny z tego zrobił użytek; to-

[1] Por. Schiller: *Geschichte der röm. Kaiserzeit*, I, str. 291.

też cała działalność delatorów i wybujanie procesów o majestat piętnują dopiero panowanie Tyberjusza. Jemu, który swojej osoby nie lubił zbytecznie naprzód wysuwać, odpowiadała ta instytucja w całej pełni. Przez narzędzia podrzędne dosięgało się ludzi znienawidzonych, następnie szedł proces przed sąd senatorski. Osoba cesarska stała tu niby ponad czynnikami działającemi, w rzeczywistości jednak ona była sprężyną podjudzającą donosicieli, dyrektywą dla sędziów. Tyberjusz uważał te procesy za niezbędną ochronę dla siebie i swych rządów. Ciężył on też całą przewagą swej skrytej woli nad Rzymem i wyrodził tę atmosferę duszną, duszącą, moglibyśmy powiedzieć rosyjską, która morzyła ręce i dławiła myśli. Rosyjska ta atmosfera paczy i upadla charaktery, wyjaławia umysły; znać jej skutki w wybrykach służalstwa, w zastoju literatury za Tyberjusza. A winy społeczeństwa w ogromnej części spadają na panującego. Jeżeli delatorzy śledzili myśli i uczucia poddanych, aby je wystawić pod pręgierz, to hasło przychodziło od tej natury skrytej, zamkniętej, o lodowatej powierzchni, która wiecznie między słowami innych dopatrywała się ukrytego jadu i ostrza; im bardziej była rozgoryczoną i zaniepokojoną wewnątrz, tem większe też zaniepokojenie wietrzyła wśród otoczenia. Senat wprawdzie skazywał ofiary i roztoczył te orgje politycznego morderstwa[1], ale senat działał pod grozą złowrogiego zawsze milczenia cesarskiego, pod obuchem strachu o własne osoby. Tyberjusza też niewątpliwie za te sądy senatorskie winić możemy i powinniśmy. Rzucając ofiarę przed senat, zasłaniał on swoją osobę przed sromotą okrutnych wyroków, ale nie zasłoni przed piętnem historji; postępował, jak jego urzędnik, prokurator Judei, który także inną ofiarę odsunął z przed swego sądu i oddał na pastwę ludowi: *tradidit eis illum ut crucifigeretur*. Ale historja nietylko tych innych, lecz jego

[1] Wyrażenie Mommsena w *Staatsrecht*, II, 2, str. 898.

samego postawiła pod pręgierz, a poza spodlonemi karkami senatorów dopatrzyła postaci Tyberjusza.

Dotknęliśmy tu jednej z najciemniejszych stron jego panowania, która z biegiem czasu coraz dłuższe rzucała cienie. Bo to rozpasanie delatorów i wynikające stąd spustoszenia, nie w pierwszych jego rządów pojawiły się czasach, lecz wtedy dopiero, gdy umysł jego, zasępiony tragedjami otoczenia, coraz bardziej ciemniał, aż nabrał przekonania, że »mieszkanie jego jest w pośrodku zdrady«, jak się wyraża Jeremjasz.

4.

Zapowiadał kiedyś Tyberjusz w senacie, że z biegiem czasu i życia zmienić się może, a wszyscy historycy i sama historja głośno temu przyświadcza, że obawy te nie były płonne, a dzieje jego z roku na rok stopniowo się mroczyły. Zarodki tego nosiła w sobie natura, której główne rysy przedstawiliśmy powyżej; stosunki polityczne, oparte na niejasności i fałszach, przyczyniły się do coraz większego spaczenia tej duszy, a wreszcie przyszła najokropniejsza tragedja wśród najbliższego otoczenia.

Pierwsze lata panowania upływają względnie dosyć normalnie. Cesarz pozostaje ciągle w Rzymie, dogląda osobiście wszystkiego, reguluje bardzo sumiennie położenie i losy prowincyj, wykonywa to, co był postawił za program swych rządów, służbę publiczną gorliwie. Ale demon jego wnętrza i demon dziejów nawiązywał zaraz od początku pewne konflikta i rozżarzał pewne nienawiści, które z biegiem czasu i jego i jego rządy wykoleiły.

Historja dworu i rodziny cesarskiej za Tyberjusza przedstawia nam obraz prawdziwie okropny, który chyba równać się może z historjami angielskich dynastyj, skreślonemi ręką Szekspira, z pospolitszemi tragedjami caratu. Tragedja ta

tem bardziej wstrząsająca, iż w pierwszym jej akcie zastajemy człowieka, który zapewne miał różne winy i przywary, ale do okrucieństwa z natury skłonnym nie był, aż powikłania dziejów i zamachy losu nie zepchnęły go do kału krwi, którą skalał i obryzgał ostatnie lata starości.

Samo wstąpienie Tyberjusza na tron nosiło w sobie zatrutą siejbę na przyszłość. Wyniesionym on został na stopnie tronu przez wpływ matki Liwji, za przyczyną kobiety. Ta Liwja była niewątpliwie osobą wysokiego rozumu i niezwykłej ambicji, którą jedynie artyzm Augusta w łagodny a jednak stanowczy sposób trzymać umiał na uwięzi. Innem było położenie wobec syna, który jej tyle, nieomal wszystko zawdzięczał. Naturalnem było, że chciała sobie pozyskać teraz wpływ pewien na rządy, że charakter matki cesarskiej uwydatniała jaskrawiej, niż jej tytuł żony cesarskiej uwydatniać było wolno. Tyberjusza te dążności raziły, obrażały jego dumę cesarską i męską. Strofował on matkę za publiczne wystąpienia, rozgniewał się, gdy raz przy pożarze na forum uznała za stosowne lud i wojsko osobistą interwencją do energicznego zagrzewać ratunku. Stosunek ten nie doszedł nigdy do monstrualności, ale wyrodził się, zatracił naturalne ciepło, a im bardziej matka na swe prawa biła, tem mniej syn folgował tym pragnieniom, a odrzucił stanowczo wniosek senatu, aby wśród tytułów jego nazwa »syna Liwji« znalazła pomieszczenie.

Gorsze jednak jeszcze pociągnął za sobą skutki stosunek do rywalów i pretendentów. Jest to dla wielu rządów źródłem najobfitszem błędów i obłędów, ten ciągły strach, aby nowe słońca nie zgasiły ich świetności; wytwarza to podejrzliwość i nieufność głęboką, może wkońcu doprowadzić do tego, że się w każdej zasłudze widzi ukryte cele i dążności do osobistego wywyższenia. Najpodejrzliwszy z ludzi, Tyberjusz, miał przez całe panowanie do czynienia i walczenia

z tego rodzaju czynnikami. Po części wola Augusta i ostatnie jego rozporządzenia stały się przyczyną tych wszystkich zawikłań i zagmatwań, które Tyberjusza gniotły i sidłami swemi ściągnęły ku przepaści.

Zaraz w progu panowania spełnionem zostało morderstwo polityczne na wnuku Augusta, Agrippie, zwanym Postumus, pogrobowym bracie owych książąt, którzy kiedyś, przed Tyberjuszem, zajmowali najpoczestniejsze na dworze Augusta stanowisko. Ten Agrippa, trzeci syn Agrippy i Julji, odznaczał się od młodu wrodzoną dzikością usposobienia i obyczajów; kiedy dom Augusta opustoszał i cesarz widział się zmuszonym w roku 4 po Chr. adoptować Tyberjusza, nie śmiał on przeciąć wszelkich nadziei następstwa dla prawowitego i jedynego już wnuka swojej krwi i swego rodu. Równocześnie więc z Tyberjuszem adoptował August w onym czasie owego słabe nadzieje budzącego młodzieńca. Orgje Julji ciężyły jednak jakby przekleństwem na jej dzieciach; starsi synowie, Gajusz i Lucjusz, przeszli jak cienie przez życie; ten Agrippa swem nieokrzesaniem i zdziczeniem tak się dał wkrótce Augustowi we znaki, że cesarz wydalił go na samotną wyspę w sąsiedztwie Elby i tamże pod strażą trzymać kazał.

Zaraz po śmierci Augusta zostaje on zabitym. Czy się to stało wskutek ostatnich rozporządzeń Augusta, jak niektórzy twierdzili, czy z rozkazu Liwji, a bez wiedzy samego cesarza, rozsądzić niepodobna. Śmierć ta dosięgła jak piorun wygnanego księcia, który po zgonie Augusta zamierzał może pokusić się o władzę; leżała więc ona w interesie spokoju i rządów Tyberjusza, ale może nie z jego wymierzoną została ramienia, bo jego ramię na takie nagłe zamachy się nie zrywało i wolało raczej długo trzymać miecz nad głową nieprzyjaciela, zanim stanowcze wymierzało razy. Zresztą śmierć ta w niczem nie zakłóciła społeczeństwa, ani historji, której

fal istnienie lub zgon jednego wyrodnego księcia zamącić nie może.

Inaczej i ciężej zaważyło na losach Tyberjusza drugie rozporządzenie Augusta, którem tenże Tyberjuszowi, zaraz po adopcji, bratanka Germanikusa w miejsce syna przybrać kazał. Aktem tym mianowany został następca tronu po Tyberjuszu i to z pominięciem własnego tegoż syna. Germanikus wyszczególnienie swoje zawdzięczał, prócz osobistym talentom, temu mianowicie, że z Augustem węzłami krwi bliżej był związany, niż Tyberjusz i jego potomek. Rodził się on bowiem z siostrzenicy Augusta, Antonji, pojął zaś za żonę Agrippinę, córkę Julji i wnuczkę Augusta. Po przerwie więc, wytworzonej rządami Tyberjusza, miał tron znów powrócić do spadkobierców, w których płynęła krew Juljuszów. Dla Tyberjusza z pewnością te zarządzenia były przykremi, odejmowały mu możność przekazania tronu synowi, a wśród społeczeństwa budziły pewne antypatje Juljuszowskich legitymistów przeciw jego osobie. Postanowił on jednak przyjąć i uszanować wolę Augusta, choćby mu była niewygodną, choćby go narażała na rozmaite niebezpieczeństwa i trudności. — Ten Germanikus jest typem skończonym następcy tronu. Piękny on i znajduje się w całym rozkwicie młodocianej dzielności[1], umysł ma bogato uposażony, który i na polu poezji z dobrem powodzeniem sił swoich próbuje, odznacza się przytem pewną poezją, jakimś, rzecby można, romantycznym nastrojem w duszy i życiu, który większym jeszcze urokiem otacza jego osobę. Wśród wypraw swoich germańskich zwiedza on z wojskiem pobojowisko, na którem w roku 9-tym po Chrystusie Rzymianie straszną ponieśli klęskę, oddaje cześć poległym za ojczyznę, roni łzy nad ich nieszczęściem; następnie, gdy Tyberjusz zaprzągł go do uporządkowania stosunków na Wscho-

[1] Prześliczne jego wyobrażenie w pełnej zbroi na wielkiej paryskiej kamei, zob. u Baumeistra: *Denkmäler*, III, 1709.

dzie, znajduje wśród tego czas na podróże, połączone z wielkim interesem dla przeszłości. Historyczne wspomnienia i dawne cywilizacje przemawiają do czułej jego duszy, ma on dla nich miłość i *lacrimae rerum*. Zwiedza plac boju pod Akcjum, w Atenach składa hołd hellenizmowi, jedzie do Troi, uwieńcza zaś to wszystko podróż egipska, wśród której Nil, ruiny tebańskie, piramidy, budzą jego interes i podziw. Podczas tych wycieczek występuje bez wszelkiej pompy, ubiera się jak zwykły Grek, rozpuszcza swoje wojskowe otoczenie. Szczególna przystępność i swoboda w obejściu odróżnia go od Tyberjusza i jedna mu serca; ma jeszcze aureolę po ojcu Druzusie, opromienionym wczesną śmiercią, która dla wielu książąt bywa lepszym od życia zadatkiem nieśmiertelności i błogiej wśród ludu pamięci.

Obok niego stoi żona Agrippina, wnuczka Augusta, córka Agrippy i Julji. Znamy ją z przepysznej siedzącej statuy Kapitolińskiego Muzeum, która tak wspaniale uwydatnia majestat niewiasty, godność Rzymianki i prawdziwą poezję w fałdach rzymskiego stroju przed nami rozwija. Po matce swojej, rozpustnej Julji, odziedziczyła ona wielką dumę i żywość temperamentu. Zresztą różna od niej zupełnie, jest kobietą nieskazitelnych obyczajów, przedstawia prawdziwy ideał żony, dzieli z mężem wszelkie udręczenia i trudy obozowe. Widzimy ją, gdy w Germanji wobec zbuntowanych legjonów z synem na ręku mimowoli się oddala, ulegając naleganiom męża i otoczenia; spostrzegamy ją pod Xanten, kiedy, stojąc na moście zbudowanym na Renie, dziękuje zwycięskim męża legjonom, podtrzymuje i pociesza znużonych i rannych. Wśród tego wszystkiego obdarza męża licznem potomstwem, z którego dumną jest jak Niobe, nie przeczuwając jeszcze, że kiedyś losy i w nieszczęściu z Niobą ją zrównają.

Przy wstąpieniu Tyberjusza na tron znajduje się Germanikus w Germanji na czele rzymskich legjonów. Zaraz w roku 14 wybucha tam bunt żołnierzy, którzy przy zmianie

rządów żądają polepszenia swego losu; Germanikus opiera się pokusie, która zajrzała mu w oczy, aby przez wojsko dać się ogłosić cesarzem, poskramia buntowników i w następnych latach wszczyna walki w wolnej Germanji, po prawym brzegu Renu, walki, które niezbyt wiele chwały, a bardzo mało korzyści przyniosły. Ponieważ nie mogło się to dziać bez przyzwolenia cesarza, przypuścić się godzi, że Tyberjusz, który za zasadę swych rządów postawił, iż państwa przez nowe zdobycze rozszerzać nie należy, odstąpił wyjątkowo od swego programu. Próba ta jednak okazała się marnym i próżnym wysiłkiem, bo zadania wojenne w Germanji przenosiły siły dowódcy i wojsk rzymskich. Może być, że triumfy Germanikusa, o których na ulicach Rzymu przesadnie mówiono, raziły Tyberjusza, przypuścić jednak raczej należy, że względy rzeczowe, bezowocność tej walki, która do strasznych zawikłań doprowadzić mogła, skłoniły cesarza do odwołania Germanikusa z Niemiec[1]. Wraca on w r. 17 do Rzymu, aby niebawem na inną misję wyruszyć w celu porządkowania spraw Wschodu. Znalazł się tam niebawem świeżo mianowany namiestnik prowincji Syrji, Pizo, człowiek o samodzielnem i twardem usposobieniu, który Germanikusowi łatwo się mógł narazić. Podejrzywano, że wybór Tyberjusza padł rozmyślnie na jego osobę, aby samowolnym krokom Germanikusa stawiał zapory. Między księciem a urzędnikiem przyszło też niebawem do przykrych starć i konfliktów. Podróże Germanikusa drażniły też cesarza, bo jego natura takich romantycznych porywów nie rozumiała, a od podwładnych żądała ścisłego pilnowania powierzonego im zakresu działania. Ludzie, których Germanikus zdobył swoją osobistością, czarował swym wdziękiem i rozumem, sarkali już w Rzymie, kiedy go cesarz odwołał z pola chwały i walki germańskiej; dopatrywali się w tem aktu zawiści i wyniku niskich pobudek. Jakież więc otwarło się

[1] Por. Ihne, l. c. str. 22.

pole domysłów, podejrzeń i czarnych pogłosek, gdy nagle w roku 19 rozeszła się wieść, że pełen nadziei młodzieniec w Antjochji rozstał się z tym światem! Wiedziano w Rzymie, że stosunek Germanikusa z nasłanym przez cesarza Pizonem stawał się nieznośnym; czyż więc nie samo przez się nasuwało się przypuszczenie, że Pizo stał się uczestnikiem jakiegoś tajnego morderstwa, że był przytem narzędziem cesarskiej woli? [1]

Wierzyć w to wszystko niepodobna. Niewątpliwie zrządzenie losu zdawało się schodzić z ukrytem życzeniem cesarza, ale wiedzieć on musiał dobrze, że śmierć ta nie usunie trudności, że aureola sławy i miłości przejdzie na Germanikusa potomków, a byłaby tem niebezpieczniejszą, gdyby do tego się przyłączyć miała aureola męczeństwa. Morderstwo Germanikusa byłoby ze strony Tyberjusza więcej niż zbrodnią, byłoby błędem politycznym.

Agrippina wiedziała zapewne dobrze, jak się rzeczy po prawdzie miały. Ale do Tyberjusza musiała mieć ta gwałtowna natura wrodzoną odrazę, podszytą jeszcze dumą Juljuszów względem cesarskiego parwenjusza, pogardą odziedziczoną po matce. To, że rozporządzenia cesarskie ostatnie lata mężowi zasępiły, że nacierpiał się dużo ze strony Pizona, musiało wielkie zapasy goryczy nagromadzić w jej sercu. Spodziewać się też można było, że ten stosunek nigdy już się nie rozjaśni, że Agrippina zapisze się odtąd w duszy Tyberjusza osobnemi, czarnemi głoskami.

Magistralnym opisem powrotu Agrippiny do Italji otwiera się trzecia księga Tacytowskich roczników. W Brundisium zbiegły się wielkie masy ludu na jej przybycie. Całe brzegi morskie, wszystkie mury i dachy pokryły się rojowiskiem,

[1] Por. o tem wszystkiem rozprawy Liebenam'a w *Jahrbücher für Philologie*, 1891, str. 717, 793, 865 *(Zur Tradition über Germanicus)*; dowodzi on, że tradycja o zasadniczej nieprzyjaźni między Tyberjuszem i Germanikusem jest legendą. — Por. dziś także Wilamowitz'a w Sitzber. der. Berl. Akad. 1911.

wśród którego słyszano częste pytania, czy wracającą wdowę milczeniem czy okrzykami przyjąć wypada. Wychodzi ona z okrętu w towarzystwie dzieci, z popiołami męża na ręku i ze spuszczonemi oczyma przechodzi wśród tłumów, które ją otaczają. Ma w sobie coś Elektry i jakąś grozę Szekspirowskich duchów; myślą zatopiona w tych popiołach, które mają natchnąć obrońców i mścicieli.

Pogrzeb w Rzymie zamienił się w wielką manifestację dla Germanikusa pamięci i rodziny. Tyberjusz na pogrzebie tym nie był. Tacyt dodaje uwagę [1], że może dlatego, aby nie ukazać swej ukrytej radości z tego, co zaszło. Ale tu historyk stanowczo rozmija się z prawdą i konsekwencją. Dla aktora i symulatora, za jakiego go Tacyt uważa, nie byłoby z pewnością trudnem zadaniem przybrać pozory udanej żałoby. Powody Tyberjusza były inne. Raziły go te głośne objawy i lamentacje, bo na ich dnie, prócz rzeczywistej żałoby, przeczuwał ostrze przeciw sobie wymierzone; wiedział, że szerzono podejrzenie morderstwa i zwalano winę na niego. Wolał więc nie mieszać się w chwili takiego podniecenia uczuć z tłumem i przetrawić tę nową gorycz w zamknięciu. Wtedy to, na uśmierzenie niejako zbyt gwałtownych objawów żałoby, przypomniał senatowi, że książęta są śmiertelni, republika nieśmiertelna.

A ta śmiertelność książąt miała go niebawem dotknąć i zranić głęboko. Po zgonie Germanikusa naturalnym i prawowitym następcą tronu stał się syn Tyberjusza z pierwszego jego małżeństwa z Wipsanją, Druzus. Ku niemu też stanowczo zwróciły się myśli i nadzieje cesarza. Życiem dość nieporządnem nie uprawniał on wprawdzie do wielkich nadziei, ale wysłużył się już był państwu dowództwem wojskowem, a wreszcie był synem cesarza i dlatego bliższym jego sercu, niż zmarły Germanikus. Jednak w szeregu władców, którzy za-

[1] *Ann.*, III, 3.

czynają epokę cesarstwa, nie było ani jednemu danem przekazać tron własnemu potomkowi. Wyjątku dla Tyberjusza los nie dozwolił. W roku 23 zapada Druzus na gwałtowną chorobę, która go w dni kilka zmiata z tego świata.

Przekonano się później, że było w tem ramię człowieka, który jak nikt na ostatnich latach Tyberjusza zaciężył, uwikłał go w prawdziwe sidła swego demonicznego ducha i wpływu. — Zatrzęsły się węgły jego domu, a wszyscy historycy datują od tego czasu stanowczą zmianę na gorsze w rządach Tyberjusza. Życie mu poskąpiło słodyczy domowego szczęścia i w małżeństwie i w ojcostwie, stał zupełnie osamotniony, bez wspomnień pocieszających z przeszłości, z goryczą i nieufnością do dnia dzisiejszego; teraz z utratą syna przyszłość przysłoniła się czarną oponą. Na tle tem ponurem zarysowuje się teraz coraz wybitniej postać człowieka, który do tej zamkniętej duszy umiał trafić, znalazł klucz do jej wnętrza, a wielkie to swoje zwycięstwo wyzyskać postanowił dla swoich ambitnych planów i korzyści.

Aelius Seianus został prefektem pretorjanów, czyli gwardji, zaraz z początku panowania Tyberjusza, a przez to, że całą gwardję ściągnął do jednego obozu w stolicy, wzmocnił to stanowisko ogromnie, zapewnił tym wojskom znaczenie, które wpłynęło później tak dobitnie na losy cesarstwa, a tylokrotnie zaważyło na losach pojedynczych cesarzów. Wpływ więc tej osobistości rzucił swe cienie w późniejsze wieki, choć myśl jego pracowała usilnie dla bliższych czasów i celów, wybujała o tyle poza Tyberjusza, o ile ambicja osobista ponad głowę cesarką sięgała zamiarami i dumą. Był to człowiek nadzwyczajnie uposażony od natury; ciało, wytrzymałe na wszystkie trudy i mozoły, rozpierały myśli pełne śmiałości i energji, energji, która skokami, nie stopniami zmierzała do czynu, a nie znajdowała zapory w żadnych niepokojach sumienia, ani względach moralności. Jak przeszkody wszelkie łamał w zwycięskim swym pochodzie, tak ludzi umiał sobie

zdobywać według potrzeby stanowczo. Demonicznym swym wzrokiem zyskiwał kobiety, mężczyzn trzymał na wodzy przewagą swego ducha i bezwzględnością swych środków, tak, że wkrótce Rzym cały miał u stóp swoich, które też kroczyły coraz śmielej i wyżej. Ale największem jego zwycięstwem i triumfem było zupełne opanowanie cesarza.

Wpoił on w Tyberjusza niezłomną wiarę, że jest najoddańszym ze sług jego, że tylko jego cele i bezpieczeństwo ma na oku i myśli, a ten zamknięty dla ludzkości człowiek uległ tak dalece jego czarowi i demonicznym wpływom, że uchylał przed nim i przed nim jedynie zasłonę, zakrywającą tajniki duszy przed światem. On, który stał wiecznie na straży przed własnemi uczuciami, nazywał Sejanusa w rozmowach i mowach towarzyszem swych trudów, w odezwach do Senatu wyrazy »mój Sejanus« wciskały mu się pod pióro [1], zwykła zawiść i podejrzliwość zniknęły zupełnie wobec przewagi tej osobistości.

Dziwnem i tajemniczem jest to zjawiskiem, jak tyle objawów w życiu Tyberjusza. Tacyt aż w gniewie bogów na Rzym szuka wytłumaczenia zagadki. Mybyśmy raczej myśleć mogli o pewnych szatańskich czynnikach w duszy Sejanusa, ale wolimy duszą Tyberjusza rzecz tłumaczyć. Mimo ciągłego i stanowczego tłumienia i zwalczania wszelkich uczuć i porywów, musiała tam na dnie drzemać jakaś potrzeba przyjaźni, której nigdy zadość się nie stało naprawdę, brak wszelkiego ciepła i podpory w życiu wybuchał od czasu do czasu namiętnem pragnieniem człowieka, w którym starzejący się cesarz znalazłby jakieś oparcie i pomoc. Skoro raz okoliczność po temu się nadarzyła, chwycił się jej Tyberjusz prawdziwie namiętnie, chorobliwie. Natury zamknięte, które zasobu swych uczuć nie wydają zupełnie, nie roztrwaniają go w codziennej, zdawkowej monecie, nie znają później, gdy dusza ich się otwo-

[1] Cassius Dio, 58, 4.

rzy, granic w ofierze, znają tylko całopalenie. Jest w tym stosunku Tyberjusza do Sejanusa rzeczywiście coś demonicznego, co go do zapisania duszy szatańskim podmuchom czyni podobnym; prócz czaru osobistego może język gwiazd do cesarza przemówił, aby mu się tak zaprzedać. A raz się mu oddawszy, związał się on z tym człowiekiem i z tajemnicą swoją, którą tamten jedynie mu wydarł i posiadł.

Wywyższył go Tyberjusz »i wystawił stolicę jego nadewszystkie książęta, które miał«, jak mówi księga Ester o Amanie, który na dworze perskiego Ahaswerusa równie niezwyczajne osiągnął stanowisko i w podobny sposób zeń runął. Pochodził Sejanus z prowincji i z rycerskiego, nie z senatorskiego rodu; żadne więc węzły przyjaźni nie łączyły go z właściwą arystokracją, żadne węzły uczucia z dawną republiką. Mógł tedy w nim mieć Tyberjusz wygodne i doskonałe narzędzie przeciw senatowi [1]. Postawił się on odrazu przy osobie cesarskiej, a zdala od innych stronnictw i osobistości dworu; Tyberjusz więc spodziewał się, że on go ochroni od wszelkich intryg i pragnień na zgubę jego obrachowanych. Przytem liczył na to, że mądrość i stanowczość Sejanusa potrafi okiełznać gwałtowną naturę syna Druzusa, że wierny doradca ojca stanie się kiedyś dla syna podporą tronu i rządów. Wszystko to mogłoby było nastąpić, gdyby Sejanus był zechciał się ograniczyć do roli narzędzia w służbie cesarskiej. Ale człowiek ten miał inne, dalekonośne, osobiste ambicje. Kiedy ścigał wrogów rzekomych cesarza, robił on miejsce dla siebie, siał spustoszenia, aby na nich się podnieść, a tylko to go zasłaniało przed podejrzliwością Tyberjusza, że tenże widział w tych samych osobach, które były zaporami dla jego ministra, niebezpieczeństwo dla siebie, że narazie rozpoznać nie było można, czy Sejanus, godząc w swe ofiary, składa

[1] Por. Fritz Abraham: *Tiberius und Seianus.* Berlin, 1888, strona 15.

ofiary cesarzowi czy sobie. W rzeczywistości jednak role się odwróciły i cesarz stał się narzędziem w ręku swego potężnego ministra.

Od roku 23 zaczyna się ta krwawa, szatańska robota, prawdziwe żniwo zniszczenia, robiące spustoszenie grobowe, wśród którego snuje się zestarzała postać Tyberjusza, oślepiona czarem, zapatrzona w demoniczne oczy swego ministra-siepacza.

Mówiliśmy o śmierci następcy tronu, Druzusa. Gwałtowna ta natura nie umiała się pogodzić z przeważną osobistością Sejana; przyszło między nimi do starć namiętnych, przyczem raz wszechwładny dowódca gwardji policzkiem został zelżony. Przewidział on dobrze, że obok tego księcia stanowisko jego będzie trudnem, że Druzus na tronie odepchnąłby go kiedyś z odrazą. Postanawia go więc zgładzić, a z pomocą w otruciu przybywa mu tu własna żona następcy tronu, Liwilla, którą Sejanus oczarował, której obiecał małżeństwo i wcześniejsze dostąpienie tronu i panowania. Druzus ginie z ramienia tej okropnej spółki, a dla cesarza pozostaje tajemnicą na czas dłuższy, że człowiek, któremu zupełnie zawierzył, jest mordercą jedynego jego syna.

Drogi dalsze przez to jeszcze utorowane nie były. Tyberjusz, zraniony do żywego w swych ojcowskich uczuciach, nie chciał zrywać odrazu z tradycjami dynastji, z życzeniami Augusta. Toteż rzuca on teraz oczy na synów Germanikusa i Agrippiny i zaleca tych młodzieńców senatowi na następstwo po sobie. Wybór ten nastąpił w imię tej samej racji państwa, która kiedyś zniewoliła Augusta do adopcji Tyberjusza, tylko, że w tym razie akt ten więcej kosztować musiał panującego, tak zrażonego do Agrippiny, która go przecież nienawidziła.

Stosunki na dworze cesarskim, i tak duszne i mroźne, stają się teraz jeszcze nieznośniejszemi. Obok cesarza bezżennego żyją tu przedewszystkiem cztery wdowy z krwi ksią-

żęcej, a każda nieomal ma swoje osobiste plany i widoki, pewne niezadowolone aspiracje i pewne żale wobec cesarza [1]. Najspokojniejsza z nich Antonja, bratowa cesarza, szanująca swoje wdowieństwo, najwięcej jest uległością i uczuciem do Tyberjusza zbliżona. Żyje prócz tego jeszcze matka cesarza, Liwja, która nawet w starości wpływ zachowała, a wszelkie ukrócanie tego wpływu znosiła z szemraniem. Trzecią jest owa Liwilla, która przez Sejanusa dała się popchnąć do mężobójstwa, a marzyła o panowaniu ze wspólnikiem swej zbrodni. Góruje jednak nad wszystkiemi postać i osobistość namiętnej wdowy po Germanikusie, dla której synów otworzyły się teraz nowe i świetne widoki.

Szczególnej było potrzeba miary i wyjątkowego taktu, aby wśród tych wszystkich drażliwości, kobiecych swarów i gwarów utrzymać równowagę, na której równowaga państwa polegała. Ale Tyberjusz, milczący, uporczywie zimny i tem zamknięciem swojem kobiety szczególnie drażniący, nie miał warunków po temu. A za nim i nad nim stał Sejanus, który postanowił teraz wszelkiemi środkami drugich z rzędu następców tronu zgubić i zniszczyć, podżegał wszelkie podejrzliwości, donosił o wszelkich familji Agrippiny uchybieniach, oczy swe w nią zatopił jak sztylety. Zadanie nie było tak ciężkie. Stosunek Tyberjusza do Agrippiny stawał się z dniem każdym trudniejszym. Upatrywała ona ciągle w cesarzu dążność, aby ją krzywdzić i upokarzać; doszło do tego, że przy stole cesarskim zachowywała głuche milczenie i z ostentacją odpychała wszelkie potrawy, niby z obawy, aby jej cesarz nie otruł. Tyberjusz, spostrzegłszy to, powiedział do matki Liwji, że dziwnemby nie było, gdyby surowiej postępował względem kobiety, która go o zdolność morderstwa podejrzywa.

Maestae urbis res, ciężka chmura wisiała nad Rzymem, powiada o tej chwili Tacyt. A w tych okolicznościach

---

[1] Schiller: *Geschichte der röm. Kaiserzeit*, I, 296.

dojrzała myśl Tyberjusza, aby się usunąć od trudności, których na miejscu pokonać, ani usunąć nie zdołał. W człowieku, który kiedyś siedm lat w samotności przepędził, budzi się po dwunastu latach nużącej walki z rządami i ludźmi gwałtowne znów pragnienie odosobnienia, rozstania się z tą stolicą, w której oczy ludzi badały jego wnętrze i myśli, języki pokątnie szarpały go i raniły, a ramiona na życie czyhać się zdawały. Co było ostatecznym powodem, że cesarz w roku 26-tym z Rzymu wyjechał, nie wiemy. Niektórzy historycy mówią, że starcia ze starą matką i chęć usunięcia się z pod jej pretensyj i wpływów do tego go skłoniły [1], inni uważają za powód bojaźń o życie, tylu nieprzyjaznemi żywiołami otoczone; inni wreszcie nadmieniają, że cesarz chciał twarz swą grzybiejącą i owrzodziałą usunąć z przed oczu stolicy. — Błahą się ta uwaga wydawać musi. Inne wrzody, wewnętrzne, toczyły tę duszę oddawna, mierziły jej otoczenie i ludzi. Najskrytszemu z śmiertelników musiało być torturą to stanowisko, ciągle na sztych i widok publiczny go wystawiające. Za dużo jednak miał siły i dumy, aby je zupełnie porzucić; postanawia więc się oddalić i z oddali przez pisma i pośredników kierować nawą państwa, a w danym razie karać i gromić ludzi z tajnej swej kuźni piorunów, które także nie odsłaniają gniewnego Jowisza oblicza.

Nie leżało to w duchu ustroju, nadanego państwu przez Augusta [2]. Cesarz miał z senatem wspólnie rządzić, swoją obecnością wpływać na jego postanowienia, miarkować zakusy oporu. Teraz się to wszystko zmienia; ale pozostaje w Rzymie ktoś inny, w którego interesie oddalenie się cesarza leżeć musiało. Sejanus rzeczywiście stać się musiał teraz zastępcą panującego i właściwym władzy organem, a mógł przytem

---

[1] Mianowicie: Cassius Dio 57, 12.

[2] Hirschfeld: *Röm. Verwaltungsgeschichte*, str. 286.

śmielej i swobodniej własne kuć zamysły i bardziej stanowczo do wytkniętych podążać celów.

Uwiózł Tyberjusz swoją gorycz i swoją tajemnicę naprzód nad zatokę Neapolitańską, następnie na wyspę Capri, do miejsc, o których Cycero mówił, że się szczególnie nadają do pocieszania strapionych i nieszczęśliwych. Na wyspie Capri obrał sobie ostateczne mieszkanie, bo mu się ona dostatecznie odludną i odosobnioną wydała [1]. Jedenaście lat ostatnich panowania swego przebył tu cesarz, do Rzymu już ani razu nie wrócił. Lat więc ośmnaście życia, jeżeli pobyt rodyjski wliczymy, spędził na wyspach, szczegół bardzo charakterystyczny dla człowieka, którego ląd stały zdawał się palić pod stopami. — Wyprzedza on niejako ruch i skłonność, która niebawem wśród ludzkości chorej zakorzenić się miała, uciekania na pustynie; tylko że ci późniejsi pustelnicy chowali się nietylko przed ludźmi, lecz i przed samym sobą, zapierali się własnej osoby, swych namiętności i upodobań, aby lekarstwa i spokoju szukać w *beata solitudo* i znajdować w Bogu. Tyberjusz takich uczuć, ani lekarstw znać nie mógł; słowo o oblekaniu się w nowego człowieka nie doszło jego uszu, uciekł przed ludźmi, ale został z samym sobą, ze swemi trawiącemi goryczami i myślami, aby się stało, co pisał Apostoł narodów do Rzymian: *evanuerunt in cogitationibus suis*, znikczemnieli w myślach swoich i zaćmione jest bezrozumne serce ich.

Dzisiaj to śliczne i urocze Capri, pełne poezji i miękkiego uciszenia, nasiąknięte jest jeszcze wspomnieniami i podaniami o dawnym rzymskim cesarzu; przysłoniły one jakby czarną tkanką jasne i połyskujące w słońcu skaliste wyspy wybrzeża. Wieki tu spełniły swoją robotę, a zaczęła ją tajem-

[1] Zresztą już August ukochał to ustronie. Por. Iginio Gentile: *L'imperatore Tiberio*. Milano, 1887, str. 58.

nica i oddalenie we współczesnych czasach, otaczając osobę cesarza całą przędzą legendy ponurej i ciemnej.

Wiemy z pewnością, że wyruszył na wyspę w bardzo małem otoczeniu. Dla spraw publicznych miewał Sejanusa i zabrał prawnika Nerwę, dla rozmów codziennych kilku greckich literatów, którzy swemi wywodami mieli mu myśl skołataną rozrywać. Bo Tyberjusz, który w swych występach publicznych zapamiętałym był purystą i nocami przemyśliwał, jakby utarty wyraz grecki czysto łacińskim zastąpić [1], w codziennem życiu chętnie się mową grecką posługiwał, lgnął mianowicie do greckiej nauki i późno-greckich subtelności. Jakie też to były rozmowy, stąd domyślić się można, że cesarz na nie się przygotowywał, że na ucztę przynosił przedmioty obmyślane w domu, jak każda przygotowana rozmowa, zwietrzałe i blade. Do rozmowy z gwiazdami, której teraz na Capri więcej z pewnością niż kiedykolwiek się oddał [2], towarzyszył mu wierny jego i dawny towarzysz, matematyk Thrasyllus.

Tymczasem na ulicach Rzymu najdziwaczniejsze wieści obiegały o życiu pustelnika na Capri, a pogłoski te, bo inaczej nazwać ich nie możemy, znalazły w części głos w historycznych dziełach. Opowiadano sobie o strasznem wyuzdaniu i rozpuście, o zapijaniu się starego cesarza; zdawaćby się mogło, że ten człowiek, który tak mało życia użył i życiem się nacieszył, postanowił teraz wchłonąć w ciebie całe kały zmysłowych rozkoszy; mówiono o wyrafinowanem okrucieństwie, z którem się miał pastwić nad ofiarami swego gniewu. Bardzo to wszystko podejrzanem nam się wydaje, a w każdym razie przesadnem. Tyberjusz, upuszczając Rzym, miał

---

[1] Cassius Dio, 57, 15 i 17.

[2] Na starość skarżył się cesarz i na tę sztukę, która według niego obdarzała człowieka tylko przedwczesną świadomością złego, które grozi. Por. Josephus: *Antiq. iudaicae*, XVIII, c. 6.

lat 68, a wiek ten mówi sam za siebie; był twardym i cierpiał na stopniowy zanik moralny serca, ale od tego do pasienia oczu męczarniami drugich jeszcze daleko. Niewątpliwie tworzy ten pobyt na Capri ostatni akt tragedji jego życia i kończy się krwawo i okropnie, ale większa część historyków nie jest na wysokości całej grozy tego dramatu, opowiada nam o trzaskach tam, gdzie pioruny wstrząsały duszą imperatora i węgłami jego domu.

Sejanus, po odjeździe cesarza przebywający jużto na Capri, już w Rzymie, prowadził dalej swoje podziemne i podjazdowe roboty, zmierzające do zniszczenia Agrippiny i jej synów. Póki jeszcze żyła stara cesarzowa Liwja, trzymała ona, jak się zdaje, zasłaniające swe ramię nad temi głowami. Ale w roku 29 Liwja w podeszłych latach umarła. Zerwał się niejako ostatni węzeł łączący Tyberjusza z Augustem, a według historyków przerwały się zapory, które złe instynkta cesarza trzymały na uwięzi. Faktem jest, że bezpośrednio po Liwji pogrzebie nadeszły z Capri rozkazy nawoływujące od gróźb do czynów.

Do senatu przesłał Tyberjusz gwałtowne, oskarżające pismo na Agrippinę i jej syna Nerona, zarzucające pierwszej dumę i oporność, drugiemu nieporządki w życiu, żądające sądu i wyroku [1]. Mimo pewnego osłupienia i głośnych manifestacyj ludowych, senat uległ woli cesarza i zawyrokował, że oskarżeni stali się winnymi zdrady stanu. Agrippina i jej syn starszy, Nero, właściwy następca tronu, muszą iść na wygnanie, drugi syn zostaje wkrótce potem w Rzymie wtrąconym do więzienia. Sejanusa plany pożądanym więc wieńczyły się skutkiem i druga próba Tyberjusza zapewnienia następstwa po sobie poszła znowu na marne.

Stary Tyberjusz został się sam na sam ze swoim ministrem, w zupełnej niepewności o dalsze losy państwa. Seja-

[1] Tacyt: *Ann.*, V, 3.

nus mógł być już pewnym, że jakakolwiek kombinacja zostałaby ułożoną, on w niej otrzyma stanowisko przeważne wspólnika nowych rządów. Tyberjusz też odznaczał go teraz na wszelki sposób, urzędami i tytułami równał prawie ze sobą, nie znał prawie granic w szczodrobliwości i łaskach. Czy Sejanus w szale i oszołomieniu swoją wielkością chciał bieg rzeczy przyspieszyć, czy zaczął zamyślać o usunięciu Tyberjusza lub o jakimś zamachu stanu na przyszłość, aby sobie zapewnić wyłączne następstwo, tego dokładnie nie wiemy; to tylko pewna, że stojąc u szczytu władzy zaczął on kuć jakieś plany bez wiedzy i woli Tyberjusza i że to go ostatecznie powaliło o ziemię [1].

Na Capri, gdzie Tyberjusz ledwie czego się mógł domyślać, przybył naraz ustny posłaniec od bratowej Antonji, odsłaniający całą prawdę i stan rzeczy w stolicy. Straszny to przewrót musiało wywołać w starym cesarzu. Jednemu jedynemu człowiekowi zawierzył i ten jeden zdradził go, nie okazał się godnym jego zaufania! Można było do niego powiedzieć, jak do Mickiewiczowskiego Tukaja:

Ty nie masz ufności w nikim,
Wartoż dłużej świat oglądać?

a on jak Szekspirowski Ryszard powtarzał zapewne:

Nie kocha mnie żadne stworzenie,
Gdy umrę, w żadnej duszy nie znajdę litości.

Pogarda dla ludzi, do której i tak był skłonnym, jeszcze głębsze odtąd korzenie puściła w jego wnętrzu. Postanowił krzywdę swą pomścić, ale obrał znów drogę ukośną, jak jego wzrok i dusza, drogę iście Tyberjuszowską [2]. Potajemnie mia-

---

[1] Doniosłość planów Sejanusa nie jest dostatecznie znaną. Przygotowywał on, jak się zdaje, zamach stanu. Por. Ihne, l. c. str. 178.

[2] Cały upadek Sejanusa wspaniale jest opisany u Diona, 58, 10 i następne.

nuje Sertorjusza Warrona przywódcą gwardji w miejsce Sejana, jemu każe wojsko około siebie zebrać, śle równocześnie pismo na posiedzenie senatu, na które i Sejanus nieświadomy niczego, a nowych spodziewający się zaszczytów, przybywa. Wygląda to raczej na zasadzkę, niż na wymiar sprawiedliwości ze strony władzy. Senatorowie skupiają się około wszechwładnego ministra z hołdami i czołobitnością, kiedy konsul przystępuje do odczytania pisma cesarskiego. Jest ono długie, z początku zawiera rzeczy obojętne, potem ku ogólnemu osłupieniu zaczynają się nagany i niepochlebne zwroty dla Sejana. Zdumieni senatorowie powstają z miejsc i opuszczają siedzenia w bliskości ofiary, podczas gdy Sejanus siedzi na miejscu nieruchomy, nie wiedząc jeszcze, dokąd to wszystko zmierza i dąży. Wokoło niego dają się już słyszeć długo tłumione urągania i przekleństwa; wreszcie stawia konsul wniosek o uwięzienie, a tego samego dnia zapada wyrok śmierci w senacie i następuje egzekucja. Ten, który rano 18 października 31 r. obudził się w pełni władzy i potęgi, leżał wieczorem jako trup na schodach Gemońskich, lżony i oplwany przez pospólstwo.

Takiego upadku drugiego historja prawie nie zna; jedynie Tyberjusz umiał w takie osłupienia świat wprawiać, on, który według Tacyta był *lentus in meditando*, powolnym w obmyślaniu planów, lecz gdy raz wybuchnął, z ponuremi słowy straszne czyny łączył. Moglibyśmy chyba tu wspomnieć powieszenie Amana, powalenie Franciszka Carmagnoli w Wenecji, a wreszcie tragedję duńską ośmnastego wieku, upadek wszechwładnego ministra Struensee, którego losy i w wywyższeniu i w upadku z Sejanem zrównały.

Po śmierci tej nastąpił epilog życia cesarskiego, pełen krwi i rozdarcia. Na świeżą ranę padła najzjadliwsza trucizna ze strony żony Sejana. Ona to, widząc katastrofę domu, przesłała cesarzowi pismo, zdradzające tajemnicę zgonu syna jego, następcy tronu, Druzusa. A więc teraz dopiero dowiedział się

Tyberjusz, że przez lat ośm codzień obcował z mordercą swego dziecka, jego wywyższał i obdarzał bezgranicznem swem zaufaniem.

Następuje miotanie, zbliżone chwilami do obłędu, do stanu zranionego zwierza. Zaczyna się od licznych procesów i śmierci przyjaciół i stronników upadłego ministra [1]. To samo ostrze delacji, którem Sejanus szarpał senatorów, zwraca się teraz przeciw jego poplecznikom. Do samotnego Tyberjusza na Capri dochodzą tylko sprawozdania z dzieła krwi i zniszczenia. Bo mimo okropnego stanu duszy, ma on jeszcze do tyla energji, aby obowiązki państwa nadal pełnić, z senatem się znosić, przesyłać rozkazy. Ale rozdarcie wewnętrzne wyrzuca go jednak niekiedy z równowagi pozornej; rozstrój straszliwy przerywa zimną i lodowatą powłokę ciała i powłokę jego myśli. Wtedy to pewien list, wystosowany do senatu zaczynał się od wyrazów, z których jęki i rozpacz doniosłą dotychczas można wysłyszeć. »Co mam wam pisać, ojcowie, »i jak mam pisać, lub o czem wogóle nie pisać w tych oko»licznościach, niechajby mnie bogowie i boginie gorzej zmar»nowali, niż codziennie marnienie me czuję, jeślibym to wie»dział«. Świeże ciosy i rany otwarły więc tak na chwilę przed ludźmi zamknięte to wnętrze i dopuściły oko ludzkie do tego czarnego zbiorowiska zadawnionych i nowych cierpień, które rozpierały tę duszę. W nadmiarze boleści odnosił się cesarz przed światem głosem skargi, która swą grozą przypomina Jeremjaszowe pytanie: »jeśli jest boleść, jako boleść moja«.

Zemsta idzie naoślep, dosięga świeżych winowajców i tych, którzy niczem z Sejanem nie związani, podrażnili dawniej

---

[1] Sievers w *Studien zur Geschichte der römischen Kaiser.* str. 93, usiłował złagodzić czarność obrazu tych czasów. Po odliczeniu przesad u autorów zostanie jednak dosyć szczegółów, ciążących swą okropnością na tym schyłku panowania.

cesarza. Starszy syn Agrippiny, Nero, umarł był w roku 31, niewiedzieć jaką śmiercią. Ginie teraz na wygnaniu Agrippina i jej syn młodszy uwięziony, Druzus, śmiercią głodową; śmierć ta, wywołana ogólnym gniewem Tyberjusza na ludzkość, który go opanowuje w ostatnich tych latach. Po zgonie Druzusa, każe Tyberjusz zapiski jego stróżów i siepaczy odczytać w senacie, zapiski przedstawiające szczegółowo zadane mu męczarnie, — ale i przekleństwa, które zrozpaczony młodzieniec miotał na cesarza. Co nad ludźmi ciężyło, najlepszym tego dowodem samobójstwo doradcy cesarza, jurysty Nerwy, który mimo próśb i zaklęć Tyberjusza, życie sobie odbiera, aby się wyrwać z tej nieznośnej atmosfery, która dech w piersiach zapiera [1].

Do Rzymu pogrążonego w strachach i osłupieniu, zrywa się w tych latach cesarz dwa razy, ale zobaczywszy zdaleka stolicę, cofa się napowrót, bo się tam boi napaści, ręki mściciela i straszniejszych dla niego od ręki oczu pospólstwa. Wśród ogólnego zwątpienia, strachu, wśród wezbranych nienawiści i przekleństw zasuwa się powoli czarna zasłona nad tem czarnem życiem, które pozostanie jedną z największych tragedyj, odegranych na scenie historji.

Rok 37 wyzwolił świat od Tyberjusza i Tyberjusza od świata. Siedmdziesięcioośmioletni starzec w ostatnich dniach życia walczył jeszcze namiętnie ze zgonem, prostował się przed otoczeniem, zasiadał do uczty, aby ukryć zbliżający się koniec. Niektórzy historycy opowiadają, że wśród nagłych zemdleń i niespodziewanych powrotów do życia, uduszono go wreszcie na rozkaz nowego prefekta pretorjanów poduszkami [2]. W ostatnich snach i chwilach straszyć go musiała dzika i szalona

---

[1] *Ann.*, VI, 26. Sievers l. c. str. 88, w innem świetle to samobójstwo przedstawia, powołując się na Cassiusa Dio 58, 21.

[2] Różne są wersje o szczegółach zgonu. Por. o tem Ranke: *Weltgeschichte,* III, 301.

twarz Kaliguli, w którego ręce, po tylu przewrotach i zmianach, berło cesarskie złożyć mu przyszło.

Lud rzymski domagał się, aby ciało Tyberjusza po śmierci na schody Gemońskie wyrzucono. Nie przyszło jednak do tego ostatecznego pohańbienia. Ale historja i pamięć pokoleń umieściła jego nazwisko na swoich Gemonjach, którym go dopiero nowsze próby i prace wydrzeć usiłowały. Czy się te usiłowania powiodły, staraliśmy się sprawdzić. Są w tem panowaniu rysy dodatnie; administracja państwa przybrała normalniejsze tory, co mieszkańcom, mianowicie prowincyj, wyszło na korzyść; korzyści też przynosił ten stały, małemi tylko wojnami przerywany pokój, który za rządów tego człowieka, pełnego wewnętrznych niepokojów, rozpostarł swe życiodajne skrzydła nad wielkiem imperjum. Były więc materjalne ulepszenia, które Tyberjuszowi zaskarbiły łaskawość pewną sądu u nowożytnych. Ale podlenie się ludzi, milczenie literatury głośno wołają, że dobrze się za tych rządów nie działo. Nad Rzymem wisiała ciężka zmora strachu, później okrucieństwa, łamiąca cnoty i charaktery, tłumiąca wszystko to, co w człowieku jest podnioślejszem, co go robi sprężyną moralną, a nie prostą śrubą w organiźmie państwowej maszyny.

Ranke, który wogóle Tyberjusza sprawiedliwie sądzi, powiada, że nie był on wielkim człowiekiem, ale urodzonym monarchą. Nam te ostatnie słowa trafnemi się nie wydają. Choćbyśmy patrzeli na rzeczy z czysto państwowego stanowiska, to stwierdzić musimy, że Tyberjusz trudności przekazanych mu przez Augusta pokonać nie zdołał, że chciał a nie umiał rządzić z senatem, a mimo tego nie zdobył się na żaden akt stanowczy, usuwający wadliwość podstaw, na których stać ani nie mógł, ani potrafił. Co więcej, nie umiał rządzić nawet swem otoczeniem i kierować swymi ministrami.

Wielkim monarchą on nie był, bo nie był wielkim człowiekiem. Natura wyposażyła go hojnie, ale życie zmarnowało te dary. Nie złożyło ono przedewszystkiem na jego czole wiosennego pocałunku młodości, który jeden wystarcza, aby w zasępieniu lat dalszych rozpędzać chmury, rozświecać i rozpromieniać ciemności. Są kalectwa fizyczne i są kalectwa moralne, a obydwa sączą gorycz dla ludzi i pchają w tę samotność, nad którą już Pismo święte zawołało: Biada! Kalectwo takie z młodości wyniósł Tyberjusz; potem wśród ciosów losu i życia potężniało ono coraz bardziej, zamknięte serce twardniało stopniowo, aż z goryczy wytworzyły się obłęd i okrucieństwo. Podziwu ta osobistość budzić niezdolna, ale nie możemy poskąpić współczucia dla tego, który kiedyś nazwanym został: *tristissimus hominum*, i majestatem swego smutku winy swe w części przysłania.

Pozostaje nam jedno. Kiedy na Zachodzie rozgrywał się straszny dramat cesarza Tyberjusza, spełniało się na Wschodzie donioślejsze dla ludzkości posłannictwo Tego, który został »umęczon pod Ponckim Piłatem« i przynosił utrapionej ludzkości ratunek i »dobrą wiadomość«. Czy w zamroczonej duszy Tyberjusza postała choć na chwilę świadomość, że wielkie dzieło tam się dokonało, że pomroce dawnego Olimpu i dawnych bogów towarzyszy świt nowej wiary i nowego światła, które miało ludzkość odmłodzić i odrodzić, tego my nie wiemy. Historyk rzymski Tacyt, potrącając o dzieje współczesne Palestyny, ogranicza się do trzech wyrazów: *Sub Tiberio quies* — za Tyberjusza panował w Palestynie spokój, powiada on w swoich *Historjach*[1]. Lakoniczny ten frazes prawieby mógł przypomnieć inne lodowate słowa, w nowszych wypowiedziane czasach, gdyby tylko w równie bezlitośnem uczuciu był po-

[1] *Hist.* V, 9. Por. o tem Arnold: *Die Neronische Christenverfolgung.* Leipzig 1888, str. 118.

czętym. Ale on tylko dowodzić się zdaje, że krwawy dramat Golgoty żadnem głośniejszem echem nie odbił się o stolicę i o uszy cesarza, że fala potężna historji, poruszona wiosłem galilejskich rybaków, nie została jeszcze do głębi przez mieszkańców Rzymu zmierzoną.

Że cesarz Tyberjusz wiedział o ukrzyżowaniu, tego możemy być pewni. Prokurator Judei musiał mu przysłać o wszystkiem, co zaszło, dokładne sprawozdanie. Mamy nawet wśród pism, które się nowego testamentu uczepiły, całą opowieść śmierci i męczeństwa, opatrzoną tytułem *Aktów Piłata* [1]. Ale ufać im zbytecznie nie możemy, bo te akta powstały zapewne później i nie są autentycznym dokumentem. Piłat występuje w nich, jeszcze bardziej niż w ewangeljach, jako obrońca Chrystusa, jako człowiek, który wbrew woli swej i przekonaniu uległ naleganiom i naciskowi Żydów. Znał ten tekst już wielki autor chrześcijański, Tertuljan, w drugim wieku, i on go skłonił do nazwania Piłata chrześcijaninem w sumieniu — *pro sua conscientia Christianus.*

Ten sam Tertuljan donosi nam na innem miejscu [2], że cesarz Tyberjusz, posłyszawszy o cudach i działaniu Jezusa w Judei, wniósł tę sprawę przed senat rzymski, żądając obrad i głosowania. Kiedy senat rzecz odrzucił, miał cesarz pozostać przy swojem zdaniu, grożąc zemstą tym, co na chrześcijan oskarżenia miotali. Skąd Tertuljan tę wiadomość zaczerpnął, nie wiemy. Gdyby ona była prawdziwą, świadczyłaby, że w tej duszy, wątpiącej o bogach i ludziach, rozbudziło się może jakieś pragnienie nowego światła, którego brzaski biły właśnie od Wschodu. To wspomnienie jednak Tertuljana tak jest ogólnikowe, tak odosobnione, że niczego na niem oprzeć ani budować nie możemy.

---

[1] Por. Tischendorf: *Evangelia apocrypha*, 210 i 333. List Piłata do Tyberjusza, tamże, str. 413.

[2] Tertullianus: *Apologeticum*, c. V.

Ale czego wyraźnie historja nie poświadcza, to chwyciła w swą rękę legenda, legenda litościwa, która jak prawdziwa Samarytanka schyla się do ofiar losu, lub nawet win własnych, zaściela Gemonje historji różami i cudem. Zbawiła ona Piłata, żonę jego ogłosiła za świętą [1], ulitowała się także smutków i cierpienia Tyberjusza.

Ta legenda opowiada nam tedy, że cesarz, już schorzały i wrzodami okryty, nie widząc znikąd ratunku, posłyszał, że w Jerozolimie żyje lekarz sławny, nazwiskiem Jezus, który wszelkie choroby słowem jedynie leczy i uśmierza. Posyła on więc tamże dworzanina swego Welozjana z poleceniem do Piłata, aby prokurator Judei lekarza owego natychmiast wysłał do Rzymu. Piłata wystraszyło nadzwyczaj to orędzie; wyznaje on ze drżeniem, że Jezus za jego przyczyną właśnie został straconym. Poseł tedy wraca z niczem do swojej gospody. Ale po drodze spotyka niewiastę, którą postanawia wypytać o śmierć nieszczęsną Jezusa. Wśród łkania i płaczu zaczyna ona swą opowieść, a usłyszawszy o powodach jego podróży, wyznaje, że ma obraz na płótnie odbity z wiernem wyobrażeniem Chrystusa. »Jeżeli twój pan z nabożeństwem w ten obraz się wpatrzy, odrazu powróci do zdrowia«. Była to św. Weronika, która według legendy podała Ukrzyżowanemu do otarcia zakrwawionych skroni szmat płótna, na którem w nagrodę litośnego uczynku odbiły się rysy Zbawiciela [2].

Weronika i Welozjanus zdążają tedy radośnie do Rzymu; kobiercami i bogatemi materjami wyściela im Tyberjusz ulice wiodące do jego pałacu. Weronika rozwija przed nim obraz Chrystusa i Tyberjusz natychmiast stracone odzyskuje

---

[1] Grecki Kościół czci ją jako świętą. Por. *Pontius Pilatus*, v. G. A. Müller, Stuttgart 1888, str. 6.

[2] Szczegóły zaczerpnięte z opowieści *Mors Pilati* i *Vindicta Salvatoris* u Tischendorfa, str. 456 i 471.

zdrowie. — W innej wersji tej samej legendy kończy się wszystko wspaniałą modlitwą uzdrowionego cesarza.

Scena ta gwałtownie dopominać się zdaje obrazu i malarza. Poza malowniczością znajdziemy w niej prócz tego całą głębię i rdzenną prawdę podań ludowych. Chciała legenda, ażeby dwa światy oko w oko sobie spojrzały, a lubując się zawsze w przeciwieństwach, wybrała tego właśnie cesarza, za którego Chrystus został umęczony. Człowiekowi, który jak cień milczący przeszedł przez życie, kazała w Słowie szukać ratunku; przed przedstawicielem wszystkich bólów, goryczy i zwątpień starożytnego świata, przed najsmutniejszym z ludzi rozwinęła zbolałą twarz Tego, który wprawdzie powiedział, że »smutną jest dusza moja aż do śmierci«, lecz śmierć rozbroił i opromienił nią życie, na to tylko »kształt nieszczęśliwych przybrał, by nieszczęśliwych ocalić«.

Legenda wyprzedziła nowoczesne próby ratowania tej postaci, ale wybrała drogę pewniejszą i trafniejszą. Tam, gdzie próbowano roztaczaniem dobrobytu i świetności imperjum rozjaśnić ponury obraz Rzymu, pospieszyła ona z groszem wdowim litości i współczucia i postąpiła lepiej i skuteczniej.

II

CESARZ KLAUDJUSZ

Władza cesarska w Rzymie nie była dziedziczną, ale prawnie ustanawiał cesarzy senat, faktycznie częstokroć wojsko; każdy jednak cesarz miał tysiączne sposoby, aby następcę po sobie zalecić, wskazać swego wybrańca i uprzywilejowanem stanowiskiem i odznaczeniami późniejszemu wyborowi prawie narzucić. Mimo tego sama natura i okoliczności stawały przeważnie na przeszkodzie następstwom syna po ojcu. Żaden z pierwszych cesarzy, ani August, ani Tyberjusz, ani Kaligula, nie zostawił syna, a śmierć tak się zagospodarowała na ich dworze, że nadzieje przedzgonne musiały się wkońcu czepiać członków rodziny, do których ustępujący władcy za życia żadnej nie odczuwali sympatji. August nie miał nigdy męskiego potomka, wnuki jego po córce jedynej pomarli wcześnie i wkońcu musiał August upatrywać swego spadkobiercę w pozostałym pasierbie, ponurym Tyberjuszu, od którego różnica usposobienia i charakteru zawsze go dzieliła. Syn jedyny Tyberjusza, Druzus, umarł w połowie jego panowania, w r. 23 po Chr., więc następcą Tyberjusza na tronie został wnuk po bracie, osławiony Kaligula, który z wszystkich dzieci Germanikusa uszedł siepaczy Sejana i samego Tyberjusza. A po zamordowaniu Kaliguli przeszły rządy na jego stryja Klaudjusza, w którym nikt dotąd przyszłego pana

Rzymu nie upatrywał, a który wyniesienie swoje zawdzięczał temu, że był ostatnim męskim przedstawicielem tej dynastji juljo-klaudyjskiej, rządzącej od Augusta począwszy, a wygasającej stopniowo przez mordy i zwyrodnienie. Kaligula o następcy nie myślał, bo rządził i zginął w pełni młodości; jeżeli wojsko po jego śmierci gwałtownej okrzyknęło Klaudjusza cesarzem, to uczyniło to ono naprzekór senatorom, którzy wtedy marzyli o restytucji republiki, a wskutek tego instynktu dla dziedziczności w jednej rodzinie, który nawet w państwach nie uznających dziedziczności zawsze się krzewi.

Najmniej o tych dziedziczności prawach marzył sam Klaudjusz. Od Augusta począwszy, nikt nie przypuszczał, aby ten niewydarzony książę mógł kiedyś zasiąść na tronie, a górne tego rodzaju rojenia nie postały nigdy w samego Klaudjusza głowie. Kiedy Kaligula w r. 41 upadał pod ciosami sprzysiężonych oficerów, a żołnierze wtargnęli do rezydencji na Palatynie, aby ją ograbić i wyśledzić morderców, wystraszony Klaudjusz schował się za kotarę jakiegoś balkonu przed oczyma podnieconego żołdactwa. Tam nogi jego wystające z poza zasłony spostrzegł jeden z żołnierzy, wyciągnął Klaudjusza z kryjówki, a poznawszy dostojną osobę, oddał jej hołd jako nowemu imperatorowi. Gwałtem porwano go teraz do obozu pretorjanów; dał się on ponieść w lektyce, przeświadczony, że na śmierć pewną podąża. Tymczasem wojsko zaczęło coraz tłumniej doń przystępować, jako do nowego monarchy. I wobec tego senat, który po śmierci Kaliguli odetchnął i marzył o wskrzeszeniu republiki, uznać musiał wkrótce wolę wojska i przed nowym władcą się skłonić. Wreszcie sam Klaudjusz się przekonał, że został panem świata. I tak po 29-letnim szaleńcu, jakim był Kaligula, zasiadł na tronie rzymskim Klaudjusz, który liczył już przeszło lat pięćdziesiąt.

Wychowanie następców tronu z wielkiemi połączone jest trudnościami. Bo jeżeli od młodu kogoś przepaja się myślą, że kiedyś nad wielką częścią świata i ludzi panować będzie,

może to stać się zarodkiem pychy i dumy, ciągła myśl o panowaniu nad innymi może podać w zapomnienie i zaniedbanie panowanie nad sobą. Szał cezarów po części w tem miał swe źródło. Ale z drugiej znów strony książęta, powołani nagle i niespodzianie na trony, nie mają częstokroć odpowiedniego przygotowania ani wyrobionego poczucia odpowiedzialności; nagłe wyniesienie może ich zaskoczyć i albo narazić na zawrót głowy, albo też na szkopuł ciągłej potrzeby kierownictwa przez innych, co wyrodzić może niewolę wobec obcych podmuchów i wpływów.

Nieprzysposobionym do panowania był Klaudjusz. Urodził się on w r. 10 przed Chr. w Lyon w Gallji, z drugiego pasierba augustowego Druzusa, pogromcy Germanów. Matką mu była Antonja, córka słynnego rywala Augusta, triumwira Antonjusza i Oktawji, siostry cesarza Augusta. Po kądzieli był więc wnukiem Antonjusza, a zarazem wnukiem ciotecznym pierwszego cesarza. Bratem jego był Germanikus, osobistość opromieniona powszechną sympatją i pewną aureolą poezji za panowania Tyberjusza. Sam zaś Tyberjusz był rodzonym Klaudjusza stryjem. Obok brata Germanikusa pozostał Klaudjusz od młodości w półcieniu domu i historji. Ojciec Druzus umarł w Germanji w rok po jego urodzeniu, a matka Antonja uważała go od dzieciństwa za istotę niezupełną, niedoszłą; nazywała go *portentum hominis*, płodem niewykończonym przez naturę, lecz tylko podrobionym — *nec absolutum a natura, sed tantum inchoatum*. Dziecko, często chorzejące, uchodzące za idjotę, pozostawiono na uboczu, wśród środowiska pospolitego, w otoczeniu podrzędnych pedagogów, którzy wyrabiali w niem brak woli i zupełną uległość, a rozwijali także rzeczy gorsze, jak skłonność do napojów i gry w kostki. Jakiś dygnitarz stajenny, masztalerz, dzierżył pono ster wśród tych wychowawców.

Podobno jednak sławny historyk Liwjusz znalazł się także między mistrzami jego młodości; ten wpływ rozwinął zapewne

w Klaudjuszu zmysł do badań przeszłości, który go nigdy już nie opuścił, ale z biegiem czasu uległ pewnemu skrzywieniu.

Dobrotliwy cesarz August łamał sobie głowę, jakby młodego księcia nie zakopać zupełnie w ukryciu, a jednak nie narazić go ludziom i nie wystawić na pośmiewisko. Wyraźnie zachowaniem się i wzięciem już wtedy wywoływał on żarty i przycinki. Chce go tedy August raz posłać na pewną ucztę kapłańską z okazji igrzysk, ale w towarzystwie człowieka, któryby baczne nań miał oko, a na widowisku zamyśla go tak umieścić, aby nie ściągał na siebie widzów uwagi. W ruchach i zachowaniu się Klaudjusza było wyraźnie już wtedy coś śmiesznego, a mowa płynęła mu z trudem i opornie. August dostrzegł w nim jednak pewnych stron dobrych i dodatnich; w danej chwili umiał się młody Klaudjusz poważnie poważnemi zająć rzeczami. Następny cesarz, Tyberjusz, zdawkowemi odznaczeniami i podarkami zbywał upośledzonego krewniaka, który blasku rodzinie nie przymnażał. Lecz za rządów młodego Kaliguli miał Klaudjusz, jako stryj cesarski, niejakie prawa do większego znaczenia. Piastował on tedy naonczas krótki, dwumiesięczny konsulat; ale szalony dzieciak na tronie umiał domieszywać dawki goryczy do pozornie lepszych stryja kolei. Częściej wtedy można było oglądać Klaudjusza pomiędzy ludźmi i w senacie; zdarzało się nieraz, że na uczty urzędowe się spóźniał, a po ich spożyciu zasypiał wśród biesiadników głęboko; pestkami daktyli lub oliwek rzucano wtedy na cesarskiego antenata. W senacie zaś pytano się go o zdanie na ostatniem miejscu wśród byłych konsulów.

Kaligula nie szczędził mu wogóle ani obelg, ani poniżenia. — Tymczasem rok 41 wyrwał Klaudjusza nagle z tych upokorzeń. Posadzony na tronie, mógł on teraz pomścić wszelkie krzywdy przeszłości, zamienić się w okrutnego tyrana. Lecz Klaudjusz ani do ponurego Tyberjusza z lat ostatnich, ani do szaleńca Kaliguli nie stał się podobnym. W tym czło-

wieku niekompletnym szlachetne instynkta nie rozwinęły się dostatecznie, ale nie zamarły nigdy zupełnie, a z drugiej strony złe nałogi i nawyczki prowadziły niewątpliwie do zboczeń i śmieszności, ale nie pogrążyły Klaudjusza w podobnych szaleństwach i obłędach, któremi jego poprzednik, Kaligula, i jego następca, Nero, tron rzymski zohydził. I gdyby nie wpływy obce, gdyby strach lub zapamiętanie w gniewu porywach nie były Klaudjuszem kierowały i miotały częstokrotnie, panowanie jego byłoby się ustrzegło rozmaitych rozdroży, na których niewinniejsza śmieszność zamieniała się już niekiedy w zbrodnię i występek.

Przychodził on do władzy we wieku, kiedy charaktery już są wyrobione, kiedy na rozwój czyto w dobrym czy w złym kierunku właściwie już niema czasu i sposobności. Klaudjusz jednak przynosił światu naturę, której cechą wybitną i stałą było pewne niewyrobienie, naturę chwiejącą się wiecznie między myślą poważną a zboczeniami. Pewna nienormalność, zwyrodnienie znaczyły się już w jego dzieciństwie i zaciężyły złowrogo na życiu. Jest to klątwa i spadek wielkiego, przeżytego rodu, cecha tej dynastji julijsko-klaudyjskiej, która po zdrowym na umyśle i ciele Auguście tak szybko, w tak piorunujący sposób zdegenerowała. Coś starczego, zawiędłego objawia się w tym ciągłym braku prawidłowych dziedziców, w braku równowagi i nikłości śmiertelnej mężczyzn, w zbytniem wybujaniu kobiet i kobiecych wpływów, które dzieje tej dynastji zapełniają i mącą. U Klaudjusza to zwyrodnienie objawiało się już dobitnie nawet pod względem fizycznym. Wysoki wprawdzie i piękny, jak Klaudjusze bywali, miał nawet pewien majestat słusznej postawy. Ale pewne nawyczki i chorobliwe ruchy kaziły i umniejszały tę godność. Kiedy chodził, miał jakiś krok chwiejny, niepewny, co bywa częstem znamieniem braku równowagi i stanowczości u mężczyzn. Głowa na potężnym osadzona karku kołysała się niestannie przy wszelkiej czynności. Szpecił ją prócz tego śmiech częsty i przy-

chodzący nie w porę, objaw stanowczy pewnego idjotyzmu, a niewyraźność mowy i jąkanie się — *linguae titubantia* — była także odznaką jakiegoś zwyrodnienia. — Przypadek i losu igraszka wyciągnęły go na widownię świata. Najchętniej byłby Klaudjusz pozostał niewątpliwie w cieniu historji, ze swojem najbliższem otoczeniem kobiet i pospolitych stołu i kostek towarzyszów i... ze swojemi książkami. Bo do studjów miał skłonność niepohamowaną, nie wolną także, jak wszystkie jego skłonności, od dziwactwa. Ma on jakieś rysy bierności, oderwania od życia Prospera szekspirowskiego z *Burzy*, dla którego książki także były »dość wielkiem państwem«. Pisał Klaudjusz zamłodu i w późniejszym wieku, a pisał bezmiernie. Pomniejszą była robota o ulubionej grze w kostki; zato historyczne dzieła wyrastały najczęściej do wielkiej objętości. Zaczął więc rzecz o dziejach po Cezara zamordowaniu, a potem spisał wczesne dzieje cesarstwa w 41 księgach. Życiu swojemu poświęcił ksiąg osiem. Po grecku przedstawił historję Kartaginy w 8 księgach; a znamiennem dla jego ducha, nurzającego się chętnie w ciemnych zaułkach i zagadkach, jest to, że w dwudziestu księgach skreślił historję tajemniczego narodu Etrusków. W braku dobrowolnych czytelników narzucał cesarski autor ich czytanie przez urzędowych lektorów. — Zmysł do historycznych zagadek, wyszukanych wiadomostek z dziejów widniał także w jego mowach, upstrzonych naukowym balastem; sięgał w nich chętnie cesarz do brzasków historycznych, nierozświeconych pełnem słońcem dziejowem. Nawet w obronie swego rzekomego idjotyzmu przemawiał kilkakrotnie, twierdząc, że za Kaliguli umyślnie głupotę udawał, jak ongiś ów Brutus, który za Tarkwinjuszów głupkowatością się osłaniał, aby móc tem bardziej stanowczy i niespodziany cios na królów wymierzyć. Klaudjuszowi odpowiedziano jednak niebawem pamfletem p. t.: *Głupich zmartwychwstanie*, w którym dobitnie wywodzono, że nikt w głupotę samochcąc się nie stroi, lecz że idjoci są rzeczywiście i stanowczo idjotami. —

Dziwactwo jego także przebija w częstej u dziwaków skłonności i namiętności do rozpraw i reform ortograficznych; nowemi trzema znakami alfabet łaciński zamierzył wzbogacić, które, niezbyt potrzebne, nawet za jego rządów na wyjątkowych tylko napisach w pobliżu stolicy niekiedy się pojawiały, aby później wraz z dziełami uczonego dziwaka zapaść się w nicość zasłużonego zapomnienia.

Co w jego literackiej działalności uderzało, było także znamiennem dla jego czynów i rządów. Były tu rysy i instynkta szlachetne, rozpędy do zacnej, a nawet odradzającej społeczeństwo działalności, ale w każdym nieomal kierunku czepiała się czynności jego częstokroć jakaś przesada, narażająca na śmieszność nawet najuczciwsze zamiary. A do tego przyszły z czasem znieprawiające i wyzyskujące jego słabość wpływy otoczenia, które w przeważnej mierze na człowieku niesamodzielnym złowrogo zaciężyły. Ogólny pogląd na jego rządy zaczniemy od spraw zewnętrznych, w których niewojowniczy Klaudjusz bierniejszą odgrywał rolę i wskutek tego mniej się ujawniały ujemne cechy jego osobistości.

* * *

Dwa niebezpieczeństwa i dwie klęski zaważyły na biegu wypadków i kierunku polityki cesarza Augusta. Od północnej strony grozili Italji budzący się do życia Germanowie. Rzymianie usadowili się na lewym brzegu Renu i ustanowili tu dwie germańskie prowincje; natomiast wszelkie zapędy, aby rozszerzyć rzymskie panowanie od Renu do Elby, miały tylko przemijające przeważnie skutki i naraziły już za Augusta, w r. 9 po Chr., Rzymian na straszną klęskę w lesie teutoburgskim. Odtąd ambicje rzymskie przestały sięgać tak daleko, ograniczały się przeważnie do pomniejszych skrawków ziemi po prawym brzegu Renu, a nie śmiano już marzyć o pełnej zemście za pogrom teutoburgski. Klaudjusza pano-

wanie nie odstąpiło od tej polityki; Renu broniono, poza Renem spuszczano się raczej na to, że germańscy barbarzyńcy niezgodą swą wewnętrzną sami się szarpać będą, o co z taką iście rzymską wymową prosił bogów Tacyt w swem o Germanji dziełku. — Od wschodu był Eufrat granicą państwa rzymskiego. Na dalekim wschodzie, w dziedzinach dawnej Persji, powstało w trzecim wieku przed Chr. wielkie państwo Partów, najgroźniejszy Rzymu nieprzyjaciel w końcu rzeczypospolitej i pierwszych wiekach cesarstwa. W bitwie po Carrhae w r. 53 przed Chr. zadał on Krassusowi i Rzymowi klęskę tak doszczętną, że ta rana długo zabliźnić się nie mogła. Odtąd stosunki się ciągle jątrzyły, szczególnie wskutek Armenji, leżącej między morzem Czarnem a Kaspijskiem, która miała odgrywać rolę buforu między rywalizującemi potęgami Zachodu i Wschodu. Rzym i Partowie walczyli ciągle o wpływy w armeńskiem królestwie, władcy raz z poręki Rzymu, raz znów z poręki Partów kierowali losami tego państwa. Za Klaudjusza udało się Rzymowi umieścić na armeńskim tronie swego wasala; pozostał on tam jednak tylko lat dziewięć, a z końcem panowania Klaudjusza znowu Partowie przechylili szalę wpływów na swoją korzyść i stronę.

August dał w swym testamencie hasło, aby państwa rzymskiego, które i tak już ogromne zajmowało przestwory, nie powiększać nowemi nabytkami, bo od nadmiernej wielkości chorzeć musi wszelki organizm polityczny. Ale imperjalizm, który w końcu rzeczypospolitej wybujał i w zdobyczach i planach Cezara najwymowniejszy znalazł wyraz, nie dał się uśpić ani pogrzebać upomnieniami i przestrogą Augusta. — Za Klaudjusza wojska rzymskie zdobywały w Afryce nowe krainy. Całe północne wybrzeże Afryki było nieomal już w ręku rzymskiem za Augusta, zarówno Egipt, jak Tripolis, Tunis i Alger. Teraz, w r. 43, wódz rzymski Suetonius Paullinus zajmuje Mauretanję, czyli Marokko, a pod jego następcą dotarły wojska zwycięskie aż do krańca pustyni. Odtąd Marokko,

podzielone na dwie prowincje, wcielonem zostało do państwa. — Donioślejszym jeszcze był triumf imperjalizmu w innej, północnej stronie świata. Cezar ujarzmił był Celtów w Gallji, ale wyprawy jego na sąsiednią Brytanję, zamieszkałą także przez szczepy celtyckie, nie miały następstw stanowczych. Bo to, że pewnym książętom nałożono tam trybuta i uczyniono ich Rzymu wasalami, pozostało przeważnie na papierze. A tymczasem oporność i hasła Druidów, kapłanów celtyckich, miały swe główne ognisko w Brytanji i stamtąd się rozszerzały na Galliję. A więc już od czasów Augusta marzono o podboju północnej wyspy. W r. 43 wyruszył tedy na tę wyprawę z ramienia Klaudjusza wódz rzymski Aulus Plautius. Legjony miały się tam spotkać i zetrzeć z wrogiem, walczącym jak za czasów Homera, na wozach. Zwycięstwo Rzymian nie mogło być w takich warunkach wątpliwem. Kiedy też w r. 43 przekroczono Tamizę, sprowadzono na krótko samego cesarza na pole walki, aby łatwe i pewne wawrzyny jemu przypadły w udziale. Płaszczyzny południowej Anglji poddały się najeźdźcy; w górach Walji opór był dłuższym i trudniejsze zadania przez szereg lat jeszcze więziły wojska rzymskie. Wiadomem też, że dopiero za Domicjana przeważna część Anglji podbitą została. Ale Klaudjusz wcielił pierwszy południowe jej dziedziny jako prowincję do imperjum rzymskiego; od epoki Augusta był to pierwszy za cesarstwa, bardziej znaczący triumf orężny. Toteż po licznych Germanikusach wśród dynastji julijsko-klaudyjskiej pojawia się teraz przydomek Britannicus, a syn nieszczęśliwy Klaudjusza występuje z tem mianem na widownię historji.

* * *

Poza temi walkami i wyprawami było panowanie Klaudjusza przeważnie pokojowem. Przecież August wywiesił sztandar pokoju jako znak na nowe wieki i *pax Romana* miała

odtąd dusze wielkiego imperjum uszczęśliwiać, łagodzić, nawet usypiać w słodyczach błogości. — Wewnętrzna zato polityka pochłaniała w przeważnej mierze czas i wysiłki Klaudjusza, a cechom jej, dobrym stronom i zdrożnościom teraz przypatrzyć się szczegółowo wypada.

Cesarstwo było błogosławieństwem dla prowincyj rzymskich, które po wiekowym ucisku namiestników rzeczypospolitej, prokonsulów i propretorów, doznały teraz skuteczniejszej prawnej opieki i przestały być dziedziną wyzysku i źródłem bogactwa dla rzymskich panów i rządców. Cesarskie rządy usiłowały coraz bardziej los prowincyj równać z losem Italji i Rzymu, a wywyższając prowincje, obniżać tem uprzywilejowane Rzymu i Italji znaczenie. Jeżeli republika nadzwyczaj była nieskorą do nadawania praw obywatelskich obcym swym poddanym, to za cesarzy zasada ta stanowczej uległa przemianie. Za Klaudjusza przedewszystkiem nie skąpiono tych nadań ani wobec prywatnych ludzi po prowincjach, ani wobec gmin całych i szczepów. I rozdawano nietylko ograniczone prawa, ale pełne obywatelstwo, dopuszczające »barbarzyńców«, jak wyniośli Rzymianie ich nazywali, do rzymskich urzędów i przez to do senatu. Zdarzały się przy tem karygodne nadużycia; cesarzowe i niektórzy urzędnicy cesarscy frymarczyli za pieniądze takiemi przywilejami. Ale i bez tych nadużyć hojność ta, sprzeciwiająca się dawnej wyłączności i tradycjom, raziła rodowitych i dawnych obywateli, którzy z niechęcią patrzeli na gallickich czy hiszpańskich intruzów. Na tablicach bronzowych w Lyonie zachowała się nam część mowy Klaudjusza, wypowiedzianej przy obradach nad nadaniem pełnych praw obywatelskich pół-obywatelom gallickim. Jest ona dziwaczną pod względem toku myśli i słowa, jak wszystkie płody klaudjuszowego ducha; aby usprawiedliwić swe postępowanie, sięgnął cesarz aż do Romulusa i Numy, który z pośród Sabińczyków na tron rzymski się dostał, i do Etrusków, którzy dali Rzymowi Tarkwinjuszów i Serviusa Tulliusa. I przed-

stawił następnie cały szereg wielkich przewrotów i inowacyj za republiki, aby stwierdzić, że stare dziś instytucje kiedyś nowością swą zadziwiały [1]. — Klaudjusz bronił niewątpliwie dobrej sprawy i szedł pod tym względem z duchem czasu; niemniej zjadliwa satyra, po dziś dzień zachowana, urągała mu po śmierci, że Parki dlatego skróciły pasmo jego żywota, aby coś obcych ludzi w państwie rzymskiem choćby »na nasienie« zostało.

Przemawiał wtedy Klaudjusz wśród obrad senatu, a wierny tradycjom Augusta szczególnem poszanowaniem otaczał to ciało, jak i urzędników rzymskich, przekazanych cesarstwu przez republikę. Nie miał on zresztą pychy Cezarów, a nawet pamięć upokorzeń, których doznał za młodu, nie przyczyniła się do tego, iżby teraz nadmierną dumą zamierzył powetować poniżenia lat minionych. I w tem także poszedł on za przykładem Augusta, że marzył i roił o jakiemś odrodzeniu społeczeństwa w swojej epoce. Tylko jeżeli August tysiącznemi wpływami, między innemi przez literaturę, ludzkość chciał odradzać, dziwak na tronie zamarzył przeprowadzić reformy w sposób bardziej urzędowy, doraźny, co było tem dziwniejszem, że w otoczeniu własnej jego osoby krzewiły się jaskrawe wybryki i nieporządki, od których usunięcia reformę rozpocząć należało. W r. 47, w którym, jak się przekonamy, skandale na dworze cesarskim dochodziły do szczytu, wskrzesił Klaudjusz urząd cenzora, który od lat szeregu był wyszedł z użycia, i sam jako cenzor z kolegą Vitelliusem zamierzył reformować Rzymian. W samem odnowieniu zamarłego urzędu widnieje zmysł antykwaryczny cesarza i w różnych zarządzeniach, które jako cenzor wydawał. Chciał on pod tym względem także naśladować Augusta i pozazdrościł laurów dziadowi który zamyślił być moralnym społeczeństwa odnowicielem.

[1] Mowa ta jest odbiciem myśli trybuna Canuleiusa, które czytamy u Liwjusza IV, 3—4.

Niezliczonemi więc edyktami zamierzył tego dzieła Klaudjusz dokonać; jednego dnia aż pono dwadzieścia ich wydał. Były w nich karcenia przepychu i rozwiązłości, były rozporządzenia mądre i plewy chorej autora umysłowości, która zawsze zamiarom jego dobrym szkodziła i szlachetne nawet i ośmieszała porywy. A na dnie leżało przekonanie zakażonego biurokracją literata, że słowo pisane i martwa litera niesie życie wytwarzać życie i przetwarzać zdoła. Zamiatał więc cesarz z gorliwością poza swoim domem, nie widząc czy nie czując, że we własnym jego przybytku coraz więcej się nagromadzało brudów i śmieci. A idąc dalej w myśli Augusta, obchodził nawet wtedy igrzyska na zamknięcie wieku, mimo tego, że August przed 64 laty podobne *ludi saeculares* wyprawił. Klaudjusz, który się dużo zajmował chronologją i astronomją, dopatrzył się błędu w wyrachowaniach wiekowych Augusta i nowym obchodem, który miał zainaugurować świt lepszej epoki, poprawiał rzekome uchybienia chronologiczne swego dziada. Lecz życie się dalej potoczyło swym pędem, nie bacząc na granice wieków, urojone w głowach dziwaków, którzy często o tem marzą, że ich istnieniem stara epoka się kończy, a przedewszystkiem nowa zaczyna.

Daleko praktyczniejszemi, niż edykta i rozporządzenia moralizujące, były zarządzenia Klaudjusza, zamykające szynki i ograniczające liczbę dni świątecznych, w których więcej obrażano niż wielbiono bogów. A donioślejszemi były jeszcze Klaudjusza b u d o w y. Sam skromny w swoich występach, nie otaczał się cesarz nadmiernym majestatem, który Kaliguli myśli pomącił; budowy jego miały służyć użyteczności publicznej i ludziom życie ułatwiać. Pełno dróg bitych powstało za jego czasów. Dwa wielkie wodociągi, Anio novus i Aqua Claudia, doprowadzały na wspaniałych łukach większe zasoby wody do stolicy. Jeden z nich ciągnął się przez 93 kilometry; dzieła te Klaudjusza zachwycają po dziś dzień każdego pielgrzyma, patrzącego z pod Lateranu na rzymską Kampanję. — Wiel-

kie jezioro fucyńskie, leżące w Apeninach na wschód od Rzymu, postanowił on tunelem w górze na przestrzeni 6 kilometrów wydrążonym osuszyć i spuścić do rzeki Liris i bieg jej w ten sposób spławnym uczynić, a zarazem kotlinę jeziora zdobyć dla uprawy. Zadanie było trudnem i nie ze wszystkiem się udało; dopiero książę Torlonia dokonał dzieła w wieku XIX-stym, oczyściwszy kanały przez Klaudjusza zbudowane. — Ale najważniejsze Klaudjusza przedsięwzięcie miało jeszcze większe i doraźniejsze korzyści przynieść Rzymowi i Italji. Stolica państwa i półwysep apeniński skazane były pod względem żywności na dowóz zboża z zamorskich okolic; sama ziemia italska wskutek zaniedbania i fałszywej gospodarki wieków przestała być matką-żywicielką. Otóż od morza, którego fale i burze zawsze przejmowały grozą starożytnego człowieka, zależało istnienie miljonów. Dowóz podlegał niebezpieczeństwom i zagładzie, a w miesiącach burzliwych zupełnie ustawał, po części wskutek braku pewnej w okolicach Rzymu przystani. Temu postanowił Klaudjusz zaradzić, budując ogromny port w Ostji, zabezpieczony przed falami, dosyć obszerny, aby wielkiej liczbie okrętów zapewniał nawet w mniej sposobnym czasie przybicie, a zawsze odpowiednie dla wyładowania miejsce. Tego, o co pokolenia i wieki daremnie się upominały, dokonał dopiero ten dziwak, do którego w chwilach lepszych trafiały tak realne, użyteczne i trzeźwe pomysły.

Nie cofały się więc te rządy przed śmiałemi i trudnemi pracami; cesarz sam miał poczucie zobowiązania do trudu w służbie społeczeństwa. To poczucie stopniowało się w pewnych kierunkach, aż chorobliwie prowadziło do jaskrawej przesady. Cesarz mógł sprawy kryminalne i cywilne sam rozsądzać, lub powierzać je swym delegatom, był nadto we wszelkich procesach, rozsądzanych przez inne trybunały, instancją apelacyjną. Klaudjusz tedy z sumiennością dziwaczną, z namiętnością manjaka wykonywał te funkcje. Sądził on w dnie

powszednie i uroczyste, w chwilach najważniejszych rodzinnych wydarzeń i obchodów, w spiekotach lipca i sierpnia stolicy. Nie obywało się przytem bez omdleń i błądzeń w badaniu spraw i wyrokach. Adwokaci wyzyskiwali jego dobroduszność i gdy przerwać zamierzał akcję, trzymali go za poły, lub podstawiali mu nogi; sam cesarz niewczesnemi dowcipami, do których się zamłodu w pospolitem swem otoczeniu zaprawił, obniżał i mroził częstokroć powagę trybunału. Cytatami z poetów greckich, strzępami frazesów z autorów szafował on w porę i nie w porę. A ponieważ miał chorobę uciekania myśli, za którą gonić wypadało, przeto w sprawach przydłuższych zbrakło mu często rozeznania i dowolne, niespodziane wydawał wyroki. Dziwactwo jego zmieniało niekiedy te sądy w krotochwile; kiedy raz pewien Grek bronił się przed zarzutem nieprawnego przywłaszczenia sobie obywatelstwa rzymskiego, ważny problem zajął trybunał, czy oskarżony w rzymskiej todze, czy też w greckiem pallion ma wystąpić. Klaudjusz znalazł na trudność półśrodek stanowczy: podczas mowy oskarżyciela miał pozwany w greckiej pojawić się szacie, w czasie obrony przywdziać natomiast strój rzymski. Tak groteskowe rysy przyczepiały się nieomal do każdej cesarza działalności, nawet wśród nadmiaru sumienności nie umiał on się ustrzec zboczeń komicznych.

* * *

Z tem wszystkiem przyznać trzeba, że na dnie tej duszy drzemały zarodki szlachetne, jak już August zauważał i historycy zgodnie podnoszą; spaczyło nieco te wyższe zarodki zaniedbane wychowanie, a znieprawiły naturę i popchnęły do występku wpływy otoczenia, któremu Klaudjusz przez całe życie bezmiernie ulegał. Tym więc wpływom, które coraz więcej jarzmiły osobistość, od urodzenia niesamodzielną, ich większej lub mniejszej szkodliwości przypatrzyć się z kolei należy.

W progu jego panowania ukazuje się książę żydowski, Herodes Agrippa, w najbliższych z Klaudjuszem stosunkach. Był to wnuk króla Judei, słynnego Heroda I w czasach Augusta, brat niemniej sławnej Herodjady. Bawił on w Rzymie za rządów Kaliguli i odznaczył się swem lekkiem życiem i bardzo ciężkiemi długami. Zbliżywszy się do Klaudjusza, wpłynął pono na niego, kiedy tenże się ociągał z przyjęciem ofiarowanej cesarskiej władzy. Klaudjusz zrobił go za to następnie królem Judei, w której od roku 41 do roku śmierci swej, już w r. 44 przypadłej, panował. Wpływy tego Heroda Agrippy ujawniły się przelotnie w pewnych zarządzeniach Klaudjusza, dotyczących Żydów. Namnożyło się tych wschodnich żywiołów i w Rzymie i po wielu miastach greckiego Wschodu. Szczególnie Aleksandrja była w części miastem greckiem, w części żydowskiem. Ponieważ zaś tam Żydzi doszli do znacznej kultury, jak się to we filozofji przedewszystkiem zaznaczyło, a oprócz tego posiadali pewien samorząd i własne sądownictwo, przychodziło przeto do ciągłych zatargów między złośliwą i słynną z dowcipu ludnością grecką a żydowskimi mieszkańcami. Kaliguli rządy były dla Żydów nieprzychylne; w r. 38 przyszło w Aleksandrji do ich pogromu, zrabowania domów żydowskich, mordów i wygnań. Klaudjusz tymczasem zaniechał tej polityki antysemickiej i chociaż w Italji zabronił wspólnych nabożeństw żydowskich, wydał niebawem edykt, potwierdzający przywileje Izraela w Aleksandrji, a następnie inny, przyznający im podobne prawa w całem państwie. Zwolnienie od służby w wojsku rzymskiem usunęło jeden z kamieni obrazy, jątrzący Żydów. Panowanie Heroda Agrippy nad Judeą trwało jednak, jak wspomnieliśmy, bardzo krótko. W r. 44 stała się znowu Judea prowincją rzymską, rządzoną przez prokuratorów. Odtąd też zaczęły się nieustanne konflikty między władzą i wojskiem rzymskiem a ludnością Jerozolimy, które ostatecznie doprowadziły do zburzenia Jerozolimy za Wespazjana. Tak zwani zeloci burzyli się ciągle

na rzekome uchybienia władzy rzymskiej, wynosili się w góry, aby stamtąd jako *sicarii*, czyli nożownicy, krzewić opór i separatyzm wobec Rzymu, a nożem usuwać osobistości żydowskie i nieżydowskie, które obrażały ich fanatyczne uczucia.

Podczas gdy wpływ żydowskiego księcia był przemijającym i tylko w pewnych szczegółach się objawił, inna zato warstwa także obcych ludzi zaciężyła trwale na całem życiu i działalności Klaudjusza. — Napływ niewolników wschodnich, szczególnie greckich, do Rzymu był już za republiki ogromnym. Dowcipem i lotnością umysłową wślizgiwali się ci Greczyni w łaski i życzliwość panów rzymskich, dochodzili do przewagi i wielkiego znaczenia w ich domach, zyskiwali prawa wolnych ludzi, aby jako wyzwoleńcy do tem większego dochodzić znaczenia i powoli niemal zupełnie z tubylczą ludnością pod względem położenia społecznego się równać. Zdolności usposabiały ich na najulubieńszych pomocników i zaufanych towarzyszów rzymskich możnowładców. Toteż dom naczelny, cesarski, podobnych sobie dobierał ludzi na osobiste posługi, które odpowiednio do znaczenia tego domu mogły przybrać donioślejsze i ogólniejsze znaczenie. Od Augusta czasów znajdujemy w biurach kancelarji cesarskiej takich obcych wyzwoleńców, mniej lub więcej zżytych z rzymskiem społeczeństwem. Jeden z nich był sekretarzem władcy — *ab epistulis*, redagował i prowadził całą korespondencję z urzędnikami, co wymagało gruntownego wykształcenia, zmysłu politycznego, ale zapewniało także wpływy potężne. Drugi — *a rationibus*, zawiadował całym skarbem cesarza, fiskusem, co otwierało pogląd na finansową administrację i zarazem źródło godziwych lub mniej godziwych zarobków. Trzeci — *a libellis*, odbierał wszelkie podania i prośby, do cesarza skierowane, był więc pośrednikiem między panem a poddanymi, mógł dostęp i dostępność ułatwiać, lub zagradzać, spieniężać swe osobiste wpływy, frymarczyć poparciem lub wskazaniem sposobności i środków, które torowały drogę do serca czy

kiesy cesarza. I więcej jeszcze takich pośredników stało między władcą i społeczeństwem; zobowiązani do posług, do których potrzeba sprytu i spryt wystarcza, mieszali się oni do spraw ważniejszych, do których potrzeba także charakteru, czegoś, co jedynie tradycja narodu i pokoleń nadać człowiekowi może. Następstwem było to obniżenie i spospolitowanie polityki, które zawsze ma miejsce, gdy ludzie powołani na dworskich pachołków i co najwięcej szambelanów, do czynnej polityki mieszać się zamierzają. Celem ambicji tych wyzwoleńców było nietyle to, aby stać się użytecznymi dla ogółu, jak raczej dążność, aby swego pana o swej niezbędności przekonać, aby go opanować, a osobiście i majątkowo tak się wybić, iżby zapomniano o ich przeszłości. Największe fortuny gromadziły się w ich rękach; Narcissus za Klaudjusza posiadał dużo nad 100 miljonów koron. Panny z wysokich rodów a podupadłych, nawet krewne cesarza, nie wahały się oddawać im ręki i serca. Niektórzy z nich otrzymywali nawet godność rycerską szlachectwa i zajmowali następnie wysokie w państwie dostojeństwa; Antonius Feliks, wyzwoleniec klaudjuszowej epoki i brat słynnego Pallasa, był żonatym raz pierwszy z wnuczką triumwira Antoniusa, drugi raz z córką króla żydowskiego Herodesa Agrippy i został nawet namiestnikiem Judei; przed niego pozwanym został św. Paweł w r. 58 i przed jego trybunałem się bronił.

Otóż epoką największego wzmożenia się tej warstwy wyzwoleńców były czasy Klaudjusza. Potężni przybysze, jak Narcissus, Polybios, Pallas, trzęśli wtedy Rzymem i biernym cesarzem, cieszyli się nadmiernemi łaskami cesarzowych, przed ich wszechmocą wyginały się karki i charaktery dumnej arystokracji. Rozumem swym stworzyli oni, jak n. p. Narcissus, niejedną rzecz użyteczną w administracji, ale mimo tego znieprawiali systematycznie rzymskiego ducha i tradycję, obniżali zakon narodowy, który tylko ten uszanować zdoła, komu dziedzicznością wrósł w głąb serca i rdzeń duszy, kto mu

bezosobiście służyć się nie zawaha, bo kocha nietylko swoją osobę, ale długie pasmo i zmarłych i tych, co kiedyś po nim ojczystej ziemi chleb i słowa pożywać będą. Historja Klaudjusza, to w wielkiej mierze wytwór tych rozpanoszonych Greczynów, w których ręku cesarz był wskazówką, piszącą wolę obcą na świata zegarze; w szczegółach administracji mogli oni oddać Rzymowi walne i rzeczywiste usługi; natchnienie wyższe, któreby powiało po duszach i jędrną myśl w nie tchnęło, ani od nich nie wyszło, ani wyjść nie mogło.

A w gorsze jeszcze jarzmo i niewolę popadł Klaudjusz u kobiet. Wychowaniec babki Liwji i matki Antonji pozostał do końca życia kobiet sługą i pachołkiem. Potrzebował on ich fizycznie i moralnie, jako towarzyszek życia, pragnął ich woli i przewagi nad sobą. W tej bezkobiecej historji rzymskiej, w której za republiki majaczeje w półcieniu zaledwie kilka postaci niewieścich, jak Lukrecja owiana legendą cnoty, Kornelja uwieńczona majestatem dzielnego macierzyństwa, teraz kobiety dochodzą do głosu i rozgłosu takiego, że dziejopisarze muszą dzielić równomiernie swoje roczniki między mężczyzn publiczne występy i tajne występki alkowy. Klaudjusz zmieniał od młodych lat kilkakrotnie swy wybranki; zaręczony był jako niedorostek z Emilją Lepida, lecz ten związek nie przyszedł do skutku, potem z Kamillą, która zmarła przed ślubem, następnie ożenił się z Plautją Urgulanillą, którą odprawił dla jej wybryków, aby w jej miejsce poślubić Aelię Paetinę, z którą znowu się rozwiódł. Za Kaliguli pojął on wreszcie Walerję Messalinę i tej niewiernej długo wiernym pozostał; zwątliła ona go do reszty pięknością twarzy swojej, a znieprawiła do zbrodni. Nie ma ta kobieta ambicyj politycznych, nie chce panować nad światem, ale żąda zupełnej, rozpętanej wolności dla siebie, a uległości od tych, na których zatrzyma wzrok swój pożądliwy. Usuwa ona z widowni rywalki swej piękności i tych, co jej piękności się oparli. A Klaudjusz staje się w tem powolnem jej narzędziem. Bo

zawsze wmówić mu można, że osobistości znienawidzone przez Messalinę knuły jakieś mordercze zamiary i spiski na jego osobę. Z natury okrutnym on nie był; wyrobił jednak w sobie zmysł okrucieństwa przez namiętne przyglądanie się zapasom i zgonom gladjatorów; a do tego przystąpił strach o własną osobę, najgorszy doradca. Wyniesiony po zamachu, spełnionym na Kaliguli, ciągle on spisków się boi; podsycały zaś tę trwogę częste dosyć lecz przemijające zamysły senatorów, aby to popychadło żon i wyzwoleńców z tronu usunąć. Za Messaliny podmuchem, wydaje więc sędzia niezmordowany liczne, krwawe wyroki śmierci na tych, co jej się narazili lub... oparli. Tak on strzeże sławy, lub raczej niesławy domu. I ten człowiek bierny, który był wolnym od chciwości, co tylu zbrodni epoki była źródłem, cesarz, który usunął oskarżenia dotyczące podejrzanych o wykroczenia przeciw majestatowi, które za Tyberjusza tak się zagęściły, daje się wikłać w żony intrygi i zbrodnicze krętactwa, popada w gwałtowne gniewy lub równie gwałtowne przestrachy wobec rzekomych winowajców i doraźnemi ich sprząta wyrokami. Działa, jakby w hipnozie; bo wróciwszy do względnej równowagi zapomina o urazach, nawet o śmiertelnych kaźniach, które dopiero był wymierzył. Z tej hipnozy zaledwie go wyzwolił ostatni, najjaskrawszy wybryk Messaliny. Zapłonęła ona namiętnem uczuciem do Gajusa Siliusa, którego Tacyt nazywa najpiękniejszym wśród rzymskich młodzianów — *iuventutis Romanae pulcherrimum*. Dobrana para postanowiła uwieńczyć miłostki rozgłośnym, niesłychanym skandalem, co według Tacyta ostateczną jest rozkoszą ludzi, którzy wszystkiego użyli. Umyślono tedy skorzystać z chwilowej wycieczki cesarza do Ostji, aby świat i stolicę rzeczywistym obchodem małżeństwa i bigamji wprawić w osłupienie. Wtedy przebrała się miara. Bo najrozumniejszy i najwierniejszy wśród wyzwoleńców, Narcissus, postanowił cesarza wywieść z tego bagna i oczy mu na prawdę nagą otworzyć. Messalina nurzała się właśnie w nowych sen-

zacjach szczytu niesławy. W październiku r. 48 urządzano u niej święto winobrania; cesarzowa i inne kobiety, przebrane za bachantki, wyprawiały tańce i korowody przed Siliusem, przybranym w bluszczu zawoje. Nagle przyszła wiadomość, że cesarz, uprzedzony o wszystkiem, co zaszło, podąża do stolicy. Powstało tedy zamieszanie okropne, które w magistralny sposób Tacyt opisał. Cesarzowa chwyciła się ostatniej nadziei, aby swym widokiem rozbroić i zmiękczyć Klaudjusza, czarem swym go uśpić raz jeszcze. Ponieważ całe otoczenie pierzchnęło, ledwo znalazła w ogrodach Lukullusa prostą podwózkę do uprzątania śmieci, aby nią się puścić ku Ostji. Ale Narcissus, towarzyszący cesarzowi, tak go zaprzątnął rozmową i oskarżeniami, że wzrok Klaudjusza nie zatrzymał się nawet na zatrwożonej małżonce. Nastąpiły doraźne sądy i kaźnie na wszystkich współwinnych tej orgji, jako też poprzednich. Opisem śmierci Messaliny, która w ogrodach Lukullusa wiła się wśród trwogi śmiertelnej, a nie mogła się zdobyć na odwagę, by życiu kres położyć, kończy się jedenasta księga tacytowskich Roczników. Oficer, nasłany przez Narcissa, położył koniec wahaniom i zwłokom a cios ostateczny zadał zwalonej z wyżyn tronu i szałów kobiecie.

Zdarzenia te byłyby tragedją, gdyby one się nie rozgrywały na tak niskim poziomie moralnym i gdyby Klaudjusz, główna właściwie ofiara dramatu, umiał uszanować godność ofiary. Ale w tym człowieku do wszelkich dramatów przyczepiała się farsa, a epilog śmierci Messaliny również w farsę niebawem się przemienił. Dotknięty zawodami matrymonialnemi Klaudjusz odrzekł się narazie małżeństwa stanowczo, zapewniał pretorjanów uroczyście, że ponieważ związki małżeńskie mu się nie udają, pozostanie nadal w bezżeństwie, zaklinał ich, by go zabili, gdyby nie wytrwał w tem postanowieniu. Ale wyzwoleńcy uznali odrazu, że dla cesarza, nie znoszącego bezżeństwa i uległego małżonek woli — *cealibis vitae intoleranti et coniugum imperiis obnoxio* — nowe

śluby są konieczne. Zasiedli tedy do rady i poszli ze sobą w zawody, który z nich przyszłą cesarzową wybierze. Podaż i oferty były liczne, bo stanowisko było godnością ponętne, a przy takim mężu zapewniało szeroki zakres woli i nawet swywoli wybrance. Zmobilizowano wszelkie możliwe kandydatki, a raczej one się zmobilizowały; brano nawet te panie pod uwagę, które kiedyś już były żonami czy narzeczonemi Klaudjusza i na odstawce przeżuwały teraz słodkie wspomnienia dawnej chwały i chleb obecnej goryczy. W ręku wyzwoleńców wszechwładnych na dworze znalazł się los cesarza; ostatecznie ubiegł i pokonał innych Pallas i wprowadził swoją protegowaną, Agrippinę, na tron cesarski. Była ona wdową po Domicjuszu Ahenobarbusie, a siostrzenicą Klaudjusza; rodziła się bowiem z klaudjuszowego starszego brata Germanikusa i z pierwszej Agrippiny. Przez matkę, pochodzącą od jedynej córki Augusta, Julji, była prawnuczką cesarza Augusta, bratem zaś jej był Kaligula. Będąc tedy prawnuczką i siostrą byłych cesarzy, mogła snuć i roić górnolotne zamysły. A jeżeli wyzwoleńcy, mianowicie Pallas, zamierzali cesarzowi zapewnić oparcie i kierownictwo, to osiągnęli w pełnej mierze swe pragnienia. Agrippina bowiem zaważyła przeważną swą wolą nietylko nad życiem, lecz może i nad śmiercią swego małżonka. Jeżeli Messalina wyzyskiwała swe stanowisko w tym celu, aby drogi i bezdroża dla swego nierządu torować, to Agrippina rządu w pierwszym rzędzie zapragnęła, a wybryki jej obyczajowe chowały się za tem głównem dążeniem w półcieniu. *Cuncta feminae obediebant*, mówi o niej i następnych latach Tacyt; w występach publicznych zasiadała obok cesarza na tronie, wjeżdżała ze swym zaprzęgiem na Kapitol, rozszerzała ciągle zakres swego majestatu; bito nawet pieniądze z jej wizerunkiem. A w zanadrzu nosiła i pielęgnowała ciągle swój zamiar przewodni, aby zostać matką cesarza, aby Domicjuszem, urodzonym z pierwszego jej małżeństwa, wyprzeć Britannikusa, syna Klaudjusza i Messaliny i upa-

trzonego tronu zastępcę, z tego wysokiego stanowiska. Nie ustały prześladowania niewygodnych żywiołów i krwawe egzekucje, ale straciły tę cechę mściwości czysto osobistej, kobiecej, jaką miały za Messaliny; polityka odtąd je dyktowała i osłaniała. Coś jakby męska wola nadała piętno nowemu jarzmu, nałożonemu na Rzym i cesarza przez kobietę, i zapanowało to *quasi virile servitium*, o którem Tacyt z odrazą wspomina. Plany Agrippiny dojrzewały raźnie i gładko. W r. 50 adoptował Klaudjusz jej syna Domicjusza Nerona, którego odtąd zaczęto wysuwać przy wszelkiej okoliczności na plan pierwszy przed Britannikusem; w r. 53 ożeniono młodzieńczego Nerona z córką Klaudjusza i Messaliny, Oktawją. Jedynie Narcissus, wierny Klaudjuszowi, opierał się stale tym knowaniom. Ale gwiazda jego bladła coraz bardziej wobec rosnącej przewagi innego wyzwoleńca, Pallasa, który małżeństwo Agrippiny doprowadził do skutku. I w r. 54 śmierć nagła Klaudjusza rozwiała obawy Agrippiny, aby snać jej małżonek życzliwości swej stanowczo w stronę własnego syna Britannikusa nie zwrócił. Czy ta śmierć, która utorowała drogę Neronowi, była naturalną, czy też Klaudjusz padł ofiarą trucizny, podanej w grzybach przez żonę, dziś rozstrzygnąć niepodobna. Historycy do tego ostatniego przychylają się przypuszczenia, przybierając tak życie i zgon biernego, zawojowanego przez żony cesarza w najdramatyczniejsze sceny i przełomy.

* * *

Weseli spadkobiercy, dla których zgon ten otwierał bramy nowej świetności i upragnionej potęgi, postarali się o to, aby odjazd Klaudjusza w zaświaty odbył się okazale. Nastąpiła tedy apoteoza zmarłego, zaliczenie Klaudjusza w poczet bogów Rzymu; Agrippina przybrała jego pogrzeb w niezwykłą wspaniałość, a mowę żałobną, pełną ozdobności i chwalby, wypowiedział nowy, młodzieńczy cesarz, Nero. Autorem jej był

jednak słynny filozof Annaeus Seneka, który teraz na dworze do pierwszorzędnego doszedł znaczenia. Seneka, najświetniejszy umysł epoki, ciężkie miał przejścia za Klaudjusza rządów. Kiedy w r. 41 Messalina wypędzała siostrę Kaliguli, Julję Liwillę, z Rzymu, aby się pozbyć kobiety, która ją swą krnąbrnością i pięknością raziła, spotkał Senekę los podobny. Wygnano go na Korsykę, jako rzekomego tejże Julji kochanka; na dnie tej niełaski musiały się jednak ukrywać jakieś nieznane nam bliżej polityczne przeciwieństwa. Pozostał on na Korsyce lat 8, znosząc swe kaźnie z płaczliwością i brakiem godności, który mało przystaje do podniosłych jego nauk o hartownem zachowaniu się mędrca wśród dopustów fortuny. Kiedy jednak Agrippina zasiadła w r. 49 na tronie obok Klaudjusza, jednym z pierwszych objawów jej potęgi był akt łaski, przywoływujący Senekę z wygnania. Odtąd objął on kierownictwo nad wychowaniem młodego Nerona, a zaszczyty, godności, dostatki wynosiły go stopniowo na niezwykłe wyżyny. Równocześnie pismami swemi chciał on utwierdzać w Rzymie jakąś nową, wykwintniejszą kulturę, nową i wyższą moralność. Nie zbrakło tedy jego głosu wśród pogrzebowej chwalby Klaudjusza; z nieszczerych uczuć płynęła ona pod pióro Seneki, który zmarłego cesarza i nienawidził i lekceważył, a załamywać się musiała na równie nieszczerych ustach Nerona, który niewątpliwie z radością Klaudjusza do bogów zaliczał, ciesząc się, że mu jako człowiek już nie zawadza na ziemi. Żałujemy, że nam się ta mowa pogrzebowa, w której przesady pokrywały nieprawdę i brak prawdziwego natchnienia, nie zachowała.

Dzisiaj więc poznajemy i staramy się poznać istotę Klaudjusza z biografji Swetonjusza, który niestrudzony w zbieraniu anegdot, szczegółików, każdą postać historyczną rozkłada w drobne rysy, a z drobnych rysów całej postaci złożyć nie zdoła. Poznajemy go dalej z greckiego autora, piszącego w trzecim wieku po Chr., Cassiusa Diona, którego wielkie dzieło

o historji rzymskiej od początków aż do panowania Aleksandra Sewerusa zachowało się nam w ułamkach lub wyciągach; dowiadujemy się z niego dosyć wiele o rzeczach, mniej o ludziach. Postawić, zrozumieć historycznej postaci on nie zdoła zajrzeć w głąb duszy nie ośmieli się, ani potrafi. Uświetnienie opowieści retoryczną sztuką jest dla niego ważniejszem zadaniem, niż rozświecenie tajników duszy i zakrytych sprężyn działania i dziejów. Przed Dionem jednak, w początku drugiego wieku, pisał Tacyt w swoich Annalach o Klaudjuszu. Z wyjątkiem rozdziałów, dotyczących pierwszych lat panowania, całe to przedstawienie posiadamy. Tacyt oczywiście zapuścił i przy Klaudjuszu swą sondę psychologiczną we wnętrze człowieka, lecz tu osiadała ona na płytkiem dosyć podłożu, ślizgała się i błądziła po krętych i spaczonych zaułkach tej duszy, natrafiała na śmieszności, których Tacyt wytknąć się nie odważył, bo śmiać się nie umie i śmiechu nie rozumie. On lubił się zmagać z tajemniczemi postaciami, jak Tyberjusz, przy którym należało gwałtem zdzierać zasłonę z ukrytych sprężyn działania, lub z osobistościami demonicznemi, w których znieprawienie, jak w Neronie, nadludzkie przybierało rozmiary. Przytem Tacyt jest mistrzem w śledzeniu i przedstawianiu, jak historyczne postacie staczają się pod wpływem wypadków i własnych, coraz bardziej wybijających się instynktów, na niziny upadku czy upodlenia; on jest historykiem rozwojów. Tymczasem Klaudjusz wstąpił na tron już jako człowiek pięćdziesięcioletni. Był on wprawdzie wtedy niezupełnie rozwiniętym, ale ten brak był u niego organicznym istotnym, niedowarzenie pewne i niezupełność w złem czy dobrem były znamionami rdzennemi tej postaci. Chwiał się on ciałem i duszą na wsze strony; rozwoju stopniowego i stałego, czy to w złym czy w dobrym kierunku, nie zaznał. Zrozumieć jego wahań nie było łatwo przez samą analizę tej biernej psyche; obce wpływy dawały dopiero klucz do rozwidnienia wszelkich zdarzeń i przeobrażeń tego panowania i pa-

nującego. Tacyt zamierzył pisać dzieje *sine ira et studio*, ale wtedy właśnie był dopiero wielkim i świetnym historykiem, kiedy święty gniew kierował jego piórem, kiedy ostremi wyrazami, które się wgryzały niekiedy jak klątwy, wrzynał się w rdzeń i istotę kreślonych przez siebie postaci. W Klaudjuszu tymczasem spotkał osobistość, która czasem współczucie, czasem znów ironję mogła podniecać i natchnąć; a współczucie i ironja nie leżały w naturze i talencie twardego i ponurego Tacyta. Święty gniew wobec Klaudjusza zawodził stanowczo.

Na ironję w charakterystyce zmarłego cesarza zdobył się zato ktoś inny i prawdziwie nielitościwie, zbyt nielitościwie, postać tę nią wysmagał. Wśród pism filozofa Seneki zachował nam się krótki pamflet, wierszem i prozą naprzemian zaraz po Klaudjusza zgonie spisany. Autor skreślił nam w nim pośmiertne cesarza losy, jego przyjęcie w zaświatach i ubóstwienie. Ale nie *apotheosis* nazwaną ta satyra, lecz *apokolokyntosis*, co znaczy przedynienie, metamorfozę w dynię. Dyniowatymi nazywano bowiem niekiedy ludzi o wielkiej, wodnistej głowie, głupkowatych. Tytuł już świadczy o nastroju i dążności utworu. Przedstawiono tu więc, co się działo wśród niebian w dzień śmierci Klaudjusza, t. j. 13-go października r. 54. Parki przecinają nić jego żywota i zaczynają snuć złotą przędzę nowego panowania, przyczem Neronowi nie poskąpił autor pochlebstw nadmiernych. Następnie pojawia się Klaudjusz w niebiosach. Idzie krokiem chwiejnym, potrząsając głową, a na pytania daje tak niewyraźne o swej osobie odpowiedzi, że bogowie rozpoznać nie mogą, co on zacz i skąd się pojawia; wreszcie polecają Herkulesowi, aby jako bywalec, znający tyle krajów i narodów, wybadał przybysza i rozpoznał jego pochodzenie. Ten więc wyciąga z trudem z Klaudjusza odpowiednie zeznania. Następuje narada senatu niebiańskiego, aby powziąć uchwały co do przyjęcia nowego członka. August, który także po śmierci ubóstwienia się do-

czekał, ze zasadniczą występuje opozycją. Wyrzuca on Klaudjuszowi rozliczne morderstwa, któremi tenże za życia się splamił, a przemowa jego ma ten skutek, że Klaudjusz, wykluczony z grona niebian, musi poprzez ziemię do podziemi, ostępu zmarłych śmiertelników, kroki swe skierować. Droga tam prowadząca przez świętą idzie ulicę, *Sacra via* Rzymu. Postępują więc tamtędy Klaudjusz z Merkurym, ale natykają się właśnie na tłumny pogrzeb Klaudjusza. Po przepychu poznać było odrazu, że to boga wynoszą i grzebią. Dziwna jednak przy obchodzie panowała wesołość, jedynie adwokaci, towarzysze pieniactwa i znojów cesarza, zalewali się łzami. »Kiedy Klaudjusz zobaczył swój pogrzeb, powiada autor, zrozumiał, że umarł«; tak silnego argumentu potrzeba było na pouczenie tego, który żył jakiemś półżyciem. Przez *campus Martius* idzie on wreszcie *ad inferos*, do Tartaru. — Wychodzą tu naprzeciw niego wszystkie jego ofiary i złorzeczą nowemu przybyszowi, że ich pobyt w podziemiach przyspieszył. Klaudjusz aż woła po grecku: roi się tu od przyjaciół, spostrzegłszy to liczne towarzystwo, którego najprzedniejsi członkowie nazwani w satyrze po imieniu. Mamy tu przegląd ofiar przed siepaczem, jak w *Ryszardzie Trzecim* Szekspira, tylko że w naszej satyrze sarkazm, nie groza, wizji tej towarzyszy. Wreszcie odbywa się drugi sąd ostateczny i Klaudjusz przyznanym zostaje na sługę sędziemu podziemnemu Aeacusowi. Ten znów oddaje go w służbę swemu wyzwoleńcowi z tem przeznaczeniem, aby śledztwa w Tartarze przeprowadzał. A więc zmarły cesarz ma tu nadal sądami się parać i po zgonie nawet być wyzwoleńca pachołkiem.

Jest to farsa ze śpiewami, prawie operetka, w której bogi i cesarze, żywi i umarli z równą swywolą i ironją są traktowani. Pamflet to pełen morderczej złośliwości; morderczość jego o tyle dziwniejsza, że człowiek na cel napaści brany, już nie był przy życiu. Autor więc herosa, który doznał apoteozy, boga chce nim uśmiercić. Mściwość jego się-

gła zaświatów; sarkazm i ironja główną są bronią, a wiadomem, że sarkazm ciągły bywa znamieniem dusz, które więcej o swojej osobie, o swoich myślą urazach, niż o sprawie, pisarzy, w których gorycz osobista przeważa nad rzeczy ogólnej miłością. Zabawić ta satyra zdoła, ale ostatecznie pewien niesmak, jako osad, pozostawi w duszy czytelnika. A szacunku dla autora, którym był niewątpliwie wielki i namaszczony kaznodzieja moralności, filozof Seneka, w nas nie powiększy. Był to akt zemsty na zmarłym Klaudjuszu, połączony z uniżonym hołdem dla wschodzącego słońca, Nerona. Nie było pięknem ze strony Seneki tak skopać i wyszydzić zmarłego i nie było zbyt ostrożnem jego następcy tak pochlebne wywróżać horoskopy. Najbliższe lata pokazały, że smakosz kultury bez charakteru bywa dla ludzkości jeszcze szkodliwszym i zgubniejszym od człowieka niedokrzesanego. Po czternastu latach panowania Nerona nie mógł już Seneka w r. 68 ani wychwalić go mową, ani też satyrą wysmagać, bo na trzy lata przedtem wraz z innymi padł ofiarą okrucieństwa tego szaleńca, w którym ani filozofja, ani wyhodowany zmysł dla piękności i sztuki nie podniosły i nie uszlachetniły serca i sumienia.

Kaligula, Klaudjusz, Nero, dzierżący po sobie ster rządów nad Rzymem i światem — to trzy typy zwyrodnienia; degeneracja mózgu Klaudjusza względnie jeszcze najbardziej była niewinną i więcej może żartów wywołała i szyderstw, niż łez i krwawej żałoby. W dramacie, który się rozgrywa od Tyberjusza do śmierci Nerona, zakrawa klaudjuszowy epizod nieomal na komiczne intermezzo w rodzaju tych, któremi największy tragik ludzkości, Szekspir, łagodził i rozjaśniał ponurą grozę swoich historyj. Zdawałoby się, że prawdziwa, rzeczywista historja także potrzebuje niekiedy żartów i trefnisiów; myli się tylko w tych przypadkach, jeżeli ich nie na stopniach, lecz na samym usadowi tronie.

III

ROMANS Z CZASÓW NERONA

Kiedy po obejrzeniu wspaniałych ruin i budowli starożytnego Rzymu, które mówią do nas językiem pełnym majestatu i patetyczności, znajdziemy się nagle na bruku małej, zamarłej mieściny, wśród porujnowanych domków pompejańskich, starożytność przemówi do nas odmiennym tonem, głosem poufałym codziennego języka, lecz wrażenie nie będzie z pewnością mniej silnem, a wdzięczność za nie mniej gorącą. Bo jeżeli lubimy, żeby starożytność przemawiała do nas z wysokości dwudziestu wieków, to tych głosów mamy podostatkiem; ale tej starożytności, która o dwudziestu wiekach nie myślała, nie przybiera się w odświętne szaty, kamieni czy słowa dla potomnych, znamy dużo mniej, a to byłby ostatecznie ów duch ziemski, *der Geist der Erde*, który według Göthego jest bliższym nam i zrozumialszym. Z natury rzeczy przetrwało to wieki, co dla wieków było budowanem; wielkość jednak podnosi nasze uczucia, ale utrudnia poniekąd i mąci pojęcia i zrozumienie zamierzchłej rzeczywistości. I człowiekowi, przyzwyczajonemu do wielkich łuków Rzymu, do kolosalnych przestrzeni Koloseum, Palatynu i Termów, dopiero w Pompei otwierają się oczy na prawdę. Mury te mu opowiedzą, że kiedyś tu żyli tacy sami mniej więcej ludzie, jak my, że serce ich biło nie zawsze przy-

śpieszonem i podniosłem tętnem, że życie szło zwykłą, szarą koleją drobnych interesów i potrzeb, wśród których błyskały burze indywidualne, nie wstrząsające wprawdzie narodami, ale niemniej ciekawe, bo poruszające głębią jednego ludzkiego serca.

Takich Pompei potrzebowalibyśmy także w literaturze starożytnej, takich opisów codziennego, zwykłego życia z całą jego powszedniością i prawdą. I jakiś opis drugiej punickiej wojny poświęciłby może niejeden za szczegółowe opowiadanie, w jaki sposób w zwykłym zdarzeń toku, w najpowszedniejszym z dni powszednich, rzymski obywatel czas swój przepędził od poranku do późnej nocy. Nowożytny realizm po dwudziestu wiekach da to może przyszłym generacjom, da może więcej, niż mybyśmy i sama prawda na to zasługiwała, bo goniąc za rzeczywistością bezwzględną, uwydatnia on przedewszystkiem rzeczy, które w życiu się kryją, wyciąga na światło dzienne to, co szuka pomroku nocy; aby stopniować wrażenie prawdy, kreśli z lubością wybryki rzeczywistości i tem prawdę fałszuje.

Ale literatura starożytna daje nam w tym kierunku za mało. Życie na ulicy i życie publiczne górowało tu stanowczo nad życiem domowem, życie zbiorowe narodu nad duszą indywidualną; interes dla zacisza domowego i przełomów jednej ludzkiej istoty był słabym i nie znajdował dosyć uwzględnienia, ani oddźwięku. Dlatego też, nawet w spowiedziach listowych, sprawy, obchodzące ogół, przeważają stanowczo nad spowiedzią osobistą, z krzywdą samego listu i z wielką krzywdą naszą. W wynurzeniach zaś serca i w wynurzeniach miłosnych sztuczny ogień słowa nie oświeca, lecz owszem przysłania rzeczywiste serca zapały; retoryka, rozpanoszona w literaturze starożytnej, psuje akcenta prawdy i dźwięki indywidualne, pociąga twory różnych autorów pewnym zbyt jednolitym pokostem. Ta retoryka wyrządziła pewne szkody rzeczywistości, prawdzie i naszym interesom i ciekawościom,

szczególnie w literaturze rzymskiej. Wyrodził się tu ten ton koturnowy, który w historjografji nie pozwala się tykać powszedniości i kalać tą powszedniością, w epopei ludzi zbyt bogom równał, a bogów za często sprowadzał na ziemskich rzeczy arenę, w liryce żywe uczucia wlewał w zimne i ulane zgóry formuły i marzył o monumentach trwalszych od spiżu, tam, gdzie ten spiż nie pozwala nam dosłyszeć tętna indywidualnego serca. Daje nam więc ta literatura klucze do sal senatu i klucze do duszy zbiorowej narodu i zgromadzeń ludowych, odsłania jednak rzadko i ze zbyteczną oględnością i miarą to, co się działo w ludziach, którzy nie dla ogółu i historji, ale dla bieżącej chwili żyli i przedewszystkiem dla siebie. Mybyśmy zaś woleli nawet klucza nie mieć, gdyby nam było wolno przez dziurkę od klucza zajrzeć w te tajemnice, które dla naszego interesu mają prawie równą wartość, jak zburzenie Kartaginy lub podbicie Gallji przez Cezara.

1.

Taką dziurką od klucza, przez którą mamy patrzeć na społeczeństwo i życie, zamierza być i bywa romans w piśmiennictwie nowożytnem. Rola jednak przeważna, którą on dzisiaj odgrywa, jest objawem nowoczesnym. Ani dawniej, ani przedewszystkiem w starożytności nie dzierżył on tak pokaźnego stanowiska. Romans w literaturze greckiej pojawia się dosyć późno, już po aleksandryjskiej epoce, która kobietę wyzwoliła z dotychczasowego ukrycia w półcieniu i przed miłością roztworzyła naoścież gościnne podwoje literatury. Słyszymy o pewnym Arystydzie z Miletu, który żył może w drugim wieku przed Chrystusem, a napisał tak zwane *Milesiaca*, t. j. zapewne zbiór nowel dosyć wyuzdanego charakteru, które jednak się nie łączyły w żadną większą całość [1]. Po tej skromnej

[1] Por. art. Rohdego — *Zum griech. Roman.* »Rhein. Museum« 1893, str. 127 i 139.

przesłance musimy sięgnąć zaraz aż epoki cesarstwa rzymskiego, w której warstwa t. zw. sofistów usiłowała w upadającej Grecji i w całem rzymskiem imperjum wznowić czar greckiego słowa i wydała wędrownych mówców, którzy po różnych miejscach szukali zbytu dla swych zapałów, czy też sztucznych ogni. Czynność ich zwróciła się także w dziedzinę romansu. Powstały tedy długie opowieści Heliodora, Achillesa, Tatiusa i Longusa, opowieści o parach miłosnych, walczących z trudnościami życia, które dopiero po długich zabiegach usunąć się udaje. Są to romanse, opisujące nadzwyczajne przygody wśród piratów, czyhających na pieniądze lub cnotę, straszne niebezpieczeństwa, przez które cnota i wierność kochanków, trochę nudna i płaczliwa, przechodzić musi, zanim otrzyma swoją nieuniknioną nagrodę. Jest tu dużo ckliwości i melodramatu, pełno łez literackich i literackiego mazgajstwa, a bogowie, którzy niegdyś rozstrzygali szalę zwycięstwa na polach walki, wsłuchani tu są w westchnienia nieustanne nieszczęśliwych kochanków i zaprzątnięci wyłącznie ich losem. Owiane zaś to wszystko jakiemś pasterskiem tchnieniem, jakimś nastrojem bukolicznym, który ludzi zmienia w pasterzy, a pasterzom zupełnie zapominać pozwala, że dobry pasterz strzeże owiec swoich. Brak rzeczywistego gruntu pod nogami wszędzie też czuć się daje; niepodobna w tych romansach określić, w jakim czasie i w jakim rozgrywają się kraju, bo wszystko tu oderwane od czasu i przestrzeni dzieje się jakoby w jakiemś erotycznem empyreum. Ta sama nieokreśloność uderza w obrazie obyczajów. Wszelkie kontury się zlewają, żadna wyrazista postać, o wybitnie narysowanym charakterze, nie wyłania się z tego morza wynurzeń i westchnień, które falują w nieskończoność.

W Rzymie słyszymy, że w pierwszym wieku przed Chrystusem, w epoce Sulli, historyk Cornelius Sisenna obrobieniem opowieści milezyjskich o luźnym związku i luźniejszej jeszcze moralności chciał rozchmurzać czoła poważnych kwi-

rytów. Całkowity jednak romans, zachowany w zupełności, posiadamy dopiero ze schyłku drugiego wieku po Chrystusie, epoki Antoninów. Mam tu na myśli *Metamorfozy* Apulejusa, długą fantastyczną opowieść, w której młodzieniec Lucius, zamieniony przypadkiem w osła, kreśli zwyczajne i nadzwyczajne przygody przed zdumiałym czytelnikiem. Mamy tu serję awantur, których teatrem są groty piratów, czarami napełniona Tessalja; wszystko obraca się w sferze cudownej lub cudacznej. Akcentów życia i rzeczywistości równie tu mało, jak w romansie greckim, autor buja swawolnie w dziedzinie możliwości i niemożliwości, a długi szereg przygód nie powiązany jednolitością duszy bohatera, lecz raczej tylko jednolitością osoby, lub raczej nazwiska. Romansu więc, w naszem znaczeniu tego wyrazu, nie znajdujemy u Apulejusa, podobnie jak w Grecji.

Czyżby więc starożytność na opowiadanie, zaczerpnięte wprost z życia, i prawdą i życiem tryskające, zupełnie zdobyć się nie miała? czy romans w jej pojęciu wyłącznie miał się trzymać fantastycznej dziedziny czarów lub urojonych scenerjj? Zdawaćby się to nam mogło, gdyby nam los nie zachował całej wiązki ułamków romansu łacińskiego, który tętni życiem i prawdą. Romans ten powstał zapewne w epoce Nerona, a do największych strat piśmiennictwa zaliczyć należy, że nam się nie zachował w całości. Wcześnie mianowicie zaczęto zeń robić wyciągi, a te wyciągi sprawiły, że może już w siódmym wieku po Chr. całość zaginęła. Aż do siedmnastego wieku nieliczne te ułamki mało na się ściągały uwagi; kiedy jednak w roku 1650 odnaleziono w Trau, w Dalmacji, nieznaną część opowieści, t. zw. ucztę Trymalchjona, interes dla tego zabytku wzmógł się niepomiernie, a odtąd spada lub rośnie według usposobienia idących po sobie pokoleń. Bo popularność większa lub mniejsza starych autorów zależną jest od ducha każdej epoki, a zarazem jest tej epoki miarodajnym probierzem i określnikiem.

Romans ten, przez autora łacińskiego spisany, rozgrywa się w Italji. Pisarz żył niewątpliwie w epoce Nerona i dzieło nosi na sobie niektóre cechy tej epoki. Na czele państwa stał wtedy ten histeryczny czy rozgrymaszony dzieciak, który świat cały uważa za wielką kopalnię wrażeń i sensacyj dla siebie, ma szał Cezarów bez Cezarów ambicji, którą on zaspakaja w drobnej monecie zdawkowych triumfów, aktorskich, muzycznych lub cyrkowych. Wszystko on wyzyskiwa na korzyść nienasyconej swej ciekawości i zużytej wrażliwości. Służą do tego i szały pospólstwa i męczarnie bliźniego, służy nauka i sztuka, która schodzi na stanowisko królewskiego trefnisia czy błazna, wielkiej ochrony i obrony przed straszną próżnią i nudą. »Filozofów, powiada Tacyt, przypuszczał do siebie po uczcie, aby spory ich i kłótnie były dla niego rozrywką. A nie brakło takich, którzy twarze poważne nadstawiali na uciechę panującego« *(Annales, 14, 16)*. Jest on estetykiem i tylko estetykiem i idzie w tym kierunku tak daleko, że ofiary katuszy mają mu się grupować według arcydzieł sztuki, że Rzym gorejący budzi w nim literackie wspomnienia i przynosi poetyczne natchnienia. Moralności w nim żadnej nie dopatrzysz; człowiek, który podziwiał, według pogłosek, skulpturalne kształty zabitej przez siebie matki, zna tylko estetykę jako przewodniczkę w życiu, a zmysły są dla niego jedynym duszy organem. Estetyką tą przesycił się on i upoił, doprowadziła go do delirjum i snów chorobliwych, że cezarowska wola nie ma żadnych więzów, że może być rozuzdaną i w rozuzdaniu szukać wszelkiego zaspokojenia popędów, które stały się jedynym wyrazem chorobliwej energji. Świat cały był dla niego igraszką, nie budził w nim poszanowania, ani wyrzutów, bo Cezar patrzał nań przez pryzmat własnej duszy i nie dopatrzył w nim niczego, coby go zawstydzić lub korcić mogło. Swetonjusz przypisuje mu (r. 29) zdanie, że niema wstydliwego człowieka na ziemi, a rzekomo cnotliwi udają i kryją podstępnie swe występki.

Ta absolutna próżnia moralna dosięgała z góry i w głąb społeczeństwa, a dowodem tego jest autor, który nakreślił nasz romans. Przesuwają się w nim przed nami różne sceny, z których niektóre wstrząsają swą rozwiązłą ohydą, ale w stylu nie znać ani drgnięcia pióra, któreby zawahało się przed słowem lub czynem zbyt drażliwym; przez opowieść romansu dojrzeć można twarzy autora, który z uśmiechem roztacza przed nami nędzę i ułomności ludzkie, a ma przeświadczenie, że jedni kałużę odwaniają perfumem, drudzy kalają się w zwykłem, grubem bagnisku, ale ostatecznie bez błota niema życia i użycia. To bezwzględne przebaczenie tryska z każdej linji tego autora, który życie i świat uważać musiał jako wielką farsę, w której przewodnia rola dostała się Neronowi. *Vanitas vanitatum* powtarzają natury silne, aby się podnieść ponad marności i drobnostki codzienne, ma to być dla nich hasłem górującem nad nędzą życia i hasłem wyższego lotu; *vanitas vanitatum* powtarzają też natury zużyte i zmęczone, które głoszą wszystko marnością, aby stwierdzić jałowość wszystkiego, co się rwie ku górze, a siebie samego i innych strącać na poziomy, do równości i zbratania się w nikczemnej powszedniości. Autor ten żadnej z pewnością moralności ani znał, ani wyznawał. Teorja Nerona co do ludzi ograniczona jest w romansie do zdania o kobietach; niema kobiety wstydliwej, którąby pokusie oprzeć się zdołała (c. 110). W rzeczywistości z pewnością autor rozciągał ten sceptycyzm moralny i na drugą połowę ludzkości. A obok tej próżni występuje tu znów cała pełnia estetycznego i literackiego wykształcenia, dobry smak wyrafinowany, objawiający się w uśmiechu autora, który zawisł nad dziełem, kiedy opisuje rozkosze i uciechy literatury i sztuki, jej błędów i upadków, cała subtelność człowieka cywilizowanego, któremu jedyną gwiazdą przewodnią w życiu, przyświecającą rzadziej na prostych drogach niż na manowcach, jest dobry smak i wyrafinowana elegancja.

Na manowcach, i to przeważnie najgorszego gatunku, rozgrywa się jego romans. Niema tu ani jednej osoby szanownej lub choćby tylko obojętnej pod względem moralnym. Odpowiednio do swego sceptycyzmu i do swojej bezmoralności, przesuwa nam autor przed oczyma cały szereg osobistości, które w wyższym lub niższym stopniu dojrzałe są do kryminału, u których błogosławieństwo wolności stopniowane jest uczuciem, że uszły dotąd kary, na którą zasłużyły w pełnej, lub mniej pełnej mierze. W każdej z nich odrazu lub w toku opowiadania dojrzeć można robaka, który napoczął lub toczy ich dusze. Jakaś woń zepsucia osiadła nad całą opowieścią i przesiąknęła wszystkie jej zwroty i przełomy. A umieszczono to wszystko w tym miękkim krajobrazie południowej Italji, wśród cudów przyrody i raju, z którego nawet liczne upadki ludzi nie wypędzały.

Z pierwszemi scenami zachowanemi opowieści dostajemy się nad Neapolitańską zatokę [1]. Miejsce to dla Italji odgrywało tę samą rolę, co dla dzisiejszej Europy pełna czarów i przynęt Riviera. Szlachetniejsze umysły, jak Cycero, szukały tu pociechy i podniety, wypoczynku po trudach życia, poziome — uciechy wśród trwonienia czasu, pieniędzy i zdrowia. Dzisiaj nad całym krajobrazem zawisł słup dymu Wezuwjusza, piętrzącego się nad ofiarami swego gniewu, dym, który jak żałobny pióropusz to rozpieszczone miejsce uwieńczył jakąś grozą posępnych wspomnień i złowrogiej obawy. Za Nerona czasów Wezuwjusz jeszcze drzemał i uchodził za niewinną górę, jak inne; u stóp jego rozsiadły się gęsto stare greckie miasta i nowe pełne wytworności wille. Na podkładzie greckiej cywilizacji przetykał tu rzymski dobrobyt swe

[1] Czy romans rozgrywa się w Cumae, jak myślał Mommsen, czy w Neapolu, to jest ostatecznie rzeczą podrzędnej wagi: w ostatnich czasach przemówił Klebs (»Philologus«, Supplementband VI, 1894, str. 679) za Puteoli.

złociste włókna; umysłowości dwóch narodów ścierały się z sobą i wytwarzały ten żywszy bieg myśli i uczucia, jaki zawsze z takiego starcia wypływa; a wreszcie spotykały się tu dwa zepsucia, jedno upadłych Greczynów, którzy tu w godziwy i niegodziwy sposób, podstępem i przebiegłością, przebijali się przez życie, lub błyskotliwością nagromadzonego majątku chcieli zakryć ciemności niskiego pochodzenia i krętej drogi, którą do majątku doszli, i drugie zepsucie upadających lub upadłych już Rzymian, nacechowane pewną nudą człowieka, usuniętego niedawno od życia publicznego, i pewnem zatyciem w kwietyźmie i dobrobycie.

Autor każe nam się obracać wśród niskich rodem i moralnością osobistości, wśród wyzwoleńców i niewolników, ale w tych mętach dolnych odbijały się także swym wpływem męty górne, ludzie ci żyli i oddychali podobną atmosferą, jaka wtedy zawisła nad światem, a tylko odcienie i różnice w wykonaniu oddzielają ich od tego, co nad nimi w wyższym odbywało się stylu. Tych wyzwoleńców, którzy z niewolnictwa za łaską swych panów lub państwa wkraczali do praw półobywatelskich, było już dużo za republiki, warstwa ich stawała się z dniem każdym liczniejszą za cesarstwa. Napływało z nimi do społeczeństwa pełno obcych, szczególnie wschodnich żywiołów, pełno talentów, ale i przewrotności i pyszalstwa. Miodowe miesiące z wolnością upływały im albo wśród upojenia, prowadzącego do wybryków i swywoli, albo na frymarczeniu zdolnościami, które zapewniały im wpływy i znaczenie, albo na rozpościeraniu bogactw i odgrywaniu roli królów z chłopa powstałych, przyczem chłopska dusza przezierała nieraz przez szkarłaty królewskie. Długoletnie upodlenie niewoli zrobiło ich giętkimi na wszelkie usługi i posługi, śliskość i luźność pojęć, których żadna tradycja nie wiązała ani ustaliła, zdolnymi wszelkiej niegodziwości, a zdolności i spryt wschodni czy grecki zapewniały im poklask i powo-

dzenie wśród społeczeństwa [1]. Dlatego też we wczesnej dobie cesarstwa zadziwiali oni Rzym z kolei raz zręcznością w wybijaniu się na wierzch, drugi raz bezczelnością w brodzeniu po kałach, słowem, byli najświetniejszymi awanturnikami epoki. »Przyszedł do naszego miasta — mówi Trymalchjon w naszym romansie — Greczyn, nazwiskiem Sarapa, istny bogów doradca. Opowiedział mi nawet to, o czem dawno zapomniałem, i to jakby po sznurku; wnętrzności moje przejrzał na wylot, ledwie że mi nie obwieścił, co jadłem wczoraj. Myślałbyś, że, wiecznie ze mną pod jednym przebywał dachem«. Oto obraz wierny tych Grekulusów śliskich, pewnych siebie na najbardziej śliskim gruncie i wślizgujących się tysiącznemi sposobami w łaski tych, o których łaski dbać było warto.

Bohaterowie romansu mają po największej części greckie nazwiska, są więc nietylko mieszańcami niewoli i wolności, lecz i mieszańcami wpływów obu starożytnych cywilizacyj, z których jedna, przeżyta i więdnąca, wydawała jeszcze dużo starych dzieci, rozbawiających świat czarem greckiego słowa lub błyskami dowcipu, druga, kąpiąca się w dobrobycie i używaniu, wykazywała tylu młodych starców, łaknących coraz nowych wrażeń i sensacyj dla stępionych użyciem zmysłów. Nazywają się oni Enkolpios, Askyltos i Giton, a pierwsze zaraz sceny nam zachowane ukazują ich we właściwym ich żywiole wśród powietrza przesyconego nieczystością i wyziewami zepsucia. Zazdrość Enkolpiosa i Askyltosa o chłopca Gitona zatruwa pożycie tej dobranej i godnej siebie pary. Ten Enkolpios jest typem człowieka o pełnej głowie a pustem sumieniu i sercu. Umie on doskonale rozprawiać o sztuce i wymowie, kocha się w Wergiljuszu i starych obrazach, wie doskonale, co jest przyczyną upadku artystycznego i literackiego w jego czasach. Słowem, rozróżnia nadzwyczaj trafnie rzeczy piękne

[1] Por. o tej warstwie społeczeństwa Friedlaender: *Sittengeschichte Roms* (5 wyd.) I, str. 348.

od rzeczy brzydkich, zmysłu jednak dla rozróżnienia złego od tego, co dobre, absolutnie nie posiada. Z bankructwa moralnego wyniósł on tylko smak estetyczny jako jedyną w życiu busolę. Opowiada nam on swe czyny lub wybryki z czołem wytartem, jak wyszarzałe sumienie, jest najświetniejszym dowodem, że Muza nie jest zawsze uświęcającą kapłanką, lecz może być także rozwiązłą heterą, że głową można sięgać Parnasu i Helikonu, a mimo tego nogami grzązć w błocie, że cywilizacja bywa przypiętym, noszonym na okaz kwiatkiem, który do serca nie puścił korzeni.

Bohaterowie nasi mają już sporo przewinień na sumieniu i grzbiecie, skoro my się z nimi poznajemy. W części zachowanej przesuwają się teraz przed naszemi oczyma rozmaite sceny, bardzo mało budujące, szereg awantur miłosnych, jeżeli wyraz miłość na takie poniżenie pozwala, opisanych z prawdziwie nagą bezczelnością. Bo romans sam jest serją scen powiązanych ze sobą przez tożsamość bohaterów, należy do kategorji tych opowieści, które Francuzi nazywają *romans à tiroirs*. Po rozmaitych przejściach udają się ci dobrzy towarzysze do wzbogaconego wyzwoleńca, Trymalchjona, na ucztę. Opis tego festynu, całkowicie nam zachowany, jest perłą literacką pierwszorzędnego znaczenia. Powrócimy do niego niebawem. W następnych partjach wysuwa się obok dotychczasowych osobistości nowy typ na pierwszy plan opowieści. Jest to poeta Eumolpus, chorujący na słabość wieku, niewstrzemięźliwość literacką, *litterarum intemperantia*, o której mówił filozof Seneka. Czasy Nerona cierpiały na hiperprodukcję poetów i wierszy, a sam cesarz folgował tej manji tuzinkowych utworów o tuzinkowem natchnieniu[1]. Poezja Augustowska pozostawiła po sobie całe szeregi utuczonych i urobionych frazesów, a z gotowego tego arsenału zapożyczali

[1] Por. Thomas: *L'envers de la société romaine d'après Pétrone*. Paris, 1892, str. 45.

późniejsi nietylko strzały Kupidyna, lecz i ciężkiego kalibru groty, któremi walczono w epicznych walkach i walono potężne mury trojańskie. Po takich mistrzach słowa, jak Owidjusz, zadanie czeladników-dyletantów było nadzwyczaj ułatwione. Wjeżdżano na szczyty Helikonu utartą i wyżłobioną koleją, epigony dosiadali Pegaza z pewnością siebie i otuchą, że go poprzednicy ujeździli doskonale.

Toteż pierwsze wieki cesarstwa poetyzują zawzięcie. Sam autor naszej powieści co chwila wykoleja się z prozy i urozmaica wierszykami tok opowiadania na wzór Greka Menipposa, który tę mieszaninę prozy z poezją do literatury wprowadził. Ale typem tej niepowściągliwości wierszowej jest poeta Eumolpus. Stary on i ubiorem swoim nie przynosi Apollinowi zaszczytu; ani jednak wiek, ani przewiewność szat jego nie wyziębiły w nim natchnień, któremi niepokoi ludzi bezustannie, w kąpielach, przy ucztach, po spacerach publicznych, z których nawet kamieniami go odganiają. Jest to instrument o bardzo szerokim regestrze: na zawołanie ma się od niego okolicznościowe wierszyki lub całe epopeje. Enkolpios, znękany troskami miłosnemi, idzie do galerji obrazów, aby tam wrażeniami artystycznemi się pokrzepić. Tu spotyka owego poetę, który mu tłumaczy tajemnice sztuki i przyczyny jej chwilowego upadku, a na widok obrazu, przedstawiającego palącą się Troję, całym poematem trojańskim go raczy. Enkolpios zniecierpliwiony jest z początku nową znajomością, grożącą mu takim zalewem wierszowym. »Mniej niż dwie godziny ze mną obcujesz, powiada, a częściej poetycznie niż po ludzku do mnie przemawiałeś. Nie dziwię się więc, jeżeli cię lud kamieniami raczy. Ja także wezmę do tłomoka kamieni, aby, ilekroć zaczniesz majaczyć, krwi ci upuścić z czerepa«.

Ale mimo tego nieporozumienia początkowego, bratnie dusze zrozumiały się jednak. Bo Eumolpus, mimo swych zachwytów poetycznych, mimo lirycznych wynurzeń nad swo-

jem ubóstwem i mimo bardzo niepospolitych sądów o stanie umysłowym epoki, ma bardzo pospolite niedomagania, rozmaite grzechy przeszłości w zanadrzu, które na przyszłość jeszcze pozwalają w nim miłego wietrzyć towarzysza. Opowiada on szczegóły ze swoich pedagogicznych annałów, bardzo mało budujące, które są dowodem, że nasz poeta nie u samych Muz szukał kiedyś pociechy i nie im jedynie bił pokłony. »*Dignus est intrare*« mniema hultajska spółka, i odtąd losy jego wiążą się z dalszemi perypetjami powieści.

W dalszym tym ciągu spotykamy poetę z Enkolpiosem i Gitonem na okręcie; uciekają przed furjami, tym razem wcielonemi w stróżów bezpieczeństwa. I tu dla nich niema spokoju i wytchnienia; na okręcie bowiem spostrzegają osoby, przeciwko którym dawniej przewinili ciężko. Poeta Eumolpus szuka dróg wyjścia z okropnego położenia, łagodzi gniewy i mściwe uczucia, a ostatecznie rozbraja całe towarzystwo opowiadaniem, godnem Diderota, o matronie z Efezu, której budująca cnota w bardzo niebudujący sposób została zwalczoną. Myśl, że niema fortecy niezdobytej na ziemi, powiew zepsucia, wiejący z opowieści, rozbraja powaśnione towarzystwo i skłania do bardzo daleko idących ustępstw i kapitulacji. Tymczasem jednak wiatry wzburzone zaczynają miotać okrętem i ta burza inauguruje ostatnią z zachowanych nam części powieści. Jedni się topią, Enkolpios i Giton uchodzą z życiem, ale trudno im pociągnąć za sobą poetę, którego burza tak natchnęła, że go oderwać nie można od poematu, którym »w progu śmierci« grozę żywiołów opiewa. Enkolpios gwałtem wyciąga go nareszcie na ląd stały z toni fal i powodzi wierszy, które podwójnym grożą zalewem.

Burza, jak się niebawem pokazało, zagnała ich aż pod Krotonę, prastare miasto greckie w Italji. Tutaj rozgrywają się ostatnie sceny w zachowanych fragmentach powieści. Pozbawieni chudoby i wyratowani od zagłady awanturnicy, przemyśliwują o nowym sposobie powodzenia. Postanawiają więc

wyzyskać namiętność, która w powieści często jako panująca żądza epoki bywa przedstawianą, jako przyczyna upadku sztuki i nauki, — niepohamowaną żądzę pieniędzy. Ta namiętność objawiała się między innemi w gorączkowem polowaniu na spadki. W Rzymie, gdzie bezżenność i bezdzietność była dawną i starą plagą społeczeństwa, rola dla tego rodzaju przemysłowców była bardzo wdzięczną. Obierano sobie jakiego zużytego Nababa lub pieniężną damę za cel swoich zabiegów i na wszelki sposób starano się pozyskać ich łaski. Posyłano im podarunki, łakocie, pielęgnowano ich w słabości; zręczni pochlebcy myli ich nawet, ucierali im nosy, jak opowiada Owidjusz. Położenie takich bogaczów było więc godnem pozazdroszczenia. Udany kaszel i sztuczne omdlenia działały podniecająco, bo otoczenie, widząc w tem wróżby śmierci zdwajało swe zachody i daniny. Bezdzietność uchodziła za nadmiar szczęścia. Seneka, pisząc do pewnej matki, która syna straciła, pociesza ją tym szczególnym argumentem, że bezdzietność daje w Rzymie więcej wpływu i znaczenia.

Nasi podróżni zmierzają tedy do Krotony, a u wstępu spotykają jakiegoś miejscowego obywatela, który im kreśli obraz obyczajowy tego grodu. »W tem mieście, powiada on, sztuki ani wymowa nie kwitną, dobre obyczaje do niczego nie prowadzą, lecz cała ludność na dwie rozpada się połowy: jedni zastawiają sidła, a drudzy w nie wpadają. W tem mieście dzieci nikt nie chowa, bo ktokolwiekby miał własnych spadkobierców, tegoby ani na uczty, ani na widowiska nie wzywano, odsuwają go od wszelkich przyjemności, słowem, marnieje haniebnie. Ci zato, którzy nie ożenili się nigdy, ani bliskich nie mają krewnych, dostępują najwyższych godności, uchodzą za dzielnych żołnierzy, tęgich i nieskazitelnych obywateli. Wejdziecie do miasta, jakoby do zapowietrzonych włości, w których nikt inny nie przebywa, prócz ścierw szarpanych i kruków je szarpiących«.

Wymowna ta i na Rzym współczesny ukuta elukubracja

budzi w przebiegłej głowie Eumolpusa świetne pomysły. Położenie to należy wyzyskać. Spółka więc rozdziela role pomiędzy siebie: Eumolpus odtąd udaje Nababa, który, syna straciwszy, puścił się w podróż dla szukania ulgi i pociechy; towarzyszący wyzwoleńcy przyjmują rolę sług jego. Eumolpus jest wielkim panem, który w Afryce w ziemiach i kapitałach ogromne posiada zasoby, a tylu niewolników, że Kartaginę mógłby z ich pomocą zdobyć, gdyby go nie uprzedzono w tym względzie. Kaszle często, skarży się na żołądek, wyrzeka na potrawy. Widocznie już mu niedługo wiekować na świecie. Postanawia w dodatku co miesiąc testament swój zmieniać, aby ciągle nowe budzić nadzieje i coraz to świeże ofiary trzymać na uwięzi.

Toteż nowym przybyszom zaczyna się dziać bardzo dobrze, tak dobrze, że aż o tem opowiadać trudno. Zresztą ułamki opowieści urywają się wśród tych krotońskich awantur.

2.

Na tle tych dziwactw i pół-prawdopodobnych przygód rysują się jednak wszędzie w wielkiej części prawdopodobne postaci. Mimo przesady i karykaturalności, przed którą autor się nie sroma, czuć jednak tu wszędzie ziemię, po której ci ludzie chodzą, a dojrzeć można epokę, w której żyli i żyć mogli. I w tem leży znaczenie i śmiałość kroku autora, że w osnowę romansu, który w starożytności bywał zawsze wytworem nieokiełznanej fantazji, kreślącym mgliste postacie w mglistej atmosferze i na tle nieuchwytnem, wplótł motywa i osobistości tak ziemskie, że aż bywają czasem zbyt poziomemi, że narysował je tak pewnemi rzutami słowa, iż stają przed nami z krwią i kościami i wrażają się w oczy i pamięć.

Pod tym względem więc możnaby nazwać opowieść

autora romansem realistycznym. Ale romans realistyczny nie z samym człowiekiem ma do czynienia; owszem, wciąga on w zakres swego przedstawienia, swej analizy, całe otoczenie martwe, które tysiącem więcej lub mniej określonych wrażeń wpływa na duszę, a z drugiej strony maluje nam upodobania i skłonności człowieka, który wśród niego zamieszkał. Realizm ten wszystkie włókna ukryte, łączące ludzi z rzeczami, uwydatnia i bada. Otóż i pod tym względem romans ten jest ciekawy, prawie jako pierwszy tego kierunku objaw [1]. Mamy bowiem w nim jednę postać, całkowicie wykończoną, wyrzeźbioną, narysowaną na tle domu, ubiorów, służby, całego otoczenia, postać tryskającą życiem, bogatego parwenjusza, Trymalchjona.

Wyłania się on jako zupełnie coś nowego w społeczeństwie rzymskiem. Rzym stawał się za cesarstwa stolicą świata, tracił swój dawny rodzimy charakter, przez napływ obcych żywiołów kosmopolitował się stanowczo. Wielkie to miasto ze swoim przepychem ściągało masę obcych przybyszów, potrzebowało wielkiej liczby niewolników, którzy w nagrodę swych usług otrzymywali wyzwolenie, a jako wyzwoleńcy sprytem swoim wschodnim i przebiegłością dochodzili do wielkich majątków i znaczenia. Obok obywatelstwa rzymskiego stanęła tedy wielka masa takich osobistości, które żadnej nie miały tradycji w czasie ani miejscu, dla których przeszłość nie znaczyła nic, przyszłość w mglistych jeszcze malowała się barwach, zato teraźniejszość była wszystkiem, wiązała je do siebie błyskotliwym węzłem majątku, tysiącem przynęt i sposobów używania i rozkoszy, fanatycznem przywiązaniem do życia, które po dniach ciemnych, potomków całych pokoleń, pełnych poniżenia, wywyższyło naraz i śmiechem rozkoszy i bogactw uśmiechnęło się do nich. *Opes libertinae* [2], bogactwo wyzwo-

[1] Por. Thomas: *Le réalisme dans Pétrone*, Gand, 1893.
[2] Martialis: *Epigr.* V, 13, 16.

leńców weszło niemal w przysłowie, bo ci pół-Rzymianie wszelkiemi sposobami olśnić starali się otoczenie wystawą swych zasobów i mienia. Byli to Rastakuerzy starożytności, na których rodowity patrycjusz patrzał z taką pogardą, jak wytworny Paryżanin na podobne okazy paryskiego bruku.

Autor powieści wprowadził Enkolpiosa i Askyltosa na ucztę do willi Trymalchjona, położonej w Neapolitańskiej zatoce. Nie będziemy jej szczegółowo opisywać. Duch parwenjusza żyje tu i tętni w każdym szczególe, począwszy od ubioru Amfitrjona, skrojonego nietylko na ciało, ale i na duszę, aż do ostatniej potrawy, z których każda niezwykłością swoją wprawiać ma w osłupienie odurzonych gości. Pieniądz tu święci swe orgje, ten pieniądz gruby, pospolity, w złotym uwieczniony cielcu, pobrzękiwający ciągle i w słowach właściciela i w potrawach, i w każdym sprzęcie tego domu narzucający się aż do przesytu. Jest on tu bogiem jedynym i wszędobecnym, a odsłania się co chwila w objawieniach nagich i brutalnych, raz wagą półmisków, to znowu klejnotami, raz raportami ekonomów, to znowu wynurzeniami samego Trymalchjona. Nad wszystkiem zaś rozlana ironja autora, dzierżącego w ręku jedyny katechizm, w który wierzył i którego przestrzegał, katechizm dobrego smaku.

Trymalchjon chętnie powraca do swoich nędznych początków, opowiada z lubością swe dzieje, które go doprowadziły do pełni obecnego szczęścia. Matematyka tu zdziałała cuda, a dla tej nauki ma on cześć nieograniczoną. W przedsionku też między freskami, uwieczniającemi etapy tej karjery, przedstawioną jest lekcja rachunku młodego Trymalchjona, przybyłego w chłopięcym wieku z Azji do Rzymu. Tutaj pochwytał on rozmaite wiadomostki z dziedziny historji i mitologji, które dziwnie zamieszały mu się w głowie, zapomniał, albo przynajmniej z afektacją udaje, że zapomniał po grecku, a nauczył się łaciny, bardzo podejrzanej wartości, w którą ubiera swe ubogie myśli i pospolite dowcipy. Dla innych nauk,

choć posiada dwie bibljoteki, ma uśmiechy politowania konkretnej głowy, i na pomniku swym grobowym ryć on każe, ile zostawił pieniędzy, z dodatkiem, że nigdy filozofji nie słuchał.

Ale strzępy tej nauki dobre są jako kondyment przy jedzeniu, bo i wśród uczty, powiada, trzeba znać filologję; a z tą nauką idzie w tej samej roli w zawody sztuka, a mianowicie muzyka, która tu rozbrzmiewać nie przestaje przy wszystkich czynnościach, reguluje najpospolitsze zajęcia: zastawienie uczty, krajanie mięsiw i nawet samo trawienie. Hałas tu nieustanny, który się wymownem echem odbił w nieśmiertelnej komedji Molièr'a *Le Bourgeois gentilhomme*, gdzie pokrewny duchem Jourdain przymierza nowe szaty *à la cadence de toute la symphonie*. W czasach Trymalchjona wielki śpiewak na tronie przodował w tym fanatyźmie muzyki, która dawała takt dla jego rządów lub nierządów. Tutaj brata się ona ze sztuką kucharską i występuje pod jej przeważną egidą.

Mimo tej okrasy idealnej, duch tu jednak lubi przedewszystkiem poziomy i płuży sobie w ciasnym i zatyłym optymiźmie ziemskim. Trymalchjon czuje się królem wśród swych pieniędzy i włości, żaden szerszy powiew, ani oddźwięk ze świata nie odświeża, ani zamąca jego kannibalicznej błogości. Horyzont jego wstecz kończy się na dacie urodzenia, wszerz na słupach granicznych jego majątku; poza temi krańcami wszystko mu jest dość obojętnem, i życie narodów, i życie indywiduów. A ta koncentracja we własnej osobie maluje się dosadnie nietyle w analizie swej duszy, ile w analizie żołądka, którego stan i losy przedstawia Trymalchjon z dokładnością historyka zgromadzonym gościom. Brutalny egoizm, nie uszlachetniony żadną myślą o tych, co byli, nie pokonany żadnem uczuciem dla bliźniego, jest ostatecznem źródłem tej genjalnie narysowanej ciasnoty i szczęścia bez chmury w tem zaciśnieniu.

Goście Trymalchjona należą także przeważnie do klasy wyzwoleńców. Są oni albo na drodze do zrobienia majątku, albo zachwiani w swych spekulacjach mają nostalgję raju utraconego, do którego rozmaite sprawki utorowały im drogę, z którego wypędził ich krok fałszywy, co nie był grzechem pierworodnym. Na Trymalchjona spoglądają oni z pożądliwym podziwem; chętnie on ich przyjmuje, bo dla parwenjusza otoczenie się niższymi jest jednym ze środków lubowania się w sobie i wywyższenia własnej osoby. Lubi on ich raczyć, bo za chleb dostaje wielbiące spojrzenia i chwałę; jałmużnyby nie rozumiał, jak mało ją rozumiała starożytność. Kiedy retor obecny, wezwany przez gospodarza, zaczyna swą opowieść od słów: »był raz pewien ubogi i pewien bogacz«, — Trymalchjon przerywa mu pytaniem: Co to jest ubogi, — *quid est pauper?* Jest to wyraźnie problemat, którego zatyłe jego oko i zatyła dusza rozświecić nie mogły, pytanie, na które równocześnie rybacy galilejscy dawali życiem swem i nauką odpowiedź wymowną.

Trymalchjon z gośćmi swymi robi strasznie mało ceremonij, każe im czekać na siebie, wstaje według upodobania; kiedy się raz wśród uczty oddalił, nawiązuje się wśród pozostałych rozmowa o potocznych rzeczach i sprawach, podsycona swobodą, którą sprowadza nieobecność słońca, około którego te trabanty się kręcą. Rozmowa ta jest z niesłychanym talentem poprowadzona, przebiega prawdziwie całą skalę najpospolitszych, potocznych, rzecby można, ulicznych motywów, jakie po wszystkie wieki zaprzątają puste głowy i serca; autor miał tu podsłuchać i język pospolity, i wszelkie zwroty, i akcenta bajek i komerażu i stworzył arcydzieło banalności, które do pierwszorzędnych pereł całego dzieła stanowczo zaliczymy. Zaczyna rzecz człowiek, nazwiskiem Dama, i zaczyna koncert, jak przystoi, od powietrza: »Tęgie mieliśmy teraz zimno. Gorący jednak trunek za płaszcz i krawca starczy. Pogadałem z butelką i ciepło mi się zrobiło na sercu«. Po tej

uwerturze, podniecającej język i uczucia, zwraca Seleucus myśli do najświeższego pogrzebu. »Byłem dziś na pogrzebie. Miły człek, poczciwy Chrysanthus, nakrył się nogami. Dopiero co jeszcze mówił ze mną, zdaje mi się, że słyszę głos jego. Oj, oj, chodzimy po świecie, jak pęcherze powietrzem rozdęte, warciśmy tyle, co muchy, jesteśmy jak bańki mydlane«. Po tych głębokich refleksjach o śmierci, obrywa się doktorom, którzy nieboszczyka wkońcu zgubili. »Bo czemże jest ostatecznie doktor, jeżeli nie marną tylko pociechą dla duszy. Pogrzeb jednak miał zmarły bardzo piękny, mary krasnemi kobiercami przykryte«. Wkońcu po tym nekrologu, z okazji podejrzanej szczerości łez pozostałej wdowy, następuje wycieczka na charakter niepewny kobiet.

Że rozmowa zeszła na umarłych, zwraca ją do spraw bieżących i piekących zniecierpliwiony Ganymedes. »Gadacie w kółko i trzy po trzy, a nikt się nie troszczy, że drożyzna nas gryzie. Kęsa chleba dziś dostać nie mogłem, a susza jak trwa, tak trwa. Wszystkiemu winni policjanci, którzy z piekarzami ręka w rękę idą«. Następują skargi, że nikt tym zbrodniarzom w oczy prawdy nie rzuci. Dawniej bywało lepiej. »O, gdybyśmy mieli jeszcze tych łepaków, których tu zastałem, kiedy z Azji przybyłem. Toż było życie! A umieli oni te figury potraktować, że im w pięty chodziło. Przypominam sobie Safiniusa; mieszkał wtedy przy starym łuku, gdy byłem jeszcze chłopcem, istny pieprz, nie człowiek, gdziekolwiek szedł, ziemia wrzała mu pod stopami. Ale uczciwy był i pewny, wierny przyjaciel, żebyś mógł w morrę z nim grać pociemku. A na ratuszu krzyżową sztuką rznął to w prawo, to w lewo, nie obwijając w bawełnę, ale tak prosto z mostu! A gdy na rynku przyszło mu mówić, głosu mu przybywało, jak w puzonie... Toteż wtedy zboże za nic było. Kupiłeś za grosz bułkę, z drugim byś jej nie schrupał. Teraz one nie większe, jak oko u wołu«. Po tem żałosnem wspomnieniu o heroicznym wieku miasta i małomiejskich wielkościach zwraca się

myśl do bogów. I ze zmniejszania się bułek przybywa nowy indukcyjny dowód, że istnieją i że są nawet w złym humorze. Ostatecznie nie sami urzędnicy winni dzisiejszej biedy, ale i niereligijność coraz bardziej panująca. »Bo nikt już w niebo nie wierzy, nikt postów nie zachowywa, Jowisza nie ma sobie za nic, lecz każdy, z oczami wlepionemi w stół, rachuje, ile uciułał grosiwa. Dawniej nasze matrony w długich szatach i na bosaka, z włosami rozpuszczonemi a czystem sumieniem, szły na świętą górę i prosiły o deszcz u Jowisza; to też lało zaraz jak z cebra, albo zaraz, albo wcale nie, i wszyscy wracali przemokli jak myszy. Teraz bogowie nie śpieszą się z pomocą, bośmy pobożność zatracili. A pola nam marnieją«. Bułkowo-agrarna lamentacja sięga więc wkońcu samego nieba.

Zatroskanego Ganymedesa, który rozmowę wprowadził na tak żałobne tory, pociesza krawiec Echion. On optymistyczniej zapatruje się na swoją mieścinę ojczystą. »Nie byłoby lepszej pod słońcem, powiada, gdyby tylko ludzie rozum mieli. Jest wprawdzie teraz w opałach, ale gdzieindziej lepiej się nie dzieje. Nie trzeba nam przebrzydzać, słońce na wszystkich równo świeci. Gdybyś gdzieindziej przebywał, mówiłbyś, że tu pieczone prosięta po ulicach luzem łażą«. I potem różowo w świat patrzący krawiec zasępionemu zapowiada towarzystwu nowe festyny, wielką walkę gladjatorów, przy której bez pardonu krew się będzie lała strugami, wietrzy przytem, że inny z patrycjuszów małomiejskich uraczy swych przyjaciół niezadługo sutą i obfitą ucztą.

Kiedy siedzący przy stole retor uśmiechnął się nad tym optymizmem według miary krawca, urażony Echion wpada na jego próżność i nadętość literacką, a ostatecznie wyprowadza w pole syna, który ponad miarę ojca wyrośnie i pomści ojca upokorzenie. »Dorasta już dla ciebie uczeń w moim synalku. Dzielić już malec potrafi; jeżeli pożyje, wyrośnie na twego pachołka. Bo gdy ma tylko czas wolny, od książki go

nie oderwiesz. Ma głowę na karku i serce na swojem miejscu, tylko na chwytanie ptastwa zbyt jest zajadły. Trzem jego szczygłom kark już ukręciłem i powiedziałem mu potem, że kuna je zjadła. Inne jednak głupstwa też go się trzymają i maluje zawzięcie. Liznął już trochę greczyzny i łacinę pilnie kuje, chociaż jego nauczyciel jest leniwy. Mam jeszcze do niego innego nauczyciela, który nie dużo się uczył, ale gorliwy jest i więcej uczy, niż sam umie. Dochodzi on w święta i cokolwiek mu wtedy dasz, kontent z tego. Kupiłem też memu malcowi kilka książek prawnych z czerwonemi rubrykami, bo chcę, żeby na domową potrzebę trochę prawa skosztował. To daje chleb, literaturą dosyć się już umazał«. — Takie tedy rozmowy kwitły niewątpliwie przed 20-stu wiekami w małej italskiej mieścinie, przy stole wzbogaconego Trymalchjona. A autora powieści podziwiać musimy, że myśl ich czy bezmyśl przewodnią tak genjalnie uchwycił i z tak niezrównanem oddał mistrzostwem. Możemy tak wglądnąć w życie codzienne drobnego miasteczka z jego wielkiemi interesami, które do burz w szklance wody często prowadziły, do głębi tych dusz, które ciasność swego horyzontu rozpierały jedynie lokalnemi sławami, zaściankowemi ambicjami, i zazdrościami bardzo gwałtownemi. Bo o jadzie zębów małomiejskich, *municipalium robigo dentium*, wspomina już Martialis. Miasteczka te italskie w pierwszym wieku cesarstwa cieszyły się autonomją zupełną; dwóch burmistrzów odpowiadało dwom konsulom rzymskim, stu dekurjonów tworzyło radę miejską, senat miejscowy; dla drobniejszych ludzi, mianowicie wyzwoleńców, i dla drobniejszych ambicyj zapewniała korporacja Augustalów, mających pieczę nad kultem cesarskim, także odpowiednie godności[1]. Do tych stanowisk paliły się miejscowe wielkości, wielkości z woli ludu lub z woli po-

[1] Por. o tem Friedlaender: *Cena Trimalchionis*, wstęp, strona 27.

wstałe własnej; opozycja rzucała na nie gromy, kruszyła swe kopje na karkach Hannibalów *intra portas* i na karkach policjantów, którzy nie dosyć dbali o porządek miasta, a także o bułki, wychodzące z pieców miejscowych piekarzy. Cele pocisków były drobniejsze, pociski same wielkie i doniosłe, jak u deklamatorów stolicy.

Po tej lawinie banalności wraca Trymalchjon na salę i my powrócimy jeszcze na chwilę do niego. Z ukazaniem się Amfitrjona on znowu skupia około siebie rozmowy i uwagę, króluje z wysokości swoich pieniędzy, steruje tą bachanalją przysmaków kuchni i rozmowy, dostosowanych do podniebień ugaszczanego towarzystwa. Z postępem uczty nastrój się podnosi o tyle, że Trymalchjon grubo się przemawia z żoną, przyczem ona psem go przezywa, on jej rzuca w twarz kieliszkiem; z przypływem wina pękają ostatnie zapory dla tych natur grubjańskich. Wśród tańców i hałasu, wśród udawania instrumentów muzycznych i ptaków, zmierza uczta ku końcowi. A Trymalchjon, upojony winem i szczęściem, które go coraz bardziej rozpiera, konkluduje swe ostatnie medytacje tem, że ostatecznie człowiek tyle wart, ile posiada, i każe się podziwiać, że z marnego robaka wyrósł na takiego potentata.

Ostatnia scena dziwacznością swą uwieńcza ten szereg wyskoków i wybryków. Trymalchjona wino natchnęło lirycznie i dramatycznie; każe on przynieść swe szaty, przygotowane na śmiertelne ubranie, i kobierce, które mu za ostatnie posłanie mają służyć, i wsparty na poduszkach, kładzie się jak umarły, a muzykantom każe żałosne zawodzić melodje. Ta wizja śmierci po orgji wyuzdanej i pospolitej przypomina prawie średniowieczne tańce śmierci, tańce szkieletów z wcieleniami rozpusty, rzuca ona swe blade cienie na to towarzystwo, kąpiące się w zdrojach i kałużach uciechy. Jest w tem wywoływaniu śmierci prawie coś zmysłowego; po przeżyciu wszystkich wrażeń, które ziemia daje, pozostaje jeszcze ta ostatnia, niezawodna sensacja ze swoją niepokojącą tajemnicą,

której przedsmak prawie nęci człowieka. Widzieliśmy tego rodzaju śmierci w nowszych czasach, a Seneka filozof, opowiada nam o pewnym senatorze, który po każdej uczcie wśród śpiewów żałobnych przez niewolników do sypialni wynosić się kazał i odurzał do reszty tą grobową maskaradą.

W epoce Nerona, latach przesytu życia i znużenia pewnego umysłów, które w braku wysokich ideałów i zdrowego czynu durzyły się i zużywały w badaniu tajników swego wnętrza, wypijaniem miodu ze wszystkich kwiatów, dających słodycz lub truciznę, a szukały tego zapomnienia, które dla pokoleń smutnych jest pozornem dobrodziejstwem i rzeczywistą klęską, ta śmierć wychylała często z pod kwiatów życia i rozkoszy swą złowrogą głowę. Dowodem tego Plinjusz Starszy, który sławił wyższość człowieka nad bogami w tej mierze, że pierwszy wśród smutków życie sobie odebrać może; dowodem nasz autor, który wśród opisów orgij po kilkakroć o tę nutę śmierci potrąca. Schyłek dziewiętnastego wieku znał podobne objawy. I wtedy, wśród znużonego moralnie pokolenia, idea śmierci także ciągle nurtowała po umysłach i zabarwiała twory ducha, tryskające życiem, jakąś przymieszką złowrogiej bladości. Jedni mieli dla niej pewien kult religijny, jako dla wybawicielki z trudów i niepokojów ziemskich, modlili się do niej jak do bogini spokoju i wypoczynku, która »przywraca ciszę, zamąconą życiem«, *Rend nous le repos que la vie a troublé*[1], — drugim pełnia życia w miłości i wszystkie czary i kwiaty wiosny przypominały ciągle tego robaka, toczącego wszystko, co ziemskie, tę otchłań, co pochłania wszystko w swem łonie żarłocznem. Cokolwiekbyśmy zrobili, umrzemy, wołał Maupassant wśród cudów przyrody i słońca i sarkał na tę nieśmiertelną nędzę, gniotącą ludzkość. Kto pijał ze wszystkich zdrojów, płynących ziemską słodyczą, i pił aż do szału i upojenia,

[1] Leconte de Lisle; Jean Lahor nazwał śmierć: Notre Dame la Mort.

temu zawsze ta walka życia i śmierci, opiewana w starej pieśni kościelnej, ukazywać się będzie w całej grozie i straszliwej beznadziejności.

Mors et vita duello
Conflixere mirando.

W naszej powieści ten objaw ma nieco odmienną naturę, bo odpowiednio do intencji autora i charakterów jego postaci zmora ta jest tu wywołaną w sposób brutalny i brutalniejsze wywoływa wrażenia. Dla parwenjuszów w rodzaju Trymalchjona śmierć jest jedyną potęgą imponującą, bo jej pieniądzem zaimponować nie można, jedyną potęgą, której trzos nie rozbraja, ani przekupić potrafi. Jej nieskazitelność budzi też strach i poszanowanie, ale zarazem jakieś prawie mściwe uczucie, aby jej bezlitosnemu ramieniu, ciążącemu nad zastawionemi stołami życia, zdwojonem używaniem urągać. Nuta ta pobrzmiewa w całej prawie starożytności, przemawia z pieśni Horacjusza zachęcających do życia i użycia, odzywa się na nagrobkach, jako napomnienie przechodniów ze strony umarłych. W najbrutalniejszy jednak sposób daje się ona słyszeć przy uczcie Trymalchjona. Wśród przysmaków wstępnych, mających zaostrzyć apetyt gości, wnosi niewolnik lalkę srebrną, udającą kościotrupa, a tak przyrządzoną, że wszystkie jej członki i kręgi się poruszają[1]. Zdziwionym gościom objawia Amfitrjon wierszem nasuwające mu się stąd refleksje:

Och, jakiem człowiek stworzeniem jest marnem!
I my takiemi będziem, gdy pomrzemy,
A więc użyjmy życia póki pora.

Później zjawia się znów wśród wesołego towarzystwa Habinnas, przedsiębiorca pogrzebowy. Trymalchjon, natchniony

[1] Wyobrażenia takie śmierci się zachowały. Por. o tem »Jahrbuch des deutschen archäol. Instituts«, IV, 1889, str. 106.

jego przybyciem, przypomina, że kazał mu wykonać pomnik swój grobowy, dziwaczny, jak jego życie, nadęty, jak jego próżność, pomnik parwenjusza i jego smaku zarazem. Ma on obwieszczać miastu i światu wielkość majątku zmarłego, przypominać potomnym jego czyny doniosłe i również doniosłe sentymenta, ściągać uwagę przechodniów zegarem, umieszczonym w środku, aby ludzie, patrzący na czas, zatrzymali się przy nazwisku zmarłego. Urna strzaskana i chłopiec nad nią płaczący jest uwieńczeniem tego wyskoku gustu parwenjusza.

Po tych wynurzeniach Trymalchjon daje hasło do płaczu, a całe otoczenie i służba wnet zalewa się łzami. Ale nastrój liryczny przerywa natychmiast Trymalchjon napomnieniem. »Nuże tedy, skoro wiemy, że raz umrzeć przyjdzie, czemuż nie używamy żywota«, a słowa te działają odrazu ożywczo na całe towarzystwo, które niebawem postanawia aż do ranka hulatykę przedłużyć, aby pełniej wyzyskać życie, na które czyha śmierć nieubłagana. Śmierć więc tutaj jest jakby kondymentem kuchennym, kordjałem podniecającym do rozpusty; pojawia się ona ze swym uśmiechem szyderczym nad marnością i znikomością ludzkiego robactwa, pełzającego w błocie, i z nawoływaniem, aby się, póki czas, w tem błocie jeszcze głębiej zanurzyć. A uśmiech ten szyderczy idzie o lepsze z uśmiechem pełnym ironji autora, który zawisł nad całym obrazem.

3.

Od wybryków i wybuchów życia przechodzi to opowiadanie do zmory śmierci, od rysów karykatury i przesady do szczegółów prawdy najrzeczywistszej, od języka wykwintnego do gwary ulicznej, potrąca raz o stronę najwyższych zagadnień umysłowych i artystycznych, to znowu o strunę najpospolitszej niemoralności. Falujemy po tym bezbrzeżnym wrażeń oceanie, jak falują po życiu ludzie, którzy busoli etycznej

nie trzymają w swych rękach. Fakta idą po faktach, tłoczą się z gwałtownością i brutalnością ludzkiej namiętności. Jakiś niepokój panuje w dziele i udziela się wreszcie czytelnikowi. Bo porozrzucane artystyczne poglądy i uwagi nie starczą nam dla wypoczynku; do głosu dopuszczone tu tylko mózg i żądze, niema oddźwięku uczuć ani marzenia, a dusza potrzebuje przecie tych chwil świątecznych w życiu, tych kwiatów, któremi się zaściela drogi przebyte i mai drogi przyszłości. Przeczytawszy też ułamki tej książki, tęskni człowiek za świeżym powiewem, bo za długo przebywał w powietrzu zatrutem, wśród ludzi bardzo niskich instynktów, których najsubtelniejsze uwagi estetyczne nie okupią.

Tylko wielki sceptyk i pesymista mógł podobną rzecz napisać. Ale czyż my zdołamy twarz jego i nazwisko odsłonić? Flaubert powiedział kiedyś, że artysta tak postępować powinien, aby potomność mogła myśleć, że on nigdy nie istniał. Jest on więc za zupełną bezosobistością opowiadania. Ale to próżna ostatecznie iluzja i daremne żądanie. Indywidualność wybitniejsza autora, mimo chcianej i wymuszonej bierności, sączy w tysiącznych drobnostkach w wątek jego opowiadania, choćby on uwag żadnych nie robił, odbija się w samym wyborze zdarzeń i ich grupowaniu. I tutaj z tego szeregu lichych osobistości wnosić możemy, że wyprowadził je na scenę ktoś, co o ludzkości miał niskie wyobrażenie, a niskie również o cnocie; z ironji, którą całe to opowiadanie jest nasycone, że autor był człowiekiem wykwintniejszego smaku, lecz miał za dużo sceptycyzmu i za mało energji w duszy, aby życie za coś innego uważać, jak za wielką komedję, w której ludzie cnotliwi są najlepszymi aktorami, a zarazem najprzewrotniejszymi. Wśród towarzystwa, które przedstawia w swej powieści, znalazłby się on niechętnie, bo go raziło brakiem smaku i stylu, a styl, i to styl wysoki, był u niego zasadą, od której zbaczać przedewszystkiem w zboczeniach nie wolno.

Rękopisy podają nam nazwisko autora, powieść w nich

przypisana pewnemu Petronjuszowi z przydomkiem Arbiter; ale zresztą nie podają o tym człowieku żadnej bliższej wiadomości. Ponieważ jednak dzieło nosi na sobie wyraźne znamiona Neronowskiej epoki, warto się obejrzeć w innych źródłach i szukać ludzi tego nazwiska, o których wspominają historycy. I tutaj nasuwa nam się jeden, i to człowiek o bardzo wybitnym zakroju. Tacyt, opisując w 16-ej księdze *Annałów* ostatnie lata Nerona, zapisuje skrzętnie wszelkie ofiary jego gniewu i kaprysów, ofiary szlachetne i pospolitsze. Ta orgja krwi przybierała w latach 65 i 66 takie rozmiary, że Tacyta pióro wzdraga się prawie przed jej opisem. Wśród ludzi, którzy w r. 66 ściągnęli na siebie gniew i rękę cesarza, wymienia on pewnego Petronjusza i taką nam podaje jego charakterystykę, rylcem mistrzowskim skreśloną.

»Mąż ten dnie całe wśród snu przepędzał, noce na załatwianiu spraw i rozpuście; a jak innym zabiegliwość, tak jemu gnuśność zapewniła sławę i uchodził nie za rozpustnika i rozrzutnika, jak wielu trwoniących swoją chudobę, lecz za człowieka wybrednego przepychu. A słowa i czyny jego, im więcej miały pozorów naturalnej swobody i pewnego niechcenia, tem chętniej kładziono na karb naiwnej prostoty. Jednak jako prokonsul Bitynji, a krótko potem konsul, okazał się tęgim i do służby zdolnym. Potem, zanurzywszy się w rozpuście, czy też że chciał za rozpustnika uchodzić, przyjętym został do szczupłego grona zaufanych Nerona, jako sędzia smaku, tak, że Neron tylko to uznawał za ponętne i rozkoszne, cokolwiekby mu Petronjusz zalecił. Stąd zrodziła się zazdrość u Tigellinusa względem rywala, w tajemnicach rozpusty bardziej biegłego. Zwrócił się on więc do okrucieństwa cesarza, któremu inne żądze ustępowały miejsca, zarzucając Petronjuszowi przyjaźń ze Scewinusem«, który, jak od siebie dodaję, w poprzednim roku w tak zwane pizońskie sprzymierzenie był wplątanym. »Właśnie wtedy, opowiada dalej Tacyt, Nero udał się był do Kampanji, a Petronjusz, dojechawszy do Cu-

mae, został tamże przytrzymanym; postanowił on tedy ani strachu ani nadziei długo nie przewlekać. Życia jednak nie wygonił gwałtownie, lecz żyły przecięte dowolnie raz podwiązywać kazał, raz otwierać i przemawiał przytem do przyjaciół, bynajmniej jednak nie w poważnym nastroju, albo takim, którymby pozyskał sławę nieugiętości. A wśród tego słuchał nie rozpraw o nieśmiertelności duszy lub myślach mędrców, lecz recytacyj lekkich wierszyków i igraszek poezji. Z niewolników wymierzył jednym podarki, drugim razy. Potem zasiadł do uczty i zdrzemnął się, aby śmierć, choć wymuszona, była podobną do przypadkowej. I nawet testamentem, jak wielu ginących, nie pochlebił ani Neronowi, ani Tigellinusowi, ani komu innemu z potężnych; lecz występki cesarza, dołączywszy nazwiska chłopców i kobiet, i niezwykłość tych zbrodni opisał, a opieczętowawszy przesłał Neronowi«.

Tacyt z magistralnym spokojem, jak zwykle, opisuje tu dzieje tego życia i zgonu. A jednak śmierć ta należy do niesłychanych objawów tej dziwnej i dziwacznej epoki. Ta udana swoboda w progach ciemności i mar pozgonnych jest triumfem estetyki, a nie filozofji, jest to zastosowanie kodeksu salonowej elegancji do najcięższych i ostatnich chwil życia. Jak dawni Rzymianie godnością śmierć rozbrajali, tak ten potomek wielkich rodów chce ją ugłaskać wykwintnością w przyjęciu. I wobec wielkiej jej powagi i grozy występuje tu w szranki sarkazm, rzucający w bladą jej twarz wiązki rozwiązłych wierszów i piosneczek, któremi karmiło się życie. Wielki estetyk na tronie, Nero, w kilka lat później nie umiał tak dalece zapanować nad trwogą śmiertelną, on, który w willi Faona, upadając na duchu, wołał z rozpaczą: »nie przystoi to Neronowi, nie przystoi«. Ale mistrz jego w używaniu życia, Petronjusz, poprawniej odegrał ostatni akt dramatu czy farsy życiowej.

Jeden z wielkich panów i pisarzy francuskich epoki Lu-

dwika XIV, St. Evremond[1], nazwał śmierć Petronjusza »najpiękniejszym zgonem starożytności«, a leccy autorowie XVIII w. przyklasnęli temu sądowi; bo i wtedy równa żądza elegancji kazała ludziom umierać ładnie, *joliment*, jak się d'Alembert o śmierci d'Argensona wyraził. W każdym razie była ta śmierć godnem uwieńczeniem całego żywota. Uchodzić w czasach Nerona za szczególnego rzeczoznawcę w sprawach rozpusty było rzeczywiście niepomiernem odznaczeniem, szczególnego potrzeba było doświadczenia, żeby dorość stanowiska doradcy cesarza w tym zakresie. Wystawiamy sobie tego wielkiego pana, który nie chciał panować nad swemi namiętnościami, ale z wykwintnym smakiem umiał niemi kierować, jak podsuwał cesarzowi, który użył już wszystkiego i znużył się wszystkiem, myśli i plany podniecające jego ciekawość lub namiętność. Był to człowiek niewątpliwie górujący nad swem otoczeniem subtelnością wykształcenia i smaku, natura była bogata jak mało, ale bujnym zdolnościom nie przewodniczyła żadna myśl wyższa, ani wyższe uczucie. Był on, według Tacyta, do wszystkiego zdolnym, do zabawy i urzędu zarazem, ale też wszystkiego zdolnym, jak podjęcia się roli, którą spełniał obok Nerona. W tych jego pozorach, kiedy załatwiał wszystko jakby od niechcenia, leżała myśl, że ostatecznie w życiu do niczego rozgrzewać ani zapalać się nie należy, w tem przerzucaniu się dowolnem od pracy do rozpusty przekonanie, że wszystko na ziemi mniej więcej równo warte, albo nic nie warte, że więc kategoryj złego lub dobrego słupami granicznemi przegradzać nie potrzeba. Jest to pesymizm, który w teorji tak wszystko lekceważy i nisko ocenia, że, aby wytrzymać to życie i przeżyć, największe i najrozkoszniejsze ściele sobie posłania; pesymizm, który twierdzi, że świat jest tak zły, iż dobrem życiem wyświadczałoby mu się za wiele

[1] Por. o jego podziwie dla Petronjusza Collignon: *Pétrone au moyen âge et dans la litérature française.* Paris 1893, str. 32.

honoru, a ostatecznie topi te czarne myśli i weselsze żądze w rozpuście. Ale by rozkosz nie zrównała z motłochem i zwierzęciem, za to ręczą wielkopańskie upodobania i wybredność, a w drugim rzędzie to znużenie, które ubiera w pozorny spokój twarzy, a broni od pospolitości w używaniu. Filozofja ta ma swoje dogmata i przykazania; patrzy ona pobłażliwie na wszelkie skazy duszy, byleby człowiek togi swej przytem zbytecznie nie zwalał, i gardzi grzechem powszednim czy pospolitym, który, według jej pojęć, właśnie jest śmiertelnym.

Wśród spuścizny literackiej Petronjusza, o którym Tacyt mówi, wymienionym jest tylko pamflet na Nerona; o naszej powieści tam głucho. Ale utwór ten i postać Tacytowska tyle mają rysów pokrewnych, iż przypuszczenie, które je z sobą łączy, bardzo jest prawdopodobnem[1]. Ten sam indyferentyzm moralny a raczej zupełna bezmoralność wieje z tych kart, co z tamtej duszy, tak wielka znajomość występku, jaką wielki znawca rozpusty na Neronowskim dworze się odznaczał. Pozory naturalnej prostoty, za którą Petronjusz uganiał się w życiu, znaczą się w tej księdze nadzwyczaj swobodnym tonem opowiadania. Wierszyki ulotne i lekkie przeplatają tok jego, a w piosenkach lekkich i dwuznacznych lubował się dworak Nerona; jego życie nawet na piosenkach się skończyło. Przełożone jednak w powieści wszystko na niższe oktawy, których syczącym nutom towarzyszy uśmiech sędziego w rzeczach elegancji; parwenjusz przedstawiony ze wszystkiemi wykroczeniami przeciw dobremu smakowi, które dla wykwintnego światowca musiały bywać w życiu najdotkliwszem cierpieniem.

Mamy więc w tym człowieku postać nie mniej ciekawą, jak romans, o którym mówiliśmy. Po tylu typach heroicznego męstwa lub cnoty, jakie nam dzieje rzymskie przedstawiają,

---

[1] Por. o tej kwestji dzieło Collignon'a: *Étude sur Pétrone*, Paris — i moje uwagi, p. t.: *Petroniana*, Lwów, 1894.

występuje tu typ klasycznego zepsucia, kwiat wyhodowany w cieplarniach cywilizacji, o woni, która odurzyć może i zatruć. Objaw to charakterystyczny dla Neronowskiej epoki; człowiek ten nie popada w jej orgje dzikie i brutalne, ale subtylizuje i rafinuje rozpustę, wierzy już tylko w estetykę i ma przekonanie, że ona wszystko odwonić i wszystko uświęcić potrafi. Na głos oburzenia i potępienia wobec grubego występku nie stać go już zupełnie; ma tu w odwodzie tylko uśmiech zdziwienia, uśmiech miękki i miękczący energje i dusze, podobny nieco do sceptycznego uśmiechu jednego z najbardziej wpływowych autorów schyłku dziewiętnastego wieku. Igra on na znużonych twarzach, jak róże i głogi, oplatające ruiny świątyni, z której duch i bóstwo uleciały na zawsze.

Wobec tej ironji, którą się nie krzepi ani podnosi społeczeństw, zdobywała się sama starożytność na hurtowne wyrazy. Wielki historyk cesarstwa, Tacyt, który tak po mistrzowsku kreślił upadek społeczeństw i dusz upodlenie, uchylił kilka razy zasłonę, zakrywającą północ, aby świeżym powiewiem, stamtąd dolatującym, ocucać i budzić dusze swoich ziomków. Mówiąc o ludziach północnych, nadmienia on w jednem miejscu: nikt tam z występków się nie śmieje, a psucie siebie i drugich nie uchodzi za życia istotę. — Ze słowem wielkiego autora dochodzi nas odgłos od tych drzemiących jeszcze, ale silnych i świeżych ras, rozbrzmiewa ta groźba, która zawisła nad starem społeczeństwem i ruchem nowych żywiołów i nowych wierzeń zmiażdżyła ostatecznie to, co zwiędło i do zagłady dojrzało.

IV

CESARZ HADRJAN

Myśl ludzka, znękana troską chwili, a zaniepokojona o przyszłość, wybiega chętnie w dziedziny przeszłości i szuka po nich szczęścia minionego, złotych wieków, których wspomnienia mają jej przynieść wypoczynek marzenia, rajów utraconych, które zapełnia obrazami świetlanemi; radaby choć w przeszłości odnaleźć chwilę, do której ludzkość, upojona błogością swego położenia, wypowiedziała lub wypowiedzieć mogła Faustowskie zaklęcie:

Verweile doch, du bist so schön.

Historja Rzymu, zapełniona chrzęstem broni i twardemi walkami, pod tym względem niewiele przynęt obiecywać może. A jednak, kiedy cesarstwo zapanowało na przestrzeniach zdobywczej i tyle razy zwycięskiej rzeczypospolitej, kiedy nowy ustrój państwowy przywrócił pokój i wypoczynek po sromocie wojen domowych, a dobrobyt materjalny we wszystkich kierunkach zwiększać się zaczął i podnosić, obok twardych słów niezadowolenia, zwracającego się tęsknie do ginącej rzeczypospolitej, odzywały się głosy inne, natchnione błogością tego spokoju i wytchnienia. Już w pierwszym wieku, mimo szeregu złych cesarzów, wyrwały się z duszy Plinjusza Starszego

słowa podziwu dla tej *immensa Romanae pacis maiestas,* dla wzniosłego majestatu rzymskiego pokoju, który pozwala ludziom dary i dobrodziejstwa natury zewsząd ściągać i darami temi się cieszyć. A kiedy pod sam koniec wieku, po śmierci ostatniego z Cezarów, oszołomionych wielkością stanowiska, z Nerwą człowiek uczciwy i rozumny zasiadł na tronie, aby go przekazać wielkiemu Trajanowi, nowe słońce zdawało się wschodzić nad światem; brano to za blaski świetlane wschodu, co było w rzeczywistości pełnym ognistych promieni zachodem starożytnego świata. Autor, który w najciemniejszych obrazach i barwach przedstawił nam Cezarów pierwszego po Chrystusie wieku i przeżył straszne Domicjana panowanie, widział teraz jutrzenkę swobody i witał niemal zbawienia słońce w progu drugiego stulecia. Nazywa on czas ten »najszczęśliwszą epoką«, *beatissimum saeculum*, pisze o Nerwie, że dostroił do siebie i połączył rzeczy, uchodzące dotąd za sprzeczne i sobie przeciwne, cesarstwo i wolność, zaznacza, że cesarz Trajan codziennie szczęśliwość wieku zwiększa i utwierdza; w innem znów miejscu sławi błogość chwili, w której czuć, jak się chce, i wypowiedzieć, co się czuje, można swobodnie. Słowa te pogodne w ustach historyka, znanego z czarnych wyroków i sądów, któremi napiętnował bezprawia oszalałych Cezarów, brzmią tem bardziej znacząco, czuć w nich całą słodycz wytchnienia po ciężkich przejściach i promienną wróżbę na przyszłość. I gdy się przypomni, że w tym drugim wieku po Chrystusie na tronie Cezarów z kolei zasiedli: Trajan, Hadrjan, Antoninus Pius i Marek Aureli, możnaby u Tacyta przyjąć i stwierdzić ducha jasnowidzenia.

Autor grecki i deklamator, Aristides, piszący po śmierci Tacyta w połowie wieku, nie ma już dosyć słów podziwu dla świetności i szczęścia ludzi, żyjących pod błogiem Rzymu panowaniem. »Cała ziemia — mówił on — przybrała szaty świąteczne. Porzuciła dawne przybory wojenne i marzy tylko o blasku, ozdobie i używaniu«, a skreśliwszy wszystkie do-

wody i pomniki dobrobytu ogólnego, woła na końcu z zapałem: »Wszystkie miasta promienieją nową wykwintnością, świat stał się podobnym do rozległego ogrodu«. Przebija w tem pewne upojenie materjalne i materjalistyczne, pewna błogość bierna Sybaryty, który zapomniał o Maratonie i pogodził się bezwzględnie z położeniem, które od człowieka politycznych ambicyj nie żądało i nawet ich zarodki tłumiło w duszach. Dziś też jeszcze historyk najznakomitszy Rzymu, Teodor Mommsen, wodząc okiem po wielkich przestrzeniach imperjum od Brytanji do Tygrysu w Azji, olśniony ruinami i szczątkami dawnego dobrobytu i cywilizacji, nie waha się twierdzić, że nigdy może tak wielka suma szczęścia pod jednem panowaniem osiągniętą nie została, jak za dobrych czasów rzymskiego cesarstwa, a wielu innych badaczy uważa wiek drugi po Chrystusie za wiek złoty ludzkości.

Pisarz jednak rzymski owej właśnie epoki trafniejsze może dla tego stanu rzeczy znalazł wyrazy, kiedy mówiąc o powszechnym świata uspokojeniu, zawahał się w doborze słowa, czy nazwać to *pax*, pokojem, czy też znużeniem, *fatigatio*[1]. Bystrości umysłu było potrzeba, aby dostrzec znamion jesieni i starości tam, gdzie inni widzieli jutrzenkę, nieomal wiosnę odmładzającego się świata. Ale Rzymianin widział, że pod świetną i olśniewającą powłoką stary duch rzymski, który świat podbił i zdobył, teraz przeobrażał się pod wpływem tych właśnie podbojów, że tracił swoje cnoty narodowe, dawny hart i dawną dzielność, a w pojęciach i w uczuciach zwolna się przetwarzał pod miękkiem tchnieniem i powiewem Wschodu, który podawał mu napoje wykwintne, ale odurzające ze źródła starych i przeżytych cywilizacyj. Rzymianin widział, że to społeczeństwo, rwące się dawniej do czynu, a poddane teraz woli jednego, przywykało zwolna do myśli i woli, która niem kierowała, że wieńczyło różami głowy, w któ-

[1] Florus, II, 34. Por. I, 1.

rych dawne energje zamierały, aby je wreszcie skłonić na miękkiem wezgłowiu cesarskiego tronu. Wyradzało się zwolna przywiązanie do teraźniejszości, do panującego stanu rzeczy, a takie bezwzględne przywiązanie zawsze krępuje dusze, podcina im skrzydła, przeznaczone do śmielszego polotu. Nastąpiło więc tutaj w historji to, co Mickiewicz ze względu na indywidualne życie zapisywał w *Dziadach:*

Zbytkiem słodyczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwymi.

1.

Państwo rzymskie za cesarstwa obejmowało kolosalne przestrzenie. Brytanja, Galja, Hiszpanja wieńczyłe je od zachodu, na północ szła granica przeważnie biegiem Dunaju, włączała więc do cesarstwa południowe Niemcy i Austrji i Węgier część znaczną, naddunajskie wschodnie krainy, wreszcie Grecję i Turcję, dalej, przeskakując przez morza, obejmowało cesarstwo całą Azję Mniejszą, sięgało Kaspijskiego morza i Eufratu, a wreszcie od południa dzierżyło północne wybrzeże Afryki. Na trzech częściach świata opierał się więc ten olbrzymi twór polityczny, zamieszkały przez blisko stumiljonową ludność, kolos, z którym chyba państwo rosyjskie nowszych czasów mierzyćby się mogło, gdyby nie ta zachodziła różnica, że w imperjum rosyjskiem wielkie, słabo zaludnione przestrzenie czekają na pierwsze słowo cywilizacji, podczas gdy tutaj wszystko, co kultura starożytnego świata wydała i wyhodowała, wszystkie pomniki tej cywilizacji, o które się roztrącają fale Śródziemnego morza, pod jednem znalazły się berłem i panowaniem. A płody i daniny tych bezmiernych obszarów napływały do Rzymu, tutaj w jednej głowie skupiała się myśl,

kierująca temi miljonami ludzkości. Położenie też takie wyjątkowo wyniosłe, kryło w swem łonie wielorakie niebezpieczeństwa, mogło przedewszystkiem uszkodzić zdrowie moralne tych potężnych władców, zamącić bieg normalny ich myśli i uczuć i doprowadzić do tego, co nazywamy szaleństwem Cezarów. Jeżeli władza miała przez dłuższy czas utrzymać się w rękach jednej rodziny, zboczenia takie i obłędy były prawie nieuniknione.

Władza jednak cesarska nie była dziedziczną, jak wogóle dziedziczność władzy była rzeczą wstrętną duchowi rzymskiemu. Po opróżnieniu tronu prawo wyboru następcy przysługiwało senatowi, a tylko pretorjanie lub legjony prowincjonalne, wbrew prawom senatu, obwoływały niejednokrotnie następcę. Wybór ten o tyle jednak był skrępowany zwykle wolą poprzedniego cesarza, że tenże przez nadanie wyjątkowego stanowiska, lub adopcję, zalecał przyszłemu wyborowi kandydata ze swego ramienia. Los, czuwający nad Rzymem, zdawał się pod tym względem rozwijać szczególną pieczołowitość, że dziedziczności syna po ojcu nie dopuszczał, któraby najprędzej do wyrodzenia rasy doprowadzić mogła. W pierwszym zaraz wieku prawie żaden cesarz nie ma naturalnego spadkobiercy; Augustus nie ma synów, Tyberjusza potomek ginie za panowania ojcowskiego, po Kaliguli nikt nie zostaje, Klaudjusza syn nie zostaje dopuszczonym do tronu i ginie z ręki Nerona. Ale aż do Nerona czasów włącznie berło nie wychodzi z ręki jednej rodziny, i to już mści się na państwie szałami Kaliguli i Nerona. Potem Wespazjan, jedyny z cesarzów, zostawia dwóch synów, a drugi z nich Domicjan, pada odrazu ofiarą obłędu Cezarów. Bezdzietność panujących, którzy drogą adopcji mogli godnych zalecać następców, zdawała się być warunkiem szczęścia dla Rzymu i państwa. Od końca pierwszego wieku cały się ich też szereg przesuwa: Nerwa, Trajan, Hadrjan, Antoninus; potem szla-

chetny Marek Aureli przekazuje tron synowi Kommodusowi i ten znów jest wybitnym okazem tej dziwacznej choroby zwyrodnienia na tronie. Widocznie świeżych sił i niezużytych było potrzeba, aby na tak wysokiem stanowisku nie dostać zawrotu głowy, aby ludzi ustrzec od urojenia, że są bogami. W innych razach te kuszenia na górze kończyły się sromotnemi upadkami.

Mówiliśmy, że Tacyt witał panowanie Trajana gorącemi wyrazami uznania i podziwu. Cesarz ten, panujący od r. 98 do 117, był pierwszym władcą nie-italskiego pochodzenia na tronie. Z jego wstąpieniem zawiał jakiś świeży powiew w ogromnym organizmie państwa, świeża krew ożywiła jakoby krew dawną i przyspieszyła tętno serca rzymskiego. Po sromotach pierwszego wieku, po miękkiej polityce zewnętrznej ostatnich cesarzy, teraz znów rozwinął się zdobywczy sztandar Rzymu, a legjony, które w ostatnich czasach brodziły nieraz w krwi domowej rozterki, postępują znów w zwycięskim pochodzie poza Dunaj do Dacji i poza Eufrat, aby nowe prowincje, Armenję i Mezopotamję, przyłączyć do państwa. Ten cesarz, z Hiszpanji pochodzący, jest ostatnim wskrzesicielem starorzymskiego ducha z jego hartem i tęgością, głowa jego wygolona, o dziwnie ostrych rysach przypomina nam popiersia przeszłości. Podziwiamy po dziś dzień na Forum Trajana kolumnę, przedstawiającą w rzeźbie triumfy dzielnego władcy; wznosi się ona jako ostatni pomnik chwały rzymskiego oręża, a zarazem jako słup graniczny historji, w której niebawem inny duch miał zapanować. Literatura też ożywiona męskiem tchnieniem panującego, zdobywa się na ostatnie hartowne wyrazy w dziełach Tacyta, które są śpiewem łabędzim starorzymskiej duszy i starorzymskiej twardości.

Zwycięstwa Trajana zaznaczyły się w dziejach wiekopomnie. Na północ od Dunaju przybyła państwu rzymskiemu nowa prowincja, obejmująca część Węgier, Siedmiogród i dzisiejszą Rumunję, pod jednem wspólnem nazwiskiem Dacji.

Powstało tu było państwo po dawniejszych Scytach, państwo Daków, zagrażające swą potęgą, podobnie jak Scytowie przeszłości, rzymskim prowincjom Dalmacji i Macedonji. W głowie Juljusza Cezara świtał już plan, aby to państwo zniszczyć, ale zamiar ten, jak tyle innych zamiarów, runął w kurji senatu u stóp posągu Pompejusza; Trajan, jako spadkobierca myśli Cezara, myśl tę przeprowadził, nową prowincję silnemi, kamiennemi mostami z południowym brzegiem Dunaju połączył i całą masę rzymskiej ludności tu ściągnął. I dziś, po tylu wiekach i przewrotach, dzieło Trajana żyje w zachowanej na dalekim Wschodzie latorośli wielkiej romańskiej rodziny, w kraju i ludzie Rumunów. — Pozostawała kwestja wschodnia. Podczas gdy na zachodzie wielkie niebezpieczeństwa cesarstwu nie groziły, gdy w lasach germańskich myśl szturmu na rzymskie państwo, po przemijających za Augusta próbach, drzemała i drzemać jeszcze miała czas dłuższy, na wschodzie istniał wróg, który Rzym już wiele razy potęgą swą straszył i grozą przejmował wspomnieniem klęsk już poniesionych. Tutaj na porzeczach Eufratu i Tygrysu, aż do Indyj, powstało w trzecim wieku przed Chrystusem ogromne państwo Partów, pod berłem dynastji Arsacydów, którzy chcieli uchodzić za spadkobierców i dziedziców sławnego Cyrusa i Darjusza. Ponieważ Rzym aż po Eufrat zapuścił swe zagony, zetknął się on bezpośrednio z tym politycznym organizmem; było to jedyne wielkie państwo, graniczące z rzymskiem imperjum. Wschód i Zachód nie mogły w zgodnym żyć obok siebie pokoju, tem bardziej, że cała starożytność, a mianowicie rzymska, nie pojmowała egzystencji pokojowej dwóch równouprawnionych państw, stykających się granicami. Prócz tego z Rzymem i Partami graniczyła tu Armenja, zapełniona już wtedy ożywionym handlem i ważna jako handlowa etapa. O wpływ na Armenję lub i przewagę w tym kraju musiał powstać spór między dwoma sąsiadami,

a położenie jej stać się musiało nieustającem zarzewiem niezgody i rywalizacji [1].

Począwszy od schyłku rzeczypospolitej, mówi się też w Rzymie o odległych Partach, jak mówiono o Turkach w ubiegłych stuleciach, jak się mawiało o Rosji. Straszna klęska, którą Rzymianie w r. 53 przed Chr. tutaj ponieśli, a w której sławny Crassus życie zostawił, stanęła zaraz w początku tych starć jako fakt, wołający o pomstę i odwet za pohańbienie rzymskiego oręża. To też przez cały prawie ciąg cesarstwa trwała ta walka, przerywana zawieszeniami broni, walka, która miała rozstrzygnąć, do kogo ma należeć lewy brzeg Eufratu. Partowie w ówczesnym Rzymie uchodzili za dziedzicznego i największego wroga, mącili spokój używających błogości cywilizacji Rzymian, wytworzyła się tu kwestja wschodnia, jakiej chyba nigdy Zachodowi niema zbraknąć. Trajan ostrzem miecza postanowił ją rozstrzygnąć. W końcu swego panowania w r. 114, wyruszył on na Wschód i postanowił bądź co bądź cofnąć wroga w głąb Azji, wschodnią Rzymu granicę posunąć poza Eufrat. Wojna, uwieńczona pomyślnym skutkiem, doprowadziła do tego, że Armenja i Mezopotamja przetworzone zostały w rzymskie prowincje, a państwo Partów poza Tygrys wyparte, który teraz miał stanowić wschodnią granicę cesarstwa. Sześćdziesięcioletni wojownik, przydawszy do wieńca swej sławy nowy liść lauru, zachorował w Syrji w powrocie i umarł w sierpniu r. 117 po Chrystusie.

W kilka dni później, legjony Antjochji obwołały Hadrjana nowym cesarzem. Że go Trajan cenił i wyszczególniał, o tem wątpliwości być nie może; zużywał on jego talenta wojskowe, brał ze sobą niejako jako adjutanta i w ostatniej partyjskiej wyprawie miał go przy swoim boku. Dokument adopcji doręczonym został Hadrjanowi już po śmierci cesarza i stąd urosły gadki i bajki, że to dokument podrobiony,

[1] Por. Mommsen: *Röm. Geschichte*, V, 339 i nast.

że Hadrjan zawdzięczał ostatecznie swój los i wyniesienie intrygom i miłości Plotiny, żony Trajana. Ale te opowiadania na żadnej pewnej nie opierają się podstawie.

Urodził się nowy cesarz w Rzymie w r. 76 po Chr. Rodzina jednak Eljuszów, z której pochodził, osiadła była już na dwieście lat przed końcem rzeczypospolitej w Hiszpanji, w mieście południowem, leżącem przy Sewilli, zwanem Italica. Miasto to dwóch znakomitych cesarzów dało Rzymowi, Trajana i Hadrjana. Przebija w tem znaczenie i przewaga prowincji, która za cesarstwa wzrastała ciągle, uwydatnia się mianowicie stanowisko prowincji Hiszpanji, która w duchowem życiu i dziejach Rzymu bardzo wybitną odgrywała wtedy rolę. Romanizacja nigdzie nie zrobiła tak wielkich postępów, jak na Pirenejskim półwyspie; mianowicie południe uległo było w znacznej części rzymskiej cywilizacji i wykazywało dużo miast o prawach pełnych obywatelstwa, kwitnących dobrobytem, jak Sewilla, Corduba, Italica i Gades. Niwa dziewicza i urodzajna zaznaczyła się niebawem znakomitemi umysłami na kartach rzymskiego piśmiennictwa. Z Corduby pochodził jeden z najsubtelniejszych krytyków Rzymu, Annaeus Seneca, jego synem był sławny filozof epoki Nerona, błyskotliwy w myśli i stylu Seneka młodszy, jego wnukiem poeta patetyczny Lucanus, w którego pełnych heksametrach znać prawie grandezzę ciaśniejszej ojczyzny, której krew miał w żyłach. Z Bilbilis w Hiszpanji pochodził dalej dowcipny, choć służalczy wierszopis Domicjańskiego dworu, Martialis, i tażsama ziemia wydała wreszcie znakomitego prozaika, Kwintyljana, wzór rzymskiej jasności w myśli i słowie. Jak na jeden wiek, spora to wiązanka talentów i umysłowych zdolności.

Hadrjan jednak, jak wyżej powiedziano, urodził się w Rzymie i tutaj otrzymał staranne wychowanie. Wiemy, że już w młodości oddawał się gorliwie studjom, że mianowicie piśmiennictwo Hellenów przynęcało go niespożytym swym

czarem; dla tych greckich skłonności już zamłodu Greczynkiem — *Graeculus* — go nazwano. W piętnastym roku życia rozpoczął służbę wojskową w Hiszpanji i tu rozwinęła się u niego między innemi ogromna namiętność do polowania, która go już nigdy nie opuściła w życiu. Wkrótce też jego krewny i opiekun, późniejszy cesarz Trajan, odwiózł go napowrót do Rzymu, a ten pobyt wyzyskał młodzieniec dla dopełnienia swego wykształcenia. Ujawniał się już w jego dążeniu wybitny prąd do uniwersalności. Słyszymy, że wszystkie niemal sztuki i nauki porówno go nęciły, że każdej chciał zakosztować, rzeźbił, malował, badał sztuki pokoju i wojny. W r. 98 miał Hadrjan lat 22, kiedy Trajan wstępował na tron cesarski, a przez to zmieniło się też nagle położenie spokrewnionego z nowym monarchą młodzieńca. Na razie łaska tronu w tem się objawiła, że około r. 100-go dał mu cesarz swą wnuczkę, Sabinę, córkę swej siostrzenicy Matidji, za żonę, i drugim węzłem pokrewieństwa połączył go w ten sposób ze swoją osobą. Słyszymy dalej, że cesarz Trajan nadawał mu z kolei różne urzędy [1], że go używał do odczytywania mów cesarskich w senacie, przyczem Greczynek dla swego niestołecznego i obcego akcentu śmiech słuchaczy wywoływał. Przyszły cesarz zaprawiał się więc za panowania Trajana w różnorodny sposób do późniejszej swej misji i w pokoju i w wojnie. Konsulat w r. 108 osiągnięty, świadczy o prędkim w karjerze postępie. Wojna partyjska pociągnęła wreszcie cesarza wraz z Hadrjanem na Wschód, z którego wielki wojownik nie miał już do Rzymu powrócić. Hadrjan, obwołany cesarzem, liczył lat 40; w sile więc wieku, w całej pełni fizycznych i umysłowych zdolności, powołany został na to stanowisko, które młodszych narażało na szaleństwa, starszych, jak Tyberjusza, przenikało podejrzliwością

[1] Por. o tem Gregorovius: *Der Kaiser Hadrian* (3 wyd.) 1884, str. 15.

i wstrętem do ludzi. Nie w Rzymie, lecz na Wschodzie dalekim spadło mu na łono berło nad światem, który odtąd przez lat 21 pozostawać miał pod jego panowaniem, pełnem nietyle szczęku broni, jak raczej cywilizacyjnych przełomów i przewrotów.

W galerji popiersi cesarskich każdy zwiedzający zatrzyma się przy głowie tego cesarza, uderzającej odmiennością od poprzednich typów. Po twarzach ostrych, wygolonych zupełnie, jak głowa Trajana, spotykamy u Hadrjana po raz pierwszy zarost, którym, według biografa, cesarz chciał zakryć wyrzuty go oszpecające. Odtąd zwyczaj noszenia bród się ustala; widzimy tosamo u najbliższych następców, Antoninusa i Marka Aureljusza. Zresztą z głowy Hadrjana każdy odrazu wyczyta, że to był człowiek niezwykły. Niema już w niej wprawdzie tej ostrości rzymskiej, która w popiersiach poprzedników uderza, tego silnie zaznaczonego narodowego indywidualizmu, który tak świetnie komentuje historję i ducha rzymskiego, jest przeciwnie jakieś obniżenie, a raczej zmiękczenie tonu, które tę twarz upodabnia i zbliża do twarzy nowożytnych ludzi; jakiś powiew ogólno-ludzki i powiew cywilizacji, która wyrównywa wszelkie odrębności, starł z tej głowy ostrości narodowe, nadał jej znamię czasów, w których wyłączny nacjonalizm starożytności zamierać zaczął. Mamy tu twarz rozumnego człowieka, myślącą bardzo i przemyślaną; pełnia cywilizacji wyryła na niej pewne znużenie, a do wrażenia miękkości przyczynia się i włos bardzo sztucznie ufryzowany, o co, według świadectwa biografów, cesarz dbał usilnie. Czytamy wreszcie, że postawę miał Hadrjan wyniosłą, że zewnętrznie był wykwintnym, *forma comptus*, a ten szczegół ostatni wyróżnia go także stanowczo od poprzednika, który wśród wojennej kurzawy i szczęku oręża życie przepędził.

Panowanie Hadrjana zaczęło się od kroku, który możnaby nazwać polityczną abdykacją. Lew rzymski przebudził

się za Trajana na chwilę, aby porwać w swe pazury kawał Wschodu, ale zdobycz ta była tylko przelotną. Że cesarstwo znaczy pokój, głoszono oddawna, a Horacjusz i inni poeci z szczególnem natchnieniem opiewali zamknięcie świątyni Janusa za cesarza Augusta, co było symbolem i widocznym znakiem pacyfikacji świata. Ale tę *pax Romana* wywiesza teraz Hadrjan jako hasło na swoim sztandarze, w imię pokoju zaczyna swe rządy ustępstwem, które się dziwnem wydaje w twardej Rzymu historji. Zamiast żeby iść dalej koleją przez poprzednika wytkniętą, odstępuje Hadrjan Partom cały kraj poza Eufratem, a więc Assyrję i Mezopotamję; prowincja Armenja, świeżo zajęta, zamienia się z jego poręki w państwo lennicze Rzymu, ale zarazem staje się partyjską sekundogeniturą. Jest w tem coś nowego, nie rzymskiego; ta pokojowa abdykacja, nie wymuszona żadną klęską, wygląda na akt starzejącej się woli i ambicji, na Hamletyzm zakażony myśli blednicą. Granica Rzymu biec odtąd miała po porzeczu Eufratu, z tamtej strony zaczynał się znowu Wschód, jak się zaczynał przed Trajanem. Cesarz ten, stojący na szczycie swojej kolumny w Rzymie, dziwne musiał mieć myśli i uczucia, gdy widział, że odmłodzenie i odrodzenie dawnego ducha narodu było tak przemijającem, że czekano tylko na spalenie jego ciała, aby spalić mosty, łączące z jego polityką, polityką zwycięstwa i laurów, na których ani nie spoczęto, szukając miększego posłania.

Cóż tedy mogło narazie Hadrjana do tej abdykacji skłonić? W testamencie Augusta znajdowało się już zalecenie i rada, aby granic państwa więcej nie rozszerzać, a ten testament odgrywał w późniejszych czasach niekiedy rolę innych tego rodzaju testamentów, dawał hasła i służył za przestrogę. Mógł się Hadrjan dalej obawiać, aby przez zdobycze wschodnie punkt ciężkości imperjum zanadto się nie przesunął od Zachodu, aby równowaga dotychczasowa się nie zwichnęła. Przedewszystkiem jednak niewątpliwie wchodziły

tu w grę względy na finansową i militarną nieudolność państwa[1]. Więcej na armję łożyć, na to nie pozwalały środki; a ta, która była, ledwie wystarczała na obronę długich granic cesarstwa nad Renem, Dunajem, Eufratem. Trzydzieści legjonów, mniej więcej 350.000 ludzi, stało w pogotowiu na obronę tak kolosalnych przestrzeni, rozdzielonych między trzy części świata. Wszelka nowa zdobycz mnożyła więc tylko niebezpieczeństwa, przerzedziłaby jeszcze szeregi, które wielkiemu natarciu z zewnątrz ledwieby były sprostały. Tem się tłumaczy akt Hadrjana, który niemniej pozostanie krokiem wstecznym w dziejach Rzymu, świadczącym, że wielka machina państwowa, jak się Liwjusz kiedyś wyraził, już cierpiała na własnej wielkości. Słońce wielkości rzymskiej wyraźnie chyliło się ku wieczorowi.

Pokój więc rzucił Hadrjan jako hasło zaraz w chwili wstępnej swego panowania, a odgłos tego hasła tysiącznem echem odbił się po najodleglejszych prowincjach. Majestat tego rzymskiego pokoju odtąd na lat cały szereg zapanować miał nad światem, który nowy cesarz chciał darzyć coraz nowemi darami i przybrać w nową ozdobność. Przez ciąg też jego rządów, prócz mniejszych starć, jedyna wojna poważna przerywa pogodne lat pasmo, i to wojna, w której nietylko obrona ognisk domowych, ale obrona idei moralnych w grę wchodziła, walka z narodem żydowskim. Rys ten i ta żądza pokoju, który cesarz chętnie okupywał traktatami i nawet ofiarami, jest tem dziwniejszym, że Hadrjan, wychowany w szkole swego poprzednika, według świadectwa starożytnych, jenerałem był pełnym gorliwości i hartu wojskowego. Nikt może tyle nie naćwiczył się wojska, nie odbył tyle manewrów. Przebiegając swoje prowincje, zawsze on z tem łączył cele militarne, a dyscyplinę wojska rzymskiego podniósł i utwierdził niepomiernie, tak, że nie szczęk oręża, ale po-

[1] Por. Schiller: *Geschichte der röm. Kaiserzeit*, I, 605.

lepszona legjonów reputacja miała odtąd trzymać wrogów na uwięzi i rzeczywiście trzymała. Hadrjan jest zupełnie nieznużonym w tych zabiegach i usiłowaniach; ćwiczy on wojsko rzymskie w zimach północy i pod palącem słońcem Afryki, odbywa z niem ogromne marsze dla próby, wydaje nowe konstytucje dla żołnierzy, zawierające reformy na polu dyscypliny i taktyki, a o jego działaniu świadczą po dziś dzień między innemi ruiny miasta afrykańskiego Lambaesis [1], które rozwinęło się z obozu i przy obozie urosło; w r. 128 odbył tu cesarz wielką inspekcję wojska i potem miał przemowę, która następnie wyryta w kamieniu zachowała się aż do naszych czasów. I dzisiaj, po tylu stuleciach, z piasku afrykańskiego wyłoniło się to miasto z szczątkami bram triumfalnych, świątyń i akweduktów [2], z kraju dawnej Kartaginy doleciał nas głos pokojowego tego cesarza, przemawiającego do tamtejszych żołnierzy w rozkazie dziennym, zawierającym pochwały dla jenerała i gorliwości w ćwiczeniach, wskazówki, jak nadal ćwiczyć się wypada, uznanie za prędkość i obrotność w ruchach. Mamy tu zupełnie krytykę naczelnego wodza po manewrach; przyczem cesarz nie omieszkał nadmienić, że ta *exercitatio* jest *vera dimicationis imago*, prawdziwym obrazem walki, której groza jedynie męczące i kosztowne zbrojenia w pokoju usprawiedliwić może.

Hadrjan był tak przez cały ciąg swoich rządów apostołem pokoju zbrojnego, pokoju, który ludzkość może tak dalece fizycznie i moralnie zużyć, że już o używaniu jego błogosławieństw ledwie mówić można. Cesarstwo wogóle chciało znużonemu światu przynieść wytchnienie, a zarazem bezpieczeństwo od mas nieznanych, które jak bezbarwne rojowisko

---

[1] Por. Gustaw Wilmans w *Commentationes philologae in honorem Mommseni*, str. 190 i nast.

[2] Por. Cagnat: *Lambèse*. (Paris 1893, str. 32 i nast.). — Niedaleko od pustyni Sahary znajdujemy tu świetne szczątki rzymskiej cywilizacji.

ludzkie, krzewiły się i skupiały dopiero poza jego granicami. Nie najazd, lecz obrona i obronność miały być hasłem przyszłości, a w tym celu próbowano to kolosalne imperjum na wielu punktach obwarowywać, myślano o pierścieniu żelaznym, któryby zabezpieczał wielkie te przestrzenie, tak nieomal, jak dziś mur chiński otacza i odgradza od reszty świata obszary niebieskiego państwa. Pierwotnie myśl ta powstała nad Renem, gdzie w pierwszym wieku cesarstwa był punkt ciężkości militarnej siły Rzymu, gdzie za dynastji Augusta rozgrywały się krwawe starcia z Germanami, a fale świeżych ludności zagrażać się zdawały przedwczesnym zalewem. Już za Domicjana czasów powzięto tedy myśl, aby wielkiem dziełem ubezpieczyć się tu od wschodnich Germanów. Roboty, zaczęte przez Domicjana, ciągnęły się dalej za Trajana i Hadrjana i wytworzyły w końcu ośmdziesięcio-milowy pas obronny, zwany *Limes Germanicus*, jedną z największych robót wojskowych w historji. Wał ten, wzmocniony fosą i palisadami, wieżami i grodami wysuniętemi, a strzeżony jeszcze wkońcu przez większe obozy, wybiegał od prawego wybrzeża Renu między Bonn a Koblencją, przekraczał Men i biegł ku południowi aż do Lorch w północnej Wirtembergji, aby tu pod mianem *Limes Raeticus* sięgać dalej ku wchodowi i zabezpieczać państwo od północy aż po bawarskie miasto Kehlheim, położone nad Dunajem w bliskości Ratyzbony. Historja i ludowa tradycja przypisuje Hadrjanowi wielki udział w zbudowaniu tego dzieła i stanowcze jego wykończenie, nazwa *Vallum Hadriani* zrosła się też ostatecznie z całą robotą. *Limes* retyjski odgradzał nad Dunajem cesarstwo rzymskie od północy. Tu bowiem w drugim wieku cesarstwa przesunął się punkt ciężkości od Renu. Podczas gdy za Juljuszów i Klaudjuszów na zachodzie stoi najwięcej wojska i od Renu dochodzą nas najczęściej odgłosy chrzęstu i szczęku oręża, w drugim wieku cesarze szczególnie na Dunaj zwracają baczność swą i uwagę.

Że bieg Dunaju stał się północną granicą państwa rzymskiego, to jest zasługą i dziełem Augusta [1]. Augusta zdobycze przesunęły tu wszędzie krańce państwa od Alp do wielkiej tej rzeki środkowej Europy. Cały wieniec prowincyj rzymskich przylegał odtąd do jej południowego brzegu, z ludami barbarzyńskiemi, które dostały się pod panowanie Rzymu i przyjęły chrzest klasycznej cywilizacji, który w średnich wiekach w południowych Niemczech tak piękne miał wydać owoce. A więc od zachodu części Wirtembergji, Bawarji, Szwajcarji i Tyrolu objęła prowincja Recja; dalej ku wschodowi przylegało Noricum, na obszarach dzisiejszej Austrji, Karyntji i Styrji; prowincja ta graniczyła z Pannonją, obejmującą zachodnie Węgry, Kroację i Slawonję; wreszcie na pobrzeżu południowem dolnego Dunaju rozciągała się prowincja Moesia na terytorjach dzisiejszej Serbji i Bułgarji. Wszędzie tu rozwijają się miasta jako ogniska rzymskiej cywilizacji, lub stacje wojskowe, i tym obozom zawdzięczały niektóre z nich swój wzrost i powstanie. W Recji zakwitnęły tak Augsburg i Ratyzbona, w Noricum stare Javavum, założone przez Hadrjana, z którego się nowożytny Salcburg rozwinął, w Pannonji obozy wojskowe: Wiedeń i Carnuntum, dzisiejsze Petronell na wschód od Wiednia, zaczęły mocno wzrastać, dalej Aquincum, z którego Buda powstała, Essek nad Drawą i Sirmium, dzisiejsza Mitrowica, nad Sawą położone [2]. W Serbji wreszcie wielkie pola zapełnione ruinami pod Kostolacz, świadczą o rozkwicie dawnego miasta Vimina-

---

[1] Znakomicie to przedstawił Mommsen w artykule: *Die germanische Politik des Augustus* (w czasopiśmie *Im neuen Reich.* 1871, str. 537). Praca ta swą świetnością i pewną bezwzględnością wyrażeń daje nam przedsmak, czem byłby długo oczekiwany czwarty tom *Rzymskiej Historji.*

[2] Por. *Xenia Austriaca* (I Abtheilung. Wien, 1893), gdzie na czele znajdujemy pracę Wilhelma Kubitschek: *Vindobona.* Por. mian. str. 30.

cium. Za Trajana zdobycz rzymska przekroczyła na wschodzie graniczne dotychczas wody Dunaju, aby na przestrzeniach wschodnich Węgier założyć prowincję Dację. I tu znów z wojskiem i handlem napłynęło dużo rzymskich żywiołów, a kolonizacja Trajana, na wielką miarę przeprowadzona, położyła podwaliny dzisiejszej nacji Rumunów. Aby nową prowincję zabezpieczyć od wschodu i północy, zbudował tu Trajan wały w Bessarabji między Prutem a Dniestrem, które w najdalszych swych kończynach sięgały aż Galicji; jedynie też tą drobną falą odbiła się historja Rzymu o ziemie przyszłej Polski. Cesarz Hadrjan z szczególną troskliwością zajmował się losem miast w tych naddunajskich krainach. Czuł on, że Dunaj stał się odtąd pierścieniem, który wzmocnić trzeba, że hordy najezdnicze będą się przedewszystkiem pokuszały o przełamanie ogniw tej zapory. W drugiem stuleciu po Chrystusie kraje nad Dunajem pomieszczają przeważną część rzymskich legjonów; nad Renem stoi ich tylko cztery, nad Dunajem aż dziesięć, z posiłkami około 150.000 wojska. Na tarczach tej armji miały się zatrzymać mroźne lawiny, któremi północ groziła rzymskiemu państwu i rzymskiej cywilizacji.

Nigdzie jednak polityka Hadrjana, mająca zawsze na pierwszym celu obronność i ubezpieczenie, dobitniej nie występuje, jak w Brytanji. Prowincję tę przyniosło państwu w dani cesarstwo; od Klaudjusza czasów aż do Domicjana ponawiane wyprawy przeprowadzają jej ujarzmienie. Za Domicjana sławny teść historyka Tacyta, Agricola, posunął podbój ku północy, aż w głąb dzisiejszej Szkocji. W tych jednak najpóźniej nabytych dziedzinach srożył się bunt w samych początkach rządów Hadrjana. Cesarz go wprawdzie zwycięsko uśmierzył, ale zarazem postanowił niepewne obszary opuścić, cofnąć granicę Rzymu ku południowi i silnem obwarowaniem właściwą Brytanję odgrodzić od Szkocji. Zaraz w początkach jego panowania, buduje się tu *Limes*, wał obronny

między zatoką Solway i ujściem rzeki Tyne, na przestrzeni szesnastomilowej; wieże obronne, większe i mniejsze grodziszcza, otaczają szańce w pewnych odstępach i wzmacniają linję obronną. Żołnierze legjonów wznieśli to dzieło, a zarazem szerzyli tu romanizację i cywilizację; połowa napisów łacińskich, znalezionych w dzisiejszej Anglji, pochodzi z tego wału Hadrjana, który Szkocję oddzielił od wielkich przestrzeni rzymskiego imperjum. Ale bezpieczeństwo znów tu zostało okupionem ofiarą i pewną miękkością w polityce, która świadczy o starzeniu się rzymskiej energji.

Umyślnie wysunęliśmy naprzód te szczegóły, bo odnoszą się one do samych początków nowych rządów i rzucają dużo światła na skład państwa rzymskiego i ducha, który je odtąd miał ożywiać. Żywy dotychczas i żywotny organizm zaczyna się zasklepiać, tak myśleć o obronie tego, co jest, że na śmielsze porywy i plany natchnienia już nie starczy. Jest to ten sam stan i to samo położenie, które w XVI w. z ust Kochanowskiego wywołało wobec szlachty polskiej, od walki się uchylającej, hartowne słowa:

> Ba, radźmy też o wojnie, nie wszystko się brońmy;
> Radźmy, jak kogo bić, lepiej niż go czekać.

Tymczasem w Rzymie za szańcami i obozami czekano na wroga, a w masach świeżych północy zaczęła świtać myśl, że za murami może się kryje dla nich świetna zdobycz, że słońce i ozdobność południa zasługują na to, aby się zetrzeć z rzymskiemi legjonami. Krótko po Hadrjanie, w końcu drugiego wieku, ta północ groźna zakołatała też dobitnie do bram państwa i wrót samej Italji. Narazie szturm zażegnano; ale ostatni z wielkich cesarzów drugiego wieku spędza część życia na Węgrzech i umiera w Vindobonie nad Dunajem, gdzie go niebezpieczeństwo powołało. Posąg też Marka Aurelego na Kapitolu jest ostatnim wyrazem rzymskiego szczęścia

i triumfu, pogodnem słowem pożegnania z cywilizacją i sztuką, które niebawem zaczęły przygasać wśród zamieszek burzy następnych wieków.

2.

Załatwiwszy stosunki wschodnie, przybył Hadrjan do Rzymu dopiero w r. 118, aby wjechać do stolicy państwa i objąć rządy na dobre. Miał on wtedy lat 41. Charakter był urobiony, choć tak zawikłany, że starożytni napróżno się kusili o dokładne jego określenie. Bo też psychologja starożytna lubiła do pewnych utartych typów sprowadzać rozmaitość osobistości ludzkich, podciągać je pod kategorje ogólne i ogólnikowe. Wobec dusz skomplikowanych, natur Proteuszowskich, które w jednym czasie i w rozwoju swoim coraz nowe odsłaniają tajniki, czuła się bezsilną i niedołężną. Do historji Hadrjana mało mamy źródeł; a ten historyk, który się pokusił o obraz całokształtu jego osoby i panowania, autor trzeciego wieku, Spartianus [1], nie wybrnął z trudności wobec zagadkowości tej postaci. Mamy tu nagromadzenie samych przeciwnych sobie przymiotników, mających świadczyć o dziwnych sprzecznościach tej natury, a to wszystko zakończone słowami: *semper in omnibus varius*, ciągle we wszystkiem odmienny, słowami, które stwierdzają migocące pozory, a nie tłumaczą sprężyn ukrytych, ani głębi istoty. Bo była też to epoka, w której prostsze od naszych dusze starożytności, pod tchnieniem bogatej i różnorodnej cywilizacji, traciły swoją jednolitość i różniczkowały się w tych tysiącznych od-

[1] Źródła do historji Hadrjana krytycznie zbadał Plew: *Quellenuntersuchungen zur Geschichte des Kaisers Hadrian*. Strassburg. 1890.— Dzisiaj ocena Spartianusa zależy od tego, czy będziemy uważali *Scriptores historiae Augustae* za fałszerstwo IV wieku, czy też pozostaniemy przy dawnem zdaniu, że ci historycy, jak Spartianus, rzeczywiście żyli i pisali w trzecim wieku. To jest bardziej prawdopodobnem.

cieniach myśli i uczucia, które się składają na duszę nowożytną. Cała pełnia myśli i uczuć ogromnego świata napływała do Rzymu i ześrodkowywała się na jednem miejscu, jakiś kosmopolityczny powiew przeleciał nad ziemią i otworzył dusze na tysiączne wpływy i natchnienia. A kosmopolityzm, jak zawsze, tak i tutaj, wywoływał indywidualizm. Była to epoka niebardzo twórcza w zakresie myśli i sztuki; bierność zaś idzie bardzo często w parze z tem większą wrażliwością i receptywnością. Ludzie nie zacieśnieni, ani skrępowani smakiem i myślą teraźniejszości, błądzili okiem i sercem, aby z wielkiej kopalni przeszłości przyswajać sobie to, co im się wydawało w niej pięknem, bujali po wielkich imperjum rzymskiego przestrzeniach, aby się zewsząd zapożyczać i wzbogacać temi nabytkami życie swoje duchowe. Jest to epoka przełomu i szukania, a takie epoki najtrudniejsze zawsze przedstawiają problemata, najtrudniej wniknąć w tajniki osobistości, w których przesyt posiadania walczy i ściera się z nowemi pragnieniami, które nie mają jeszcze określonych kształtów, osobistości o dwu Janusa głowach, z których jedna, w przeszłość zapatrzona, ma wyraz znużenia i przeżycia, druga oczy przetwiera do jakichś świtów, zapowiadających nowe, niepewne doby. Cywilizacje, dosięgające szczytu, z którego nietylko przeszłość przebytą, lecz i nowe, z mgły wyłaniające się krainy dojrzeć można, wykazują zawsze tego rodzaju objawy.

Takim dwulicowym człowiekiem był nowy cesarz rzymski i tak go pojmować należy. Mówiliśmy już o jego polityce zewnętrznej; z dawnych tradycyj rzymskich przejął on tę nadzwyczajną gorliwość militarną i gorącą pieczę nad armją, a obok tego szła ta miłość i pożądanie pokoju, które tej armji nie otwierało pola działania i próby. Uderza przedewszystkiem w Hadrjanie kolosalna uniwersalność jego ducha. Posiadał on lub posiąść usiłował to wszystko, co ówczesna cywilizacja świata człowiekowi dawała, zestrzelić w jednej

osobie zasoby duchowe Rzymu i Wschodu. Biograf jego, Spartianus, mówi o nim, że oddawał się z zapałem poezji i nauce, że był w arytmetyce, geometrji, malarstwie nadzwyczaj biegłym. Prócz tego chciał uchodzić za dobrego tancerza i śpiewaka, prócz tego wreszcie doskonałym zamierzył być jenerałem. Jest to wykwit cywilizacji dojrzałej i przedojrzałej, która przez to, że człowiekowi zbytecznie ułatwia nabywanie wiadomości, miękczy zarazem duszę i przesyca ją pewnym zbytkiem. Ta literatura na tronie Cezarów odgrywała w Rzymie rolę hetery; Neron w pierwszym rzędzie zepchnął ją do tej roli. Miała ona tym sybarytom umysłowym rozchmurzać czoła, upajać ich i zarazem ludzkość pochlebczą swemi wdziękami, oddawać się z łatwością tym, którzy nadużywali urobionych i gotowych form i formułek poetycznych, aby igrać z przystępnemi jej tajnikami. Ta hetera przemawia od augustowskich czasów z tronu Cezarów coraz nowemi utworami poetycznemi, które czas nielitościwy zmiótł do otchłani nicości i zapomnienia, zachowywując nam kilka okruchów Nerońskiej i Hadrjanowskiej muzy, kilka anemicznych igraszek słowa i myśli, które robią prawie wrażenie dzwonków na czapce królewskiego błazna. Dyletantyzm jednak cesarski przekracza z Hadrjanem granice poezji; w nauce, podobnie jak Tyberjusz, gubi się on w labiryncie wiedzy ówczesnych wielowiedzących ludzi, którzy w tej epoce nietwórczej, jak encyklopedje i repertorja chodzące, krzewili się coraz bujniej. Interes Hadrjana jest żywy, ale drobnostkowy, wiadomostki antykwaryczne żywiej go zajmują i zaprzątają od wiadomości ogólnych; jest to nauka, która woli się błąkać po ciemnych zakamarkach wiedzy, niż kroczyć po szerokich szlakach do pełni światła i jasności. Dwór cesarski staje się przybytkiem pisarzy i uczonych; napływają oni tu zewsząd, z Zachodu i Wschodu i składają dary swych rozumów u stopni tronu, przynosząc mu światło i świetność. Cesarz potrzebuje ich, aby w razie wątpliwości wertować te żywe ency-

klopedje, potrzebuje ich, aby mu okraszali uczty i sympozja miłą rozmową, otoczenie to podsyca wszechstronne jego interesa i ma im zadość uczynić[1]. Żadna śmielsza myśl nie powstaje niewątpliwie w tych kołach, płużą one jednak w uniwersalności z błogiem uczuciem ludzi, którzy posiedli ziemię i sól tejże ziemi. — Hadrjan jest prócz tego wielkim znawcą sztuki, ma przegląd nad tworami ręki wszystkich wieków i ludów, rozkosze klasyfikacji przewyższają zapewne nawet u niego rozkosze estetycznego użycia. I na tem polu chce być cesarz samodzielnym, występuje z próbami swych wiadomości. Sławny architekt Apollodorus, który się ośmielił skrytykować jeden z planów jego budowli, popada w niełaskę.

Bo Hadrjan ma właściwość nieodłączną wszystkich dyletantów, nieufność i zazdrość wobec ludzi prawdziwie fachowych. Dyletant na tronie ma też zapewnione względy i uległość. Gdy cesarz zganił raz pewne wyrażenie w mowie encyklopedysty Favorinusa, poddał się tenże bez zastrzeżeń krytyce cesarskiej, dodając, że tego należy za uczeńszego uważać, kto ma 30 legjonów na swoje rozkazy. Ale Hadrjan ma nietylko porywy dyletanta, lecz i sceptycyzm człowieka, który przesycił się wiedzą, a widzi, że ona mu nie może odsłonić wielkich tajemnic jestestwa. Miewa on dla uczonych otaczających go pewne uśmiechy współczucia, prawie litości, patrzy na ich prace i zabiegi z pewnemi wątpliwościami co do doniosłości ich pracy; w Aleksandrji, ognisku głównem ówczesnej nauki, zadaje im rozmaite pytania, a nie czekając na mądre wywody, sam na nie odpowiada. Znać w tem

[1] Wśród tego koła odznaczał się Phlegon z Tralles, wyzwoleniec cesarski. Pod jego nazwiskiem wydał Hadrjan swą autobiografję, która, niestety, zaginęła. Por. Plew, l. c. str. 3. Pisal Phlegon, prócz historji, o dziwach i cudach przeszłości. Por. Diels: *Sibyllinische Blätter*, str. 20. Z niego wziął Goethe treść swej ballady o Narzeczonej z Koryntu. W Hadrjanie podsycał niewątpliwie Phlegon wszechstronne interesa i niewczesne ciekawości.

wszystkiem pewien sceptycyzm przesytu, sceptycyzm, który w końcu wieku wywołał Voltaire'a starożytności, Lucjana, smagającego nielitościwemi razy całą rozwielmożnioną rzeszę filozofów i uczonych, która gryzie się wzajemnie i przeżuwa myśli i systemy minionych epok. Lucjan w końcu wieku ogłasza zdrowy rozum, wyzwolony z wszelkich formułek, za bóstwo nieomal i kadzi temu bóstwu, które w XVIII wieku w podobnych okolicznościach dostało się na ołtarze.

Non plus sapere quam oportet sapere et sapere ad sobrietatem, pisał Apostoł pogan, Paweł św., do Rzymian: powiadam wszystkim... żeby nie lepiej rozumieli, niźli potrzeba rozumieć, — a tenże sam Apostoł w liście do Tytusa zwraca się przeciw zbytniemu nurzaniu się w drobnostkach wiedzy, *stultas autem quaestiones et genealogias et contentiones devita*: a głupich gadek i wyliczania rodzajów i sporów i swarów zakonnych chroń się, albowiem są niepożyteczne i próżne. Apostoł narodów potępia więc nieurodzajną i jałową wiedzę, która marnuje swe siły na dociekaniu drobnostek, zużywa umysł na bezużytecznym i martwym materjale. Słowa te, podyktowane tchnieniem nowej wiary, która proste posilenie prostym przynosiła duszom, a zarazem przez chorobę wieku, który zapadał na przesyt wiedzy i niewstrzemięźliwą ciekawość. *Curiositatum omnium explorator*, człowiekiem goniącym za ciekawostkami, nazwał później cesarza Hadrjana Tertuljan i w krótkich wyrazach określił trafnie tę osobistość. Niepokój cesarza, objawiający się w ciągłym ruchu i podróżach, robi go prawdziwym typem epoki, która wiecznie czegoś zdaje się szukać, nie może nigdzie spocząć, epoki, której *expectatio creaturae* Pisma św. nadaje przeważne i charakterystyczne piętno. Nadużycie i znużenie mózgu doprowadza ludzi do obłędów, do wybryków mistycyzmu i durzenia siebie i bliźnich chorobliwemi igraszkami, które mają zadawalniać skrzywione religijne potrzeby.

Wiek ten cały ma wyraźną skłonność do dziwów, a ra-

czej cudactw, do podniecania i ożywiania wyobraźni przez nienaturalne działania i baśnie. Histerycy religijni włóczą się po świecie i znajdują poklask i wiarę; wśród ogólnego zamieszania pojęć, świtu nowej wiary, a zamierania dawniejszych, wybujają obficie jakieś objawy chorobliwe, wykazujące nieokreślone potrzeby czegoś nowego, lub znowu pragnienia, aby życie, uciekające z pogaństwa, sztucznie podtrzymywać i podniecać. Wiek ten wydał Peregrinusa, który jak Faust błąka się po manowcach wiedzy i wrażeń, jak żyd wieczny tułacz po przestrzeniach państwa rzymskiego, a nigdzie spokoju nie znajduje, lecz swój niepokój przenosi nawet na otoczenie. Wtajemniczony pierwotnie w nauki filozoficznych szkół pogaństwa, poznaje on potem chrześcijan w Palestynie i przystaje do nowej wiary. Wykluczony jednak z ich gminy, udaje się do Egiptu i Italji, bawi się następnie w wolnodumcę i demagoga. Wygnany z Rzymu, wraca do Grecji, aby tu wkońcu życie zamknąć aktem, który w granicach normalnej psychologji pozostaje prawie niezrozumiałym, lecz ma w sobie wyraźne znamiona histerji czy katalepsji duchowej. Zwątpiwszy, aby życiem sobie i bliźnim mógł przynieść zbudowanie, chce Peregrinus śmiercią swoją podać światu skuteczną naukę, jak śmierć znosić wypada, i pali się dobrowolnie w Olimpji, składając z życia ofiarę, nie wiedzieć dla jakich przyczyn i celów. Cała ta śmierć wygląda na karykaturę męczenników chrześcijańskich, na niezgrabną parodję szlachetnych zgonów i ofiar, na wybryk człowieka, który łoskotem śmierci chciałby sobie zapewnić nieśmiertelność. Bo opowiadanie szyderczego Lucjana nie pozwala nam przypuszczać, aby to był akt pesymizmu, negacji woli istnienia; spotkamy się zaś niebawem z inną śmiercią, która nie mniejsze nasuwa zagadki i także była wynikiem dziwactw i obłędów epoki.

Niższego rzędu dziwakiem, religijnym oszustem był w tymże samym wieku niejaki Aleksander z Abonoteichos

w Azji, którego pisarz nowoczesny słusznie Cagliostrem tej epoki nazwał. Przez sztuczki i mamidła wyrobił on mniemanie, że jest jasnowidzącym cudotwórcą; przez lat trzydzieści potrafił ześrodkować około swej osoby naiwnych czcicieli i kult prawdziwy, a ani zawody często się powtarzające, ani bezczelność proroka nie wytrzeźwiła łatwowiernych z tego obłędu. Nawet Marek Aureli słuchał jeszcze jego rad i wskazówek. Chciał on uchodzić za proroka i kapłana Eskulapa, najpopularniejszego wśród bogów zamierającej starożytności. Bo wśród chorego społeczeństwa, w którem wybujały indywidualizm stwarzał coraz nowe cierpienia, a zarazem świadomość nędzy ludzkiej stopniował, zwiększało się zarazem z dniem każdym pragnienie uzdrowienia i pociechy, a z zastępu bogów chyba jeden Eskulap nadawał się do tej roli. Cześć dla niego przybiera teraz wielkie rozmiary; ludzie w chorobach fizycznych i moralnych szukają u niego ratunku: do jego świątyń cisnęły się tłumy, aby tu znaleźć radę lub pokrzepienie. Zaczyna on uchodzić za zbawcę i przyjaciela ludzkości, a wyznawcy pogaństwa przeciwstawiają go wprost Zbawicielowi, nadmieniając, że i on był cudotwórcą, chorym przywracał wzrok, a nawet życie umarłym [1]. Czciciele Eskulapa byli mu wyłącznie i fanatycznie oddani, popadali w ekstatyczną względem tego boga dewocję, jak autor drugiego wieku, Aristides [2].

Poważniejsze dusze wśród pogan chroniły się do świątyń mędrców pogodnych, aby tu w filozofji, mianowicie stoickiej, znaleźć spokój i równowagę. Ta równowaga była hasłem szkoły, miarą, dla której starożytność wytworzyła kult, którą sławiła w swej sztuce i w życiu; miała ona być drogowskazem na manowcach rzeczywistości, prowadzić zawsze pośred-

[1] Por. Harnack: *Medicinisches aus der alten Kirchengeschichte* str. 32 i 93. Obok świątyń Asklepiosa znajdowały się szpitale i zakłady lecznicze. Por. o tem nadzwyczaj zajmujący artykuł Diehla: *Excursions archéologiques en Grèce.* 1891, p. 311.

[2] Friedlaender: *Sittengeschichte Roms.* III, 496.

nim i najlepszym torem, chronić od zboczeń rozumu i serca. Jest w tej wierze optymizm, że tak prostym środkiem i naturalnym potrafi się ludzkość w karbach utrzymać, jest racjonalizm, bo apeluje ona wyłącznie do rozwagi i rozumu, jest dalej pewien rys arystokratyczny, bo nauka taka jedynie u ludzi wyższych i wysoko wykształconych oddźwięk i posłuch znaleźć mogła, jest wreszcie w tem gonieniu za własnym spokojem, w wyniesieniu tej pogody osobistej na ołtarz domowy pewien egotyzm, pewne zacieśnienie się w zakresie własnego, osobistego szczęścia. Filozofja ta miała niebawem po Hadrjanie z Markiem Aureljuszem zasiąść na tronie rzymskiego imperjum. Potrzebom głębszym religijnym, odzywającym się w sercach mas, zadośćuczynić ona nie mogła, bo prócz wszystkiego wykluczała i nie uwzględniała maluczkich, do których inny głos i potężniejszy niedawno przemówił, niosąc pokój ludziom dobrej woli. Na całej tej filozofji osiadły zmarszczki starości i wieczoru, a ludzkość potrzebowała powiewu świeżego i odmładzającego dusze i serca.

Wogóle powiedzieć można, że po augustowskiej epoce, która zamierzała Zachód nad Wschodem wywyższyć i Rzym przed zorjentalizowaniem obronić, teraz Wschód doszedł do przewagi i znaczenia. Krzewiła się tutaj teozofja, mająca ułatwić większe zbliżenie się do bóstwa, czyto przez ekstazy, czy przez askezę, dziwaczne wierzenia o równie dziwacznych i różnorodnych obrzędach napływały na zachód. Filozofja neoplatońska, która powstała w tych czasach, przejęła skłonności do ekstazy i rozmaitych dziwów, jako też wiarę w demonów, duchy złe, czy dobre, pośredniczące między bogiem i ludźmi, od Wschodu i przesiąkniętego jego wierzeniami pospólstwa. Neoplatonizm chciał ratować pogaństwo i zapewniał starym i nowym bóstwom znaczenie w swoim teologicznym systemie. Wśród tych bóstw znajdował się staroperski Mithras, Pan światła i słońca, którego kult zaczął się teraz szerzyć po rzymskiem imperjum. Wszystkim tym wiarom i kultom wspól-

nem było pragnienie większego zbliżenia się do bóstwa i doskonałości, wyzwolenie z kałów ciała i ziemi, uświęcanie się przez rozmaite tajne, czy nietajne obrzędy. A równocześnie szerzyła się wiara, która miała ostatecznie te wszystkie porywy zwyciężyć, ewangelja Chrystusowa. Czy Hadrjan bliżej ją poznał, nie możemy dokładnie określić. Późniejszy, dosyć podejrzanej wartości historyk, Lampridius *(Alexander Severus* 43) donosi nam, że Hadrjan po różnych miastach świątynie budować kazał bez posągów, aby były nowego jakiegoś bóstwa i kultu ostoją i ogniskiem. Bóstwem tem miał być rzekomo Chrystus. Może być, że po myśli Hadrjana, zestrzelającej w sobie różne wierzenia stare i nowe, błąkał się także zamiar złożenia hołdu monoteizmowi i wzniosłej Chrystusa nauce. Ale wiadomość ta jest dosyć zagadkową i różne budzi wątpliwości. Że się cesarz z chrześcijanami zetknął, to wiemy ze świadectwa historyka Eusebiosa, który donosi, iż Ateńczyk Quadratus wręczył Hadrjanowi apologję chrześcijan. Nastąpiło to może w Atenach w r. 125 lub 126-stym. Prócz tego czytamy w historji kościelnej Eusebiosa (4, 8), że Hadrjan wydał do prokonsula Azji, Minuciusa Fundanusa, reskrypt, nakazujący pewną względność i oględność w obchodzeniu się z chrześcijanami. Reskrypt ten mógł być wydanym w latach 124—125, a zarządzał, aby lekkomyślnych donosicieli chrześcijan karać, aby samych chrześcijan tylko wtedy skazywać, gdyby im dowiedziono, że popełnili występek przeciwny prawom. Pismo to byłoby więc wielkim krokiem naprzód w rozwoju tolerancji, kładłoby tamę prześladowaniom chrześcijan za samą tychże wiarę, co było dotkliwą ich krzywdą i ciągłym ich skarg przedmiotem. Nie wszyscy jednak w taką przedwczesną wyrozumiałość władcy rzymskiego wierzą; prócz tego sam reskrypt znamy tylko w greckim Eusebiosa przekładzie i w łacińskim tekście u Rufinusa, który zapewne z tłumaczenia Eusebiosa znów na łacinę go przełożył. Są więc wątpliwości, a niektórzy posunęli się tak daleko, że autentycz-

ności całego dokumentu zaprzeczyli. Sceptycyzm ten zapewne jest przesadą. Przypuszczamy owszem, że taka wyrozumiałość dobrze się godzi z umysłowością i usposobieniem Hadrjana, wolnem przeważnie od okrucieństwa, skłonnem do zajmowania się wszelkiemi nowinkami religijnemi, choćby one były wierzeniami wstrętnych i ogólnie pogardzanych Semitów.

Curiositatum omnium explorator zagłębiał się z lubością w tajniki wszelkich wierzeń, do mistycyzmu miał pociąg wyraźny. Astrologowie należeli do zwykłego jego otoczenia, a cesarz według gwiazd i sztuczek kabalistycznych obrachowywał dokładnie w początku stycznia wszelkie wypadki, które w ciągu roku wydarzyć mu się miały. W podróżach swoich wschodnich zatrzymywał się on chętnie w miejscach, które słynęły tajemniczemi kultami; w Eleusis, mieście Attyki, wpisał się nawet w poczet adeptów sławnych tych obrzędów. Misterja Eleuzyjskie, oddawna znane w Grecji i w świecie, wykazywały rysy podobne do lóż masońskich nowszych czasów; pełno tu było tajemniczości, a tylko przed adeptami pierwszego stopnia odsłaniano je zupełnie. Nauki tu głoszone i podawane miały ludzkość pocieszać i pokrzepiać, uspakajając na życie, a więcej jeszcze w śmierci. Zapewnienia bowiem szczęścia pośmiertnego miały śmierć rozbrajać i niszczyć jej grozę. Toteż widzimy, że szlachetne duchy wszystkich czasów mówiły o tych misterjach z namaszczeniem, że chętnie szukały tu ulgi i czerpały podniosłe wrażenia. A nietylko Grecy to robili, lecz i Rzymianie, lgnący do greckiej kultury, szli chętnie za ich przykładem; Sulla, Cycero, August, wszyscy cesarze drugiego wieku szukali w tym tajnym kulcie zadośćuczynienia dla swych potrzeb religijnych; a może szli tylko w części za konwencjonalnością, która od wykwintniejszego człowieka wymagała nieomal, aby uczestniczył w dobrodziejstwach płynących z tego starożytnego kultu.

Bo konwencjonalność i zewnętrze przestrzeganie tradycji szły także u Hadrjana ręka w rękę z pragnieniem cze-

goś nowego, nieokreślonego, rzucającego w duszę jakieś świty i rojenia mgłą przysłonięte. Ten cały kult stary, potrzebny dla machiny państwowej i zrosły z Rzymem, działał prócz wszystkiego na jego estetyczną wyobraźnię, na jego zmysł sztuki, tysiącami swych posągów i świątyń prosił się o podziw i poszanowanie. Co więcej, pod naciskiem i napływem nowych wierzeń i religji, zaczęła się w pogaństwie już wtedy wyrabiać pewna odporność, podyktowana niebezpieczeństwem; zmysł ratowania własnego istnienia budził w niektórych duszach pragnienia, aby Olimp oczyścić z brudów i naleciałości mitologicznych i odrodzonym bogom zapewnić nadal panowanie nad duszami i światem. Hadrjan popierał faktycznie tę tendencję, bo według słów biografa »kulty rzymskie najgorliwszą otaczał pieczą, obcemi wzgardzał«. Słowa te jednak są przesadne i zbyt ogólnikowe, zbyt kategorycznie orzekają coś o cesarzu, o którymbyśmy raczej przypuszczali, że ratował pozory i pilnował ich gorliwie, choć w treść niebardzo wierzył. Tenże sam przecie cesarz, który ma dużo nie-rzymskich rysów, a życie przeważnie poza Rzymem spędził, szczególną pieczołowitością otoczył ubiór starorzymski, togę, gniewał się, gdy ją zastępowano innemi, wygodniejszemi szatami, senatorom i rycerzom zakazał publicznie w innych ubiorach się pokazywać, sam zaś w Italji zawsze w todze występował. Zmysł archeologiczny Hadrjana, rzecby można antykwarski, estetyczna malowniczość, składały się w części na to przestrzeganie starego obyczaju, utwierdzanie form starodawnych, z których duch pierwotny niewątpliwie już uleciał.

W każdym razie wzmocnił Hadrjan zagrożone bogów zastępy przez nowego przedstawiciela i sprzymierzeńca, który niewątpliwie osłabić mógł tylko i obniżyć ich cześć i powagę. Znanym jest obłęd cesarza, objawiający się w miłości młodego Azjaty, a może żyda, Antinousa, promieniejącego nadzwyczajnym wdziękiem piękności. W stosunku tym odsłoniła się raz jeszcze jedna z najsmutniejszych stron starożyt-

nego świata, a z drugiej strony objawiał się ten bezwzględny kult piękności, której pogaństwo zawsze hołdowało i złożyło teraz ostatni przedzgonny pokłon. Śmierć tego młodzieńca, który podczas podróży cesarskiej na Nilu rzucił się w odmęty rzeki, pozostała dla nas zagadką. Myślano, że była to ofiara, mająca okupić powodzenie cesarskich przedsięwzięć, albo przedłużyć życie Hadrjana; współcześni gubili się już w domysłach, których my rozjaśnić nie potrafimy. Odbywa się to wszystko na tle nieczystem wschodniego bezwstydu. A po tej śmierci następuje epilog, jeszcze bardziej drażniący uczucia ludzkości. Młodzieniec zmarły zostaje wyniesionym między bóstwa, kult jego połączonym z wyroczniami, które podobno sam cesarz redagował, tysiące posągów powstaje, uwieczniających tę piękność. Jestto jeden z najdziwaczniejszych rysów w charakterze tego cesarza, tyle dziwactw wykazującego. W satyrze, którą jeden z następnych cesarzów, sławny odnowiciel pogaństwa, Julianus, wysmagał błędy przeszłości, przychodzi Hadrjan do bogów mieszkania, »w górę spoglądając często i mistycznemi tajemnicami zaprzątnięty«. Sylen, spostrzegłszy go, pyta otaczających, czy szuka może Antinousa, i poleca, aby mu powiedziano, że go tu nie znajdzie. Jestto odpowiedź samego pogaństwa na ten wybryk Hadrjana, słowo piętnujące jego obłędy, rzucone z wyżyny cesarskiego tronu.

Cesarz założył nawet w r. 130 miasto Antinoopolis na prawym brzegu Nilu, aby uwiecznić pamięć zmarłego kochanka. Byli tu rozliczni kapłani, przeznaczeni ku czci nowego bóstwa; ich mumje wyłoniły się w nowszych czasach z afrykańskiego piasku, a teksty modłów tam znalezione dowodzą, że w Antinousie uwielbiano młodzieńczą piękność, a prócz tego zapewne nieśmiertelność i zmartwychwstanie. Tą otuchą krzepił się cesarz po stracie ulubieńca. W każdym razie mamy tu do czynienia z wybrykiem i obłędem, a nie z objawem poważnej religijności. W gruncie rzeczy Hadrjan

nie wiedział dobrze, czy życie jest czemś poważnem, czy poważne ma źródło i cel poważny, czy ludzie nie uganiają się za marą i ułudą, nie są czczą igraszką przypadku i losu. Wielki pesymizm człowieka przerafinowanej kultury przebija przynajmniej z jego lekkich przedśmiertnych wierszyków. Znamy kilka głosów, przemawiających z wyżyn tronu cesarskiego w przedzgonnej godzinie. August pytał się na łożu śmiertelnem otoczenia, żali dobrze życia sztukę odegrał, a pytanie to znamiennem jest u człowieka, u którego wszystko było przemyślanem i obmyślanem zimną rozwagą, który teraz opuszczał dzieło genjalnem wyrachowaniem stworzone. Nero, kończący orgję na tronie, drapuje się jeszcze w śmierci w przybory aktora, w chwili szału i strachu na widok otchłani nicości i nędzy, w którą się zwalił z wyżyn tronu, woła: »Co za artysta ze mną umiera!« W Hadrjana przedgrobowem wyznaniu mamy jednak najindywidualniejsze rysy znużonego życiem i niezbadanemi jego tajemnicami człowieka. W przededniu śmierci kreśli on w swych notatkach wierszyk do swej duszy:

Duszyczko moja tkliwa i ruchliwa,
Gościu ty ciała mojego i drużko,
Co pójdziesz teraz w krainy ciemności,
Twarde i nagie i pełne bladości,
A żartów zwykłych stroić już nie będziesz.

A więc to były żarty, od których teraz odejść i wstać przyszło! *Vanitas vanitatum* Pisma św. znalazło taki wyraz w tej *animula vagula*, która czepiała się wszystkich darów życia i wszystkich życia problemów, pieściła się błyskotkami umysłu i wyobraźni, a teraz wobec bramy ciemnych zaświatów wątpić się zdaje, czy to wszystko, co żegna, nie było równie ułudną marą, jak cienie, do których zstępuje. Wierszyk ten w wielkiej swojej prostocie uwidacznia nam głęboką melancholję wieku, w którym nowa lecz jeszcze nie dość poznana wieść i nauka krew świeżą i męską energję wlewała

w życie, a śmierci blade przybytki rozjaśniała promieniami nadziei.

Do cerebralnych natur, jak Hadrjan, prosta ta nauka niełatwo mogła trafić i przystęp znaleźć otwarty. Cerebralnym zaś nawskróś był ten cesarz, którego czoło i twarz całą poorała myśl, a nie uczucie, którego głowa po szalonych, twardych lub pełnych energji popiersiach innych cesarzy naznaczona jest jakby myśli bladością i myśli przesytem. Cerebralność Hadrjana ujawnia się w różnych wybitnych rysach, między innemi i w tym, że cesarz ten nigdy nie posiadał wiernego i stałego przyjaciela. Przyczyną tego musiało być jakieś niedomaganie uczucia, jakiś sceptycyzm, który w zawiązkach toczył poczynające się związki i rozwojowi ciepła przeszkadzał. Cokolwiek mu o przyjaciołach doniesiono, chętnie tego słuchał, powiada jego biograf, i ta przystępność dla bajek i gadek wielkomiejskich psuła potem i rozrywała wszelkie stosunki. Wobec niższych starał się on zawsze o popularność i chętnie przychylał ucha do ich wyznań i mowy, przed wyższymi i równiejszymi ani sam serca nie otwierał, ani do otwartości nie zachęcał. Obcowanie z tamtymi zapewniało mu poklask u masy i błogie uczucie, że się spełnia cywilizacyjną misję — *voluptatem humanitatis* — jak się autor rzymski pięknie wyraża; — poufałości i ściślejszej przyjaźni nie pożądał ani potrzebował. Powiernik późniejszego cesarza, Marka Aureljusza, Cornelius Fronto, wyraźnie powiada, że Hadrjana czcił i w mowach publicznych sławił, ale nie kochał, bo dla tego uczucia potrzebna ufność wzajemna i zażyłość. Ręka zaś w rękę z chłodem względem ludzi szło zato namiętne przywiązanie do zwierząt, do koni i psów, któremi cesarz się pieścił, którym stawiał grobowce i pisał epitafy, głoszące ich zalety. Rys to aż nadto zrozumiały u człowieka, który w gruncie był melancholikiem i pesymistą, a sławiąc psa, mówił zarazem bliźniemu, że wobec

niego na takie tony się nie zdobędzie, boby mu zabrakło natchnienia i ciepła.

Ciepła tego też nie starczyło na miłość. Mamy u Hadrjana zbłąkania i wybryki zmysłowe, o głębszem uczuciu nie słyszymy; wobec żony Sabiny zrywał się on na sceny zazdrości, bo cesarzowa dozwalała, jak się zdaje, wobec siebie na poufalenia dworzan, które obrażały godność cesarską, ale harmonji nigdy tu nie było, ani porozumienia lepszego. Hadrjan skarżył się na jej szorstkość i przekorność, mówił, że gdyby był prywatnym człowiekiem, w rozwodzie szukałby był ratunku. Człowiek ten, wokoło którego ani ciepło rodzinne, ani ciepło przyjaźni nie zakwitło, wystąpił jednak w r. 119 z gorącą mową pogrzebową po śmierci swojej świekry Matidji; z fragmentów, dotąd zachowanych, dochodzą nas odgłosy drżące takiem uczuciem, do jakiegośmy w ustach Hadrjana nie przywykli [1].

Że go w Rzymie nie lubiano, po tem wszystkiem przypuszczać się godzi, a stwierdzają to objawy opinji po jego zgonie; w senacie takie panowało rozdrażnienie, że chciano zmarłego odsądzić od chwały apoteozy, od zaliczenia w poczet bóstw Rzymu, i tylko zabiegi następcy na tronie, Markusa Antoninusa, przeprowadziły te pośmiertne hołdy. Na brak tej sympatji składały się rozmaite przyczyny, o których w dalszym ciągu pomówić nam jeszcze przyjdzie, przyczyniał się dalej w wielkiej mierze kosmopolityczny nastrój cesarza. Ten *Graeculus* na tronie Cezarów, władający językiem Hellenów z początku lepiej, niż łacińskim, żyjący ciągle zasobami i natchnieniami greckiego ducha, rozmiłowany w Palladzie Ateńskiej, nawet skarłowaciałym epigonom hartownych kwirytów wydawać się musiał dziwacznym i nieswojskim. Ale to, co u Rzymian uchodziło za obłęd i zboczenie, nam, obejmującym następnych wieków dzieje, może się przedstawić

[1] Por. *Hadriani laudatio Matidiae*, ed. Dehner. Neuwied 1891.

w kształcie faktu wielkiej dziejowej doniosłości. Z Hadrjanem stanął u szczytu imperjum władca, który w osobie swej zespolił obydwie cywilizacje panujące współczesnego świata, do zbliżenia się i spójni tych dwóch cywilizacyj stanowczo się przyczynił i równał tem drogi innemu posiewowi, który niebawem na szerokich niwach rzymskiego państwa bujnym miał zejść plonem. Dla ognisk tych cywilizacyj, ich tworów i kierunków, ma on żywy interes, otacza je troskliwą opieką, i to tłumaczy w części życie artystyczne i prądy literackie ówczesnej epoki. Ten dyletant na tronie Cezarów, który wszystkim muzom naraz chce służyć i wszystkim hołdy składać, ma zupełny fanatyzm dla sztuki i piśmiennictwa, zamierza on w całej pełni roztoczyć ich chwałę i tą chwałą czasy swoje uświetnić, a ponieważ grunt nie jest już urodzajnym ani dla wielkich myśli i koncepcyj, ani dla wielkich pisarzy i artystów, zakłada cieplarnie prawdziwe dla talentów lub mierności, w których artystyczne i literackie rzemiosło ma się rozwijać. Produkcja na niektórych polach staje się rzeczywiście bujną, ale gdy się przystąpi do rachunku, ile przytem wchodziło w grę rzetelnego natchnienia, o ile świat uczuć lub myśli wzbogaconym został, rachunek ten nie wypadnie obficie. Starożytność pogańska chciała teraz oddać w sztuce i poezji ostatni pokłon swoim ideałom, pocałunek pożegnania złożyć muzom na czole; w tym pocałunku jednak było coś lodowatego, bo te ideały były już tylko wspomnieniem, z których iskier zamarłych wywołać było niepodobnem. Wspaniała powłoka formy nęciła i oczarowywała jeszcze tych ludzi zarówno w sztuce, jak i piśmiennictwie; tchnąć w nią ducha i ożywić ją duchem już nie zdołano.

Jeszcze na polu architektury zdziałano najwięcej. Hadrjan jest niewątpliwie najczynniejszym budowniczym całych dziejów, za jego tchnieniem i wolą świat starożytny miał przybrać odświętne szaty i tysiącem kamieni i gmachów opowiadać chwałę cywilizacji epoki i chwałę cesarza. Ciągłe po-

dróże i żywy interes dla prowincyj znaczą się na całych przestrzeniach państwa śladami i pamiątką najwyższego władcy; buduje on po wszystkich prowincjach, zakłada miasta, ażeby tu tylko wspomnieć Hadrjanopol dzisiejszy w Bułgarji, Antinoopolis w Egipcie. Wielki architekt Apollodorus pod niejednym względem popierał niewątpliwie cesarza zamysły, choć się tu bez nieporozumień nie obeszło. Opowiadano w Rzymie, że jeszcze za rządów Trajana wmieszał się młody Hadrjan do rozmowy fachowej między cesarzem a znakomitym budowniczym, wskutek czego tenże zniecierpliwiony rzekł do próżnego dyletanta: »Odejdź i maluj dalej swoje dynie«. Hadrjan snać był wymalował jakiś obrazek z natury martwej, a niecierpliwość Apollodorusa srodze musiała go ubóść. Później sam on próbował sił swoich na polu architektury. Wykonawszy plany do wielkiej świątyni Wenery i Romy, której nikłe szczątki oglądamy dziś w bliskości Colosseum, zapytał się Apollodora o zdanie. Budowniczy nie pochwalił proporcyj i nie wahał się cesarzowi ironicznie odrzec, że gdyby boginie wstać chciały z tronów i wyjść ze świątyni, uskutecznićby tego nie mogły. Wątpliwe podanie głosi, że cesarz wydał nań wskutek tych śmiałości wyrok śmierci[1]. Rzym otrzymał w każdym razie z ręki Hadrjana wspaniałe pomniki, uderzające wielkością i majestatem. Wielka rotunda Panteonu[2], Zamek św. Anioła są Hadrjana dziełami, świątynia Wenery i Romy zajęła równie godne w tej trójce miejsce. Ale najznakomitszą

---

[1] Por. Plew: *Quellenuntersuchungen zur Geschichte des Kaisers Hadrian.* Strassburg. 1890, str. 89.

[2] O. Richter w: *Jahrbuch des Kaiserl. deutschen archäol. Institut* (1893, Heft I) twierdzi na podstawie nowszych badań i wykopalisk, że Agrippa w r. 27 przed Chr. wybudował okrągły Panteon dzisiejszych rozmiarów, pokryty drewnianym namiotowym dachem, że ten budynek ostatecznie 110 r. po Chryst. się spalił, Hadrjan zaś, korzystając z zachowanych murów, wzniósł dzisiejszą budowę z kopułą. Po Hadrjanie przybył dopiero portyk od frontu.

działalność rozwinął Hadrjan w mieście, które nietylko uświetnić, ale odrodzić i odmłodzić zamyślał, w ulubionych swoich Atenach. Jest to jakby ostatni wysiłek zamierającej starożytności, aby to miejsce, gdzie najpiękniejsze jej myśli się zrodziły, najszczytniejsze natchnienia w cudowne ubrały się kształty, zbudziło się z szarego upadku i marnej egzystencji skarłowaciałych epigonów. Tam, gdzie słowa Peryklesa wyrastały w budowle, spiętrzył Hadrjan nowe kamienie, aby swą mową ożywiły myśl dawno uśpioną i zamarłe uczucia. Ale na to ani mowy kamieni, ani słowa cesarskiego nie starczy. Hadrjan w Atenach zbudował nową część miasta od wschodu, zapełnił ją monumentalnemi gmachami, wśród których sterczała najwynioślej wielka Jowisza Olimpijskiego świątynia, zaczęta kiedyś przez Pizystrata w VI wieku przed Chrystusem, później mimo kilku porywów nigdy nie wykończona. Po 700 latach wreszcie Hadrjan przyłożył stanowczo rękę do dzieła i dokonał budowli, która, jak katedra kolońska, przez tyle wieków o to dopominać się musiała. Dzisiaj z całej tej chwały jeszcze piętnaście ogromnych kolumn piętrzy się ku niebu, piętnaście kolumn, które swą wspaniałością nietyle stwierdzają życie ówczesne Aten, jak raczej miłość, którą genjusz Hellady pod wieczór starożytności nawet w duszach rzymskich wzbudzał i rozniecał. Cesarz ten, który minionych wieków dzieła widzieć, przeszłości życie wskrzeszać, a po części i przeżyć i odczuć postanowił, pod koniec swego żywota zajęty był budową wielkiej swej willi w Tivoli, która na jednem miejscu style różnorodne przeszłości miała zjednoczyć, odżywiać w cesarzu wspomnienia podróży, wyobraźni pozwalać się błąkać po marach, odtwarzających natchnienia i dzieła innych narodów. Były tam gmachy ateńskie i egipskie, były nawet jakieś naśladowania Hadesu, tych miejsc bladych i nagich, o których w niespokojnych wątpliwościach przedśmiertnych przemyśliwała *animula vagula* starzejącego się Hadrjana. To nagromadzenie tworów różnych wieków i natchnień ma-

luje nam najlepiej duszę i smak cesarza, nie mogącego się skupić ani spocząć na żadnym poszczególnym kształcie myśli i dziele ręki ludzkiej, ujawnia nam tę bierną uniwersalność, która może zgotować wielkie rozkosze, ale zarazem nosi w sobie jałowość wszelkich zbieraczy i klasyfikatorów.

Cały świat posągów wyłonił się z ruin i rumowisk tej willi, świat o różnych twarzach i typach, tak, że zdziwienie ogarnia, jak jedna i ta sama epoka mogła tak różnorodne mieć natchnienia i w tak różne ubierać je kształty. Znaleziono tu cały szereg kopij bóstw staroegipskich, w których Hadrjan miał zamiłowanie podobne, jak nasze czasy w chińskich i japońskich dziełach, znaleziono kopje klasycznych arcydzieł greckiego dłuta, rzeczy poprawne, robione na urząd i bez natchnienia. Natchnienie cesarskie i natchnienie tego wieku dyletantów i zbieraczy było tu bodźcem do pracy, która dostarczała posągów wszystkich krajów i wieków, sięgała nawet do epok świtu greckiego rzeźbiarstwa, aby stwarzać dzieła o archaicznym wyrazie twarzy i archaicznej, sztywnej draperji, jak postać Watykańskiej dziewczyny, puszczającej się w zawody wyścigów. Owoc to prerafaelizmu Hadrjanowskiej epoki. Zadziwiać może ta nadzwyczajna biegłość i talent, aby wnikać w ducha minionych wieków i obcych cywilizacyj; indywidualizm, który się do tego rodzaju sztuk i sztuczek nagina, nie może być wybitnym. Toteż dzieła te są tak martwe, tak akademickie, że żaden uścisk Pygmaljona ożywićby ich nie zdołał, wyszły one jak duchy wywołane inkantacją cezara z pod ziemi, ale też jak duchy nie mają krwi i ciepła w żyłach. Hadrjan odbył niejako wielki przegląd ideałów starożytności, zanim się one na długi sen podziemny nie ułożyły, pierzchając przed nowemi postaciami, które w nieudolnych jeszcze kształtach kryły serce i życie. A nad temi wszystkiemi tworami Hadrjanowskiej epoki dominuje częstem swem powtarzaniem się i względną oryginalnością ulubieniec azjatycki cesarza, przedstawiany w licznych posągach Anti-

nous. Miewa on postawę i przybory starych bogów greckich, w twarzy tylko nieokreślonej, w której jedni widzieli zmysłowość, inni zadumę, czy melancholję; znać, że to bóstwo innych wieków, starzejącej się cywilizacji, że dostał się on na Olimp bez olimpijskiego spokoju, kiedy siedziba bogów Homera tonęła już w pomroczu dnia zachodzącego. Do dawnego Ganymeda przybył ten nowy z poręki cesarza; czas był bogom ustąpić, którzy tak wątpliwej wartości żywioły liczyli w swem gronie i takie naśladowania znajdowali między śmiertelnymi.

Podobne zaś stosunki i podobne zamieszanie, jak na Olimpie, panowało wtedy w siedzibie Muz, na Parnasie. Czasy Hadrjana, który do Wschodu miał stanowcze skłonności, a przedewszystkiem namiętnym był filhellenem, znaczą się jakiemś pozornem ożywieniem i odrodzeniem greckiego ducha. Przynajmniej grecka mowa rozbrzmiewała teraz szeroko, cieszyła się na dworze cesarskim szczególnemi względami, uchodziła za najgodniejszą szatę i naczynie dla wyższych myśli i natchnień. Drugi następca Hadrjana, Marek Aureli, obrał ją dla swych najtajniejszych wynurzeń i zwierzeń, tak, jak ludzie XVIII w. przenosili język francuski nad mowę ojczystą. To odrodzenie greckiej mowy, a przedewszystkiem wymowy, odbywa się z wielkim aparatem, ze scenerją właściwą sztucznym błyskom. Powstaje teraz cała masa deklamatorów, wygłaszających szumne oracje na temat marnych przedmiotów, podań mitologji lub minionej przeszłości Grecji, które mają oszałamiać słuchaczy czarem słowa i durzyć błyskotliwością treści. Mowa i deklamacja zastępuje nieomal piśmiennictwo. Ojczyzną tej wymowy, którą nową sofistyką nazwano, jest Azja Mniejsza, będąca zawsze ogniskiem napuszystego stylu, a ruch tu poczęty promienieje na wszystkie strony świata, echa jego rozlegają się w Atenach i w samej stolicy państwa. Mistrzostwo słowa osiąga wielką potęgę nad umysłami, retorowie dochodzą do wielkiego znaczenia w swych

miastach, do bogactw niezmiernych: mało brakło, a byłby niejeden z nich zyskał stanowisko Cosima Medici we Florencji. A i to przypomina humanistyczne czasy, że kłócili się między sobą i nienawidzili jak przedstawiciele humanizmu, jak Filelfo lub Valla [1].

Najwybitniejszymi wśród tej plejady ludźmi są: Polemon ze Smyrny i Herodes Atticus z Aten. Obydwaj oni weszli w bliższy stosunek z cesarzam Hadrjanem. Polemon doszedł do ogromnego i przeważnego znaczenia w swem ojczystem mieście, w którem łagodził miejscowe spory, którego potrzeby przedstawiał wobec cesarza. Jemu przypadł zaszczyt w udziale, że przy otwarciu Olimpijskiej świątyni w Atenach wypowiedział mowę inauguracyjną. Podróżując po świecie, otaczał się on niesłychanym przepychem i na rydwanie ozdobnym wjeżdżał do miast greckich, na gościnne występy. Bardziej jeszcze znaczącą osobistością był Herodes Atticus, ogromny bogacz, który Ateńczyków nietylko czarował dźwięcznością swego słowa, lecz prócz tego zobowiązywał wielkiemi przedsięwzięciami i budowlami w Atenach i po innych miastach Grecji Wielkie zasoby i namiętne pragnienie chwały pozwalały mu marzyć o większem jeszcze dziele, o przekopie korynckiego przesmyku i przeprowadzeniu myśli Nerona, ale plan ten i marzenie długo pielęgnowane zstąpiły z nim do grobu, aby dopiero w naszych czasach wyraźniejsze przybrać i realniejsze kształty [2].

Ta proza nowych sofistów, wypierająca zupełnie poezję, była ostatnim prawie odblaskiem zamierającego genjusza Hellady. Na dworze Hadrjana znajdowała ona poklaski i uznanie. Jeden z przedstawicieli tego kierunku, pochodzący z Ga-

---

[1] Trafna to uwaga Gregoroviusa: *Der Kaiser Hadrian*, str. 348.

[2] Był później opiekunem adoptowanych synów Antoninusa Piusa: Marka Aureljusza i Luciusa Verusa. Por. o nim Lanciani: *Pagan and Christian Rome* (1892, str. 290).

lji Favorinus, należał do najbliższych cesarza towarzyszów, a prócz tego budził on interes Hadrjana swojemi kolosalnemi wiadomościami, swoją wszechwiedzą szczegółów, wśród których czasem aż dla ducha ożywiającego miejsca nie znajdzie. Bo z tą życzliwością dla sofistyki szedł u Hadrjana w parze żywy interes dla nauki, wszelkiego rodzaju wiadomości, czy wiadomostek. Instytuty naukowe cieszyły się jego opieką; w Rzymie założył Athenaeum, coś pośredniego między naszemi uniwersytetami i akademjami, w którem młodzi szukali wiedzy, starsi znajdowali pole popisu dla swej uczoności lub swady. Należenie do ciał uczonych, przyjęcie do listy członków Muzeum aleksandryjskiego, w czem wola cesarska pośredniczyła, uchodziło w tej epoce za coś równie pożądanego, jak dzisiaj wybór do Akademji Francuskiej.

Te wszystkie jednak porywy i aspiracje doprowadziły tylko w świecie greckim do rozwiązania ust i retorycznych igraszek, w świecie rzymskim zaś nie zdołały żadnego świeższego powiewu i ruchu wywołać. Za Trajana święciła literatura rzymska ostatnie dnie rodzimych natchnień i rodzimej siły, w Tacycie na polu prozy, w Juwenalisie na polu poezji. Za Hadrjana czasów, kiedy powiew ogólnej, przystępnej i niwelującej dusze cywilizacji przeleciał nad światem, było zapewne dużo piszących, ale mało pisarzy. Bo sekretarz Hadrjana i biograf dawniejszych Cezarów, Suetonius, nie był człowiekiem po temu, aby wziąć z ręki Tacyta sztandar dziejopisarstwa, które u niego ginie i tonie w zbieraninie i odmęcie anegdotek, nie powiązanych psychologicznem światłem ani ogniwami.

Wielki dyletant na tronie Cezarów nie był błogim w działaniu mecenasem. Nie mając indywidualnego smaku, przesycony wiedzą i wiadomościami, szuka on w przeszłości ideałów i wzorów, a rządzi się przytem dowolnością i kaprysem. Nad jasne i wiosenne epopee Homera, przenosił on pełne uczoności, zawiłe w treści i formie utwory Antimachosa

z Kolofonu, w którym już aleksandryjscy krytycy szczególnego uroku dla swych uczonych podniebień się dopatrzyli. Tak samo na polu rzymskiej literatury stawiał Katona wyżej od Cycerona, starego poetę Ennjusza ponad Wergiljuszem. Smak antykwarski wieku szukał u tych autorów gramatycznych zagadek i rozkoszy, a wieści głoszą, że cesarzem powodowała przytem zazdrość i zawiść względem duchów wyższych, których brakło rzeczywiście w jego otoczeniu. Antykwarski ten gust lubił wskrzeszać zamarłe wyrazy i okraszać niemi własną poezję i prozę; wywołał on też ten błąd języka i piśmiennictwa, który znamy z pism Frontona i Apulejusza, obłęd, który nowszy autor wiekiem »rococo w rzymskiej literaturze« nazwał [1]. Natchnienia płynęły w nim nietylko z serca i Parnasu, lecz równorzędnie z gramatyki i słownika. Hadrjan niewątpliwie kierunek ten zainaugurował, on, który równocześnie rzeźbie kazał się zapuszczać w dziedzinę zamarłych i pogrzebanych ideałów egipskich.

Sam on hołduje Muzom drobnemi podarkami, które codzienne okoliczności powszedniego życia mu nasuwają. Cesarz, który dynie malował, daje też tylko w dziedzinie poezji drobne wierszyki, z drobnych płynące natchnień. Jest to jakby reakcja przeciw wielkim rodzajom przeszłości, przeciw koturnowi dawnego piśmiennictwa, ale czy ta reakcja nie płynie z pewnej anemji i znużenia, to inne pytanie. Realizm i drobne rodzaje malarstwa i poezji mają niewątpliwie swoje uprawnienie, a z ziemi, której się dotykają, mogą czerpać prawdziwą siłę i energję; jeżeli jednak poziomość i niskość wypływają z braku skrzydeł do lotu, to brak ten odbije się na tworach duszy, a przecież Muz siedzibę nie napróżno umieszczali starożytni na wyniosłej górze.

Z poezyj Hadrjana greckich i rzymskich, bo w obydwóch

---

[1] Por. Martin Hertz: *Renaissance und Rococo in der röm. Literatur.* Berlin. 1865.

językach próbował cesarz sił swoich, mamy tylko drobne urywki, a wszystkie one drobnych dotyczą okoliczności, pełzają po ziemi i nie wychodzą poza ciasną sferę osobistego powszedniego życia. Mamy tu wierszyk na cześć Erosa w Thespiae, któremu Hadrjan ofiaruje... skórę ubitej przez siebie niedźwiedzicy; szczególny zaiste podarek, za który ofiarodawca uprasza nadto wzamian o wdzięki Afrodyty dla siebie; mamy epitafy, których autor nie szczędził nawet koniom i psom, przez siebie ulubionym; mamy wspomniany powyżej wierszyk do własnej duszy, a szkoda tylko, że nie zostało więcej tego rodzaju utworów, które, choć ciepła pozbawione, wniosłyby przynajmniej nieco światła w tajniki tej zawiłej osobistości. Echa to wszystko powszednich zdarzeń, a miałyby one swoją woń i interes, gdyby tylko naśladownictwo w formie i zimno natchnienia nie dowodziły nam, że to ćwiczenia i próby człowieka, który z Muzami naprawdę nigdy cieplejszego stosunku nie zawiązał.

Do bliższych towarzyszów cesarza należał pisarz ówczesny, Annius Florus [1]. Znany on jest szczególnie wskutek historji swej Rzymu, retorycznej kompilacji, osnutej głównie na Liwjuszu; mniej znanemi są rysy pokrewne i stosunki łączące osobistość jego z Hadrjanem. Urodzony w Afryce, która zaczęła już wtedy piśmiennictwu rzymskiemu dostarczać pisarzy i talentów, spędził on część życia na koczowaniu i wędrówkach, zwiedził Sycylję, Kretę, Cyklady, Rhodus i Egipt. Znużony morzem, puścił się następnie do Galji i Hiszpanji i tu wreszcie spoczął w mieście Tarraco, aby się poświęcić zawodowi nauczycielskiemu. Zawód ten przypadł mu szczególnie do smaku; »jak królewskiem jest — pisał — siedzieć na wywyższeniu i stamtąd nauczać dobrych obyczajów i szerzyć światło nauki, odczytywać poezje dla dusz i umysłów kształcenia, mądremi zdaniami podniecać umysły«. Po-

[1] Por. Eyssenhardt: *Hadrian und Florus*. Berlin. 1881.

rzucił on jednak to stanowisko i przybył za Hadrjana do Rzymu, aby niebawem bliższy z cesarzem nawiązać stosunek. Człowiek, który wnosił poezję do zajęć profesorskich, zasługuje na szacunek i naszą sympatję; Hadrjanowi jednak wyraźnie podobał się on może więcej dlatego, że do poezji wnosił naodwrót natchnienia bakałarza. Bo cesarz lubił, aby Pegaza obarczano ważkami naukowego balastu. Ale my tylko mamy znów drobne okruchy, które dają nam poznać igraszki i fraszki poetyczne, kursujące naówczas na cesarskim dworze. W jednej sławi Florus boga słońca Apollina i Bacchusa, z których

Ów rozpędza nocy cienie, ten rozwidnia mroki serca.

W innej znów opisuje, jak na korze drzewka, które zasadził, wyrył nazwisko swej kochanki, *nomen ardoris mei*, jak następnie, porówno z wzrostem drzew, rosła jego namiętność i miłość:

Crescit arbor, gliscit ardor.

To są wynurzenia osobiste. Wyobrażenie o swojej poetyckiej zdolności było dosyć wygórowane, bo siebie i cesarza miał zapewne Florus na myśli, kiedy pisał:

Konsulów i prokonsulów nowych każdy rok przynosi,
Ale królem i poetą nie corocznie świat nas darzy.

A familjarność pewna przebija z innego utworu, w którym Florus, zapewne do Hadrjana, owianego kosmopolityzmem i zapatrzonego w świat grecki, odzywał się z nauką:

Obyczajem gardź zamorskim, tysiąc niesie on mamideł,
Nikt nie żyje tak po prawie, jako Rzymu obywatel;
Ja Katona stawiam wyżej ponad trzystu Sokratesów.

Poeta, znużony życiem i podróżami, chciał teraz w Rzymie wczasować i wypocząć. Ale ruchliwy i niespokojny cesarz, jeżdżąc corocznie po świecie z całym taborem artystów i uczo-

nych, niepokoił i Florusa tego rodzaju propozycjami. Wywiązała się stąd walka na słowa, której odgłosy przypadek nam zachował.

Florus pisał do Hadrjana:

Ja nie chciałbym być Cezarem,
Ni się włóczyć po Brytanji
Ni scytyjskie znosić szrony.

Na co znów Hadrjan odpowiadał domatorowi, wyśmiewając jego domorosłe skłonności i rozkosze:

Ja nie chciałbym być Florusem,
Po sklepikach wciąż się włóczyć,
Po karczemkach wysiadywać
I krwią pulchne pchełki tuczyć.

Są to igraszki, rzucone od niechcenia na papier, które los, co tyle zmiażdżył cennych i podniosłych tworów starożytności, przekazał pamięci późniejszych pokoleń, aby im odsłonić obraz, który prawie przypomina poufałe pożycie Szekspirowskiego Falstaffa z księciem Henrykiem.

Nie wątpimy, że takich wierszy, igraszek myśli i igraszek metrycznych, powstawało wtedy dużo; zginęły one jednak niepowrotnie, a gdyby nawet się były zachowały, nie byłyby zdołały uratować tej epoki od piętna jałowości, które słusznie na sobie nosi. Kultura ogólna była niewątpliwie wtedy więcej rozpowszechniona, niż kiedykolwiek, ale to była kultura w znacznej mierze bierna i przeżuwająca, której mierność często towarzyszyć może. Dyletantyzm zakwitł bujnym kwiatem na wszystkich polach, kwiaty jego upajały swą wonią współczesnych, dla potomności jednak zniknęły bez śladu. Wielki dyletant na tronie przodował innym swoim przykładem, pociągnął innych do motylkowania z nauką i sztuką; zasiadano przytem zbyt często na drzewie mądrości, a nadu-

życie jego owoców wypędza nietylko z raju podania, ale i z raju marzenia. Epoka Hadrjana bardzo też dziś mało do nas mówi swojem marnem piśmiennictwem; kamienie, znajdowane po różnych częściach imperjum, opowiadają więcej i wymowniej. Prócz tego znajdziemy w niej pewne polityczne i ogólno-ludzkie myśli, które okupują poniekąd jej niedostatki, a stwierdzając stanowczo zachód słońca starożytnego świata, zapowiadają wyraźnie świt nowej epoki.

Semper in omnibus varius, ciągle zmienny we wszystkiem, pisał o Hadrjanie, jak wspomnieliśmy, główny jego biograf, nie umiejąc należycie uchwycić śliskich i nieujętych rysów tej postaci, a słowa te są abdykacją pisarza wobec zawiłości tej duszy, wyminięciem trudności problemu, który przechodził jego siły. Staraliśmy się uwydatnić główne jej znamiona, znamiona indywidualności bujnych, ale nie silnych, jakie wyrastają na gruncie starzejących się cywilizacyj. Duch rzymski, który za rzeczypospolitej wydał taką masę znakomitych szeregowców, podobnych do siebie i tem podobieństwem w dzielności wytwarzających siłę i niezrównaną potęgę państwa, przejść musiał długie i różnorodne koleje, aby doprowadzić do tego, cośmy dopiero oglądali. Na grobowym napisie Luciusa Scipiona, jednym z najstarszych pomników rzymskiej poezji, prócz nazwisk i tytułów, znajdujemy jako jedyną charakterystykę to, że był »z dobrych mężów najlepszym«, *bonorum optimus vir*. Jest to jedyna pochwała, na którą autor się zdobył, charakterystyka dziwnie uboga i dziwnie zarazem potężna swoją ubogą wymową. Teraz po tylu przejściach i przełomach historji wystąpiła przed nami

Animula vagula blandula,

duszyczka ruchliwa, pieszczotliwa, nurzająca się w tysiącznych tajnikach własnych i w tajnikach dusz obcych, zajęta w pierwszym rzędzie potrzebami i pożądaniami osobistości

przecyconej i nigdy nienasyconej. Dla psychologji i historji świata ma ona pierwszorzędny interes, ale dla państwa i historji rzymskiej więcej zdziałały dusze proste i jędrne tych, którzy byli tylko »najlepszymi wśród dobrych».

3.

Chmura Poloniusa w *Hamlecie* nie przybiera tak rozmaitych kształtów, jak rozmaite wrażenia robił Hadrjan na współczesnych; biografowie też jego, podobnie jak Polonius, coraz inaczej go określają i nie zdołali tych poszczególnych pozycyj zliczyć i ściągnąć do jednego mianownika. Tenże sam cesarz, który z taką chorobliwą ciekawością szukał wszystkich wrażeń, jakie tylko świat i otoczenie dać mu mogło, wszystkie chciał odczuć, wszystkich zakosztować tajemnic i narażał się przez to na ciągłe niepokoje i ostateczne znużenie, znalazł jednak w sobie dosyć odporności, aby pod wielu względami zrozumieć wielką i ważną odpowiedzialność swego stanowiska, miał wielkie poczucie obowiązków i niektóre z nich wypełniał wzorowo i gorliwie.

Podnieśliśmy już w nim nadzwyczajną pieczołowitość o armję rzymską, jej ducha i dyscyplinę Sabaryta ten i dyletant umysłowy i artystyczny umie między żołnierzami zachować hart i twardość, budzącą podziw, przoduje przykładem w znoszeniu mozołów, udręczeń i prostego sposobu życia. — Wśród trudności wewnętrznych zdobył się on, chociaż z natury okrutnym nie był, na dobitną energję, nawet na okrucieństwo. Cesarstwo rzymskie, w którem dziedziczność nie była uregulowaną, przy każdej zmianie tronu narażonem było na wstrząśnienia; w początkach każdego panowania trzeba było ułagodzić lub usunąć niezadowolonych lub zawiedzionych w nadziejach, przy końcu poskramiać tych, którzy zbyt głośno i stanowczo ambicje swe czy nadzieje na

przyszłość objawiali. Hadrjana nie oszczędziły te niebezpieczeństwa, a spojrzał im oko w oko tak stanowczo, jakby po tym Greczynie może się nie spodziewano. W drugim roku panowania, w r. 118, odkryto w Rzymie spisek, który miał na celu zgładzenie ze świata nowego cesarza. Należeli zapewne do niego w pierwszym rzędzie wyżsi wojskowi, których mierziła zewnętrzna polityka ustępstw, tak odmienna od działalności Trajana, którzy uważali Hadrjana za niegodnego cesarskiego tronu i rozsiewali wieści, że cały akt adopcji ze strony zmarłego cesarza jest bardzo wątpliwym i na wymyśle czczym się opiera. W sądzie senatorskim skazano czterech najwybitniejszych uczestników spisku na śmierć, a opinja publiczna przypisywała Hadrjanowi ten akt dobitnej surowości. Kiedy pod koniec życia o wyznaczeniu i zaleceniu następcy myśleć przyszło, znajdowali się wśród bliższego otoczenia cesarskiego tylko dwaj ludzie, węzłami pokrewieństwa z nim złączeni, szwagier jego sędziwy Servianus, i wnuk tegoż, Cn. Pedanius Fuscus. Hadrjan jednak w ostatnich latach rozgoryczony nie uwzględnił tych ambicyj, lecz owszem obydwóch pretendentów, którzy zbyt otwarcie myśli swe objawiali, usunąć kazał ze świata. Według tradycji historyków inne prócz tego akty krwawe i srogie splamiły schyłek tego panowania. Bo władza ta cesarska, tak ogromna i pełna, narażała nawet łagodniejsze natury na pewien obłęd i skażenie duszy, wywołała kiedyś straszne objawy u starzejącego się Tyberjusza, a nawet cywilizowanemu Hadrjanowi odebrała moralną równowagę. Prócz początku i końca, zresztą panowanie jego wolnem jest od tego rodzaju rysów.

Dodatnich zato stron w rządach jego więcej jeszcze dopatrzeć się można. Mimo że cesarz dbał tyle o wojsko, budował tak bez miary, a dbając o popularność, darował w progu panowania wielkie zaległości podatkowe, skarb za jego czasów, choć się nie mógł znajdować w stanie kwitnącym, administrowanym był jednak porządnie. Cesarz wykazywał w tym kie-

runku szczególne zdolności. Wszystkie funkcje i potrzeby państwa, cały jego budżet finansowy, obejmował tak dokładnym poglądem, że według świadectwa historyka żaden z ojców rodziny swego prywatnego majątku lepiej znać nie mógł. Wypływało to w części z wielkiej pracowitości Hadrjana. Umysł jego żywy nie spoczywał nigdy, a wielkie zdolności pozwalały mu prędko orjentować się na rozmaitych polach. Według świadectwa Spartianusa równocześnie mógł on pisać, dyktować, słuchać i z otoczeniem rozmawiać; — wszechstronność to, przypominająca rzutkość umysłową wielkiego Napoleona. Pracowitość jego objawiała się w tem, że w dnie nieświąteczne ani uroczyste nikogo do siebie wpuszczać nie pozwalał, lecz zamknięty u siebie, oddawał się zajęciom lub zadaniom państwa [1]. Pewne wrażenie zrobiła nań śmiałość kobiety, która go raz zaczepiła z prośbą na ulicy; gdy Hadrjan ją minął mówiąc, że czasu na razie nie ma, zawołała ona z oburzeniem: »To w takim razie nie bądź też cesarzem!« Hadrjan natenczas się wrócił i wysłuchał cierpliwie jej prośby.

Były więc w Hadrjanie zdolności i materjał na wielkiego i znakomitego monarchę. Jeżeli mimo tego takim nie został, to winien temu sceptycyzm jego, który mu odbierał energję ciągłości, jednolitość w postępowaniu wobec spraw i ludzi, winna jego chorobliwa wszechstronność, która go przerzucała z pola na pole i odbierała mu spokój usposobienia i sądu.

Rządy jego zaznaczyły się jednak rozmaitemi reformami na polu wewnętrznem, w części trwałemi i zbawiennemi. W tradycji starożytnej niebardzo one występują dlatego, że ta tradycja zawsze jest zajęta więcej tem, co świeci i zewnętrznie uderza, a przytem niema zmysłu i poczucia, nawet wyrazu dla idei, którą my postępem nazywamy, a który Hadrjanowi niejedno zawdzięcza.

---

[1] Uwydatnia to szczególnie Cassius Dio 69, 7.

W pierwszym rzędzie postawimy tu jego zasługi około prawa rzymskiego. Dziedzina ta, do której jasność i energja duchowa Rzymian szczególnie uzdalniała, cieszyła się za tego cesarza i szczególną opieką i wybitnymi ludźmi, a wreszcie wykazać może ożywcze i nowe idee, których nie spotkaliśmy ani na polu literatury, ani w zakresie Hadrjanowskiej sztuki. Przedewszystkiem zrobiono teraz ważny krok: kodyfikację prawa cywilnego. Aż do Hadrjana przysługiwało pretorom w Rzymie, namiestnikom na prowincji prawo ogłaszania edyktem przy objęciu urzędowania, według jakich zasad sądzić zamierzają; dorocznym urzędnikom zostawioną więc była możność rozwijania, uzupełniania, poprawiania prawa cywilnego istniejącego. To wszystko cesarz Hadrjan usunął; kazał on całą dotychczasową pracę na tem polu zebrać, skodyfikować jako edykt wieczysty, który otrzymał moc obowiązującą. Odtąd jedynie cesarzowi przysługiwało prawo, aby braki tego edyktu uzupełniać, dla nowych potrzeb i okoliczności nowe dodawać przepisy. Wielki jurysta Salvius Julianus spełnił z polecenia Hadrjana doniosłe to zadanie [1]. Prawodawstwo za tego cesarza robi krok ogromny, łagodząc twardość przepisów względem niewolników; przypomniano i odnowiono dawne prawo, według którego panu nie wolno było niewolnika zabijać, karano surowo znęcanie się nad niewolnikami. Przewinienia ich miały iść odtąd przed zwykły trybunał sądowy. Występuje tu pojęcie *humanitas*, ludzkości, które toruje i przygotowywuje chrześcijański posiew i chrześcijańską naukę [2]. W szeregu myślicieli, którzy łagodzili dawną twardość i szorstkość rzymską i torowali drogę nowym i postępowym ideom, po Cyceronie i Senece, Hadrjanowi zaszczytne miejsce przypada w udziale. Odtąd ta *humanitas*

---

[1] Por. Hitzig: *Stellung Kaiser Hadrians in der röm. Rechtsgeschichte* (Zürich, 1892, str. 8), i Renan: *Marc Aurèle* (str. 22).

[2] Ranke: *Weltgeschichte*. III, str. 293.

w prawie rzymskiem częściej się pojawia, a Hadrjanowi wielką trzeba przyznać zasługę, że to zarzewie postępu wprowadził do pojęć jurystycznych i tem je uszlachetnił. Kosmopolityzm Hadrjana otworzył mu nowe poglądy na ludzkość; pojęcia, szkodliwe i ujemne może dla samego Rzymu, sprawiały wyłom w ciasnocie narodowo społecznej, stały się rękojmią i bodźcem rozwoju. W dziedzinie społecznej także inne przedsiębrał Hadrjan kroki, które zasługują na naszą uwagę i świadczą o troskliwości, którą Hadrjan niższe warstwy otaczał. O fundacje, zapewniające dzieciom ubogich obywateli wyżywienie *(alimentatio)* dbał Hadrjan, idąc w ślady Trajana, usilnie. Po prowincjach zamierzył podnieść i poprzeć intenzywne małe gospodarstwa i wyprzeć niemi ekstenzywne, mało wydatne.

W politycznem życiu ówczesnem wpływ Hadrjana nie na jednem także znaczy się polu. Augusta ustrój obejmował dwa główne organy rządu, senat i cesarza, miał być więc rodzajem współrządów, diarchji. Wszystkie następne panowania określić można według natury stosunków, w jakich te dwa czynniki do siebie pozostawały, według tego, czy skryte lub otwarte zamiary panującego chciały podkopać senat i strącić go z dawniejszego stanowiska, czy też życzliwość ze strony cesarza zapewniała mu normalną egzystencję i prawidłową działalność. Cesarze drugiego wieku szanowali przeważnie prawa i przywileje senatu; Hadrjan pozornie w tym samym działał duchu, bo żadnym aktem prawodawczym, bezpośrednio przeciwko senatowi wymierzonym, nie ukrócił jego atrybucyj. Ale pośrednio umniejszył jego znaczenie, naprzód przez stworzenie stałej rady cesarskiej[1], do której wchodzili wybrani przez cesarza członkowie, płatni i od niego zależni. Żywioł jurystów szczególnie na to stanowisko

[1] Por. Herzog: *Geschichte und System der röm. Staatsverfassung.* II, 1, str. 370.

się nadawał, a sama przez się nasuwała się możliwość, że cesarz teraz, skoro tylko będzie można, nie będzie wprowadzał spraw na posiedzenia senatu, lecz z radą swą je załatwi. Jest ta rada przedewszystkiem najwyższym trybunałem sądowym, a w znacznej mierze zastępowała senat.

Senatorowie dotychczas mieli wyłącznie prawo do piastowania najwyższych urzędów w państwie. Hadrjan znów nie wyparł ich z tych stanowisk, ale utworzył dużo nowych miejsc urzędowych i do nich przypuścił inteligentne warstwy nie-senatorskie, t. zw. rzymskich rycerzy. Służba dworska i cały zarząd cesarza i jego majątku dotąd rekrutowały się z wyzwoleńców; były to stanowiska czysto prywatnego, zastępczego, nieurzędniczego charakteru. Hadrjan wyniósł je teraz do godności urzędów [1] i zarządził, że nadal przez rycerzy mają być piastowane. Usuwało więc to znaczenie i gospodarkę wyzwoleńców, a z drugiej strony przysparzało cesarzowi cały stan urzędniczy od niego zależny i jemu oddany. Był to więc wielki krok naprzód od połowicznej kreacji Augusta, chromającej na ciągłe tarcia i dwuznaczności, do monarchji silnej, prawie absolutnej. Senat z dawnet swej chwały schodził coraz bardziej i z najwyższej rady obywatelstwa i państwa przetwarzał się zwolna w radę miejską stolicy. A więc Hadrjan wysunął stan drugi, t. j. rycerzy, na równy obok senatorów poziom i z niego pobierał głównie swój rozgałęziony stan urzędniczy. Wyzwoleńcy i wszechpotężny dotąd senat stracili natomiast dawne swoje znaczenie. Przyboczni i przez cesarza opłacani juryści zyskali równocześnie na wpływie i powadze. Były to wszystko zarządzenia zmierzające do utwierdzenia absolutnych rządów, a nowsi uczeni uważają Hadrjana za drugiego po Auguście założyciela mo-

[1] Por. Renan: *L'église Chrétienne*, p. 3: *les domestiques de la maison de César devinrent des fonctionnaires.* Por. też Petroni i *Cena Trim.* ed. Friedlaender (1891), str. 33.

narchji, który ją teraz wywyższył i wzmocnił. Kult cesarza jako boga urósł od Hadrjana epoki stanowczo.

Punkt ciężkości państwa przesuwał się coraz bardziej od Rzymu, a prowincje dochodziły zwolna do równego obok Italji znaczęnia. *Imperium Romanum* zamieniało się w państwo, w którem różne narody mają równe nieomal znaczenie i prawa, przedewszystkiem Grecy, których cesarz szczególną otaczał życzliwością, zamierzał odrodzić i do dawnej przywieść chwały. Reformy na polu wojskowem przyczyniły się walnie do wzmocnienia odrębności i znaczenia prowincyj. Hadrjan zarządził, że odtąd wojska stojące po tych krainach państwa miały się tworzyć i uzupełniać lokalnym poborem, t. j. rekrutować się z miejscowych żywiołów. Armje więc się sprowincjalizowały, co było naturalnym może rozwojem, lecz sprowadzało pewne szkody i niebezpieczeństwa dla spójności i sprężystości państwa. Romanizowanie bowiem prowincyj odbywało się dotąd w stopniu znacznym przez wojsko, z którem napływało dużo Italczyków do krain odległych. Teraz ten wpływ w znacznej mierze ustał, a w armjach lokalnych i narodowych mogło zczasem zaniknąć poczucie spójności z Rzymem i wyrodzić się samowiedza odrębności, która wkońcu doprowadzić musiała do odpadnięcia prowincyj od pnia wspólnego. Nowe urządzenia kryły w sobie na dalszą przyszłość poważne niebezpieczeństwa, które na razie zażegnywało jeszcze poczucie pewnej wspólności i sprężysty dozór cesarza. Armia rzymska barbaryzowała się także i przez to, że do szeregów, począwszy od epoki Hadrjana, zaciągano coraz częściej barbarzyńców podbitych; przyszło do tego, że cywilizacja zaczęła zczasem zwalniać od służby wojskowej[1].

---

[1] Por. o reformach Hadrjana książkę K o r n e m a n n a: *Kaiser Hadrian,* Lipsk 1905; prócz tego tegoż autora: *Die römische Kaiserzeit* w: »Einleitung in die Altertumswissenschaft« Gercke'go i Norden'a,— wreszcie H a h n'a: *Das Kaisertum*, Lipsk 1913.

Jeżeli cesarstwo wogóle specjalną opieką otaczało prowincje i chciało niejako tem powetować długowieczne krzywdy, przez republikę im wyrządzane, to Hadrjan w tym kierunku przez nikogo wyprzedzić się nie dał. Jeżdżąc ciągle po swojem imperjum, poznawał on poszczególne warunki, potrzeby pojedynczych krajów, przydzielał według doświadczeń każdemu z nich osobne zadania do spełniania; popierał miejscowy handel i budził przez to w nich poczucie własnej ważności i znaczenia. Nowe miasta powstawały, stare otrzymywały rzymskie obywatelstwo lub półobywalstwo i zamieniały się przez to w ogniska rzymskiej cywilizacji i patrjotyzmu. Mieszkańcy prowincyj wchodzili do rzymskiej arystokracji; dały one cesarzy Rzymowi, jak Trajana i Hadrjana; nie dziw więc, że wśród nich budziły się dążności do zupełnego zrównania z Italją. Jeżeli Hadrjan tę dążność poparł, to czynił on to wskutek swych pojęć politycznych, które widziały ojczyznę nie w Italji, lecz w ogólnej cywilizacji, po imperjum rozlanej.

W rzymskiem imperjum odróżnić można dwie połowy, które pod każdym względem odrębne wykazują znamiona i innym żyją duchem, część zachodnią i wschodnią. Na zachodzie obejmowało państwo dziedziny zamieszkałe przez barbarzyńców, które Rzym mieczem swoim podbił dla kultury i równoległej z nią romanizacji. Na tych ziemiach dziewiczych rząd, żołnierz i kupiec rzymski siali dotychczas ziarno kultury, szerzyli język rzymski, który coraz bardziej wchodził w użycie i wśród ludności miejscowej znalazł nawet wkrótce chętną uprawę. Przypominamy romanizację Hiszpanji, z której pochodził Hadrjan, przypominamy, że ta prowincja w ruchu umysłów i piśmiennictwie rzymskiem za cesarstwa przodowała, że wkrótce potem Afryka zaczęła z nią walczyć w tym kierunku o lepsze. Natomiast na wschodzie, na wielkich obszarach dawnej monarchji Aleksandra Wielkiego, panował przeważnie grecki obyczaj i grecki język. Rzym stanął tu wobec greckiej, wyższej cywilizacji i nie mógł marzyć ani

zamyślać o jej usunięciu i pochłonięciu przez rzymskie wpływy i napływy. Grecki język rozlał się tu poza właściwą Grecję aż do Eufratu i Nilu, jako język handlu, religji, sztuki i nauki. W wielkich miastach Azji, jak Antjochja i Seleucja, w egipskiej Aleksandrji stanowili Grecy przeważną część ludności; miasta te miały helleński charakter. Żydzi, których na wschodzie było pełno, przyjmowali z łatwością ich mowę, tak, że aż przetłumaczenie Starego Zakonu na język grecki stało się potrzebnem.

Natomiast łacina nie potrafiła w tych wschodnich prowincjach nigdy dojść do wielkiego znaczenia. Z początku wprawdzie państwo na drodze oficjalnej usiłowało wywalczyć znajomość i niezbędną rządowego języka potrzebę. I działo się, że Grecy w stosunkach z władzami musieli często używać tłumaczy do przedkładania swych próśb i interesów. Ale to działanie wyłącznie rządowe nie zromanizowało ani pojedynczych ludzi, ani prowincyj. Wyższa kultura i wielkie tradycje oparły się tu stanowczo wypieraniu starego języka, a Grek zachował nawet przez wszystkie czasy wielką obojętność, a nawet pewne lekceważenie wobec rzymskiej mowy i literatury. Rzymianie też za cesarstwa robią coraz większe ustępstwa dla greckiego Wschodu; w cesarskiej kancelarji są osobni urzędnicy dla greckiej korespondencji, a od czasów Hadrjana niektóre konstytucje cesarskie, przeznaczone dla Wschodu, ogłaszano w greckim języku. Obok wielkiego więc znaczenia w stosunkach codziennych handlu i życia, uzyskał język grecki nawet półoficjalne znaczenie w rządzie. I jeżeli każdy Rzymianin wykształcony umiał po grecku, czasem nawet po grecku myślał i mówił, jeżeli czasem nawet mieszkańcy odległych zachodnich prowincyj występują zupełnie w greckiem świetle, jak n. p. Favorinus, pochodzący z Arelate w Galji, to świadczy to o wielkim czarze greckiego słowa i myśli, wywieranym jeszcze w tych czasach na współcze-

snych; odwrotne przykłady zromanizowanych Hellenów są natomiast bardzo nikłe i rzadkie.

Cesarstwo uznawało ten dualizm cywilizacji, uznawało dwa promienie, dwa równorzędne odblaski jednej kultury. Ta rzymsko-grecka kultura, szczególnie od Hadrjana czasów miała się stać czemś jednolitem, zespalać ludzi i wznieść pomost złoty ponad przepaścią między Zachodem i Wschodem. Ludzkość przedstawia się niejednemu pisarzowi jako złożona z Rzymian i Greków, poza tem istnieją tylko barbarzyńcy, na których zwracać uwagi nie warto. Sam cesarz Hadrjan sławił pewnego Catiliusa Sewera w epigrammacie, w którym między innemi czytamy, że Sewer był

Najznakomitszy z Hellenów, najprzedniejszy ze Rzymian.[1]

A więc można było być w pojęciu współczesnem Hellenem zarazem i Rzymianinem, t.j. być przedstawicielem tej grecko-rzymskiej kultury, a raczej kosmopolityzmu. Świadczy to o zamieraniu dawnej świadomości Rzymu i przesuwaniu się punktu ciężkości z Italji; kultura zacierała odrębności, ale ścierała zarazem pierwotną siłę i rodzime znamiona, a w tej ojczyźnie idealnej, w której ideały więcej znaczyły od rzeczywistości, musiała z biegiem czasu szala ciężkości na korzyść Wschodu się przechylić.

Po tej grecko-rzymskiej ojczyźnie podróżował cesarz Hadrjan przez cały nieomal ciąg swego panowania. Władza cesarska stworzona przez Augusta, nie ustalona należycie przez jego następców, wymagała właściwie ciągłego pobytu cesarza w stolicy, ciągłego stykania się z drugim organem rządu, z senatem. Sam jednak August uchylał się od tej konieczności po kilka razy, bawiąc przydłużej poza Rzymem i Italją. Z następnych cesarzów dopiero Trajan szedł pod tym względem w ślady Augusta; jego wojny naddunajskie i wscho-

[1] Por. Kaibel: *Epigr. gr.*, str. 536.

dnie przetrzymały go przez lat szereg na krańcach wielkiego imperjum. Hadrjan idzie dużo dalej w tym kierunku, Rzym widzi go tylko przelotnie; nie wyprawy wojenne, ale podróże wypełniają prawie cały ciąg jego rządów. Jedynie po objęciu panowania w r. 118 bawi Hadrjan przydłużej, bo $2^1/_2$ lat w stolicy, aby ugruntować i utwierdzić swą władzę, poskromić niesforności, przygotować się niejako na wędrówki. Zaczynają się one w r. 121 i z krótkiemi przerwami pobytów w Rzymie w latach 127 na ósmy i 128 na dziewiąty trwają odtąd aż po koniec r. 133 lub początek następnego. Ostatnie dopiero cztery lata aż do śmierci swojej przepędza Hadrjan w Rzymie i jego okolicach, syt wrażeń i wspomnień, które budowlami zewnętrznie stwierdza i podsyca zarazem.

Jakież tedy pobudki i przyczyny pędziły tak Hadrjana w świat i po świecie, cóż było powodem tej ciągłej ruchliwości i wędrówki? Rozróżnić tu musimy dwojakie motywa: osobiste, wypływające z indywidualności cesarza, i publiczne, z jego stanowiskiem i posłannictwem związane. Jako cesarz, zwiedza Hadrjan prowincje swego imperjum, aby ich rozkwit i interesa na wszelki sposób popierać, wskrzeszać w nich dawne życie i budzić nowe, aby zakładać miasta, które miały się stawać ogniwami łączącemi z Rzymem, ogniskami patrjotyzmu, a zarazem warowniami dla państwa. Bo ten wzgląd militarny nie opuszcza cesarza na wędrówkach. Zarówno w mroźnym klimacie Brytanji i Germanji, jak pod palącem słońcem Afryki ćwiczy on wojsko, wzmacnia jego stanowiska, przegląda i utwierdza siły obronne i odporne Rzymu. Cały orszak inżynierów i budowniczych towarzyszy cesarzowi w tych wycieczkach; budują oni wodociągi i drogi bite, teatry i świątynie. Piecza cesarza około dobrobytu i błogosławieństw kultury jest wszechstronną; z obawy przed nadużyciami ukróca on jednak autonomje miejskie i podciąga miejskie zarządy coraz bardziej pod nadzór państwowych urzędników.

A obok tego idą indywidualne interesa i ciekawości ce-

sarza, wypływające z jego natury i usposobienia. Naczytawszy się dużo zamłodu o dawnych dziejach i cywilizacjach, chce on teraz naocznie wszystko oglądać i zbadać, co tylko znał dotąd z książek. Interesa religijne, historyczne, a nawet romantyczne krzyżują się tu z sobą i szukają zaspokojenia. Podróże cesarza po przestrzeniach są zarazem wędrówkami duszy do świecie idei, po wszelkich próbach i środkach, jakiemi ludzkość dotychczas wielkiemu i niezbadanemu Sfinksowi chciała wydrzeć tajemnice i rozwidnić tem szlaki swego istnienia. Dlatego przyjmuje on święcenia w Eleuzyjskich misterjach, dlatego zwiedza i niepokoi stare greckie wyrocznie w Delfach i Dodonie, dlatego zgłębia kulty egipskie i magów egipskich zapytuje o swoją przyszłość. Ciągnie go dalej historja i jej wspomnienia. Stare cywilizacje wywierają na nim czar szczególny, siadać on lubi na ich ruinach i słuchać głosu przeszłości. Zwiedza dlatego miejsca, gdzie stała niegdyś Troja Homera i wyprawia jakieś obrzędy pogrzebowe na cześć Ajaksa, w Egipcie zatrzymuje się na grobie Pompejusza i wierszem go sławi, w Mantinei ogląda grób Epaminondasa. Jakiś powiew romantyzmu, a zarazem stwierdzenie, że starożytność już na sen wieczny układa się do grobu, z którego przyszłe pokolenia czerpać będą życie i natchnienia, przebija z tych odwiedzin Hadrjana. Bo w podróżach jego nieraz się ujawnia coś romantycznego, co przypomina uczucia nowożytnych ludzi. Uderza mianowicie szukanie miejsc, słynnych z piękności, jak dolina Tempe w Tessalji, którą Hadrjan później nawet chciał odtworzyć w swej willi Tyburtyńskiej, uderza poczucie dla widoków górskich, tak rzadkie w starożytności. Biograf jego opowiada, że wchodził na Etnę i na górę Casius pod syryjską Antjochją, aby stamtąd wschodowi słońca się przypatrywać. Może chciał się przytem pokłonić bóstwu słonecznemu, którego kult wraz z Mithracyzmem się szerzył i znalazł wyznawcę w samym Hadrjanie. Wschodni ludzie nazywali go Hadrjanem — słoń-

cem *(Helios)*, a nazwisko jego rodowe Aelius zachęcało nieledwie do tej słownej igraszki i tego rodzaju hołdów. *Animula vagula blandula* szuka coraz nowych wrażeń, odkrywa nawet sensacje i uczucia, których starożytny świat nie znał, nastroje w części właściwe duszy nowożytnego człowieka i dla niej znamienne.

Porządku tych podróży cesarskich oznaczyć prawie niepodobna, choć o to nieraz się kuszono. Ogólnie jednak powiedzieć można, że więcej przebywał Hadrjan na wschodzie niż na zachodzie, że po zachodzie jeździł przeważnie jako cesarz rzymski i żołnierz, na wschodzie występował często w charakterze romantyka. Ciągnęła go tu przedewszystkiem stara Grecja ze swojemi pomnikami i wspomnieniami. Ta miłość Rzymu do Grecji budzi się w hartownych czasach punickich wojen, a twardy Mars rzymski ugina odrazu czoła przed wschodnią heterą, która jest już niewątpliwie upadłą, ale w literackich swych i artystycznych zasobach posiada istną puszkę Pandory, która Rzymianina nęci, uszlachetni, ale też pozbawi pierwotnego i rodzimego hartu. Powiedzieliśmy, że to stosunek z heterą. Bo jest w nim pewna kapryśność, pewna kokieterja i pieszczotliwość, znamionująca takie związki, pieszczotliwość idąca naprzemian z lekceważeniem. Grecja popada wobec Rzymu w stan niewoli, staje się w drugim wieku przed Chrystusem prowincją rzeczypospolitej, ale Rzym ma zawsze dla tej niewolnicy jakąś słabość i miękkość, uczucie podobne do miłości między cesarzami niemieckimi a miastami Włoch średniowiecznych. Dantejska nierządnica narodów ma równe przynęty dla władców północy, jak grecka niewolnica dla Rzymu. Jej język będzie się szerzył pośród Rzymian, jej pojęcia usuną dawną szorstkość i grubość, jej opowiadania uczące grzechu — *fabulae peccare docentes* — tchną w piśmiennictwo łacińskie ducha nowego, wyzwolą duszę motyla z pętów pełzającej gąsienicy, ale przyniosą jej w dani nietylko lekkość, lecz i płochość zarazem. Prymat ten

duchowy zachowa zgnębiona Grecja przez długie czasy w rzymskiem państwie. Uniwersytet ateński ściągnął w końcu rzeczypospolitej i za cesarstwa młodzież bogatszą, żądną wiedzy nad brzegi Ilissu, a z tej starej metropoli wiedzy wynieśli swoją ogładę i kulturę najwykwintniejsi wśród Rzymian, żeby tylko Cycerona i Horacjusza tu wspomnieć. W każdym Greku żyć będzie jeszcze długo mimo politycznej niewoli poczucie i świadomość kulturalnej wyższości; choć się nie dzierży *arbitrium mundi*, ma się jednak potężne *arbitrium elegantiae*, jest się mistrzem smaku i mistrzem cere monji dla ówczesnego świata. I Grek, którego losy do Rzymu zagnały, będzie wykonywał tu rolę misjonarza cywilizacji, posłannictwo wyższej i wyżej uposażonej istoty; dowcipem swym rozchmurzy czoło rzymskiego pana, synów jego będzie zaprawiać w nauce, ojców i synów niekiedy psuć swym obyczajem; słowem, odegra rolę trefnisia, jaką ówczesne Grekulusy często brały na siebie, lub nauczyciela, a niekiedy połączy obie role w jednej osobie.

Twarda republika wobec Grecji prowadziła politykę wyjątkową, gotową była do ustępstw i łagodności; a tę politykę przejęło i w wyższym jeszcze stopniu zastosowało cesarstwo. Miasta naczelne o historycznej przeszłości i nimbie usuwano z pod władzy prokonsula, zarządzającego prowincją, i ogłaszano wolnemi, t. j. wolnemi od podatków i poboru, a zarazem nadawano im dość szeroką autonomję. I w miejscach tych, które kiedyś sławą swego oręża i ducha zadziwiały świat, a dzisiaj żyły wspomnieniem i cieniem dawnej wielkości, pozwalał Rzym na zaściankową autonomję z zaściankowemi ambicjami i walkami, które rzucały wielkie i dawne hasła wśród drobnych, powszednich zapasów i burz lokalnych. Były to igraszki, na które Rzym patrzał z wysoka, jak na zabawki dziecinne; dawały one odbyt i upust umysłom odurzonym dawną wielkością, językom żądnym swady i dyskusji, pozwalały epi-

gonom bohaterów z pod Termopil i Salaminy grzmieć i rzucać gromami, które nie przenosiły murów ojczystego miasta.

Cesarstwo rzymskie ma wybitną, czasem nawet chorobliwą, prawie histeryczną słabość do Grecji; wdzięczność dla nauczyciela i mistrza idzie tu w parze z namiętnością dla pięknej oblubienicy Wschodu. Kiedy różnice narodowe zacierać się zaczęły, kiedy rzymsko-helleńska ojczyzna miała połączyć i zespolić Greków i Rzymian, ostatni czuli się niejako także dziećmi Ateńskiej Pallady, w chwale dawnej Greków upatrywali także dawną swoją chwałę, a podniecając ducha upadłej Grecji, popierali na wszelki sposób hellenizowanie się Wschodu. Kiedy nie było pola dla politycznych zapasów i zwycięstw orężnych w Helladzie, igrzyska przekazane z przeszłości cieszyły się tem większem powodzeniem i rozgłosem, dla skarłowaciałych ambicyj dostarczały zarzewia i sposobności do popisu. Rzymianie z Hellenami walczą odtąd w Olimpji o palmę zwycięstwa: pierwszym Rzymianinem, który tu zdobył wieniec oliwny, jest pasierb Augusta, sławny później cesarz Tyberjusz. Olimpja była ogniskiem, które wszystkich Hellenów zgromadzać miało i w rozsianych po świecie przedstawicielach tego szczepu rozbudzać poczucie jedności. Bo poczucie to, które w czasach świetności politycznej nie znalazło wyrazu ani zastosowania, teraz pod tchnieniem Rzymu rozwija się i potężnieje, Rzymianie stają się opiekunami i poplecznikami panhelleńskiej idei.

Z cesarzów po Neronie, który upojony powodzeniem swem artystycznem wśród Greków obdarzył ich przelotnie zupełną wolnością i w przystępie tego upojenia ogłosił ich zupełną wobec Rzymu niepodległość, najbardziej stanowczym filhellenem jest Hadrjan. Przebywa on tu po dwa razy, zapewne w r. 125 i w r. 129, buduje nowe Ateny nad Ilissem i w r. 129 poświęca wielką świątynię Jowisza, która ma być odtąd centralną Hellenów świątynią. Wolne i nie wolne gminy Grecji wysyłały tu swoich przedstawicieli, którzy jako Pan-

helleni radzą nad igrzyskami przy świątyni się odbywającemi, a miasta greckie poza Helladą mogą przypuszczać do panhelleńskiego związku. Te Panhellenia miały Greków całego świata w idealnej jedności złączyć i spajać, Rzym wywiesił tu sztandar i rzucił hasła dla całego Wschodu, a zdumieni i pieszczeni Grecy nie mieli dość słów, aby cesarskiego dobrodzieja wysławić, masą posągów uwieczniali nazwisko i pamięć najzagorzalszego filhellena na tronie. W greckim świecie nosił on odtąd przydomek Filhelleńskiego lub nawet Olimpijskiego.[1]

Sam cesarz był niewątpliwie wśród swoich podróży gorliwym krzewicielem i apostołem tej wszechgreckiej jedności i idei. W Grecji samej ogarniać musiało go niekiedy liryczne uczucie wśród rozważania, jaki odstęp dzielił współczesnych mu Hellenów od wielkich ich przodków; kraj był ogromnie wyludniony przez niszczący wpływ wojen domowych rzymskich. Mommsen słusznie przypomniał, że trzy walne bitwy wśród domowych zapasów: Pharsalos, Philippi, Akcjum, rozegrały się na greckim gruncie. Pełno Greków opuściło oprócz tego ziemie ojczyste, aby się na zachodzie osiedlić; toteż wiele miejsc, dawniej świetnych, uderzało teraz opuszczeniem i upadkiem, dla *lacrimae rerum* i poezji ruin było tu pole pełne natchnień i tęsknego marzenia.

Zupełnie inne robiły wrażenie prowincje przeciwległej Azji. Dawne greckie kolonje położyły tu kiedyś podwaliny hellenizacji i wywołały w nadbrzeżnych mianowicie miastach kiedyś świetną bujność greckiego ducha i piśmiennictwa; monarchja Aleksandra Wielkiego i jego następców utwierdziła ten hellenizm, zaprawiony pewną przymieszką orjentalnych pojęć; Rzym wreszcie, wziąwszy drogą dziedzictwa lub pod-

[1] Dürr: *Reisen des Kaisers Hadrian*, str. 45. Hadrjan w tych dążeniach, aby się Grekom przypodobać, idzie w ślady azjatyckich książąt zhellenizowanego Wschodu. Oni także ubiegali się o tytuł Filhellenów. Por. Renan: *Hist. du peuple d'Israel*, IV, str. 201.

boju dziedziny te w posiadanie, popierał wszelkim sposobem rozwój i rozkwit licznych miast greckich, gęsto tutaj rozsianych. Azja Mniejsza, podzielona za cesarstwa na kilka administracyjnych okręgów, cieszyła się wtedy takim dobrobytem, że dzisiejszy podróżnik, błąkający się po tym kraju, wyniszczonym przez długowieczną gospodarkę turecką, co chwilę w podziwie staje przed ruinami, które świadczą o świetnej przeszłości i błogości materjalnej cesarskich rządów. Nawet u współczesnych uchodziła Azja za kraj najgęściej miastami zasiany; niektóre z nich, jak Ephesos, Smyrna i Pergamon, przechowywały dawną swą wielkość i tradycję, młodsze osady, jak Adalia, założona przez Attalidów w Pamfilji, Iconium, założone przez Seleucydów w Lykaonji, nawet górskie grody Selge i Sagalassos w Pizydji cieszyły się w tych czasach rozkwitem i dobrobytem. Sofistyka, o której poprzednio wspomnieliśmy, znalazła w Azji Mniejszej główne ognisko i uprawę, apostołowie jej i krzewiciele tego kierunku, który nietyle myśleć jak raczej o wszystkiem pięknie mówić uczył, rozchodzili się stąd na całe imperjum. Hadrjan przynajmniej dwa razy za swego panowania przebiegł różne części tej krainy, ciesząc się zabytkami starożytności, które jeszcze jaśniały w pełnej swej chwale, jak ogromna świątynia Artemidy w Efezie, wielki ołtarz Attalosa w Pergamon; przytem bujne życie handlowe i miejskie napawało niewątpliwie radością tego wielkiego miast przyjaciela i opiekuna. Zmieniały one chętnie swe nazwiska na cześć cesarza, otrzymywały z ręki jego przywileje lub nowe budowle, a przedewszystkiem pozwolenie na obchody ku czci ubóstwianego monarchy, którego to kultu Azja Mniejsza była ojczyzną, a służalczy Grecy najgorliwszymi wyznawcami.

Nawet jednak i tutaj nie kończył się jeszcze Wschód grecki. Sąsiadująca od południowego wschodu Syrja, zajęta w końcu rzeczypospolitej przez Pompejusza, mimo swej rodzimej semickiej ludności zhellenizowaną była bardzo silnie,

była nawet najwybitniejszym wyrazem tej hellenistycznej cywilizacji, na którą orjentalne i greckie żywioły w równej się złożyły mierze.[1] Była to najważniejsza prowincja Rzymu na wschodzie; namiestnik jej zajmował poczestne bardzo stanowisko w państwie i komenderował czterema legjonami, które tworzyły straż cesarstwa od wschodu nad Eufratem. Kiedyś piastował tę godność cesarz Hadrjan i tutaj ogłosiły go legjony jego cesarzem. Ogromna stolica Antjochja była obok Aleksandrji największem miastem na wschodzie; ludność jej pomieszana z Greków, miejscowych Syrów i znacznej przymieszki Żydów, słynęła ze swego życia hulaszczego i dowcipu, z cywilizacji miękkiej i mocno nadpsutej, nurzającej się w rozkoszach wyścigów i baletu.[2] Rzymowi dostawiała też na zawołanie kapłanek Terpsychory i Wenery, trefnisiów i kuglarzy, a młodzi hulacy Rzymu zwracali tęskny wzrok i tęskne kroki w tę stronę Wschodu, która ich wabiła nietylko tysiącem i jedną nocą baśni, ale tysiącem nocy bardzo rzeczywistych do przeżycia i użycia. Orontes zatruł wody Tybru według Juwenalisa; rzeczywiście źródło zepsucia nigdzie obficiej nie biło, jak w Antjochji; Wschód ofiarował tu Zachodowi w pełnej mierze swe czary i truciznę zarazem. Dla Hadrjana, mieszańca umysłowego tylu cywilizacyj i wieków, Antjochja ze swym zsemityzowanym hellenizmem osobny musiała przedstawiać urok i tajemnice. Złośliwość jednak mieszkańców i jemu dała się we znaki. Kiedy też szedł na Kazyjską górę, aby wschodem słońca napawać swe oczy, przyroda ze swym majestatem i spokojem miała mu chyba przynieść błogą ulgę po rozstrajającym ruchu i stuku Antjocheńskiej ulicy.

Na tem samem wschodniem wybrzeżu Śródziemnego morza rozsiadło się inne miasto epoki Aleksandryjskiej, a w cza-

---

[1] O tem zlaniu się dwóch światów mówi Renan w *Histoire du peuple d'Israel.* IV, 206.

[2] Por. Renan: *Les Apôtres,* 215—220.

sach Hadrjana drugie centrum po Rzymie w całem imperjum, wielka i bogata Aleksandrja. Historyk rzymski czwartego wieku, znakomity Ammianus Marcellinus, nazwał ją *vertex omnium civitatium*, szczytem miast wszystkich, a na miano to zasłużyła Aleksandrja znaczeniem swem w życiu umysłowem, bogactwem i handlem, ruchliwością swoich mieszkańców. Kiedy Egipt w pierwszym wieku przed Chrystusem przeszedł pod panowanie rzymskie, zachowała Aleksandrja obok reszty kraju podbitego dawne swoje stanowisko pewnej odrębności, jako miasto przeważnie greckie. W kraju Faraonów pozostała ona i nadal ogniskiem hellenizmu, hellenistycznej myśli i nauki. Ludność jej składała się z różnych żywiołów, jak ludność Antjochji; przeważał element grecki, obok niego jednak znajdowało się tu dużo tubylców, a prócz tego rozprószeni Żydzi osiedli tu w tak znacznej liczbie, że zajmowali dwie dzielnice z pięciu części miasta[1]. Grecka bujność, żydowski fanatyzm i egipskie kulty wytworzyły tu mieszaninę pojęć i myśli, która się między innemi objawiała w mistycznych spekulacjach filozoficznych i w mistycznych obrzędach, a misterja te pokrywały obok religijnych tajemnic jeszcze inne tajemnice, więcej osłony potrzebujące. Tak jak Antjochja miała park sławny, zwany Daphne, tak w pobliżu Aleksandrji znajdowała się miejscowość, zwana Kanopus, ze świątynią Serapisa, do której pielgrzymi udawali się uroczym kanałem, otoczonym z dwóch stron rozkosznemi willami, składając przytem ofiary nie samemu Serapisowi. Aleksandrja bowiem słynęła z rozpusty swej i zabaw. Było to miasto nawskróś zmaterjalizowane, wielkie zbiegowisko internacjonalne ludzi bez wyższych celów i nastroju, zwożących tu towary, pieniądze i żądze. W liście, przypisywanym Hadrjanowi[2], czytamy o mie-

[1] Doszli tu oni do znaczenia za Ptolemeuszów, którzy mieli dla nich wyraźną słabość. Por. Renan: *Hist. du peuple d'Israel*, IV, 239.

[2] Mommsen po innych (*Röm. Gesch.* V, 576) uważa go za nie-

szkańcach Aleksandrji co następuje: »Jest to rodzaj ludzi najburzliwszy, najpróżniejszy, najzłośliwszy«.

Obok poważnych rozmów greckich uczonych, którzy tu znaleźli w Muzeum przystań i opiekę rządową, kłóciły się po ulicach języki wszystkich narodowości Wschodu, kupczących tu i ofiarujących towary, żydowsko-grecki żargon był nutą dominującą. Przy żywości temperamentów i bujności życia przychodziło często do walk ulicznych, które musiała poskramiać broń rzymskich legjonów; niechęć przeciw Żydom objawiła się za Kaliguli powszechną napaścią na ich domy i chudobę. Brak politycznego znaczenia i siły okupywało miasto złośliwościami, rzucanemi na samych cesarzy i ich zastępców, które znajdowały niekiedy odbyt i poklask w całem cesarstwie. *Loquax et in contumelias praefectorum ingeniosa provincia*, prowincja to wielomówna i pełna dowcipnej złośliwości względem swych prefektów, mówił o Egipcie Seneka. Wśród tego wiru pojęć i języków z sobą się kłócących, ciekawość Hadrjana znajdowała dużo podniety i zaspokojenia; ale więcej od stolicy nęciła go niewątpliwie kraina egipska, mówiąca opustoszeniem i milczącemi budowlami wymowniej do duszy przybysza od pospolitego zgiełku Aleksandrji.

Cesarstwo objęło Egipt w swoje panowanie w odmiennej formie, jak inne prowincje. Jeżeli cesarstwo było współrządami cesarza i senatu, diarchją, to Egipt został zupełnie usuniętym z pod wpływu i rządów senatu i podlegał wyłącznie cesarzowi, był niejako cesarską domeną. Prowincja ta wykazywała też wiele rysów odrębnych w swoim ustroju; nie było tu ani miast autonomicznie się rządzących, ani sejmu prowincji. Kraina ta więc politycznie była upośledzoną; ekonomicznie wielkie jej zapewniało znaczenie to, że pod względem zbożowym była rzeczywistą Rzymu spiżarnią, a pod względem kulturalnym odwieczną swą kulturą nietylko zacie-

autentyczny. W każdym razie wiadomości w nim zawarte są ciekawe i nie bez wartości.

kawiała umysły, ale nawet wpływ wywierała na stolicę i Rzymian. Kulty egipskie wchodziły wtedy do Rzymu, stawały się takim artykułem mody czy histerji religijnej, jak buddyzm w naszych czasach; na freskach pompejańskich sceny z tych obrzędów kłócą się dziwacznie z otoczeniem klasycznem wesołych scen rodzajowych. W sztuce rysy egipskie zaczęły popłacać i podobać się rzymskiej publiczności. A wreszcie przyszła stąd spekulacja filozoficzna, snująca na podstawie Platona ekscentryczną i orjentalną bujnością zaprawione nauki.

Dla turysty i dyletanta przesyconego powszedniością, a żądnego nowych wrażeń, zawierał wreszcie Egipt w swych dawnych pomnikach i pamiątkach tyle rzeczy niezwykłych, taką mowę, pełną znaków zapytania i tajemnic, że kraina ta musiała mu się przedstawiać jako ziemia obiecana rozkoszy. Panowanie rzymskie niwelowało świat, pociągało Zachód romańskim, Wschód romańsko-greckim pokostem; w Egipcie tylko stara, z nabożeństwem przechowywana kultura odrzynała się od tej monotonności, która bywa największym krzyżem natur znużonych powszedniością.

W r. 130 przedsięwziął Hadrjan z Aleksandrji w towarzystwie żony swej Sabiny i licznego otoczenia wielką podróż po Nilu z zamiarem obejrzenia wszystkich ciekawości nadbrzeżnych. Podziwiano tu piramidy i królewskie grobowce, podziwiano obeliski, z których dwa znanemi już były ze stolicy Rzymu; jeden przeniósł tam August i dziś stoi on w środku Piazza del Popolo, drugi sprowadził Kaligula, ten, który dziś ozdabia plac przed kościołem św. Piotra. Tajemnice grobów i kultu egipskiego przemawiały niewątpliwie bardzo wymownie do romantycznego cesarza. Dotarto aż do Teb, najstarszego miasta w Egipcie, które wśród marnej teraźniejszości wykazywało najwięcej gmachów i ruin minionych wieków. Między innemi dwa wielkie kolosy Amenhotepha III zaciekawiły tu szczególnie cesarza. Trzęsienie ziemi zwaliło w r. 27 przed Chr. część górną jednego z nich, a ze szczelin posągu wydo-

bywały się odtąd przy wschodzie słońca wraz z powietrzem uchodzącem dźwięki, które fantazja grecka nie omieszkała w cudne swe przyodziać szaty. Posąg miał być pomnikiem Memnona, zabitego przez Achilesa pod Troją, a dźwięki owe powitaniem Aurory ze strony syna, który zginął śmiercią przedwczesną. Cesarz Hadrjan nieraz tu udawał się z cesarzową, aby usłyszeć te dziwne tony; w towarzystwie ich znajdowała się Greczynka, Balbilla, której dziwny fenomen i wschód słońca w takiej dekoracji poetyckie przynosił natchnienia. Ówcześni turyści pokrywali nogi mniemanego Memnona napisami, które wyryte w kamieniu, zachowały się do naszych czasów. Aż 27 napisów pochodzi z czasów Hadrjana [1], nazwisko cesarskie także się wśród nich znalazło, poetka Balbilla umieściła swoje wiersze na lewej nodze kolosu. Wyrażają one niecierpliwość, że Memnon nie dość prędko dał się usłyszeć cesarskiej drużynie, że kilka ranków tam spędzono na daremnem wyczekiwaniu. Cała ta podróż była wielką wyprawą w świat idei odwiecznych, uwiecznionych pomnikami, z których szczelin przemawiały głosy, witające zamierzchłą przeszłość czy jutrzenkę ludzkości. Hadrjan w sfinksach egipskich chciał wyczytać tajemnice, które męczyły współczesnych; powiedziały mu one tylko, że przed lat tysiącami te same zagadnienia rozpierały dusze, które swemi ciemnościami ciężyły na jego myśli i uczuciu.

Wśród tej podróży egipskiej zakłóciło spokój cesarskiej drużyny zdarzenie, pełne zagadkowości, jak egipskie posągi. Młody Bityńczyk, towarzyszący cesarzowi, rzucił się naraz w nurty Nilu i utonął w oczach całego towarzystwa. Mówiliśmy już poprzednio, że zgon ten był może ofiarą złożoną za życie cesarza, może zaś obłędem wywołanym wróżbą jaką lub przepowiednią egipskich magów. W Besa nastąpił uro-

---

[1] Por. Friedländer: *Sittengeschichte Roms*, II, 146. Kaibel: *Epigr. graeca*, n. 988 i nast. Puchstein: *Epigr. graeca*, p. 27.

czysty pogrzeb ciała z fal Nilu wydobytego; cesarz wylewał przytem łzy obfite — *muliebriter flevit*, jak się wyraża biograf. Cześć boska przyznaną niebawem została Antinousowi; ostatni z bogów starożytności odprowadzany do grobu w tej krainie śmierci, wśród najstarszych pomników ludzkości, przez pana ówczesnego świata — cały ten obrzęd miałby w sobie coś wysoce dramatycznego, gdyby tylko nie miał rysów boskiej lub nawet wcale nie boskiej komedji. Cesarz popłynął następnie dalej, ale pamięć Antinousa ciężyła odtąd na wieczorze jego życia i panowania i zamroczyła ostatnie jego lata.

Jak drugi Odysseusz, przewędrował więc Hadrjan dużo mórz i lądów, poznał miast wiele i ludzkich obyczajów. Szukał on też swojej Itaki, na której wytchnąćby mu przyszło, szukał zaspokojenia duszy, wiecznie targanej niepokojem, wątpieniem i ciekawościami. Ale i na tej Itace przędzie się tkanina, którą niemal każdego poranku od nowa zaczynać przychodzi. W drodze przejeżdżał koło Syren, wszystkich czarów i ponęt rozkosznego Wschodu, koło Feaków, żyjących z kapitału przeszłości, i innych, nie widzących niczego ponad teraźniejszości kapitał, koło grobów i ruin dawnych potęg i cywilizacyj, które go mogły nauczyć znikomości wszechrzeczy. Lotofagowie Odyssei, zjadacze lotosu, którzy po użyciu tego owocu zapominali o ojczyźnie, rozrośli się w świecie szeroko; lotosem był dla nich materjalny dobrobyt i błogość wielkiego rzymskiego pokoju, który się rozpostarł nad światem i dusze jarzmił bardziej stanowczo od wojny. Ta błogość dobrobytu była lśniącą stroną ówczesnego świata, ale wytwarzała też jałowość epoki.

4.

Kiedy Hadrjan z wielkiej swej ostatniej podróży powrócił do Rzymu, niepodobna dokładnie określić. Tyle wiemy, że znajdował się tam w początku roku 134. Ale tymczasem

zaszły ważne wypadki, które zakłóciły pokój cesarstwa i spokój cesarza, i wyrwały świat z idylli błogiej, w której cesarz siebie i ludzi chciał ukołysać.

W r. 130 przejeżdżając z Syrji do Egiptu, znalazł się Hadrjan w Palestynie. Późniejsze podania opowiadały, że ciekawy zawsze cesarz z żydowskimi rabinami wdał się w rozmowy, że wśród tylu problemów, które badał, i problem Jehowy zaprzątnął jego myśl i uczucia[1]. Ale to jest tradycja bardzo mętna i wątpliwa. To pewna, że ten pobyt cesarski i płynące zeń zarządzenia wywołały burzę, która łoskotem swoim zapełniła świat cały, podnieciła namiętności, które do dziś dnia żyją, a zadała żydostwu cios ostateczny, pod którego brzemieniem upływają dalsze jego losy. Ugodowa i godząca polityka Hadrjana spotkała się tu z nożem fanatyków, w panteonie i zbiorowisku wszelkich bogów, które cesarz około swego tronu chciał skupić, jeden Bóg nie chciał zająć wyznaczonego mu miejsca, straszny Pan narodu żydowskiego, Jehowa.

Kiedy w końcu rzeczypospolitej miecz Pompejusza zagarnął Palestynę pod panowanie rzymskie, jądro i ognisko narodu znajdowało się w pierwotnej jego ojczyźnie, ale prócz tego po wszystkich częściach szczególnie wschodniego świata Żydzi rozproszeni w mniejszej lub większej mierze stanowili pokaźne części ludności. Fale tego rozproszenia sięgały Zachodu, choć w dużo drobniejszych rozmiarach. Słyszymy o Żydach w Rzymie już za Cycerona; w obronie Flaccusa z r. 59 wyraża Cycero obawę, że nieprzyjaźni jego klientowi Żydzi wywrą nacisk na przebieg sądu; wiadomo bowiem, powiada mowca, jak wielką jest ich liczba, jaką ich solidarność. Wielki Cezar był im życzliwym, a po jego zamordowaniu Żydzi głośno i otwarcie zawodzili swe żale.

---

[1] Renan: *L'Église Chrétienne*, p. 23. Talmud często o tych rozmowach wspomina.

Za Augusta gnieździło się ich dużo na drugim brzegu Tybru. Cierpiano tu ich kult i religję, ale nie pozwolono na Zachodzie na jakieś autonomiczne organizacje gmin żydowskich. Cesarz Tyberjusz nawet stanowczo przeciw kultowi ich wystąpił, a opornych wygnał z Italji, choć byli tu raczej przedmiotem pośmiewiska i wzgardy niż niebezpieczeństwem, a groźnymi stać się jedynie mogli jako zawiązek liczniejszej emigracji ze wschodu.

Większem było ich znaczenie na Wschodzie i innych tu zasad trzymała się względem nich polityka cesarska. Aleksander Wielki i jego następcy, zakładając swe miasta, osiedlali w nich obok Greków całe masy Żydów, którzy uległszy wpływom hellenizmu, mieli się teraz stać narzędziami hellenizacji Wschodu. W Aleksandrji, Antjochji, Seleucji było ich pełno, a w każdem z tych miast tworzyli oni osobne gminy, mieli swoje organizacje i własne sądownictwo, zachowywali pewne odrębności. Cesarstwo rzymskie przejęło tutaj takie stosunki i nie zamierzało ich zmienić. W duchowem życiu tych Żydów zaszło znaczne przeobrażenie pod wpływem związku z grecką cywilizacją; estetyczne pojęcia Greków uszlachetniły dusze, filozoficzne systemy złagodziły szorstkość i wyłączność ich wierzeń. Zdawałoby się, że ci Żydzi, przekształceni grecką kulturą, całą przepaścią oddzielą się od twardych starowierców, Hassidim Palestyny, że powoli zamienią się w zupełnych Greków. Ale fakta historyczne przypominają, że między ludnością grecką i żydowską tych miast świeżego założenia pozostał mimo wszystkiego wielki rozdział, którego niwelowanie cywilizacyj wyrównać nie zdołało; przychodziło tu często do starć, a w r. 38, za cesarza Kaliguli przyszło w Aleksandrji do wielkiego ruchu antiżydowskiego, który do bójek i morderstw ulicznych, do rabunku domów żydowskich doprowadził. Postępowi ci Żydzi diaspory, mimo swych odmiennych religijnych przekonań lub niereligijnego sceptycyzmu, w gruncie rzeczy czuli się jednak bliższymi starowierców na

wschodzie i zwracali zawsze tęskne i miłosne spojrzenia do Jerozolimy, która nie przestała być stolicą ich religijną i polityczną, wielkim symbolem, spajającym rozbitków żydowskich, po całym świecie rozproszonych.

Palestyna pod panowaniem rzymskiem, po wznawianych i przemijających próbach rządzenia przez książąt i królików lenniczych, zorganizowaną wreszcie została w roku 6 po Chrystusie na wzór i modłę innych rzymskich prowincyj. Cesarski namiestnik, a raczej prokurator, otrzymał tu najwyższą władzę, a zadaniem jego było, aby wobec tradycji i potęg miejscowych postępować z taktem i ostrożnością, wymijającą łatwe i grożące konflikty. W Jeruzalem bowiem pozostawiono radę starszych, tak zwane Synedrion czy Sanhedrin, złożone z byłych arcykapłanów i ludzi biegłych w zakonie; na jego czele stał arcykapłan, zajmujący chwilowo to naczelne duchowne stanowisko. Ta rada była radą miejską miasta Jeruzalem, ale do tego kompetencja jej się nie ograniczyła; była bowiem prócz tego najwyższą reprezentacją duchowną całego żydostwa, a Rzym pozostawił jej dość szeroki zakres władzy w sprawach dotyczących wiary, obyczaju i prawa. Sądownictwo cywilne nad Żydami jej przysługiwało; w kryminalnem konkurowała ona z władzą rzymskiego prokuratora; wyroki śmierci przez nią wydane potrzebowały jednak zatwierdzenia ze strony rzymskiego urzędu [1].

Zderzenie się dwóch światów i dwóch cywilizacyj, Zachodu i Wschodu na jednym punkcie, a prócz tego koegzystencja dwóch władz, z których jedna była poddaną, ale czuła całą swą wyższość duchowną, musiały tu wywołać tysiące drażliwości, uraz i obraz, wśród których najzręczniejszej dyplomacji i polityce przewinąć się było trudno. Znaną nam wszystkim rola, jaką tu odegrał namiestnik Tyberjusza, Pontius

[1] Por. Mommsena: *Röm. Geschichte*, V, 512. W pięknym rozdziale *Judaea und die Juden* rozświecił Mommsen znakomicie te stosunki.

Pilatus. Wobec Sanhedrinu jest on trwożliwy, miękki, nie chce się jemu narazić, lecz zarazem nie chce narazić władzy rzymskiej na szwank i umniejszenie powagi, a kalając ręce swe urzędowe w krwi niewinnej, umywa potem prywatne swe ręce w wodzie, aby ta krew przelana na nim nie zaciężyła. Znamię to natur połowicznych i słabych, które nie mając jednej dzielnej duszy, posługują się dwiema, jedną dla publicznego, a drugą dla prywatnego użytku. Położenie stało się jeszcze cięższem, kiedy w Palestynie krzewić się zaczęło stronnictwo nieprzejednanych, dla których wszelkie zetknięcie z rządem rzymskim, dotknięcie pieniądza z wyobrażeniem cesarskiem, uchodziło za zmazanie, którzy zaczęli głosić, że Pan zastępów jest jedynym władcą Izraela, i z pośród siebie te zastępy dla Pana przygotować postanowili. Niemało do rozdrażnienia przyczyniły się rządy szalonego Kaliguli. Kaligula, uwierzywszy w swe bóstwo, chciał w synagogach żydowskich umieścić swe posągi i wśród antiżydowskiej ruchawki w Aleksandrji przeprowadzono w wielu świątyniach wolę cesarską. Co więcej, w r. 39 powziął Kaligula plan, aby w świątyni Jerozolimskiej statua jego stanęła jako przedmiot kultu. Byłby to zamach stanowczy i okropny na żydowską wiarę, która posągów i obrazów nie znosi, byłoby zbezczeszczeniem najświętszego miejsca, poświęconego Jehowie. Kiedy w drugim wieku przed Chr. król syryjski a namiętny czciciel i krzewiciel greckiej cywilizacji, Antiochus Epiphanes, wprowadził posąg Jowisza Olimpijskiego do głównej świątyni żydostwa, z tysiąca piersi wydobył się krzyk oburzenia na tę *abominatio desolationis*, jak napiętnowano krok ten królewski, a śmierć i walka powietrzna Machabeuszów była odpowiedzią zranionego narodu. Teraz coś podobnego groziło; rzecz nie przyszła wprawdzie do skutku, bo Kaligula właśnie w tej chwili padł pod sztyletem skrytobójczym Cherei, ale gorycz jątrząca została w narodzie, nad którym taka groźba przez chwilę zaciężyła.

Odtąd, mimo chwilowych uciszeń, niepokój ten wzrastał, podkopując panujące stosunki i prowadząc zwolna do wybuchu. Stronnictwo faryzejskie, stronnictwo umiarkowanych, nie zdołało tego ruchu powstrzymać. Bandy coraz nowe sykarjów czy sztyletników formowały się, aby wywalczyć oczekiwane królestwo niebieskie na ziemi, a usuwać morderstwem znienawidzone osobistości, które temu stawiały przeszkody. W roku 66 przyszło wreszcie do rzezi między żydowską i nieżydowską ludnością w Cezarei i Jerozolimie. Było to hasłem wojny, która odtąd do roku 71 miała się ciągnąć. Wojna ta miała straszny przebieg i charakter; bo naprzeciwko legjonów rzymskich stały rozmaite stronnictwa Żydów, które w chwilach wolnych od nacisku rzymskiego oręża w straszny sposób między sobą się mordowały i wojnę narodu rozogniały ciągle łunami i grozą domowej rozterki. Ze zdobyciem i zburzeniem Jerozolimy przez Tytusa przeleciał Anioł śmierci nad tem miejscem krwi, ruin i pożogi, a zarazem nad dotychczasowem politycznem i duchownem znaczeniem władz jerozolimskich.

Dla dotychczasowej tolerancji, cierpiącej władzę duchowną centralną, która Żydów całego świata skupiała i podniecała, miejsca już nie było. Stanowisko wielkiego kapłana i Sanhedrin jerozolimski usunięto i zniesiono, płacony dotąd przez Żydów całego świata podatek na rzecz świątyni w Jerozolimie zastąpiono daniną na rzecz Jowisza Kapitolińskiego i cesarza. Spalona świątynia nie powstała z swych gruzów, a w ruinach miasta dziesiąta legja, która odtąd w Judei załogą stać miała, rozłożyła swoje obozowisko. W Rzymie święcono wspaniały triumf nad zwyciężonem żydostwem; świecznik siedmioramienny niesiono w tym pochodzie i do dziś dnia podziwiać można jego wyobrażenie w rzeźbie na sławnym łuku Tytusa; ale w szczególe, że cesarz Wespazjan według zwyczaju cesarstwa wskutek zwycięstwa swego wschodniego nie przybrał tytułu *Judaicus*, przebija jednak głęboka wzgarda, którą żywiono na Zachodzie dla żydowskiego narodu.

Zresztą pokazało się niedługo, że triumfy Wespazjana i Tytusa nie usunęły stanowczo zarzewia niepokojów. W przedostatnim roku panowania Trajana, kiedy cesarz zaprzątnięty partyjską wojną stał nad Eufratem i tam koncentrował wojska rzymskie, przyszło do buntów żydowskich jakby na dane hasło po różnych punktach diaspory, w Aleksandrji, w Kyrene, na wyspie Cypros, do rzezi między Grekami i Żydami. Marzenia o stworzeniu i wskrzeszeniu państwa odrębnego żydowskiego były hasłem walki, która się przeciągnęła na rok następny 117 i zajęła jeszcze nowego cesarza Hadrjana w pierwszym roku jego panowania. Bunt ten stwierdził, że w ludnościach żydowskich rozsianych po świecie te same nurtowały kierunki i prądy, które kiedyś w Palestynie krwawą wywołały walkę, a niebawem się przekonano, że pod gruzami Jerozolimy tlały jeszcze niewygasłe płomienie wielkiej Tytusowej wojny. Cesarz Hadrjan był w Jerozolimie w r. 130. Odbył on tam przegląd żołnierzy dziesiątej legji, a widząc jej obóz wśród ruin starego miasta, postanowił na ruinach zbudować nowe, prawami rzymskiej kolonji wyposażone. Weterani legji mieli dostarczyć mieszkańców dla nowej osady, którą obok obozu z woli cesarza budować zaczęto. Nazwa jej *Aelia Capitolina* miała usunąć przywiązane do gruzów miano Jeruzalem, świątynia Jowisza zapewnić tu kultowi pogańskiemu stałe ognisko. Myśl ta wypływała z głowy i polityki Hadrjana, który nad Dunajem i Renem, prócz tego w Afryce, z obozów rzymskich miastom powstawać kazał; tutaj prócz tego ostrze wymierzone było przeciw marzeniom, jakie się ruin czepiały i z ruin czerpały energję i podnietę do zemsty. Edykt Hadrjana, zakazujący obrzezania, choć z innych pobudek poczęty, wydawał się Żydom także aktem, wymierzonym świadomie przeciw ich obrządkom i religji. Podczas budowy miasta, przy której każde uderzenie młota odbijało się echem tysiącznem po rozdrażnionych gminach żydowskich, wybuchł bunt w r. 132. Ogniskiem jego stała się Palestyna, ale posiłki

w ludziach, broni i pieniądzach napływały od całego żydostwa, po świecie rozsianego. Pokazało się więc, że ze zniesieniem widomego symbolu spójni, świątyni Jerozolimskiej, spójnia moralna i jej poczucie nie zamarły, ani nie zniknęły, że Jehowa znajdował jeszcze zastępy po wszystkich punktach Wschodu, skąd mu podatku w pieniądzach posyłać już nie było wolno, ale w razie danym wierni byli gotowi nieść swą chudobę, a nawet życie w ofiarze. W Palestynie zaroiło się niebawem od nożowników i opryszków. Bunt ten cały był szaleństwem; w państwie, mającem 30 legij do dyspozycji, nie zagrożonem od zewnętrznego wroga, jedna prowincja ruchawką swoją, chciała stawić czoło potężnemu kolosowi. Widocznie inne potęgi w grę tu wchodziły, na inne potęgi rachowano, które zaślepiając oczy i rozum, rozogniły tem bardziej uczucia. Na czele ruchu stanął kapłan Rabbi Akiba a jako wódz, Barkocheba, syn gwiazdy, jak go ludowe przekonanie o jego misji nazwało. Wojska rzymskie, tyle przez Hadrjana naćwiczone, miały się zetrzeć z bandami powstańców, a jeżeli nie nieudolnie, to przynajmniej bardzo powoli spełniły swe zadania. Sam cesarz może się pojawił na polu walki; ostatecznie prowadził ją najtęższy jenerał Hadrjanowskiej epoki, Sextus Julius Severus, na czele przynajmniej czterech legjonów. Przez trzy prawie lata wydzierano piędź po piędzi z ręki powstańców, wypierano ich z szańców i miejsc obronnych, w których się kryli. Forteca Bether broniła się najdłużej i uległa najpóźniej, w r. 135 zapewne, przewadze rzymskich legjonów. Cała kraina była polem walki, toteż całą nawiedziła pożoga i spustoszenie. Cassius Dio opowiada, że 580,000 ludzi poległo w tej wojnie od miecza; wyludnione miasta przebiegały według jego świadectwa hieny i szakale. Jehowa jeszcze raz pokazał się światu z całym swoim gniewem, jakim ściga swych wrogów w starym zakonie i wśród łuny miast i krwi potoków złożył broń swoją, aby odtąd żyć pozornie spokojnie wśród nowych bogów i ludzi, żyć jednak

pamięcią krzywdy doznanej, z żalem do ludzkości i pragnieniem ostatecznego pomszczenia swego poniżenia. Żelazo skruszono mu w ręku, złoto i srebro miało się stać wkrótce niebezpieczną potęgą w dłoni jego wyznawców. A nad zwycięstwa orężne pokazała się prawie silniejszą moralna potęga klęski, w duszach i pamięci wiernie i żywo przechowywanej.

Na gruzach Jerozolimy prowadziła odtąd Aelia Capitolina Hadrjana marną egzystencję. Nazwisko prowincji uległo zmianie: zamiast Judei nosiła ona odtąd miano Syria Palaestina. Żydom pod żadnym warunkiem nie wolno było przekraczać murów nowej Hadrjanowskiej osady; później dopiero pozwolono im raz do roku za opłatą siadać i płakać na miejscu, gdzie stała dawna świątynia Salomona.

W działaniu Hadrjana przeciw Żydom jest coś twardego, odrzynającego stanowczo od ugodnej polityki tego cesarza. Prócz żądzy pomszczenia opornego ludu, wchodziły tu w grę odraza świata ówczesnego przeciw tej rasie, gniew pogaństwa na tego jednego Boga, który z innymi zrównanym być nie chciał i w swej odrębnej samotności czuł się wyższym od wszystkich o niebo. W całem wielkiem imperjum, w którem Wschód zhellenizowany korzył się przed majestatem cesarskiego bóstwa, jedynie w Palestynie burzono się przeciw temu kultowi z religijnych, ale i z narodowych powodów. Rozrastała się tymczasem już gmina, której wyłącznie religijne pobudki to samo wzbraniały; Tytus i Hadrjan równając Jerozolimę z ziemią, oddali tej nowej wierze walne usługi[1]; chrześcijaństwo wyzwolone odtąd od narodowych i lokalnych związków i pętów, rozwinęło na dobre swe skrzydła i objęło niemi świat cały. Nie zupełnie więc ślepy przypadek zamienił część sarkofagu Hadrjana na chrzcielnicę nowego kościoła w katedrze św. Piotra. Historja miewa swoją retorykę w an-

[1] Neumann: *Der röm. Staat und die allgem. Kirche* (1890) str. 4.

tytezie faktów, potężniejszą od wszelkich sztuczek i błyskotliwości najzręczniejszych retorów.

Prócz krótkotrwałych zawieruch po prowincjach w początkach panowania i równie krótkiej wojny z podkaukazkim szczepem Alanów w końcu rządów, była to jedyna poważna potrzeba wojenna za czasów Hadrjana. Udział jego osobisty nie jest zupełnie pewnym; to pewnem, że w początkach r. 134, więc przed zakończeniem walki, znajdował się w Rzymie i odtąd Italji nie miał już opuścić.

5.

Bogaty w doświadczenia i wiadomości, powrócił cesarz do stolicy państwa. Po wszystkich dziwach i cudach Wschodu, Rzym, który już przedtem nazwano *rerum pulcherrima Roma*, musiał mu w swej godności i majestacie przedstawiać się jako godna pana świata stolica. Bo chociaż Hadrjan przeważnie po prowincjach bawił, miał on dla tego miasta jakieś uczucie uszanowania, objawiające się w niejednym rysie. Świeżo do ozdoby miasta przybyły ogromne budowle, amfiteatr Flawjuszów i pełne przepychu forum Trajana, które Hadrjan wykończył. W r. 121 obchodził cesarz 21 kwietnia przez siebie nowo urządzoną uroczystość urodzin miasta, *natalis urbis;* położono wtedy zapewne fundamenta pod wielką świątynię Wenery i Romy, w której genjusz opiekuńczy miasta i matka domu Cezarów cześć miała odbierać. Nazwa *Roma aeterna* pojawia się na napisach rzymskich tego cesarza, a to pojęcie było jakby protestem przeciw znikomości rzeczy ludzkich, której Hadrjan niedawno na tylu miejscach, wśród ruin Troi i Teb egipskich mógł się przypatrzeć.

Ostatnie tedy lata swego panowania w Rzymie i okolicach cesarz przepędził. Zajętym on tu jest przedewszystkiem dwiema budowlami, z których jedna doczesny, druga wieczny

spoczynek ma mu zapewnić. Zaczynamy od drugiej. Augustus, założyciel rzymskiego cesarstwa, już w roku 28 przed Chr., mając lat dopiero 35, przygotował wielki grób dla siebie; z dziwną śmiałością myśli, która wróżyła długie istnienie swemu dziełu, a sobie cały szereg następców, obliczył on rozmiary tego grobu na wielką ilość urn i sarkofagów. Zbudowanym on został na lewym brzegu Tybru. Na wielkiej substrukcji, przeznaczonej na groby, wznosił się w terasach wysoki kopiec, ocieniony cyprysami i ozdobiony na szczycie posągiem wielkiego cesarza. Dzisiaj z tej całej chwały prawie nic nie zostało; w samej substrukcji grobowej gnieździł się przez dłuższy czas teatr podrzędnego znaczenia. Pierwszym, który tu pochowanym został, był młodzieniec pełen nadziei, ten, któremu August oddał swą córkę jedyną, a przeznaczał następstwo, opłakany przez Wergiljusza Marcellus. Z cesarzów Nerwa ostatni znalazł tu pomieszczenie, a miejsca już więcej nie było. Zdawałoby się, że nowa epoka cesarstwa i w tej potrzebie nowego grobu się objawiła. Trajan spoczął na swojem forum w podstawie kolumny, która głosi jego triumfy i chwałę. Hadrjan po prawym brzegu Tybru dla siebie i swych następców nowy grób postanowił zbudować.

Napatrzył się był niedawno Hadrjan w Egipcie, jaką chwałą tam otaczano śmierć i pamięć umarłych władców kraju. Zamierzył więc zbudować coś, coby się wspaniałością mogło mierzyć z piramidami egipskiemi, z których wzięto, dla wnętrza przynajmniej, wzory urządzenia. Wielki i wspaniały most, *pons Aelius*, prowadził od miasta na prawy brzeg Tybru. Tutaj, na ogromnej substrukcji kwadratowej, której każda strona wynosiła 104 metry, wznosiła się wielka rotunda, pokryta bogato marmurami, ozdobiona na attyce mnóstwem posągów. Nad tą rotundą piętrzyła się zapewne druga, mniejsza, uwieńczona, zdaje się, na szczycie kolosalnym posągiem cesarza. Dzisiaj budowla ta, pozbawiona pierwotnej swej ozdobności, wprawia jeszcze w podziw swemi rozmiarami i po-

wagą. Cesarz Hadrjan spoczął w samym środku budowy, ostatnim, którego tu pochowano, był syn Septimiusa Sewera, Caracalla [1]. Nad grobem najbardziej pokojowego z cesarzów świeciła w następnych wiekach nieszczęsna gwiazda, a fale wojny i zamieszek domowych przez cały szereg lat miały się roztrącać o tę budowlę i zakłócać spokój grobowy. Już Grzegorz Wielki poświęcił gmach ten czci archanioła Michała, przywódcy hufców niebieskich, a od X wieku począwszy różnym panom z kolei służył on za fortecę i zamek obronny. I kiedy dzisiaj mniejsze pomniki tego samego kształtu, jak grobowiec Cecylji Metelli na Via Appia lub rodziny Plaucjuszów na drodze do Tivoli, owiane są poezją pokoju i uciszenia śmierci, wielkie mauzoleum Hadrjana nosi na sobie jakieś piętno krwawej grozy, którą jej nadały burzliwe dzieje średnich wieków i odrodzenia.

Tymczasem wielka willa w Tivoli miała życiu Hadrjana zapewnić wieczór, odpowiadający jego życzeniom. Budował ją cesarz oddawna, ze szczególną jednak energją po ostatecznym powrocie z podróży był nią zajęty i dużo w tem miejscu przebywał. Całe to przedsięwzięcie malowało najdosadniej dziwaczne usposobienie i dziwaczną naturę Hadrjana. Jeżeli pod zachód życia wielu szuka spoczynku i ukojenia w uciszeniu przyrody, która o ludziach i zgiełku miejskim zapomnieć pozwala, to schronienie Hadrjana miało mu ciągle przypominać świat i miasta, przyroda opowiadać o ludziach. Jest to wyskok dziwacznego smaku, aby z domu swego robić repertorjum historji i sztuki, z mieszkania, które powinno być wyrazem indywidualności, robić kopję, życie wreszcie całe oprawiać w ramy dawnych wzorów i wieków, które albo dusić muszą i więzić samoistne duszy popędy, albo w swem niedostrojeniu do rzeczywistości fałszować i krzywić warunki

---

[1] Por. Hirschfeld: *Sitzungsberichte der Berl. Akademie der Wiss.* 1886, str. 1149.

i prawa danej osobistości i chwili. Ale u Hadrjana zmysł historyczny przeważał nad prawami obecnych i danych warunków, nad prawami indywidualności, wolał on wspomnienia od marzeń i wrażeń. Kiedy znużony i życiem i podróżami zawitał do tego zakątka gór Sabińskich, który wśród szmeru strumieni i cudowności położenia mówi językiem pełnym błogiego marzenia, uroczą poezją ciszy dostraja dusze znękane zgiełkiem sąsiedniej stolicy, chciał on język ten i tę poezję przygłuszyć pamiątkami, które nie przynosiły pokoju, lecz myśl miały rozstrzeliwać po całym obszarze wielkiego imperjum. Ciało było zmęczone, a więc *animula vagula* miała teraz podróżować po szerokich państwa przestrzeniach; znalazły się więc w tej willi redukcje ateńskich budowli, minjatura aleksandryjskiego Kanopus, nawet natura miała kopjować swoje własne piękności, jak sławną dolinę Tempe w Tessalji. Były tu dalej świątynie egipskie, a zredukowany obelisk głosił sławę syna piękności, Antinousa, zatopionego w nurtach Nilu. Z dalekich światów przechodziło się wreszcie do zaświatów, na miejsce, które wyobrażało dolinę Styksu i cieniste mieszkania Hadesu. Niezliczone masy posągów wszystkich ludów i wieków ożywiały budynki i przyrodę, wszystkie natchnienia minionych wieków zabierały głos i kłóciły się z sobą. Przeszłość i przyszłość tyle mówiła, że dla mowy teraźniejszości nie było ani czasu ani miejsca. A cesarz snuł się między temi dziełami, »wspominając na dni dawne« ludzkości i swoje, cieszył się, że miał na zawołanie arcydzieła myśli i natchnień całego świata, że te wszystkie twory składały codzienne hołdy najwyższemu władcy świata. Jednego arcydzieła w tem brakło, indywidualności pełnej i strojnej, która bywa najpiękniejszym owocem najtrudniejszej podróży... podróży przez życie.

Bo te ostatnie lata Hadrjana upływają w rozstroju i niepokojach. Składały się na to cierpienia fizyczne, o które cesarza przyprawiła przesadna ruchliwość, składały się także

troski duszy o przyszłość własną i państwa, o której wobec groźnych zdrowia objawów myśleć przychodziło. Cesarz musiał się czuć bardzo osamotnionym; życia rodzinnego nie zaznał, a żona jego Sabina, której naprawdę nigdy nie kochał, zmarła około roku 136 [1]. Ciepła przyjaźni nie szukał nigdy, ani nie znalazł; jeżeli nie miał w dniach radości prawdziwie bliskich i zaufanych towarzyszów, to teraz, kiedy się życie mroczyło, brak ten w pełnej mierze musiał stać się dotkliwym. Słowa psalmisty: *Et sustinui qui simul contristaretur* (68) — i czekałem, ktoby się społem smucił — słowa najpiękniej malujące istotę przyjaźni, a pełne głębokiego uczucia, zaciężyły na jego osobie.

Trzeba było w braku naturalnego potomstwa upatrywać sobie następcę i polecić go narodowi aktem, który był zawsze wyznaniem, że władca na tronie uczuł słabnięcie energji lub zdrowia, że cień śmierci padł na człowieka, którego świat czcił jak bóstwo nieśmiertelne. W otoczeniu też każdego cesarza, w takiej chwili ujawniały się aspiracje i ambicje, które go drażnić lub razić musiały, a w wyższym stopniu obrażały skłonnego do zazdrości Hadrjana. W ostatnich też latach rośnie w nim nieufność do otoczenia i prowadzi go na bezdroża, zazdrość jego sięga poza grób własny i każe mu nienawidzić i prześladować tych, których następstwo kiedykolwiek w myśli lub słowie przypuścił. Ofiarą tego uczucia padają niebawem szwagier jego, Servianus, i wnuk tegoż, Fuscus.

W r. 136 nastąpiła pierwsza próba zapewnienia sobie następcy. Wybór Hadrjana, wbrew oczekiwaniu wszystkich i ku ogólnemu niezadowoleniu, padł na Commodusa Verusa, którego cesarz teraz adoptował. Co go skłoniło do tego kroku, zupełnie było niejasnem. Bo ów Verus odznaczył się w pierw-

---

[1] Wątpliwą jest wiadomość w t. zw. *Epitome* Aureliusa Victora c. XIV, jakoby cesarzowa, znękana szorstkością Hadrjana, odebrała sobie życie.

szym rzędzie nadzwyczaj hulaszczem życiem, błyskotliwą inteligencją po salonach, które czarował rozmową swą łatwą i łatwemi wierszami, głęboką znajomością kulinarnych tajemnic, pomnożonych pasztetem własnego wynalazku, wyrafinowaną miękkością w życiu i używaniu. Znajdowano go spoczywającego na łożu sztucznie wysłanem i sztuczną siatką osłoniętem, na którem wśród woni i przepychu wertował Owidjuszowskie *Amory,* księgę, którą zgłębił a pewnie i przeżył we wszystkich szczegółach. Biograf Hadrjana, rzymski, opowiada, że cesarza oczarowały piękne kształty jego ciała. Czciciel Antinousa według tej tradycji składałby więc jeszcze tym aktem hołdy piękności, która dostała się już z jego poręki na ołtarze, a teraz na tron miała wstąpić. Jakiekolwiek były pobudki cesarza, wybór ten był w każdym razie aktem dziwactwa, a wywołał wielkie rozjątrzenie.

Wśród tych stosunków cesarz Hadrjan, wietrząc wokoło siebie spiski i sprzysiężenia, splamił się kilkoma aktami okrucieństwa. Historycy mówią nawet o większej liczbie ofiar. Najznakomitszym człowiekiem, przeciw któremu zwrócił się gniew cesarza, był szwagier jego, Servianus, starzec już dziewięćdziesięcioletni. Doszły o nim wieści do Hadrjana, że objawia nieraz dumne swoje ambicje, że posiada tron w swojem domostwie, że ugania się za popularnością, a wyrok śmierci ze strony Hadrjana był odpowiedzią na te donosy. Zemsta i gniew pochłonęły także inne ofiary; wokoło cesarza robiło się bardziej pusto i samotnie, niż kiedykolwiek.

Zrządzenie jednak losu, względnie szczęśliwe, oszczędziło Rzymowi następstwa Verusa, a z dziejów Hadrjana usunęło plamę, że tak błędnym wyborem rządy swe zakończył. Zużyty Verus umarł krótko po swojem wyniesieniu, 1 stycznia 138 r. Cesarzowi otwarła się droga, aby ponownym aktem adopcji naprawić błędy pierwszej; przybrał on wtedy 25 lutego 138 r. za syna i wyznaczył jako następcę po sobie szlachetnego Antoninusa Piusa; nowemu wybrańcowi posta-

wiono przytem warunek, aby natychmiast adoptował dwóch młodych ludzi, z których jednym był sławny następnie Marek Aureli. Z poręki więc i zalecenia Hadrjana otrzymał Rzym dwóch wielkich cesarzy, którzy po nim panowali nad światem, a zarządzenie to przedśmiertne zaliczyć niewątpliwie wypada do największych i najbardziej błogich czynów jego panowania.

Tymczasem zgon Hadrjana zapowiadał się przez coraz większy upadek sił i zdrowia, ostatnie chwile były strasznie ciężkie. Z krwiotokami uchodziło zeń życie w jego willi Tyburtyńskiej, wodna puchlina przyplątała się do dotychczasowej słabości. Opowiadano sobie, że stary Servianus, któremu cesarz zabić się kazał, w ostatniej chwili życia rzucił na Hadrjana straszne przekleństwo, ażeby skonać nie zdołał. Choroba cesarza była istotnie długą i okropną męczarnią. Znękany Hadrjan miotał się na losy i sarkał na ludzi, złorzeczył lekarzom, którzy mu ulgi nie przynosili, pisał nawet, jak późniejsze źródło donosi, pamflet przeciw medycynie; w liście, o którym wspomina Cassius Dio, mówił o wielkiej niedoli człowieka, który chciałby umrzeć, a skończyć nie może. Upraszał więc ludzi z otoczenia, aby mu śmierć zadali, a przywoławszy wreszcie jednego z niewolników, nakreślił na ciele miejsce, w które tenże miał ugodzić. Ale w ostatniej chwili zawahał się i ten niewolnik przed wykonaniem zamachu. Cesarz porywał się wtedy na samobójstwo, aż wkońcu, wśród niepokojów śmiertelnych, udał się do słynnych Baiae w Neapolitańskiej zatoce, szukając tu ulgi i złagodzenia swych cierpień. W obecności szlachetnego Antoninusa zakończył on tutaj życie 10 lipca 138 r.

Śmierć ta jest smutną i nawet pełną grozy. Nero, umierający wśród strachów przedzgonnych, myśli jeszcze o stra-

cie, jaką świat poniesie przez śmierć takiego artysty, i woła: *Qualis artifex pereo!* Teraz umierał także wielki *artifex*, ale myśl jego była tak zgnębioną fizycznem cierpieniem, a śmierć tak ciężką, że na scenerję i przybory dramatyczne nie starczyło natchnienia.

Z Hadrjanem błysło nad Rzymem pogodne słońce jesieni i roztoczyło swą chwałę przed mrokami zimy, które miały niebawem zawisnąć nad starożytnym światem. I w charakterze samego cesarza jest coś jesieni, dużo rysów dojrzenia i przejrzałości, a niema żadnej krasy lub woni świeżego kwiatu, ani w myśli, ani w uczuciu. Jest to indywidualność z wielu względów szanowna, lecz mało sympatyczna, jak była niesympatyczną współczesnym Rzymianom. Rysem jej wybitnym jest pewna oschłość; życie było pełne i ruchliwe, ale nie dramatyczne, bo dramaty idą i płyną z serca, a w tym człowieku cerebralnym serce było tylko organem, spełniającym funkcje fizjologiczne, lecz nie odebrało chrztu uszlachetniającego wielkiej miłości albo wielkiej boleści. Kiedy on schodził do bladych i nagich śmierci przybytków, ziemia jaśniała w całej krasie miast kwitnących i zdobnych, strzelała w niebo tysiącem budowli, przez niego wzniesionych. Odnowicielem świata zwali go też współcześni, a na monetach z jego epoki ryto napis pochlebczy: *Restitutor orbis terrarum.* Gdyby to się odnosiło do jego zasług około prawa rzymskiego, które ugruntował i nową *ludzkości* uszlachetnił ideą, albo do jego kosmopolityzmu, który torował drogi nowej, wszechświatowej religji, nazwa ta miałaby poniekąd pewną słuszność. Ale odnosi się ona w pierwszym rzędzie do jego budowli, do hasła: *wzbogacajcie się*, rzuconego naonczas między świat i ludzi; a my wiemy, że takie hasła mogą sprowadzić bankructwo uczuć i myśli. Czas też, który jak Hades pożera wszystko co piękne, zatarł wkrótce większą część krasy, którą się świat naonczas szczycił, i nie oszczędził dzieł, w których cesarz szczególnie sobie upodobał. Błyszcząca jego willa w Tivoli jest dziś

wielkiem rumowiskiem złomów i wywrotów, nad którem cudna i wieczna natura śmieje się po dawnemu, złocąc snami wspomnienia to, co było snem jesiennej nocy ludzkości. W stolicy samej przypomina Hadrjana wspaniałe jego mauzoleum, pełne groźnego majestatu, i wielka kopuła Panteonu. Przez otwór jej szczytowy dawne słońce zlewa do wnętrza swe świetlane strugi; wygląda on jak wielkie oko rozwarte ku niebu, z którego niebawem nowy Bóg do świątyni pogańskiej miał wstąpić, prawdziwy *orbis terrarum restitutor*.

V

JULJAN APOSTATA

Juljan, zwany Apostatą, dzielił za życia ludzkość, po śmierci piszących i badaczy na dwa przeciwne obozy, które zwalczały się z największą namiętnością, popierały i sławiły jego zamiary lub opierały się im stanowczo, staczały z sobą zapasy o jego sławę lub niesławę. Z jednej strony stał obóz chrześcijański, upatrywający w nim wroga, który bieg i rozwój prawdy i historji gwałtownie chciał cofnąć i powstrzymać —, z drugiej strony poganie i nowo-poganie, którzy albo umiłowali piękność bogów Grecji, lub lubowali się w tęsknocie za bogami Hellady. I w tym drugim obozie znaleźli się poeci, starożytni i nowożytni, marzący i majaczący o utraconym raju ludzkości, w którym panowało piękno nad światem czy wyobraźnią, aż wreszcie prysło pod gromem Jehowy i chrześcijańskiej nauki.

Uwaga: Do poznania prądów religijnych epoki przydatnem jest dzieło Cumont'a: *Textes et monuments figurés relatifs aux mystères de Mithra* (Bruxelles 1896 i 1899), również inne prace tego uczonego; gruntownem jest także dzieło Geffcken'a: *Der Ausgang des griech.-römischen Heidentums*, Heidelberg 1920. Z licznych monografij o Apostacie wspomnimy dzieło francuskie Allard'a z *Julien l'Apostat*, włoskie G. Negri'ego: *L'imperatore Giuliano*, (Milano 1901), niemieckie Geffckena (Lipsk 1914).

Paweł Heyse powiedział w jednej ze swoich opowieści, że niema młodego poety, któryby nie marzył przez chwilę o pieśni na cześć Juljana. Snuje się ta myśl i snuła po wielu głowach i sercach; w Niemczech zaprzątała ona długo Schillera, a znalazła ostatecznie tylko wyraz w krótkim wierszu, przesiąkniętym tęsknotą za bogami Grecji; odpadki tych marzeń dostały się prócz tego do wielkiej trylogji *Wallensteina*. Zato poeta skandynawski, Ibsen, wyśpiewał o Apostacie dramat w dwóch częściach, pełen nauki, cisnących się pod pióro antytez i siły. U nas błąkał się ten przedmiot po głowie Sienkiewicza, a młodzieńczy Asnyk napisał krótki wiersz o dawnym rzymskim cesarzu.

My z tego życiowego dramatu bogów i ludzi innego dramatu wysnuć nie myślimy, lecz przypatrzeć się światu i sprawie, za którą ten sługa bogów greckich walczył, i samej postaci ich obrońcy. Wśród sprzecznych zdań namiętnych wrogów i wielbicieli, trzeba się nam będzie przedrzeć do jądra prawdy i rdzenia duszy bohatera i zbadać, czy on walczył za życie, czy też za trupa, jak ci bohaterowie Homera, którzy pod Troją połowę prawie czasu poświęcają walce o ciała poległych towarzyszów.

1.

Zanim jednak zbliżymy się do osoby rzymskiego cesarza, aby wysłuchać tętna jego serca i myśli, należy się nam zapoznać z epoką i tłem, na którem jego postać się rysuje, bo tylko tak ocenić możemy, co było w nim osobistem, znamiennem, czy on był przesłańcem przyszłości, czy tylko dzieckiem swego wieku i otoczenia, czy wreszcie widmem przeszłości.

Cesarstwo rzymskie, rozciągające się od Szkocji do Sahary, od Hiszpanji i Gibraltaru do Dunaju na północ i do

Eufratu na wschodzie, największy twór państwowy historji i największy konglomerat ziem i narodów, jednemu ulegających berłu, wykazywało w IV wieku już pełno rys i niedostatków, świadczących, że organizm zaczyna się psować, ten organizm, który przedewszystkiem pod brzemieniem własnego ogromu giął się i trzeszczał. Są w historji wieki szczęśliwe i wieki chude, pełne grozy i mizerji. Wiek II po Chrystusie był stuleciem szczęśliwem cesarstwa. Pod berłem takich władców, jak Trajan, Hadrjan, Antoninus Pius i Marek Aureli, którzy albo wskrzeszali coś z starorzymskiego hartu, albo, przejęci pełnią cywilizacji rzymsko-helleńskiej, rozumną dłonią kierowali nawą wielkiego imperjum, wszystko zdawało się zakwitać, wzrastał dobrobyt ogólny niepomiernie; wszystko, co posiadło w świecie cywilizację, oddychało swobodnie pod rządem jednego władcy, który, jak Zeus w nadziemiach, zdawał się panować samowładnie nad tem imperjum, obejmującem cały Zachód rzymski lub zromanizowany i cały Wschód helleński lub przesiąknięty grecką kulturą. Ale za Marka Aureljusza, który musiał w drugiej połowie tego stulecia długie walki prowadzić nad Dunajem, już się przekonano, że granice tego państwa nie są jeszcze granicami świata, że poza niemi żyje, drzemie i budzi się świat inny, świat barbarzyńców, który kiedyś może przełamać obręcze imperjum rzymskiego, a z czasem może i zmiażdżyć błogość i błogosławieństwo tej cywilizacji, w której ludność cesarstwa płużyła sobie i rozkoszowała. Trzeci wiek już cały zapełniony zgrzytem tych obręczy, które pękają i łamią się na wsze strony od ludów napierających na cesarstwo, zarówno od strony Renu, jak od strony Dunaju i Eufratu. Czyż jeden władca miał sprostać tym wszystkim niebezpieczeństwom i zadaniom i z jednego miasta, rozsiadłego na siedmiu pagórkach, potężna i wyciągnięta ręka mogła zażegnywać odległe burze, gromadzące się na krańcach cesarstwa? Centralizacja dotychczasowa w III wieku zaczyna

skrzypieć i niedomagać, a organizm, zbudowany misterną ręką artysty politycznego, jakim był August, niedopisywać wśród nowych warunków i położenia. Ciężkość polityczna i potęga rzymska zeszła wtedy z siedmiu pagórków do obozów rzymskich, rozłożonych nad Renem, Dunajem, Eufratem; one to poznały, że są rzeczywistą siłą, że w ich ręku są losy państwa, a co więcej, losy rządców tego świata; odsłoniła się wtedy w całej pełni tajemnica cesarstwa *arcanum imperii*, a wojskom zarazem świadomość, że mogą walić i tworzyć imperatorów. Wiek III jest stargany temi zamieszkami uzurpatorów, wynoszonych przez wojska na tron i trony cesarskie. Co chwilę dowiadywał się Rzym, że armja zachodnia, północna czy wschodnia obwołała jakiegoś jenerała imperatorem, wobec niego zaś stawał niebawem inny uzurpator, bojący się o życie własne lub majątek, i wśród tego rozpasania i orgji uzurpatorów, którzy jeden po drugim przechodzili jak krwawe cienie, aby po krótkim czasie zatonąć w kałuży mordu lub morzu zapomnienia, uchodziło to straszne stulecie rzymskich dziejów, zapowiadające upadek największej organizacji politycznej starożytnego świata. I byłoby może już wtedy doszło do ostatecznej katastrofy, gdyby w końcu wieku nie pojawił się człowiek, który silną wolą stawił na pewien czas zapory dążeniom, staczającym państwo do upadku i trawiącym jego życie. Po szeregu efemerycznych władców obwołało wojsko wschodnie imperatorem jenerała, który z niższych warstw wyszedł i był synem dalmatyńskiego niewolnika lub wyzwoleńca, a odznaczywszy się w wojsku, teraz pod nazwiskiem Diocletianus w r. 284 wstąpił na tron rzymskich cezarów.

Dotychczas państwo wśród ciągłych uzurpacyj i wskutek swej nadmiernej wielkości, chyliło się do zupełnej anarchji. Aby temu kres położyć, organizuje Dioklecjan dotychczasowe faktyczne wielorządztwo, z wyjątku i rewolucji robi normę, dobiera sobie współrządcę, drugiego *Augustus* i dwóch na-

stępców tronu, czyli *Caesares*, i pomiędzy nich rozdziela cztery części wielkiego państwa. Zarazem sztucznie przez dobór osobisty utworzona dynastja ma państwo nadal ochronić przed samowolą uzurpatorów i wojska. Jest to zwycięstwo jednej potężnej osobistości nad wybrykami, a zarazem zwycięstwo podnoszącego się Wschodu nad Zachodem, — bo Dioklecjan ubiera nowego monarchę rzymskiego w insygnja, tytuły i ceremonjał wschodnich monarchów, jego władzę wywyższa i zbliża do absolutyzmu. A te dążenia do absolutyzmu prowadzą go z konieczności do walki z żywiołem, który z tą monarchją z łaski bogów pogodzić się nie mógł, z chrześcijaństwem. Nazwisko Dioklecjana związało się też z ostatnim gwałtownym zamachem siły rządowej na nową religję i prześladowanie bezwzględne chrześcijan zaciężyło odtąd krwawem znamieniem na imieniu tego władcy, który zresztą po cieniach swych poprzedników zaznaczył się siłą swej woli, jako wielki wskrzesiciel rządu i porządku w państwie.

To, co budował i na czem budował, skruszyły jednak dzieje lat następnych. Nie według ładu i porządku, przewidzianego i przepisanego przez Dioklecjana, lecz znów na drodze uzurpacji zostaje syn Konstancjusza Chlorusa w r. 306 obwołany Augustem, czyli cesarzem, przez legjony. Sztuczny porządek, określony przez Dioklecjana, ugina się pod wpływem woli i samowoli osobnika, a sztuczne dziedzictwo ustępuje przed dziedzictwem rodzinnem. Na arenę wstępuje Konstantyn Wielki, który po długich, rozmyślnych lub narzuconych mu walkach i starciach z rywalami i współrządcami, w r. 323 zostaje jedynym władcą rzymskiego imperjum. Osobistość w każdym razie dzielna i pełna energji, a przełomowa i dla dziejów ludzkości dalszych doniosła, jak żadna. Po krwawem prześladowaniu Dioklecjana wydaje on już w r. 313 sławny edykt tolerancji, zapewniający wolność i poszanowanie religji. Zrobił Konstantyn ten krok z głębi przekonania, że chrześcijaństwu ta wolność się należy, i z zupełną

samowiedzą, że przy równości praw nowa wiara starych bogów zwycięży. Przesunął więc wielką zwrotnicę dziejów i wytknął koleje dalszym rozwojom. A z nim wytwarza się dynastja rodowa, która aż do r. 363 panuje nad Rzymem, reprezentowana przez władców trzech. Sam on, w myśl Dioklecjana, dzieli przed śmiercią państwo między trzech synów, jako *Augusti*. Ale po różnych kolejach ustępuje znów ta trójca miejsca jedynowładcy i najzręczniejszy ze synów, Konstancjusz, jest w r. 353 jedynym znów cesarzem. Ci synowie szli w myśl wielkiego ojca i poszli dalej; jeżeli bowiem ojciec, zapewniając chrześcijaństwu równe prawa, chciał, aby czas przechylił szalę zwycięstwa na korzyść nowej wiary, to synowie chcą czasowi pomagać i różnemi edyktami ograniczają kult pogański, zamykają świątynie i znoszą ofiary; następuje bezkrwawy, ale gwałtowny odwet za krwawy ucisk Dioklecjana. Chrześcijańska więc religja, która wyszła od rybaków, zaczęła od zdobyczy wśród maluczkich, aby od dołu coraz bardziej się szerzyć i sięgać coraz wyżej, wstąpiła teraz na tron i stała się religją panujących i rządu i nieomal panującą. Wydało się jednak niebawem, że to zwycięstwo przemijające.

W r. 361, po śmierci bezdzietnego Konstancjusza, zostaje cesarzem ostatni przedstawiciel dynastji Konstantyna Wielkiego, urodzony z jego brata, Juljanus, zwany Apostatą. Młody ten władca w połowie IV wieku zatrzymać chciał dotychczasowy bieg historji, a myślą filozofa, słowem literata i czynem cesarza zażegnać pochód i rozwój zwycięski Chrystusowej wiary. Zanim do skreślenia tego porywu przejdziemy, musimy się na chwilę zwrócić do stanu umysłów i dusz w tej epoce, aby poznać, na czem się oparła i na czemu budowała ta ostatnia walka między pogańskim światem a chrześcijaństwem.

2.

Mówiliśmy już, że punkt ciężkości siły materjalnej przesunął się w tej epoce z centrum państwa, z Rzymu, nad granice, do obozów wojskowych. W świecie duchowym podobne nastąpiły przesunięcia i zmiany. Od czasu, gdy Rzym w końcu Rzeczypospolitej zajął Azję Mniejszą, a za Augusta Egipt, stało się państwo rzymskie w połowie orjentalnem. Należały do niego bowiem ogromne dziedziny, na których cywilizacja grecka wycisnęła swe piętno i znamię, weszły do niego, obok Rzymu wielkie miasta, które były ogniskami hellenistycznej kultury i nauki, jak Antjochja i Aleksandrja. Państwo rzymskie musiało więc wskutek tego stracić dużo ze swego starorzymskiego, rodzimego nastroju, obywatel rzymski uronić wiele ze swego przyrodzonego, właściwego charakteru, a nawet patrjotyzmu; zamiast rzymskiej ojczyzny, powstała teraz druga, szersza, helleńsko-rzymska, pojęcie zamiast ziemi, która jedynie daje silne uczucia, zapały i poświęcenia. Zjawiają się więc ludzie o dwóch językach i dwóch duszach, w których często jednego serca zbrakło, bo one stłumione i zgaszone powiewem mroźnego kosmopolityzmu. Póki jeszcze umysłowość rzymska jest dosyć czerstwą i twórczą, utrzymuje się w tej helleńsko-rzymskiej ojczyźnie jakaśkolwiek równowaga tych dwóch żywiołów. Rzymianin podziwia spryt Greka, ale czuje się wobec niego panem, spogląda na Greczynka, *Graeculus,* z pewnem uczuciem wyższości i lekceważenia, jak spoglądano niegdyś na Wschodzie na sprytnych *abbés* francuskich. Tymczasem w II wieku po Chrystusie postać rzeczy się zmienia. Rzymska literatura przestaje wtedy być rodzimą i twórczą, znać w niej pewne wyczerpanie i znużenie. A wtedy też właśnie i po części wskutek tego, podnosi znów głowę Grecja, ta Grecja, która dotychczas służyła panu i schylała swój kark przed władcami świata. Jakieś wyraźne poczucie wyższości swej i większej dawności swej kultury

dochodzi znów do świadomości Greków; zaczynają się oni uważać za spadkobierców niedoścignionych mistrzów literatury i sztuki staro-attyckiej, za naczynia uświęcone cywilizacji *(paideia)*, której tajemnicę dzierżyli niegdyś i teraz dzierżą. Słowo greckie znów się wyzwala i uskrzydla do światowładnego lotu; budzi się nowa wymowa, zwana sofistyczną, wychwalająca Helladę, jej przeszłość i starożytność, kująca wielkie słowa na drobne czyny teraźniejszości, gotowa na wszelkie usługi nawet wobec Rzymian, którzy upajają się jej pustą chwalbą i jeszcze pustszemi dźwiękami. To słowo greckie, bardzo gadatliwe, ma pewne znamiona starości; ale że pieści uszy i próżność, idzie ono w świat daleki, zdobywa sobie Rzym swoją krasą, ujarzmia sobie dusze, bo ma na sobie zawsze ponętną pleśń wieków, z pod której wydobywać się zdają nowe pędy i pąki.

Hellenizacja świata ówczesnego, widoczna w tylu objawach, choćby w samych cesarzach państwa rzymskiego nazbyt wymownie się znaczy. Cesarz Hadrjan jest z przekonań i uczuć pół-Grekiem, cesarz Marek Aureli ubiera swoje najtajniejsze wyznania, swoją spowiedź publiczną, w szatę grecką, w rodzinie Konstantyna greczyzna tak zapanowała, że ostatni jej spadkobierca Juljan już tylko słabo po łacinie umie, myśli zaś, czuje, pisze wyłącznie po grecku. A Rzym, który za republiki był stolicą, ogniskiem, sercem ożywczem państwa, musi teraz w tem wielojęzycznem imperjum, obejmującem tyle miast i ludzi, stoczyć się ze swej wielkości, schodzić coraz bardziej na to stanowisko wdowy opuszczonej, zawodzącej żałośnie we dnie i nocami, o jakiej śpiewał Dante. Wołała ona na cezarów, którzy o niej zapominali; współrządcy Dioklecjana i on sam nie rezydują już w Rzymie, lecz w Trewirze, Medjolanie, Sirmium nad granicą Serbji i w Nikomedji azjatyckiej. Następca ich, Konstantyn Wielki, stanowczo detronizuje Rzym, faktycznie już opuszczony, i przenosi stolicę państwa do nowo założonego w r. 326 Konstan-

tynopola, bo Rzym nie jest już dosyć centralnem miejscem, a Wschód jest teraz ważniejszą połową państwa, bo wreszcie przełom chrześcijański na tronie należy uwidocznić nową stolicą, odmienną od tej dawnej, gdzie tyle pamiątek pogaństwa i dawnej pogańskiej wielkości. To jest zwycięstwo Wschodu nad Zachodem, przejawiające się na tylu dziedzinach i w tylu objawach współczesnych.

Z r. 357 mamy może pierwsze wspomnienia z Rzymu, pierwsze wrażenia, rzecby można, turysty, podziwiającego pomniki dawnej świetności i chwały, które były już tylko pomnikami. Zwiedzającym był nie kto inny, jak Konstancjusz, cesarz Rzymian, który w tym roku może po raz pierwszy do dawnej zawitał stolicy.

3.

A Wschód zwycięski zdobywa sobie równocześnie w tej epoce nadziemskie bogów dziedziny. Nie będziemy tu narazie mówić o najpotężniejszej wierze, która z Galilei na cały świat zapuszczała zagony, ale o szacie i zbroi pogaństwa, którą ono przywdziało na ostatnie i stanowcze zapasy z nowym wrogiem, Chrystusem.

Pogaństwo w chwili urodzenia Chrystusa Pana było w wielkiej części już martwem i strupieszałem. Maszynie państwowej udzielały jeszcze stare obrzędy i ryty nieco namaszczenia i uświęcenia, w kołach inteligentnych żyły dawne wierzenia, jako poezja i ornament literacki, wśród masy w kształcie zabobonu i przesądów. Ale duszy ludzkiej nie przynosiły one już pokarmu, ani podniety. Żyć ona mogła staremi okruchami i poetyczną legendą, póki żadne goretsze religijne pragnienie nie pojawiło się na świecie, kiedy indyferentyzm i sceptycyzm rozpanoszyły się wszechwładnie. A takie zobojętnienie religijne znaczy się wyraźnie w najbliższych

czasach idących po Chrystusie. Goretsze serca przystawały wtedy do nowej religji chrześcijańskiej, reszta przestawała wśród chłodu dawnych podań, bez pragnień wybiegających w zaświaty, bez potrzeby podniesienia siebie i bliźnich.

Ale w III wieku wśród samego pogaństwa znaczy się jakieś ożywienie wewnętrzne, objawiają się jakieś nowe potrzeby religijne, które dotychczas mniej odczuwano. Pod wpływem wielkich nieszczęść, które wtedy raz wraz spadały na państwo i jego mieszkańców, wśród ciągłej rozterki uzurpatorów, wśród zaraz i chorób, które dziesiątkowały całe prowincje cesarstwa, myśl ludzka zaczęła znów błąkać się po zaświatach i u bogów szukać ratunku. Zaświatowość nabierała znaczenia, życie przyszłe wobec teraźniejszości, która tyle niosła goryczy. Wśród wszystkich niepokojów, nieszczęść codziennych, zaczęły róść marzenia i wierzenia o błogości pośmiertnej, któraby dała ochłodzenie i osłodę po trudach żywota. Ale jak je sobie zapewnić? W starej religji greckiej i łacińskiej ta przyszłość pogrobowa była marną, dusze zmarłych chyba jak cienie drgały jakimś cieniem życia, które nie uśmiechało się żadną rozkoszą. Jedynie pewne tajemnicze kulty zapewniały wtajemniczonym coś lepszego, wyrazistszego po zgonie. A więc w tych tajemnicach, wśród skrytych obrzędów, postanowiono teraz szukać zbawienia i pociechy. A jeżeli dawni bogowie Olimpu nie dawali zbyt pewnej rękojmi, ani przyrzeczeń, dlaczegóżby się nie udać do bogów Egiptu lub Azji, których cześć z tysiącami przybyszów i niewolników napłynęła na Zachód i Rzym zalała. Misterja te wschodnie zaczynają się wtedy szerzyć w sposób nadmierny. Zanim się jednak do nich przypuszczonym zostanie, potrzeba było pewnych ofiar i to nie dotychczasowych, lecz ofiar z własnej osoby, umartwień i ćwiczeń, któreby podnosiły człowieka do większej doskonałości. Potem dopiero można było przestąpić progi świątyni. A jeżeli dawni bogowie Olimpu schodzili na ziemię, aby tu opromieniać pospolitość codzienną, ale się też tą

powszedniością pospolitować, to misterja żądały od śmiertelnika, iżby sam raczej podniósł się do wysokości bogów, przez nastrój odpowiedni ducha i ekstazę. Misterja te i kulty popadały dlatego w okkultyzm, wprowadziły wywoływania duchów i zaklęcia, sztuki czarnoksięskie, aby tylko rzucić pomost między światem i zaświatem. A społeczeństwo pogańskie nurzało się w tych wybrykach i obłędach, które zawsze pojawiają się jak wiedźmy przy agonjach starych i przeżytych religij.

Narazie szukano więc w tem słowa otuchy i wyzwolenia. Żaden zaś z tych kultów wschodnich tak się wówczas nie rozszerzył na Zachodzie, jak kult staroperskiego bóstwa, Mithras'a czy Mithry; Renan kiedyś powiedział, że gdyby chrześcijaństwo wskutek jakiego przewrotu było się zachwiało naówczas w swym zwycięskim rozwoju, to świat byłby został mithrastycznym. Bóstwo to staroperskie było na usługach boga światła i słońca Ormuzda w walce z ciemnościami Ahrimana, wyobrażeniem wszelkiej urodzajności na ziemi, pośrednikiem między światem i zaświatem, przeprowadzającym dusze przez most, wiodący do wieczności. Popularność Mithry w państwie rzymskiem stała się już od I wieku przed Chrystusem wybitną. Może z żołnierzami wschodnimi kult ten się szerzył i Mithra został odtąd głównem bóstwem rzymskich legjonów. Wszędzie, gdzie one stały, znajdowano szczątki jego kultu, resztki jego świątyń, zarówno na granicach Anglji i Szkocji, jak nad Renem, Dunajem i Eufratem. Koło Wiednia i w Carnuntum natrafiono na pełno śladów mithracyzmu; a każdy zwiedzający europejskie muzea nieraz się spotkał z rzeźbą młodzieńca, przybranego w płaszcz rozwiany i frygijską czapkę, zatapiającego nóż w gardle byka, którego ogon wystrzela wiązką kłosów. Jestto obraz zwycięstwa światła nad ciemnością, dobrego ducha nad złym, gloryfikacja wszystkich błogosławieństw, które z urodzaju na ludzi spływają, a przytem symbol nau-

czający, iż ze śmiercią życie się nie kończy, lecz następuje dalsze istnienie, ze śmierci poczęte.

Przywyknięto niebawem tego Mithrę zrównywać i identyfikować ze słońcem, panem życiodajnym świata i źródłem wszystkiego dobrego na ziemi, — bo ostatecznie dla wszelkich wierzeń, które nie przyjmują Boga zaświatowego, oderwanego, ewolucja racjonalna musi się skończyć kultem słońca.

Do czci Mithry garnęły się więc wtedy masy, chociaż żądał on dużo ofiar, umartwień i zaparcia; zanim bowiem było się dopuszczonym do braterstwa i zespolenia w Mithrze, rozmaite próby, czasem bolesne, należało przebyć i przetrzymać. A potem, zupełnie jak w lożach wolnomularzy, czekały jeszcze różne stopnie braterstwa, na które wtajemniczeni z kolei się posuwali. Był stopień *kruków*, najniższy, potem się przechodziło przez stopnie *tajnych*, *żołnierzy*, *lwów*, *Persów*, *gońców słońca*, aż się dosięgło wreszcie szczytu braterstwa, na którym się znajdowali *ojcowie*. Rozmaite obrzędy gromadziły wiernych w świątyniach Mithry; były więc ablucje, przypominające chrzest, były poświęcania, spożywania i rozdawania chlebów, naśladujące może rozmyślnie Eucharystję. Wszystko zaś osłonięte było tajemnicą i skrytością, a ta ciemność i zamknięcie podniosły jeszcze urok słonecznych i promiennych obietnic zagrobowych, które zapewniały »braciom« szczęście pośmiertne. Mamy więc tu gminę wiernych, stowarzyszenie czy lożę zespoloną jedną wiarą i jednym kultem, dążącą do tego, aby doskonaleniem i próbami zaskarbić sobie i zapewnić szczęście w przyszłości. Przeciwieństwo między złem i dobrem, które było osią religji staroperskiej, pozostało i tu istotnym fundamentem religji, umacniało ono wolę indywiduów na walkę i zapasy z występkiem i zepsuciem; moralność ta dawała pewną siłę i energję i zapewniała tej religji znaczenie i wartość życiową.

A jeżeli z początku ta religja Mithry szerzyła się tylko wśród maluczkich, a mianowicie żołnierzy po granicach rzym-

skiego imperjum, to niebawem znalazła ona dźwignię, która ją podniosła i otworzyła jej wrota pałaców i dworów. Ostatni system filozoficzny, który wydała starożytność, neoplatonizm, zawarł ścisły sojusz i związek z mithracyzmem, bo upatrzył w nim dobre narzędzie do zwalczania chrześcijaństwa, bo zresztą sam płużył sobie we wszystkich wyskokach i dziwach, któremi Wschód wtedy zalał rzymskie imperjum. Filozofja ta była ówczesną religją uczonych, a wcieliła ona do swego systemu pospolite wierzenia, osłaniając je płaszczem napół filozoficznym. Wszystko na świecie jest według tej nauki emanacją, wypływem jakiegoś absolutnego bóstwa, między bóstwem tem a człowiekiem jest cała skala pośrednich istot, demonów, w których poganin odnajdywał dawnych swych bogów; człowiek może się do źródła swego boskiego zbliżyć, nietylko i nietyle przez miłość, jak tego uczy chrześcijaństwo, lecz przez ekstazę, przez magję i rozmaite zaklęcia, których uczyły i których tajemnice posiadały właśnie misterja. Filozofja grecka stała się więc w epoce, w której przeróżne bóstwa napłynęły na Zachód, aby stoczyć walkę o ludzkość i ze sobą się zmierzyć, przeważnie religijną, chciała ona dawną religję odświeżyć, uzbroić na te zapasy, wlać w nią ducha nowego. Sama piękność Homera już nie wystarczała; trzeba było ją zespolić z ideą dobrego, naprzód oczyścić bogów, aby oni mogli oczyszczająco działać na ludzi. Tego się podjęła filozofja neoplatońska; idzie ona za prądem epoki, odczuwającej głęboko potrzebę moralności. Sięga najwyższych szczytów doskonałości, posuwa się do najwyższych zaparć i askezy. Ale sięga zbyt wysoko i tylko wysoko, przemawia do wybrańców, a zapomina zbytecznie o warunkach powszedniego życia i duszach powszednich, o których pamiętał Ten, który przemawiał do tłumów, współczuł z niemi i dał dla nich i za nich swe życie.

Filozofja ta racjonalizowała i tłumaczyła alegorycznie dawną mitologję, aby ją ratować, robiła więc z mitologji filo-

zofję, a zarazem wrota swe własne otworzyła naoścież dla rozmaitych zabobonów, guseł, naleciałości orjentalnych, aby filozofję przetworzyć w religję. Sztuką myśli starała się oświecić i stworzyć obraz wszechświata i bóstwa, a potem, aby człowiek do tego bóstwa mógł się zbliżyć, zezwalała na łamane sztuki bezmyśli i czarnoksięstwa. Małżeństwo to epigonów Platona, najwyższego wykwitu myśli i poezji zachodniej z wybujałą fantasmagorją Wschodu, małżeństwo niedobrane, sklejone pod grozą trzeciego, który walczy pod znakiem krzyża i krzyżem zażegnywa złe duchy.

Zszeregowała więc ta filozofja w innem przebraniu raz jeszcze wszystkich dawnych bogów, aby pod wspólnem hasłem uderzyły na nowego Boga, wyłaniającego się z Galilei, otoczyła się wszystkiemi czarami magji, astrologji, byleby człowiekowi ułatwić zbliżenie się do bóstwa, zmobilizowała wszystkich mieszkańców Olimpu i wszystkie bóstwa orjentalne i wcieliła je do swoich kadrów. Ostatnie to pospolite ruszenie pogańskich bogów przeciw Chrystusowi. Z mithraizmem łączył neoplatoników kult słońca, które i oni uważali jako obraz i odbicie najwyższego bóstwa, a czasem identyfikowali z niem zupełnie.

Podała więc Mithrze rękę filozofja, a prócz tego podali władcy świata, sami cesarze. Kult Mithry mógł bowiem walne oddać cesarskiej władzy usługi w jej orjentalizowaniu się, w dążeniu do absolutyzmu. Jak słońce na niebie, tak i cesarz na ziemi chciał samowładnie panować; i zaczęło się przyjmować przekonanie, że cesarze są ziemskim wypływem tego słońca, jego wcieleniem na ziemi. Dlatego już Commodus, jeden z najwcześniejszych przedstawicieli szału cezarów, zostaje mithracystą, a potem w III wieku kult ten słońca coraz większe znajduje u władców Rzymu i świata uznanie. W r. 273 zarządza Aureljan oficjalny kult *Solis invicti*, niezwyciężonego słońca, a w r. 307 Dioklecjan i jego współrządcy

poświęcają w Carnuntum pod Wiedniem świątynię Mithrze »poplecznikowi swej władzy«.

Wszystko to przyczyniło się więc do utwierdzenia kultu Mithry w III i IV wieku naszej ery. Stały wtedy naprzeciw siebie dwie potężne religje, liczące całe masy wyznawców, kult słońca i nauka Chrystusa. Wiele rysów podobnych je łączyło. Adepci Mithry, podobnie jak wyznawcy Chrystusa, nazywali się braćmi, jedni i drudzy oczyszczali się chrztem, jedni i drudzy spożywaniem świętego chleba umacniali się na walkę ze złem tego świata; jedni wreszcie i drudzy uważali to życie za wstęp i przygotowanie do przyszłej szczęśliwości. Musiało tu przyjść do tarć i starcia, którego jednym a ciekawym rysem jest to, że Kościół w IV wieku na dzień 25 grudnia ustanowił święto Bożego Narodzenia, ten sam dzień, w którym mithrjaści obchodzili uroczyście przyjście na świat swego bohatera i boga. Ale oczywiście walka, choć uciążliwa, musiała się zakończyć zwycięstwem jasnych prawd Chrystusowych nad tym kultem słońca, który budził porywy i zapały ekstatyczne, otaczał się wszystkiemi czarami magji i astrologji, poetyzował i rozmarzał, ale nie dawał tego światła i ciepła i prostoty na rozświecanie i prostowanie dróg ludzkich i rozgrzanie duszy, jakie dawały słowa Chrystusa. Wszystkie promienie słońca nie przygasiły też gwiazdy, prowadzącej ludzkość do Betleem.

Panowanie Konstantyna Wielkiego i jego synów rozwiało nadzieje czcicieli słońca, że świat posiędą. Niebawem jednak miała się rozegrać ostatnia walka między słońcem a Chrystusem pod wodzą członka tejże samej Konstantyna rodziny, który zostawszy cesarzem rzymskim, jeszcze raz zamierzył, jako król-słońce na ziemi, jednego tylko uznać Pana na niebiosach i ze słońcem poszedł na Chrystusa; Mithras i filozofja neoplatońska zasiedli z nim na tronie, te dwa systemy, dążące niby do jednego bóstwa, ale uznające politeizm dawny, którego bogowie schodzą w ostatecznych zapasach do

roli szeregowców, towarzyszów, rzecby można ciurów niezwyciężonego słońca. Mitologja, która tu walczy, przybraną jest w orjentalną szatę; od tego samego Orjentu szedł wróg, który ją miał powalić.

Chrystus nie starł się z pięknościami Grecji, z bogami Homera, lecz z dziwolągami zabobonu i wyuzdanej wschodniej wyobraźni. I cud Chrystusowy odniósł zwycięstwo nad cudactwem.

4.

Juljan, późniejszy cesarz, urodził się w Konstantynopolu w r. 332, z ojca Juljusza Konstancjusza, brata Konstantyna Wielkiego, i Basiliny, pochodzącej może z rodu Cejonjuszów. Konstantyn Wielki, podzieliwszy państwo między trzech swoich synów, umarł w r. 337. Wschód otrzymał najdzielniejszy wśród nich, Konstancjusz, który w r. 353, po zniknięciu z widowni braci, został jedynym rzymskim cesarzem.

Dzieje Juljana związały się od początku z losami tego Konstancjusza, a stosunek ten nie był przyjaznym, aż się wkońcu otwartem przeciwieństwem zaognił. Pierwsze zarzewia nieufności i niechęci padły już w r. 338 w duszę sześcioletniego wtedy Juljana. Wkrótce bowiem po śmierci i pogrzebie Konstantyna Wielkiego w Konstantynopolu, przyszło do jakiegoś niepokoju wśród wojska, które się rzuciło na rozmaitych krewnych zmarłego cesarza i kilku z nich wymordowało. W rzezi tej zginął ojciec Juljana i inni członkowie jego rodziny. Kto wojsko podburzył, było niewiadomem; ale Juljan nieraz potem wyrażał przypuszczenie, że Konstancjusz armję poszczuł na krewnych, aby tym aktem sułtanizmu pozbyć się niewygodnych i niebezpiecznych pretendentów i rywali. Ta plama krwi zasępiła dziecięce Juljana lata i ciążyła odtąd swem znamieniem i brzemieniem na stosunku obydwóch

kuzynów. Juljan i brat jego starszy, Gallus, tylko szczególnym okolicznościom zawdzięczali ratunek wśród ogólnej pożogi.

Wschód, który przy podziale państwa Konstancjuszowi przypadł w udziale, był już niewątpliwie przeważnie chrześcijańskim. Gdybyśmy się puścili na pole domysłów co do stosunku pogaństwa i chrześcijan w IV wieku, to chyba możnaby wyrazić domniemanie, że ludzkość imperjum rzymskiego rozpadała się pod względem religji na dwie równe połowy. Ale podział ten nie rozkładał się równomiernie na dwie części cesarstwa. Na Zachodzie, gdzie leżała odwieczna metropola, Rzym, pogaństwo było panującem, to pogaństwo, zmieszane z mithracyzmem i wszelkiemi wierzeniami Wschodu, — na Wschodzie natomiast górowała stanowczo chrześcijańska nauka, bo stąd przecie ruch cały wyszedł, bo tu zaczęły się apostolskie prace, bo tu wreszcie były najliczniejsze osady żydowskie, których chrześcijaństwo w pierwszym rzędzie się czepiło. Konstantynopol, nowa stolica państwa, był prawie wyłącznie chrześcijańskiem miastem. Stanowisko jednak i powaga chrześcijaństwa osłabiły się wtedy wskutek tego, że w łonie nowej nauki powstały różnice, pierwsze herezje, które wniosły zamęt i rozstrój w dotychczasowy, prawidłowy rozwój Chrystusowej nauki. W początku IV wieku wystąpił Arius, głoszący niższość Chrystusa w Trójcy św., zaprzeczający nawet jego bóstwa! Nauka ta zaczęła się szerzyć już za Konstantyna Wielkiego, potem za Konstancjusza, który stanowczo do niej przystał, otrzymała poparcie ze strony tronu. Dwór wziął pod opiekę tę suchą latorośl na trzonie Kościoła, a ta opieka nadała jej znamiona dworskiej martwoty, która jest brzemieniem wszelkich religij cezaro-papistycznych. Biskupi arjańscy nabyli cechy dworaków, gubiących się w formalizmie i formułkach dysput teologicznych, — na ich czele stał teologizujący autokrata, Constantius.

Juljan urodził się w chrześcijaństwie, z rodziców, którzy może raczej skłaniali się do arjanizmu. Chrześcijaństwo przedstawiło się więc młodemu umysłowi z tą głęboką rysą, która je dzieliła na dwie połowy i prowadziła do licznych sporów i rozterek po pierwszych wiekach powagi i namaszczenia apostolskiego. Całą swą młodość spędził Juljan odtąd na Wschodzie. Wola Konstancjusza przerzucała go z miejsca na miejsce, wychowanie dlatego nie miało ciągłości ani jednolitości, a Juljan widział w tem przerzucaniu później same akty niechęci ze strony kuzyna, uważał prawie wszystkie miejsca swego pobytu za etapy wygnania. To gromadziło gorycz i nieufność w duszy młodzieńca. A przytem także inne wpływy zaczęły stanowczo ważyć w jego wnętrzu.

Już w dziecięcym wieku nauczyciel zmarłej jego matki, Mardonius, wprowadzał go w krainę greckiej piękności. Homer stał się dla Juljana czemś więcej, niż ulubionym autorem, wyrósł nieomal na katechizm życia i zachowania się, zakon, zastępujący księgi Objawienia. Cytaty z Homera cisnęły mu się odtąd co chwilę pod pióro, nasuwały mu się w najważniejszych życia momentach; a człowiek rozmiłowany w słonecznem, pogodnem życiu greckich bogów, nie umiał już odtąd przylgnąć do poważnego, ponurego nastroju chrześcijańskiego zakonu. Lata młodości upłynęły Juljanowi przeważnie w Azji Mniejszej, dokąd go cesarz Constantius posyłał czy relegował. W Nikomedji w Bitynji powierzono go opiece tamtejszego biskupa, Euzebjusza. Był to krewny rodziny cesarskiej, zwolennik Arjusza, raczej polemista teologiczny, niż żołnierz Chrystusowy. On tedy miał w chłopięcą duszę rzucić pierwsze posiewy chrześcijańskiej nauki.

I z małemi przerwami krótkich w Konstantynopolu pobytów, przepędził Juljan w Azji Mniejszej całe młodzieńcze lata. W r. 341 posłał go cesarz do Macellum w Kappadocji. Juljan twierdził później, że tam przez sześć lat był raczej z przyrodnim swym bratem internowany, że pobyt ten był

przymusowem więzieniem, użalał się na Kappadocję, gdzieby jednego Hellena, t. j. człowieka cywilizowanego i poganina, nie znaleziono. Przypomnieć tu warto, że cała ta Azja Mniejsza była krajem przeważnie schrystjanizowanym, że była głównem polem apostolskiej pracy, a podróże św. Pawła i innych przeorały ją głęboko; Kappadocja w IV wieku zajaśniała całem gronem świetnych umysłów i talentów, które cywilizację swą helleńską składały na ołtarzu Chrystusa. Juljanowi przesłoniły więc jego późniejsze pojęcia pobyt wśród tych ludzi czarną, ponurą oponą. Miejscem jego pobytu był zamek cesarski, otoczony wspaniałym ogrodem i zaopatrzony we wszelkie wygody. Wśród nauczycieli znalazł się tam i stary Mardonios, który go teraz od Homera przeprowadził do Platona i Arystotelesa; obok tego szły studja chrześcijańskie, czytanie Starego i Nowego Zakonu, w których Juljan szukał jeszcze teraz pancerza na życie, aby później przekuć go na broń, którą chciał ugodzić w Chrystusa. Historycy opowiadają nawet, że otrzymał wtedy niższe święcenia duchowne i jako lektor odczytywał księgi święte przed ludem.

Pobyt ten we względnej samotności, w odległej prowincji cesarstwa nie był z pewnością sielanką, mimo sielskich pozorów, bo przedstawiał się młodzieńcowi jako przymusowe jeśli nie wydalenie, to oddalenie. Wystawiamy go sobie, jak wpatrywał się w gwiazdy, które go ciągnęły od młodu, jak im się spowiadał i zwierzał, aż wkońcu i one doń przemówiły, aby mu opowiadać cuda i dziwy o swej boskiej istocie i losach człowieka na ziemi. Brakło mu rozmowy z rówieśnikami, przed którymi człowiek odsłania głąb i istotę swej duszy; on obcował przeważnie ze starszymi, którym przedstawiał nie rdzeń, lecz nabytki swego wnętrza i wiedzy. Świat uczuć i wiosna więdły w nim wskutek tego nadmiernego wybujania mózgu. A w braku codziennej, poufałej rozmowy, rozmawiał młodzieniec tem częściej z samym sobą. Kłóciły się w jego wnętrzu tysiączne wrażenia i dostroić nie mogły,

plątały nauki filozofji ze słowami Zakonu; Homer, Plato, Mojżesz i Chrystus zamieszkali obok siebie w jego celach mózgowych, rozgrywała się walka między miłością literatury i interesem dla prawdy, walka o pytanie, czy prawda bez literatury ważniejszą jest dla człowieka, czy literatura, choćby i bez prawdy.

Po tym pobycie w Macellum odzyskał Juljan większą swobodę ruchów. Nastąpiły lata przełomowe w jego życiu. Zawitawszy na krótko do Konstantynopola, powrócił on znów do Azji w latach 348 — 354; kiedy przechodził rok dwudziesty życia, znalazł się znowu w Nikomedji, Pergamon i Efezie.

W tych chwilach, w których następuje przeważnie orjentacja człowieka, wytknięcie drogi lub bezdroża, któremi pójdzie, poznał i Juljan bogów, którym odtąd służyć zamierzył. Przemówili oni nietyle do jego serca, co do jego ucha i wyobraźni. W Nikomedji zastał najsłynniejszego retora owych czasów, Libanjusza, który w mowach swych i wykładach odświeżał i odsrebrzał dźwięki helleńskiego języka, muzyką tą czarował i porywał słuchaczy. Były to pieśni ze słowami, a niekiedy prawie bez myśli; ale z potoku tych słów jeszcze raz wychylać się zdawała piękność grecka, Afrodyta z całą świtą Charyt, które mogły się stać syrenami. Cesarz Konstancjusz zakazał Juljanowi chodzić na te odczyty, aby go ustrzec przed niebezpieczeństwem upojenia. W domu zato rozczytywał się młody książę skwapliwie w utworach Libanjusza i odtąd zaprzedał prawdziwie duszę helleńskiemu słowu. Myśl helleńska objawiła mu się nadto prawie równocześnie w filozofji neoplatońskiej.

Po głębokim Plotinusie, filologicznie i krytycznie wykształconym Porfirjuszu, z kolei Jamblichus stanął na czele tej szkoły i on wpłynął przeważnie na Juljana. Jamblichus ujął twierdzenia i rojenia nowoplatońskiej szkoły w ściśle uładzony system, między bóstwem najwyższem, słońcem, a po-

ziomą materją przyjmował całe szeregi pośrednich boskich jestestw, ujętych w hierarchiczne porządki, do rytów, ofiar, obrzędów przywiązywał wielkie znaczenie, a wreszcie wszystkie zagadki życia wyjaśniał swym dogmatyzmem. W Pergamon prowadził nowoplatońską szkołę Aidesios, i on zapozna teraz Juljana z jej tajnikami. Prócz tego uległ młody książę wpływom człowieka, który filozofję najściślej zespolił z okkultyzmem i wszystkiemi jego sztukami. Był nim niejakiś Maximus z Efezu. Przez spirytyzm, zaklęcia bogów i duchów, podziałał on ogromnie na wyobraźnię młodego księcia, który wychowany wśród podejrzeń i pod zmorą podejrzeń, w tajemniczości szczególny znalazł urok; czarnoksięskie sztuki i obrzędy wstrząsnęły jego duszą do głębi, a kto wie, czy pewne przepowiednie co do przyszłości nie podrażniły jego dumy i ambicji. Rzucił się on wtedy w męty i odmęty misterjów, a zapewne w r. 351 dał się wtajemniczyć i zapisać do związku czcicieli Mithrasa, boga słońca. Odtąd bogowie dawni stali się jego bogami, a chociaż ten krok przyszedł dosyć nagle i w wieku młodzieńczym, chociaż wywołanym był więcej zewnętrzemi wrażeniami, niż wewnętrznym procesem i walką, to jednak grunt musiał być podatnym i przygotowanym. Wychowanie dotychczasowe było bowiem jednostronne; przesycano go literaturą, kazano czytać i czytać, czy pisma Greków, czy pisma Zakonu, a moralne nauki, podawane przez oschłych nieco teologów arjanizmu, nie dotrzymywały kroku w wychowaniu serca obok wychowania rozumu. Kto patrzał ze stanowiska estetycznego, literackiego na bogów Grecji i nową naukę, temu krasa greckiego świata więcej się podobać musiała od prostych, nieozdobnych słów Chrystusowego Zakonu A poza czarem Olimpu przyszły w pomoc orjentalne czary, aby duszę młodego księcia usidlić i opętać.

Przystał on więc do starych bogów i do pogaństwa. Przejście to musiało pozostać narazie w tajemnicy; jednak wśród kół wtajemniczonych i wybrańców radowano się po-

kryjomu, wskazywano na Juljana, mówiąc: »On nasz, on pomści nasze poniżenie i pomści bogów za ich upokorzenia«. Rojono o jego przyszłości śmiałe sny, które utwierdzały w Juljanie kitem dumy nowe pojęcia i wpajały weń przekonanie, iż nie w tem leży jego znaczenie, że wybrał bogów pogańskich, lecz raczej w tem, iż jest tychże bogów wybrańcem. Rok 354 wyrwał Juljana na chwilę z tych rojeń i marzeń. Brat jego przyrodni, Gallus, którego cesarz wywyższył do godności cezara i do współrządów przypuścił, gwałtownością swego usposobienia stał się niemożliwym, a wzbudzał pewne podejrzenia, że przemyśliwa o buncie. Za to więc spotkała go śmierć z rozkazu cesarza. Juljana powołano wtedy na dwór cesarski do Medjolanu. Delatorowie, otaczający cesarza, oskarżali go o pewne nieposłuszeństwa, o stosunki z bratem, na dnie podejrzeń leżała wyraźna intencja dworaków, aby go zgubić. Z tej dusznej atmosfery wyrwała go jednak ręka kobiety, którą z czułością Juljan wspomina w swych pismach, żony Konstancjusza, cesarzowej Euzebji; za jej wstawieniem mógł on wkrótce opuścić stolicę, aby podążyć znowu na Wschód grecki. Podobało mu się później twierdzić, że to było znowu wygnaniem ze strony cesarza. Tymczasem wygnaniec rzekomy udał się teraz na miejsce, z którem go łączyły najgłębsze i najtajniejsze węzły duszy i serca, do Aten. Ten krótki pobyt w Atenach stał się uwieńczeniem jego wychowania i młodości.

Juljan był Grekiem z wykształcenia, mowy i pojęć; pielgrzymka do Aten była więc z jego strony aktem prawie pobożności względem tego, co było jego ideałem, spełnieniem najdroższego marzenia. Wprawdzie Ateny zbladły i zmarniały, były tylko cieniem i dawnej chwały pamiątką. Ale po czynach nastało tu panowanie słów; wykłady mistrzów i retorów ateńskich ściągały młodzież z całego świata do tego miasta, które było świata ówczesnego uniwersytetem. Te słowa odbijały się echem o ściany Akropolu i tysiącznem echem szły w świat

daleki; a bogom na górze i ludziom na dole zdawało się, że duch Hellady żyje i w całej pełni odżyć potrafi, kiedy właściwie tylko echo grało i majaczyło o dawnej, zagasłej chwale.

Pewien sarkastyczny pisarz epoki twierdził, że w Atenach tylko już miodu nabyć można; nie wspomniał o miodopłynnej wymowie retorów tamtejszych. A przecież na Juljana, który dla słowa greckiego miał kult, wytwory retoryczne osobny wywierały urok. Przytem pokłonił się on tu dawnym bogom, których nigdzie w taką chwałę ludzka ręka nie przybrała, słuchał filozofów neoplatońskich, którzy stali na okopach pogańskiej myśli i wiary, jako ostatni ich obrońcy. Wśród kolegów spotkał on tam i poznał dwóch młodzieńców z Kappadocji, w której niegdyś lata przepędził chłopięce. Dwaj ci uczniowie, serdeczną już związani przyjaźnią, z innemi do Aten przyszli intencjami, jak Juljan, i innych szukali tu wrażeń. Byli to św. Bazyli i Grzegorz z Nazjanzu. Wzrośli w chrześcijańskich domach, w atmosferze niezaprószonej ani zmrożonej rozterką arjanizmu, mogli oni dać poznać Juljanowi głębokie, gorące przekonania religijne; a przytem przedstawiali ten szlachetny kierunek, łączący kulturę dotychczasową z nową wiarą, mogli więc przekonać Juljana, że otchłań, dzieląca te dwa światy, nie jest przepaścią, której wyrównać niepodobna. Grzegorz z Nazjanzu, mowca i polemista pełen życia, starał się prócz tego na polu poezji chrześcijańskie pojęcia w klasyczne szaty przybierać; św. Bazyli był przedewszystkiem człowiekiem czynu i jednym z założycieli życia klasztornego w chrześcijaństwie; kiedy jednak opisywał swe klasztorne zacisze przyjacielowi, jeszcze mu wspomnienia Homera plątały się w myśli. »Pięknem ono — zauważał — jak wyspa Kallipsy«. Podobno w zetknięciu z Juljanem Grzegorz już wtedy z jego złowrogich oczu wywróżył przyszłość. Juljan patrzał na tych kolegów z ciekawością, lecz i z niechęcią, jako na ludzi, którzy nabytki greckiego ducha na innych ołtarzach

i na chwałę innego boga chcą ofiarować. Uważał on to później prawie za sprzeniewierzenie i świętokradztwo.

Pobyt ten w Atenach był ostatnią etapą jego młodości i trwał zaledwie kilka miesięcy. Naraz wola wyższa powołała go na inne pole, na Zachód, kazała mu przestąpić próg życia i z dziedziny słów i dźwięków zawezwała do czynu. Po śnie nocy letniej ateńskiej, miał się Juljan przebudzić wśród barbarzyńców północy i szczęku ich puklerzy.

5.

Cesarz Konstancjusz nie był naturą przewrotną, lecz był panem autorytatywnym, podejrzliwym, niechętnym wobec tych, co zdawali się uszczuplać jego przewagę i powagę. Kościół zagarnął pod swoją opiekę i chciał zeń zrobić powolnego sługę i narzędzie władzy, a arjanizm w tem mu szedł na rękę. Od r. 353 był on samowładnym rządcą imperjum. Jeden z cezarów, któremu zaufał, nadużył jego ufności i padł jego ofiarą. A jednak trudno mu było obyć się bez pomocników. Bo nad granicami wrzało ciągle niebezpieczeństwo, teraz szczególnie nad Renem, a jeden cesarz nie mógł podołać wszystkim zadaniom i powołaniom. W roku 355 zwrócił więc bezdzietny cesarz swe oczy na jedynego już potomka żyjącego Konstantynowskiego rodu i wyniósł go do godności cezara. Podnosiło to Juljana do stóp tronu, na który z czasem i tak byłby zapewne wstąpił; zbliżało go do tego, który był władcą Rzymu, jego opiekunem, a w pojęciu Juljana także wrogiem. Dzieliły ich tajemnice na dnie duszy leżące; Konstancjusz obawiał się, aby krok ten, podyktowany koniecznością państwową, nie pociągnął Juljana na bezdroża przedwczesnych ambicyj. Ale nie mógł wiedzieć, że ambicje Juljana w innym jeszcze idą kierunku, że więcej on o tem marzył, aby na Pana nadziemskiego, który starych strącał bogów, się

targnąć. Juljan bowiem pod tym względem zachowywał dotąd pozory, ostrożność, rzecby można hipokryzję, jaką w tej epoce walki bogów wiele przysłaniało się osobistości.

Charakterystyczne bardzo spotkanie miał jeszcze na Wschodzie Julianus z pokrewnym sobie duchem na gruncie starej Troi. Odbył on tę pielgrzymkę może w r. 355, aby zwiedzić uświęcone pieśnią Homera miejsca. Na przewodnika ofiarował mu się w Troi biskup miejscowy, Pegasius. Jakież tedy było zdziwienie Juljana, kiedy ten biskup szczególny, wszedłszy w progi starych świątyń pogańskich, zachowywał się tam ze szczególnem uszanowaniem, mówił o bogach i dawnych bohaterach ze czcią, a znakiem krzyża nie odganiał od siebie złych duchów. Wyznał on Juljanowi w cichości, że dlatego został biskupem, aby powagą swoją osłonić pogańskie przybytki przed zagładą; Juljan dowiedział się później, iż czcił słońce i tajemnie się modlił do Heljosa. Jeżeli więc takie, wprawdzie wyjątkowe, objawy zdarzały się wtedy wśród duchownych, to tem bardziej zrozumiałem maskowanie się człowieka, który kiedyś mógł zostać panem świata, ludzi i bogów.

Pobyt w Galji wyprzedził to ostateczne wywyższenie. Znalazł się tu Juljan w zimie z r. 355 na 356 z misją, aby Galję oczyścić z napadów i inwazji Germanów, i pozostał tam do r. 361. Granica Renu pękała w tych czasach coraz bardziej pod parciem i nawałą wschodnich Germanów. Wdzierali się oni do dzisiejszej Alzacji i od północy do Belgji, niszczyli miasta nadreńskie, zapuszczali nawet dalsze zagony w głąb Francji. Juljan na czele legjonów miał temu koniec położyć. Cesarz Konstancjusz liczył chyba na urok, przywiązany do tytułu cezara; — bo zresztą do jakich nadziei pod względem wojskowym mógł go uprawniać ten młodzieniec, który dotychczas Muzom hołdował, spędził swą młodość na studjach i nie dawał żadnych rękojmi zwycięstwa?

Juljan przeszedł tymczasem pod tym właśnie względem najśmielsze nadzieje. Twierdził on zawsze, że dawni bogowie

pogańscy są bogami czynu, a bóstwo, które czcił przedewszystkiem, Mithras, było bożyszczem wojskowem; i ten książę, znany dotychczas filozofom i sofistom, wykazał naraz w Galji pełno cnót żołnierskich i pełno talentów dowódcy. W walnej bitwie pod Strassburgiem w r. 357 pokonał główną siłę Alemannów, a rezultatem jego wysiłków, kilka lat trwających, było to, że w r. 350 prowincja Galja podniosła się wskutek lepszej administracji pod względem dobrobytu, a Ren przywróconym został jako pas graniczny imperjum rzymskiego od germańskich najeźdźców. Ulubionem miejscem jego pobytu w Galji i rezydencją była Lutecja, dzisiejszy Paryż. Pierwszy to miłośnik tego miasta, które nazywa »miłą Lutecją«; wśród wczasu, kiedy wojskowe zajęcia na to pozwalały, oddawał on się tu gorliwie studjom i książkom, a usposobienie mieszkańców niewielkiego jeszcze miasta wyraźnie temu sprzyjało. Surowe ich prostactwo podnosił Juljan ze szczególną pochwałą.

Na pochody i potrzeby zwycięskie i wczasy paryskie rzucały jednak cień ponury stosunki z urzędowem otoczeniem, a pośrednio z dworem Konstancjusza i samym cesarzem. Ludzie, zajmujący wysokie stanowiska czy cywilne, czy wojskowe w Galji z poręki cesarza, nie byli po myśli i woli Juljana. Co chwilę skarżył się on na nieprzyjazne towarzystwo, z urzędu mu narzucone, na szpiegowania i sprzeciwiania się jego woli. Wypływało to stąd po części, że stanowisko cezara i jego kompetencji nie było należycie określonem i musiało prowadzić do tarć i konfliktów; pochodziło dalej stąd, iż Juljan na dnie duszy żywił tajemnicę, którą tylko najzaufańszym mógł zwierzyć powiernikom, i musiał się wskutek tej tajemnicy czuć zawsze nieco osamotnionym. Płynęło wreszcie z natury Konstancjusza, podejrzliwej, zazdroszczącej triumfów i powodzeń, przystępnej dla wszystkich rumorów, poduszczeń dworskiego świata. Niecierpiał cesarz — według słów jego historyka — ludzi dzielnych w czynie, *oderat fortiter facientes;* czyny Juljana niepokoiły go częstokroć, a złośliwość dworaków, która

żartowała z tego greckiego literata, »małpy przybranej w purpurę«, podsycała i podniecała ciągle zarzewia niechęci.

Przyszło wreszcie do rozłamu stanowczego. W r. 360 znajdował się Konstancjusz w Azji Mniejszej, a nowa wojna z perskim wrogiem nie zapowiadała się świetnie. Zarządził on wtedy, aby wielka część wojska Juljana pod oznaczonymi dowódcami wymaszerowała z Galji na wschód. To doprowadziło do oporu i buntu. Albowiem części tych wojsk, pobrane z Galji, nie chciały wyruszać na daleką wschodnią wyprawę. Powiernicy Juljana podsycali to niezadowolenie wojska i tę oporność; sam zaś Juljan czuł się głęboko obrażonym i zranionym zarządzeniami cesarza. Bo niewątpliwie obok potrzeby państwowej odegrały w nich inne motywa pewną rolę, niechęć wzrastająca do młodego cezara. Na wiosnę r. 360 wojska przemaszerowywujące przez Paryż, aby podążyć na zawołanie cesarza, otoczyły pałac Juljana i wśród zgiełku i buntu obwołały go cesarzem, czyli Augustem. Tajne jego życzenia z pewnością zmierzały w tym samym kierunku; ważniejszem było, że upatrywał w tem spełnienie woli bogów, którzy swemi znakami utwierdzali jego ambicję.

Kość była więc rzuconą; zdawało się, że tylko przeciw samemu cesarzowi. Niebawem się przekonano, że godziła ona także w oblicze Chrystusa.

6.

Po dłuższych rokowaniach między zbuntowanym cezarem a Konstancjuszem, miały ostatecznie w r. 361 miecze rozstrzygnąć o dalszych losach państwa. W lecie tego roku udał się Juljan w śmiałym, prędkim marszu z Galji do Sirmium w Slawonji nad Dunajem, Konstancjusz ruszył się z Azji. Śmierć jednak odegrała rolę rozjemcy między dwoma przeciwnikami; dnia 3 listopada r. 361 umarł cesarz Constantius w Cylicji,

a 11 grudnia tegoż roku wjeżdżał już Juljan jako samowładny pan całego imperjum do Konstantynopola.

Miał on wtedy lat prawie 30, a umarł już w czerwcu roku 363. Jednak za tych półtorarocznych rządów rozpoczął wielką budowę czy destrukcję, którą zamierzył cofnąć bieg historji o kilka wieków.

Ludność, która go przyjęła w Konstantynopolu, dziwiła się, zoczywszy nowego pana świata, że tak młody człowiek, o tak marnym wyglądzie, tak wielkich dzieł już dokonał. Pierwsze bowiem wrażenia zewnętrzne nie mogły być korzystnemi. Jeden z najbystrzejszych historyków tej epoki dostrzegł w dziełach sztuki z tych czasów, w zachowanych popiersiach, pewne zdegenerowanie, zepsucie typu ludzkiego i rasy. U Juljana było to bardzo widocznem. Był on niskiego wzrostu, a nogi wiotkie i gnące się odbierały postawie znamiona siły i pewności siebie. Głowa na tłustym osadzona karku, pokryta miękkim i przygładzonym włosem, nie miała żadnych cech klasycznego piękna. Usta dosyć duże, zeszpecone zwiśnięciem dolnej wargi, żadnego nie miały wdzięku; jedynie oczy błyszczące nadawały twarzy wyrazu, ale te oczy były niespokojne i niepokojące. W chwiejnej postawie znać też było zresztą człowieka, miotanego jakimś wewnętrznym niepokojem czy nerwami. Nowy cesarz nadawał samochcąc swej twarzy dziwny wygląd. Podczas gdy Konstantyn Wielki i jego synowie golili brodę, Juljan, ku zdumieniu współczesnych, zapuszczał ją i nosił zarost bujny, ostro zakończony. Wywołało to takie wrażenie i zdziwienie, jak w XVI wieku, gdy papież Paweł III zapuścił brodę, nad którą niemiłosiernie znęcają się humaniści. Z Juljana żartowali sobie współcześni i przezywali go kozłem. Do przyrodzonych niedostatków i samowolnych odrębności przychodziła wreszcie niedbałość o gładkość zewnętrzną. Literat i filozof nie troszczył się o drobnostki i pozory i posuwał to tak daleko, że często z pomazanemi od atramentu palcami pokazywał się publiczno-

ści. Wzięcie jego wreszcie nie mogło tych niedostatków zrównoważyć. Bo Juljan mówił wogóle za dużo, uganiał się za tanią i łatwą popularnością, rozmawiając z ludźmi nie zasługującymi często na takie wyszczególnienie, a poufalił się mianowicie z sofistami i filozofami, których odznaczał nazwą przyjaciół. Kiedy raz wśród senatu zasiadał, doniesiono mu nagle, że Maximus z Efezu niespodzianie się pojawił, aby odwiedzić swego ucznia na tronie. Cesarz odrazu skoczył naprzeciw filozofa, uściskał go i ucałował, ku zdumieniu otoczenia, które od Dioklecjana czasów do większej powagi i namaszczenia u panujących było przyzwyczajonem. Filozof na tronie chciał dowieść, że on z dynastji filozofów jeśli nie po ciele to po duchu pochodzi. A masy patrzały z osłupieniem na takie postępowanie, w którem było przynajmniej tyle afektacji, co afektów. Panujący zdobywają sobie niekiedy serca prostotą; miał ją założyciel cesarstwa, Augustus, ale to była uprzejmość naturalna, u Juljana tymczasem była ona chcianą, zamierzoną, sztuczną i, rzecby można, literacką.

Z tem wszystkiem początki panowania przyniosły kilka dobrych rozporządzeń, których zasługi nie umiał nie uznać nawet kolega dawny cesarza, a później zacięty przeciwnik, Grzegorz z Nazjanzu. Że przelicznych dworaków Constantiusa bezlitośnie rozpędził, to było aktem nieprzyjaźni względem pamięci zmarłego i aktem zemsty za to, co od tych dworaków wycierpiał; lecz prócz tego wypływało to z jego chwalebnej w życiu skromności, ze wstrętu do pasorzytów i próżniaków. Prócz tego ulgi podatkowe i sprawiedliwszy rozkład podatków uznawano jako zasługę teraz na tronie, jak uznawano niegdyś w Galji.

Ale to nie było istotą ani rdzeniem jego krótkiego panowania, którego punkt ciężkości spoczął odrazu na polu religji. Długo tłumione uczucia i gorycze wybuchły teraz z wielką gwałtownością. On, który dotychczas zachowywał pewną ostrożność w wyrażaniu się o swych poprzednikach na tronie,

i nadużył kiedyś słowa greckiego, aby cesarza Constantiusa, którego w gruncie niecierpiał, wysławiać w panegirykach, w których puste dźwięki pokrywały próżnię uczucia, od czasu rzucenia rękawicy pofolgował wszystkim swym niechęciom, rozpuścił prawdziwie słowa i pióro, aby swych przodków i krewnych wysmagać. Przyszła też kolej na walną bogów rozprawę. Jeszcze dnia 6 stycznia 361 r. jest cesarz na nabożeństwie chrześcijańskiem w Vienna w Galji. Później odchylał powoli maskę, która odkryła wyraz nienawiści, pogardy i śmiech sarkazmu. W końcu roku pisze ze Slawonji do przyjaciela Maximusa z Efezu: »Przed oczyma wszystkich czczę bogów... publicznie im ofiaruję woły; — bogowie rozkazują mi, abym wszystko według sił moich oczyszczał i uświęcił«. A filozofowie się cieszyli, że powstał wreszcie mściciel bogów, że posiadł ziemię i dzierży ster świata w swem ręku.

Dogmatyka jego jest pełną niejasności. Bo czasem modli się on do jakiejś niewidzialnej pierwotnej siły, która jest bogiem, czasem do słońca, jako najwyższego pana ziemi i nieba, czasem znów sławi innych, niższych bogów, którzy w pewnych zakresach ludzkiego życia najskuteczniejszą mogą zapewnić opiekę. Panteizm, monoteizm i politeizm splatają się na jakiś system niejasny, po którego mglistych zaułkach, mających raz zachodni, to znów częściej orjentalny charakter, on kiedyś błądził, a my za nim błądzić nie będziemy. Jasnem zato i stanowczem jest przeciwieństwo do chrześcijaństwa. Już sama kontradykcja przeciw poprzednikom na tronie utwierdzała go w tej niechęci. Jeżeli tamci zamykali świątynie, zakazywali ofiar, to on przedewszystkiem chciał powetować i wskrzesić to, co tamci zburzyli lub czego zaniechali. Ale oczywiście przyczyny nim powodujące były głębsze. Rozmiłowany w hellenizmie, patrzał on z wysokości wielowiecznej greckiej kultury na nową naukę, która nietylko Grecją, ale i światem chciała zawładnąć. I patrzał z wysokości literatury helleńskiej z lekceważeniem na nieudolną, nieretoryczną pro-

stotę Pisma św.; on, czciciel słowa i wszystkich jego czarów i wdzięków, nie widział, że te słowa proste prosto do serc trafią, zdobędą je i posiędą na wieki. Duma Hellena i duma literata wzdrygała się przeciw tej religji, która zaczęła od prostaków i według niego chyba dla prostaków była skrojoną; nie wiedział czy raczej chciał zapomnieć, że zagarnęła ona wielką część świata, że słowa jej działały więcej porywająco i gromowładnie, niż wszystkie świergotania sofistów z jego otoczenia, toczących gładkie frazesy, które miały świat ukołysać w sennych marzeniach miłosnych o dawnych bogach i ich chwale. Ta religja nowa nie odpowiadała przytem jego pragnieniom i potrzebie cudowności i cudaczności w życiu. To nie racjonalista, który się buntuje swym rozumem przeciw nadprzyrodzonym pogwałceniom porządku świata. On tęskni za cudami przeszłości, z których chrześcijaństwo obdarło świat według niego, on zarzuca chrześcijaństwu, iż nie zna przepowiedni, nie umie czytać w znakach niebieskich i ziemskich, wyrzuca mu nieudolność i niedołęstwo wobec przyrodzonego świata ustroju. Przecież on potrafi wśród swych ofiar pogańskich poznać z lotu ptaków, z wnętrzności bydląt wolę bogów i zdoła przez magję i ekstazy zbliżyć się do Boga, który dla chrześcijan jest daleko w niebiesiech. Ma on najczęściej wobec *Galilejczyków* sarkazm literata, a ma także złości renegata i odstępcy. Twierdzi Juljan, że prócz Boga jednego czczą chrześcijanie drugiego Boga Jezusa, z arjańskiem zabarwieniem zarzuca im więc politeizm; najtwardsze zaś słowa wyrywają mu się wobec Apostoła pogan i narodów, którego zwie największym oszustem rodu ludzkiego.

Teraz miał rząd nad ludźmi i zapragnął mieć go nad duszami. Chciałby pomścić winy dawnych pokoleń i grzechy ich wobec Olimpu. Ale o krwawem prześladowaniu nie marzy. Ta broń już się zużyła, a krew męczenników stała się przecie siewem wyznawców. Zresztą Juljan okrutnym nigdy nie był, przechwalał się nawet często, zwyczajem liberałów wszyst-

kich wieków, swoją filantropją i tolerancją, która mu się przez usta przelewa. Nie chce on nawet kuć praw nowych i okrutnych; ale gdzie prawo nie sięgnie, tam sięgnie administracja i administracyjne bezprawie. Pozbawia on przedewszystkiem duchowieństwo rozmaitych przywilejów, nabytych na polu podatkowem; gminom, które zburzyły pogańskie świątynie, każe je odbudowywać; w prawach, idących przed sąd jego, bywa stronniczym wybitnie. Gdziekolwiek spokój między walczącymi bogami został zakłócony, łagodnie tylko strofuje wybryki pogan, a chętnie zwala winy wszelkiej zamieszki na kler chrześcijański. Obwinięte to wszystko w kwiaty retoryki i słodkie frazesy, w których na dnie się kryje Juljana jad i nienawiści. W wyborze osób na urzędy rozstrzyga zawsze wzgląd, jakiemu Bogu ubiegający się kłania; powoli też oczyszcza Juljan hierarchję urzędniczą i wojskową z chrześcijańskich wtrętów.

Ważne narzędzie przy przeprowadzeniu swych planów upatrzył sobie nowy cesarz w szkole. Wyznawał już on zasadę, że nauczyciele nie na to przeznaczeni, aby rozwijać młode umysły, lecz dlatego, aby w nie wpajać uboczne myśli własne i rządu. Patentem rządowym zamierzył on oznaczać już nietylko zdolności, lecz i uczucia. Żądał dlatego, aby wybór każdego nauczyciela publicznego podlegał w ostatnim rzędzie jego zatwierdzeniu. A chrześcijańskim nauczycielom zabronił zupełnie wstępu do szkoły; drażniła go wzrastająca literatura chrześcijańska, chciał tedy jej podciąć żywotność i skrzydła. Kto w bogów nie wierzy, nie miał się tykać ani objaśniać klasycznych autorów, bo oni przecie spisali po części księgi święte zakonu, który był zakonem pogan i Juljana. »Idźcie do waszego Mateusza i Łukasza, czytajcie waszych Ewangelistów« — wołał on do usuniętych nauczycieli. Myślał zaś i łudził się, że dekretami i administracyjnym gwałtem można pogwałcić wielkie ruchy serc i myśli, tętna najistotniejsze człowieka umorzyć i stłumić. Tem chciał osłabić

kulturę chrześcijan, która później przez zespolenie klasycznych kształtów z nowym duchem i duszą takie cuda wydała.

Oddzielał więc chrześcijan i pogan w szkole, innemi sposobami chciał przedziały wśród samych chrześcijan wywołać. Jeżeli wśród przechwałek o tolerancji swej pozwolił biskupom nicejskim, prawowiernym, wygnanym przez arjańskiego Constantiusa, powrócić z wygnania, to krok ten był chwalebnym, ale niechwalebne może pobudki z tem połączone, aby sporami wewnętrznemi chrześcijańskie społeczeństwo osłabić i zamącić. Był to pocałunek Judaszowy.

Do tego samego zmierzała dziwna, troskliwa opieka cesarza, którą otoczył inną, potężną religję Wschodu, wiarę Starego Zakonu i Żydów. Juljan ma dla nich słabość wyraźną. Gdy porównywa Mojżesza z Chrystusem, zawsze porównanie wypada na korzyść pierwszego. Troskliwość tę swoją chciał cesarz zaznaczyć walnym aktem, którego ostrze przeciw chrześcijaństwu i jego nauce się zwracało, odbudowaniem świątyni w Jezrozolimie. Wobec słów Pisma, że świątynia zostanie zburzoną niepowrotnie, stanął wszechwładny cesarz ze swoją wolą i pieniędzmi. Zaczęto już roboty, ale autorowie chrześcijańscy, a co dziwniejszem, współczesny pogański historyk, Ammianus, donoszą, że wielkie snopy ognia zaczęły się wydobywać z fundamentów, rozgoniły robotnika i udaremniły stanowczo przedsięwzięcie. Juljan nie bał się Jehowy, który miał cechy lokalnego, narodowego bóstwa. Zato Bóg chrześcijański, który chciał nad całą ludzkością zapanować, napawał go odrazą i strachem.

Obok aktów odpornych szły pozytywne, dążące do odrodzenia pogaństwa. Sam cesarz przoduje tu znowu przykładem, a jako najwyższy kapłan Rzymu, pisze listy, które wyglądają na listy pasterskie, nawoływujące do poprawy i usunięcia tego, co się było zepsowało. Przoduje przedewszystkiem przykładem swego życia. Jest ono nienagannem, uderza pewną twardością i purytanizmem. Juljan śpi na słomie,

usuwa ze swego stołu wystawne potrawy, woli pracę od zabaw publicznych. Kobieta nie gra prawie żadnej roli w jego życiu. W r. 355 dał mu cesarz Constantius swą siostrę za żonę, aby zacieśnić węzły między sobą a cezarem. Umarła ona koło r. 360, przesunąwszy się jak cień bezbarwny przez jego życie. Zdawaćby się mogło, że Juljan ma do kobiety niechęć, jako do istoty, w której sercu chrześcijaństwo najłatwiejszy znajdowało oddźwięk i skuteczne poparcie. A antikobiecość jego usposobienia wytworzyła się może u niego w części pod wpływem kultu Mithry; orjentalna ta religja zachwalała różne prywacje, a ze swoich misterjów wykluczała stanowczo niewiastę. Zresztą w tej naturze nawskróś cerebralnej, przesyconej literaturą, na ciepłe, wiosenne uczucie miejsca nie było.

Sam arcykapłan pogaństwa, przodował dalej w praktykach nabożeństwa. Jest on nieznużonym w odwiedzaniu świątyń, nie ustaje w ciągłych ofiarach, wita niemi i żegna słońce, tak, że wyrażano złośliwą obawę, iż bydło podrożeje, lub że go zupełnie zabraknie. Jest w nim bigoterja fanatyka, który ciągle chce świecić przykładem i zbudowaniem, a dba o to, aby tysiące lewic wiedziały, co jego prawica czyni. A prócz odrodzenia rytów, ma przyjść odrodzenie wewnętrzne. I tu jest najciekawszem, że w tej potrzebie podsłuchiwa cesarz tętna chrześcijańskich serc, zapożyczać się zamierza u wroga, aby tchnąć nowe życie w pogaństwo. Chce on utworzyć hierarchję pogańską na wzór chrześcijańskiej, moralizuje swych kapłanów i stawia im za wzór przeciwników. Chce żeby filozofowie prawili kazania do ludu, ku zbudowaniu wiernych i niewiernych, zaleca im nawet, aby się łączyli w klasztory. Przedewszystkiem jednak miłosierdzie chrześcijańskie budzi jego podziw i zazdrość; upomina więc swoich, aby jałmużną wspierali ubogich, budowali i zakładali przytułki dla ubogich i bezdomnych. To ma użyźnić religję i użyźnić serca, które nie maiły się kwiatem.

Czego więc Zbawiciel dokonał swem Boskiem powołaniem, prostemi słowami i czynami, to chce filozof na tronie zdziałać listami, literaturą i wykładami filozofów; odnowienie i przebudzenie dusz ma nastąpić wskutek jego exhort i epistoł, które rozpisuje na wsze strony do swych towarzyszów po duchu i piórze. Jest w tem pyszałkowatość, a przedewszystkiem naiwność ludzka i literacka. Juljan niczego tak nie lubił, jak książki; pisał, że straszna miłość do książek od młodu nim władnie. Potem czyta i pisze życie całe, jako cezar w Paryżu, jako cesarz na tronie, a nawet w przededniu ostatniej swej wyprawy wojennej kuje złośliwy traktat na chrześcijan, aby rzucać na nich papierowe gromy i na śmierć ich zapisać. Ma on, jak prawdziwy literat, złudzenie, że książka za czyn starczy, że słowo jest zawsze nietylko żywem, lecz ożywiającem, że księgą, rzuconą pod koła wielkich idei, ludzkość można w ruchu powstrzymać. Z książek poczęły się w części jego aspiracje i w książkach jego pochowanemi zostały, które dziś czyta jedynie ten, kto badać chce wielkie ludzkie złudzenia i badać te słówka ustawione w szeregu, aby stanęły napoprzek wielkim myślom i prawdom, do których należało zwycięstwo i przyszłość.

Takiemi były aspiracje tego marzyciela i literata na tronie i taką ostatnia pogańska stanowcza reakcja; przysporzyła ona bogom wiele dymu z ołtarzy ofiarnych, wiele krwi z bydląt zarzezanych; dym opadł i krew ociekła, a na polu walki został tylko zwitek papierów, któremi cesarz ciskał w twarz Chrystusa. Św. Atanazy, wielki biskup ówczesny, mówił, że to chmurka, która wnet przejdzie. Przeszła ona prędzej, niż śmiano się spodziewać.

7.

Jesień i zimę w r. 362—363, która była ostatnią zimą jego życia, przepędził cesarz nie w Konstantynopolu, lecz

w Antjochji. Był ten pobyt etapą w wyprawie wojennej przygotowanej przeciw Persom.

Mogły tam Juljana rozmaite rzeczy przynęcać, bo Antjochja była centrem i ogniskiem tej syro-helleńskiej kultury, która w wiekach pierwszych cesarstwa przeważny wpływ na cały Zachód wywarła, kultury nie głębokiej, ale błyskotliwej i sprytnej, podsycanej sprytem żywiołu semickiego, który zabarwiał produkta ówczesnej literatury, szczególnie lżejsze rodzaje, jak feuilleton i szkic. Ze Syrji pochodził najzjadliwszy i najdowcipniejszy feuilletonista starożytności, Lukjan, z Antjochji historyk Juljana i najjędrniejszy dziejopis IV wieku, Ammianus Marcellinus, tu się urodził Libanios, retor i deklamator, pod którego wpływem Antjochja się stała jednym z głównych przybytków tego rodzaju wymowy. Mógł więc tam Juljan rachować na pewne sympatje, oddźwięk i zrozumienie. Ale z drugiej strony nie mógł zapominać, że Antjochja miała za sobą wielkie tradycje chrześcijańskie i była bardzo przeważnie chrześcijańskiem miastem. Stąd przecież znienawidzony przezeń Apostoł narodów przedsiębrał swoje podróże i tu pojawiło się po raz pierwszy nazwisko chrześcijan na oznaczenie wyznawców nowej nauki, tutaj wreszcie działał za Trajana wielki wyznawca, pisarz i męczennik, biskup antjocheński, św. Ignacy.

Pod pozorami lekkiemi wielkiej stolicy były tam już na dnie głębokie korzenie nowej wiary. Ale pozory były lekkie. Bo wielka metropola Wschodu, służąca za przystań helleńskich i różnorodnych wschodnich żywiołów, była miastem wystawnem i bawiącem się. Pod względem materjalnej cywilizacji przodowało ono całemu światu; wodociągi doprowadzały wodę do każdego domu, w nocy tysiączne światła latarń podniecały i oświecały spóźnione zabawy i hulatyki. Przytem sport i wyścigi roznamiętniały Antjochji mieszkańców. Było więc to miasto pełnego życia i używania, a ten motłoch cywilizowany i mniej cywilizowany, oddany zabawie, śmiejący

się do życia i z życia i gryzącym dowcipem wyszydzający bliźniego, dawał ton i nadawał piętno wielkiej wschodniej stolicy.

Naraz zawitał tedy do tej ludności młody jej władca i pan, z zamiarem, by odebrać hołdy poddańcze, nauczyć Feaków filozofji i wystąpić przytem jako apostoł zapomnianych i wzgardzonych bogów. Sam jego zewnętrzny wygląd zadziwił znów i rozśmieszył żartobliwych Antjocheńczyków. Ludziom, przyzwyczajonym do ostatnich władców, otaczających się majestatem i powagą namaszczoną, dziwacznym się wydał ten młodzieniec, przechadzający się ze świtą retorów i filozofów i bratający się z tym orszakiem; jeżeli brak wystawności ich zadziwił, to już wprost rozśmieszał wykwintne miasto jego wygląd zewnętrzny, jego zarost nieprzystrzyżony, pewien sport filozoficzny nieporządku, jakim cesarz chciał zaznaczyć swoje lekceważenie dla ciała, które jest tylko więzieniem i brzemieniem ducha, rwącego się do słońca i bogów. Wykwintni mieszkańcy Antjochji uważali to więzienie za dosyć wygodny pobyt i dbali o jego ład i strojność. Zaczęły się więc żarty i wydrwiwania, złośliwe wierszyki obiegały po mieście, a te strzały śmiechu bywają przecież niekiedy równie mordercze, jak gromy.

Na innem polu przyszło do poważniejszych starć i konfliktów. Że cesarz, który zastał w mieście skargi na drożyznę, ustanowił taryfę maksymalną dla towarów niezbędnych do życia, to było wypływem jego chwalebnej filantropji, ale rozdrażniło nań bankierów i dostawców. Poważniejsze zatargi wywołały religijne jego występy. Już podążając do Antjochji, pielgrzymował on w Azji Mniejszej do wszelkich starych pogańskich świątyń, odnawiał kulty, karcił zaniedbania, niepowściągliwie składał ofiary. Ta jego bigoterja zaczęła niebawem Antjocheńczyków wprawiać w osłupienie. Nie było dnia, żeby w uroczystym pochodzie nie udawał się cesarz do jakiej świątyni, żeby sam, własnoręcznie nie zarzynał ofiar na chwałę bogów.

Uganiano się za nim, aby go widzieć i uczestniczyć w tych dziwacznych spektaklach, a natręctwo gawiedzi, którą chciał budować, a która hałaśliwą swą asystencją mąciła jego dewocje, dawała mu się srodze we znaki. Był w Antjochji sławny gaj, zwany Daphne, czarujący przyrodą i przesycony pogańskiemi legendami. W środku znajdowała się dawna świątynia Apollina, który tu dawał wyrocznie. Tam tedy podążył Juljan w święto Apollina z szczególnem namaszczeniem. Myślał, że zastanie tłumy wiernych czcicieli dawnego boga słońca; jakież tedy było jego zdziwienie, gdy zoczył tylko jednego kapłana, dźwigającego gęś Apollinowi w ofierze. To go przepełniło goryczą, a jeszcze bardziej okoliczność, że Apollo, zapytany o radę, nie dał żadnej wyroczni, ani odpowiedzi. Tłumaczono boga milczenie tem, iż niedawno pochowano w gaju Daphne ciało św. Babylasa i znieważono tem święte miejsce. Juljan wogóle zarzucał chrześcijanom, że mnożą świętych, czczą nadmiernie ich groby i wszystko niemi zapełniają. Widok śmierci i grobu zamącał według niego i obrażał słońce i słoneczną religję. Przypomnieć warto, że jedno z rozporządzeń Juljana dotyczyło pogrzebów. U Rzymian i Greków chowano przeważnie umarłych nocami, podczas gdy Chrześcijanie grzebali za dnia swych współwyznawców. Ponieważ w pogańskich kołach zaczęto pod tym względem dopuszczać wyjątki, zwrócił się przeciw temu Juljan ostrym edyktem, zakazującym zwyczaj dziennych pogrzebów; bo dzień jest według cesarza olimpijskich bogów dziedziną, a widok śmierci kala promienne oczy Apollina. Teraz więc w Antjochji kazał cesarz wynieść ciało świętego z apollińskiego okręgu. Chrześcijanie się oburzyli i w uroczystym pochodzie przenieśli je przez miasto. Przyszło przytem do starcia z władzą, do oskarżań i procesów, które Juljana zohydziły wśród większości obywateli Antjochji.

Stosunek zaostrzył się mocno. Juljan nie chciał się z mieszkańcami Antjochji bawić, a oni z nim modlić, i cesarz

w wielkiej greckiej stolicy czuł się, mimo towarzystwa wiernych mu filozofów i retorów, znów osamotnionym. Samotności użył on na napisanie pamfletu na Antjocheńczyków, w którym rozprawił się z ich złośliwością. Literat na tronie uznał za stosowne na pióra polemizować ze złośliwością swoich poddanych. Bo literatem pozostał wszędzie i zawsze. Chociaż dowcip go nie odznaczał, rozprawił się on dawniej w zgryźliwej satyrze ze swymi poprzednikami na tronie cesarskim, teraz starł się w podobny sposób z poddanymi. W wolnych chwilach pisał wierszyki mało udatne, a niewiązaną mową bronił i sławił bogów, zniesławiał swych przeciwników. Miał on osobne dla Muz uśmiechy, a jeszcze bardziej na ich uśmiech był czuły i na poklask przyjaciół, pochwalających te prozy czy poezje od tronu. Jak tylu panujących, powołanych w pierwszym rzędzie do czynu, miał on wybitną słabość do pióra; wolał obcować z Muzami, niż z Egerją, a jak wiadomo, z takich wysokich stosunków nie miewają najczęściej Muzy wiele pociechy, ani zbyt dorodnego potomstwa.

Kiedy w marcu r. 363 Juljan opuszczał Antjochję, nadmienił cesarz, że za powrotem z wyprawy wojennej Tarsus w Cylicji, a nie Antjochję, obierze sobie za rezydencję. Obietnica ta spełniła się dosłownie, tragicznie, w innem jednak znaczeniu, niż o tem myślał sam Juljan.

W marcu wyruszył tedy Juljan na wielką wyprawę przeciw Persji, na walną rozprawę między Wschodem a Zachodem. Persja, albo Partja, była jedynem wielkiem państwem, z którem graniczyło rzymskie imperjum. W Apokalipsie jest mowa o rozdziale świata między te dwie przeważne potęgi Wojen tu było dużo, a szczęk broni na Wschodzie nie ustawał; chodziło o to, gdzie się ma kończyć rzymskie imperjum, czy nad Eufratem, czy też zajmować międzyrzecze, czyli Mezopotamję, i sięgać aż do Tygrysu. Kiedy państwo rzymskie w III wieku po Chrystusie znajdowało się w wielkim rozstroju,

równocześnie nastąpiło wielkie wzmożenie się i odrodzenie Partów. Nowa dynastja Sassanidów chciała odnowić dawne tradycje i znaczenie Achemenidów, Kserksesów i Darjuszów. Tem bardziej musiało przyjść do zderzenia między Zachodem a Wschodem. Wojny poprzedników Juljana nie rozstrzygnęły stanowczo tych sporów, nie zażegnały perskiego niebezpieczeństwa. Owszem, prowincja rzymska Mezopotamja była wtedy w części zalana, w części zniszczona przez Persów. Należało ją tedy oczyścić i pomścić zamachy wrogów.

Juljan szedł na tę wyprawę, jak tylu wielkich wojowników, popchniętych na Wschód, z dalekonośnemi planami. Majaczyło mu się po głowie podbicie Azji, zdawało mu się, że dusza Aleksandra weń wstąpiła, stawiał na kartę nietylko swoją egzystencję, lecz istnienie bogów Olimpu. Bo gdyby wyprawa się udała, byłoby to stwierdzeniem ich opieki i utwierdzeniem ich władzy. A przytem ten czciciel słońca szedł z ufnością i pewnością siebie na zajęcie Iranu, z którego przecież wiara Mithry i kult słońca wyszedł; z politycznemi więc planami plątała się religja i romantyzm. Krzyżowały się też z sobą różnorakie wpływy i natchnienia. Juljan był dzielnym żołnierzem i wodzem; pokazał to w wojnach z Germanami. I teraz jego talenta go nie opuściły, a w pomoc mu przychodziły rozmaite nabytki nauki i wspomnienia o dawnych wodzach i ich strategicznych pomysłach. Towarzyszyli mu na tej wyprawie uczeni i pisarze, filozof ulubiony Maximus, historycy Eutropius i słynniejszy Ammianus Marcellinus. Ale wróg był potężny i pole walki, wskutek trudności wyżywienia i trawiącego klimatu, dużo uciążliwszem. Juljan parł jednak naprzód z całą energją i siłą; filozofowie i wróżbiarze, których ze sobą prowadził, dawali mu rady i wskazówki. I z jasnym sądem wodza krzyżowały się ciągle jasnowidzenia wróżbitów i własne, przyćmiewając poglądy na rzeczywistość i prawdę.

Przeszedł w tych uczuciach i Eufrat i Tygrys, lecz do walnej bitwy nie przyszło. Kiedy wskutek trudności wyży-

wienia i zmęczenia wojska rozsądniejsi i trzeźwiejsi dowódcy przeparli swą wolę, aby nie postępować na wschód, lecz raczej ku północy się zwrócić, przyszło do utarczek z nacierającymi z tyłu Persami i w jednej z nich otrzymał Juljan ranę śmiertelną. Wielkie i heroiczne zamiary, dążące do przewrotu świata, obrócił wniwecz przypadek, który wysoce dramatycznej śmierci pozazdrościł bohaterowi wyprawy.

Przeniesiony do namiotu, na przemowach patrjotycznych i dyskusjach z filozofami spędził ostatnie chwile, aż przyszedł zgon 26 czerwca r. 363. Życzliwi mu pisarze porównywali tę śmierć ze zgonem Sokratesa i chcieli ją ubrać w podobne barwy; a przecież śmierć Greka była wielkim krokiem naprzód w dziejach i rozwoju ludzkości, zwycięstwem nowych pojęć i świtów, — zgon Juljana był tymczasem tylko epizodem w wielkim odwrocie bogów pogańskich, cofających się w mroki niebytu i zapomnienia.

Rzucono podejrzenie, czy oszczep śmiercionośny nie wybiegł z ręki chrześcijanina; późniejszy historyk kładł Juljanowi w usta przedzgonny okrzyk: »Zwyciężyłeś Galilejczyku!« I jedno i drugie jest zapewne legendą. Ale to pewnem, że Galilejczyk zwyciężył, że ze śmiercią tą zgasł prawie ostatni promień, srebrzący i pieszczący wierzchołki Olimpu. W Nisibis, mieście Mezopotamji, spotkał się z ciałem Juljana syryjski asceta i kaznodzieja, św. Ephraem, i widok ten natchnął go do hymnów, sławiących triumf Chrystusa. »Otóż jest ten — śpiewał on — który wstał przeciw Twemu imieniowi, a zapomniał, że prochem jest. I Bóg starł go na proch, by poznał, że jest próchnem«. Ciało odwieziono do Tarsus; patrzało na ten żałobny pochód z góry zaćmione słońce Mithry, a bogowie Homera mogli byli zapłakać nad nim i nad sobą. Historja, która lubi antytezy dramatyczniejsze od wszelkiej literatury, postawiła trumnę Juljana w Tarsus w Cylicji, obok kolebki największego siewcy Chrystusowego, wielkiego Apostoła narodów, św. Pawła.

VI

RZYMIANIE I GERMANIE

Z EPOKI SCHYŁKU PAŃSTWA RZYMSKIEGO

Wielkie imperjum rzymskie, najpotężniejszy twór polityczny wszystkich ludów i wieków, obejmowało ogromne przestrzenie od Szkocji na północy aż do pustyni afrykańskiej, od Atlantyku na zachodzie aż do Mezopotamji azjatyckiej. Trzy rzeki broniły głównie wrogom przystępu do wnętrza tych obszarów. Ren osłaniał je od wschodnich Germanów, Dunaj odgradzał rzymsko-helleńską cywilizację od północnego barbarzyństwa, a wreszcie na wschodzie Eufrat był działową rzeką między sferą ambicji politycznej Rzymu i rosnących w siły Partów. Wielkie te przestrzenie rzymskiego panowania słabo były jednak bronione. Bo przecie ku straży tak olbrzymich granic nie wystarczało 300.000 wojska, którem Rzym rozporządzał za Augusta, ani też nawet miljon ludzi, które Dioklecjan w początku czwartego wieku porozstawiał na krańcach ogromnego państwa. Nie zapewniały też bezpieczeństwa pasma i linje utwierdzone, które się ciągnęły i wznosiły na rozmaitych kończynach jako zapory przeciw najeźdźcom. Parcie barbarzyńców przełamywało częstokroć naturalne i sztuczne warownie; i w pierwszym już po Chrystusie wieku przelewały się co chwilę przez Ren fale Germanów, w drugiem zaś stuleciu obręcz Dunaju zaczęła trzeszczeć i pękać pod naporem

naciskających z północy barbarzyńców. Cesarz Marek Aureli walczył tak z markomańskimi najeźdźcami przez lat szereg i wśród tych znojów dokonał życia w północnym Wiedniu. Atoli właściwa wędrówka stanowcza północnych plemion na południe, te ruchy, które gmino-ruchami nazywamy, zaczęły się dopiero przy schyłku wieku czwartego i odtąd biły jak taranem w kruche i kruszejące powoli rzymskiej budowy głazy i spoidła. W r. 378 przegrał cesarz Valens pod Adrjanopolem bitwę z Gotami i stracił życie, a rok ten uznano powszechnie za przełomowy, zwrotny i zapowiadający proces konania głównej państwa rzymskiego połaci.

Dlaczego ci Germanie usiłowali gwałtownie wtargnąć w rzymskie dziedziny? Wszak niepodobna przypuścić, aby brak lub głód ziemi wypędzał ich w świat daleki, bo w Germanji nie było dotąd przeludnienia, a całe obszary ziemi czekały dopiero na ludzki trud i pracę. Jednak przy pierwotnem, ekstensywnem gospodarstwie kawałek gruntu, którego się należycie nie obrobiło, nie mierzwiło, wyjaławiał się prędko, a energji nie starczyło na osuszanie moczarów lub rudowanie nowych pobliskich polan, które mogły były zapewnić świeże i obfitsze plony. Wygodniej więc nieledwie było sięgnąć doraźnie po ponętniejsze, sposobniejsze grunta, które po stronie rzymskiej uśmiechały się do nowych przybyszów. Wszak w państwie rzymskiem liczne ziemie leżały odłogiem wskutek tego, że ludność nie rozmnażała się prawidłowo, że dalej często chłopi i dzierżawcy, którzy na latyfundjach rzymskich uprawiali pewne działki, opuszczali te łany pod obuchem podatków i innych ciężarów, które na nich nakładano. Prócz tego zaś materjalnego bodźca pędził do rzymskiego imperjum barbarzyńców prąd bardziej idealny, nęcił ich urok, który po wszystkie czasy cywilizacja i słońce na dzikie osobniki mglistej północy wywiera.

A więc koło r. 375 zakotłowało na granicy dunajskiej Rzymu. Słyszymy, że wtedy Goci pod naporem dzikich Hun-

nów, którzy ze swych siedzib nad Kaspijskiem morzem ruszyli ku zachodowi, przekroczyli Dunaj i wtargnęli do Tracji. Odtąd jednym ciągiem zaczęły się te najazdy ponawiać i ściągać do wnętrza państwa Gotów, Alanów, Wandalów, którzy coraz dalej wylewali się w kierunku południa i zachodu. Te wędrówki nie były jednak bardzo tłumnemi; zastępy germańskie, pojawiające się z kolei na ziemi rzymskiej, liczyły co najwyżej po kilkanaście tysięcy ludzi. Dziw więc prawie bierze, że dawne, zorganizowane państwo, nie oparło się zwycięsko tym ruchawkom, że nie umiało położyć tamy napaściom ludzi, którzy zapewne fizyczną siłą mogli górować nad Rzymianami, ale nie dorównali im ani organizacją, ani dyscypliną, ani wojennem wyćwiczeniem. Różne powody złożyły się na tę słabość Rzymu i niedomagania.

A naprzód to poczucie starczości, upadku, które wielokrotnie znajduje wyraz w literaturze schyłkowej Rzymu. Stwierdzano tu, że ludzie karłowacieją, że przyroda staje się nieurodzajną, że wszystko w niej maleje i drobnieje. O tym *mundus senescens* mówił n. p. obszerniej św. Cyprjan niejednokrotnie (*De mortalitate* 25; *Ad Demetrianum* 3). Takie poczucie wypływa niewątpliwie z jakiegoś upadku duszy, a beznadziejnością wątli wszelki wysiłek i postęp. Prócz tego moralnego zwątpienia, inne, bardziej dotykalne i określone przyczyny wytwarzały brak siły i oporności w ówczesnem imperjum i społeczeństwie. Przedewszystkiem dawna spoistość państwa coraz bardziej słabła i luźniła się. W pierwszym rzędzie powstawał na polu religji zamęt i rysować się zaczęły wśród mieszkańców państwa głębokie, zasadnicze różnice. Do dawnych bogów przybywali coraz nowi ze Wschodu; a ta mieszanina wiar osięgła już w trzecim wieku ogromne rozmiary. Naprzód bożyszcza Egiptu, potem zaś perskie bóstwo słońca, Mithra, zaczął Jowisza wypierać z przeważnego i centralnego stanowiska. A ponadto ujawniło się w religijnej dziedzinie niebawem najwięcej zasadnicze przeciwieństwo między pogaństwem

i nową chrześcijańską wiarą, która w końcu trzeciego wieku szerokie już zataczała koła i wpływy. Świat tedy dzielić się zaczął na dwa obozy, przejęte bardzo odmiennemi poglądami na życie; kiedy też zwykłe lub nadzwyczajne ciosy spadały na ludzkość, poganie przypisywali to gniewom bogów swych coraz bardziej upośledzonych, chrześcijanie zato, wyrzucając bałwochwalcom, iż trwają upornie przy dawnych wierzeniach, twierdzili, że kary boże słusznie spadają na trwające w obłędach społeczeństwo. Zbladło znaczenie Jowisza kapitolińskiego i przygasł też majestat dawnej stolicy, Rzymu. Tę detronizację Rzymu jako stolicy świata utwierdza ostatecznie wzrost Konstantynopola w początku czwartego wieku. Nowy gród zwrócony jest ku Wschodowi, który w pojęciach i wierzeniach teraz przeważną odgrywa rolę, a z wzmożeniem się potęgi Partów wielkiem wciąż Rzymowi zagraża niebezpieczeństwem. Od Hadrjana czasów przydawano jednak Rzymowi przydomek: *aeterna;* sławiono teraz jego świetność i nieśmiertelność, jakby już poezja zamierzała złocić gasnące blaski i słowem zażegnywać grożący upadek. Bo od Dioklecjana, t. j. od końca trzeciego wieku, państwo nawet administracyjnie rozpada się na kilka działów, jeden cesarz rządzi Zachodem, drugi Wschodem. Następnie w czwartym wieku mamy wprawdzie jeszcze próby łączenia całej władzy w jednem ręku; w piątym atoli, po Teodozjuszu, podział na zachodnie i wschodnie cesarstwo ustala się stanowczo. Państwo zachodnie ma za sobą cały urok historycznej wielkiej przeszłości; wschodnie tymczasem obejmuje dziedziny starych kultur, a czerpie nową barbarzyńską siłę głównie w Illyricum, złożonem z Moesji i Dacji i innych krajów naddunajskich. Stąd pochodzili, jak wiadomo, w trzecim już wieku i następnych dzielniejsi władcy; Sirmium, dzisiejsza Mitrowica słowiańska, była macierzą bardzo wielu cesarzy.

A obok tych rozdwojeń, rozłamów moralnych i politycznych walniej jeszcze się przyczyniło do upadku Rzymu

i państwa zwątlenie ducha wojskowego i wojska. Piersią swoich italskich obywateli parł przez długich lat szereg Rzym naprzód i tą piersią zasłaniał następnie kraj swój od wrogów. Legjony za republiki zasiłały się przeważnie młodzieżą w Italji urodzoną. Ale za cesarstwa z biegiem czasu stosunki zmieniły się zupełnie. Odkąd Hadrjan rozporządził, że legjony z prowincyj, w których stoją załogą, miały się uzupełniać lokalnie, krok pierwszy był zrobionym w kierunku zaniku italskiego żywiołu w legjonach. Italja odzwyczajać się zaczęła stopniowo od służby wojskowej; a cesarze nawet niechętnie przyjmowali stąd ludzi do szeregów, bo mniej ufali Italczykom, jak półbarbarzyńskim niekiedy obywatelom z prowincyj. Słusznie powiedziano, że cywilizacja zaczęła teraz uwalniać poniekąd od służby wojskowej, a państwo oddało się w opiekę podbitych barbarzyńców nad Renem i Dunajem. Pierwszy krok do zbarbaryzowania armji rzymskiej był już w ten sposób zrobionym; żołnierzy pobierano jednak jeszcze przynajmniej z ludzi przynależnych do państwa rzymskiego, z żywiołów mających prawa obywatelskie Rzymu. Niebawem jednak przestano się zatrzymywać na tej pochyłości. Zaciąg w granicach państwa nie dostarczał wkrótce dostatecznych kontyngentów; wielkie obszary tu były wyludnione, inne zajęte przez latyfundja bogatych senatorów, którzy rozdzielali je między dzierżawców, *coloni*. Na tych tedy coloni chciał narazie wielki organizator Dioklecjan oprzeć siłę wojska rzymskiego i ducha jego odrodzić. Tymczasem zamiary te zawiodły. Bo tych coloni liczba malała stopniowo, skoro ucisk podatkowy, rosnący przy ówczesnem pomnożeniu liczby urzędników (*plus accipientium quam dantium*, mówił Lactantius, *De mortibus persecutorum* 7), dawał się krwawo we znaki, a ugniatały nadto więzy, które właściciel na swych dzierżawców nakładał; wielu z nich opuszczało swe stanowiska [1]. Tych zaś, którzy pozo-

[1] Uciekali oni często do barbarzyńców, wśród których woleli ubogą wolność, niż udrękę podatkową w państwie rzymskiem; por. Orosiusa

stali na miejscu, wszelkiemi sposobami, jak wykupem pieniężnym, wielcy właściciele uwalniali od poboru, aby przecie ziemi nie ogałacać zupełnie z przerzedzonych i tak pracowników. Za cesarstwa osadzano też wcześnie na opuszczonych gruntach granicznych od północy i zachodu Germanów, sprowadzanych z poza Dunaju i Renu; już w trzecim wieku pracowali wszędzie tacy koloniści po kresowych prowincjach. Mieli oni tam uprawiać ziemię osierociałą i zarazem strzec jej przed najazdem wrogów. Z biegiem czasu utwierdził się wskutek tego coraz bardziej obyczaj, że wśród niepodległych Germanów pobierano zasiłki dla rzymskiego wojska, opierając całe bezpieczeństwo państwa na tym silnym, a jednak tak niepewnym żywiole. Już Marek Aureli w drugim wieku uzupełniał swe hufce przez zaciągi wśród niepodległych Germanów. W końcu zaś czwartego wieku, za Teodozjusza, proces ten jest w pełni dokonanym, wojsko jest zupełnie zbarbaryzowane (Zosimos 4, 30), tak, że nawet skarb wojskowy nazywają przeważnie *fiscus barbaricus*. Wobec gnuśniejącego Italczyka i wskutek wyludniania się państwa rzymskiego zwrócono pożądliwe oczy na siłaczy północnych, upatrując w nich rękojmię pracy na roli i walki za ziemię. Już poeta Lucanus mówił, mając na myśli miękkość cywilizacji epoki cesarskiej, o plemionach północy, »których z trwóg największa strach śmierci nie ugniata...« Teraz sile germańskiej zaufano prawie wyłącznie i oddano się w opiekę. Więc Germanie mieli Rzym i państwo bronić przed innymi pobratymczymi Germanami. W szeregach rzymskich rozbrzmiewały odtąd pieśni germańskie, ów *barditus*, okrzyk wojenny, który od pomruku poczynając przybierał następnie na pełni i dźwięku. Słyszano

Hist. 7, 41, 7: *Romani qui malint inter barbaros pauperem libertatem quam inter Romanos tributariam sollicitudinem.* Niejeden przystąpił może do band chłopskich, które od trzeciego wieku pod nazwą *Bagaudae* buntowały się często nietyle przeciw panowaniu rzymskiemu co przeciw rządom rzymskich panów.

go za Juljana Apostaty wśród zastępów cesarskich pod Strassburgiem, a kiedy w końcu czwartego stulecia Germanie najeżdżali granice państwa rzymskiego, rozbrzmiewały u najeźdźców germańskich pieśni sławiące przodków, a w obrończem wojsku rzymskiem ów wspomniany *barditus* (Ammianus Marcell. 31, 7, 11). Zaś na piosenkach rzecz się nie mogła skończyć i inne poważne sprowadzić musiała niebezpieczeństwa.

Już to, że wojska owe, które Rzym wtedy wysyłał ku swej obronie, były zbyt drobne, nieliczne, zawierało w sobie zarzewie niepowodzeń. A większych armij państwo utrzymać i na jednem miejscu wyżywić w końcu czwartego i w ciągu piątego stulecia nie było już w stanie. Pieniądz, do którego dodawano przymieszkę lichego kruszcu, przynajmniej w połowie, tracił na wartości i sile nabywczej. W wojsku tedy i innych zakresach musiano uiszczać żołdy i zapłaty w naturze, zaczynała się tak gospodarka naturalna, która odtąd miała trwać przez szereg stuleci. Otóż dla wojska licznego zapasów naturalnych na jednem miejscu gromadzić nie można; gospodarka ta wyklucza więc liczniejsze armje. Toteż widzimy, że przeciw Germanom wystawiano hufce niewystarczające i narażano się półśrodkami na ciągłe klęski i przegrane. Lecz i w samem wojsku obcego pochodzenia kryły się licznych niebezpieczeństw posiewy. Któż bo mógł być pewnym tych zastępów, zaręczyć, że nie zbuntują się przeciw państwu. W początkach piątego wieku przemawiał grecki retor Synesios przed cesarzem Arkadjuszem, ostrzegając, by z wilków nie robić pasterzy, Gotom, którzy do służenia nie do rozkazywania się nadają, nie przysparzać znaczenia w wojsku, wreszcie, aby Rzymian wychować ponownie na rycerskich ludzi. Słowa te świadczą o jasnem zrozumieniu położenia. Wśród Germanów wybijali się książęta i wybitni ludzie na przewodnie w państwie rzymskiem stanowiska; zostawali jenerałami, ministrami wszechwładnymi, jak n. p. Wandal Stilicho za Honorjusza i potem tylu innych. Któż tedy mógł ręczyć, że w ich duszach nie zrodzi

się instynkt nienawiści przeciw Rzymowi, poczucie rodzimej siły wobec wątłego starczego otoczenia? Kiedy ci przewodni i przemożni ludzie spostrzegli, że mają przed sobą i nad sobą osobistości marne, niedorosłe do rządu, zaczęli oni strącać cienie cesarskie w nicość, a sami stawali u steru siły i władzy. To, co się dzieje za Stilichona, było przygrywką do późniejszego aktu rewolucyjnego Odoakra, który ostatniego przedstawiciela nikłego cesarskiej godności w Rzymie przeniósł w stan spoczynku, a musiało następnie doprowadzić do królestwa Teodoryka, który w r. 493 utwierdził panowanie Ostrogotów w Italji ze stolicą Rawenną. Dłoń rzymska, italska, nie dzierżyła już broni i nie prowadziła lemiesza; dłoń taka nie ma wartości w historji i musi z historji ustąpić.

Tak wielkie jednak przewroty i zasadnicze nie były pierwotnie zamiarem tych Germanów, którzy się na wędrówkę południową, na tak zwane gmino-ruchy puszczali. Ich uczucia są dziwnej natury, w każdym razie nie sięgały one zbyt daleko. Germanie szli na południe, bo się spodziewali tam gruntu i mienia, ale nie myśleli bynajmniej walić cesarstwa, owszem zamierzali niejednokrotnie poprzeć je swą siłą. Oni dostarczyliby chętnie Rzymowi żołnierza, biorąc zato grunta, a tymczasem rząd, prawodawstwo i władza miały pozostać przy cesarzach i Rzymianach. Pojęcie cesarstwa posiadało jakiś osobny urok u barbarzyńców, wydawało się ono czemś świętem, nietykalnem. Kiedy Athanarik, książę Wizygotów, przed którym niegdyś drżał cesarz Valens, przybył do Konstantynopola, mówił on, że cesarz jest bez wątpienia bóstwem na ziemi. Alaryk, idąc w początku piątego wieku na Rzym, chciał z cesarstwem nawiązać stosunki sprzymierzeńcze, ofiarować mu swoje usługi. Got wreszcie Athaulf zamierzał rzekomo, według świadectwa Orosiusa (7, 43), zarzuciwszy do

tychczasową nieprzyjaźń, siłami swojemi dawną rzymskiego państwa świetność przywrócić *(gloriam de restituendo in integrum augendoque romano nomine Gothorum viribus comparare)*. Prawda, że ten Athaulf był pozyskany dla Rzymu, bo ożenił się nawet z Placidją, siostrą cesarza Honorjusza. Wogóle pewien nimbus otaczał w umysłach barbarzyńców instytucję cesarstwa, trzymał na uwięzi ich wyobraźnię i tłumił ich gwałty. Got Jordanis mówił w swojej kronice: *respublica* (t. j. państwo rzymskie) *totum paene mundum subegit et hactenus vel imaginarie tenet.*

Lecz mimo pierwotnej woli Germanów stosunki miały inaczej się ułożyć. Barbarzyńska gwałtowność, ułagodzona nieco majestatem państwa, budziła się co chwila. To, co było cieniem władzy, choćby bardzo czarownym, musiało ustąpić miejsca silniejszym, jędrniejszym żywiołom, a z wiotkich rąk opadał ster i przechodził w dłoń miecz dzierżącą i bardziej żylastą. Alaryk zajął i pustoszył chwilowo Rzym w r. 410, a w r. 455 ograbili go Wandale. Od r. 455 do 476 jeszcze ośmiu cesarzy przesunęło się na czele państwa; germańscy królotwórcy osadzają ich na tronie i strącają z niego, aby posyłać upadłych dostojników na prałatury lub w ciemną odstawkę. I w r. 476 przeniósł tak germański Odoaker ostatniego zachodniego cesarza w stan spoczynku i zapomnienia, wyznaczywszy mu 93.000 franków rocznej emerytury. Wielki przełom historji kończy się bez łoskotu i powagi tragicznej, bo ofiary przełomu nie były dramatyczne i do dramatu nie dorosły.

Takie tedy były uczucia Germanów. A jakie wrażenia budzili oni w mieszkańcach i obywatelach rzymskiego imperjum? Wogóle powiedzieć można, że sądy Greków i Rzymian rzadko w pełnej mierze doceniały niebezpieczeństwa polityczne, które z tej strony groziły, w określeniu zaś własności i charakteru północnych plemion były raczej pochlebnemi, a często stronniczemi rozmyślnie. Widział to niebezpieczeństwo germańskie Tacyt, lecz z niezgody germańskich szczepów na-

bierał otuchy co do Rzymu przyszłości; następnie cesarz Julian Apostata (Amm. Marcell. 21, 10, 8) piętnował pamięć Konstantyna Wielkiego za to, że barbarzyńców do wysokich urzędów i konsulatu przypuszczał. Wreszcie Synesios, słynny wielbiciel Platona i biskup z Ptolemaidy, w początku piątego wieku ostrzegał cesarza Arkadjusza przed zagęszczaniem się Germanów w wojsku i urzędzie. Przeważa jednak w sądach o Germanach jakiś ton spokojny, pobłażliwy, a często nawet prawie pochwalny. Już Tacyt, pisząc swoją *Germanję*, stawiał do pewnego stopnia zwierciadło pewnych cnót dla swych ziomków. Uderza też nas w czwartym już wieku łatwość, z jaką ambitniejsi synowie północy dochodzą do znaczenia w Rzymie, zdobywają sobie przyjazne stosunki i poszanonie. Mimo że odczuwano niekiedy pewną wzgardę dla niższej cywilizacji, pewien wstręt fizyczny do Germanów, którzy rzekomo cuchnęli (Salvianus, *De gub. dei* 5, 5, 21; Sidonius Apollinaris *Carm.* 12, 7), widzimy około r. 400 wybitniejszych Germanów obcujących zupełnie jako równi z równymi z osobistościami, stojącemi na świeczniku w społeczeństwie rzymskiem. Toć Wandal Stilicho doszedł za cesarzy Teodozjusza i Honorjusza do wszechwładnego stanowiska w rządzie, był zięciem jednego cesarza i stał się teściem następcy, a poeta rzymski Claudianus nie znajdował dosyć słów, aby go wysławić i uwielbić. Najsłynniejszemu retorowi czwartego wieku w Grecji, Libaniosowi, starczyło natchnienia na chwalbę rozmaitych germańskich wielkości; nawet święty Augustyn napisał panegiryk ku czci Germana Flawjusza Bauto, który kierował cesarzem Walentynjanem drugim, a w r. 385 piastował konsulat. Poganie więc i chrześcijanie składali hołdy wybitnym Germanom; dla plemion germańskich mimo jakieś pobłażliwe wyrozumienie, graniczące niekiedy z podziwem. Tacytowska nuta pobrzmiewała także w późniejszych świadectwach. Św. Augustyn n. p. w dziele *De civitate* (3, 29) porównywa najazd Gotów na Rzym z napadem Gallów przed wiekami i powiada,

że Goci poczęli sobie wiele łagodniej. »Darowali życie tylu ludziom, że aż dziw zbiera, iż wogóle kogokolwiek zabili« [1]. Najdalej zaś poszedł w tym kierunku pewnego uwielbienia kapłan chrześcijański, Salvianus, którego dzieło *De gubernatione dei* powstało między r. 439 a 451. Chce on dowieść Rzymianom, że na wszystkie klęski, które spadły na nich w ostatnich czasach, obficie sobie swem zepsuciem zasłużyli, że germańscy najeźdźcy wolnymi byli od takiego znieprawienia i nadawali się na narzędzie kaźni w ręku Boga. Wobec wyuzdania Rzymian podnosi ten pisarz ciągle rzekomą czystość obyczajów, wstydliwość czyto Gotów, czy Wandalów, igrzyskom, przepychowi rzymskiemu przeciwstawia barbarzyńców prostotę. Szczególnie jaskrawo maluje on zepsucie Galji, mianowicie Akwitanji na południu, Afrykę zaś przedstawia jako zlew i zbiorowisko wszelkiej rozpusty. Rozpadaniu się państwa towarzyszy rozpadanie się wszelkich zasad etycznych i jest tamtego wypływem — *adsiduitas calamitatum augmentum criminum.* Cały świat rzymski grzęźnie w klęsce i rozpasaniu *(et miser est et luxuriosus, De gub. dei* 6, 13 i 7, 1). Kiedy rzeczywistość ociekała nieszczęściem i tragedją, namiętność do przedstawień teatralnych wzmogła się u mieszkańców państwa aż do zapamiętania.

Salvianusa głos i inne objawy świadczą o tem, że mieszana ludność państwa na jędrną nienawiść już się nie zdobywała, a potrochu też na patrjotyzm; swoją drogą zaznaczyć należy, że pismo Salvianusa było tendencyjnym pamfletem, wychodzącym z tezy i tej tezy broniącym. Autor ten, podobnie jak inni pisarze chrześcijańscy, wysilał się, aby wykazać, że bogowie pogańscy nie chronili bynajmniej Rzymu przed wielkiemi nieszczęściami, że owszem za pogańskich czasów ludzkość srogich doznawała plag i ciosów; w przeciwieństwie

[1] Podobnie natchniony przez Augustyna Orosius wyraża się w swych *Historjach* 7, 39 z pewnem uznaniem o postępowaniu Gotów w Rzymie w r. 410.

do pogańskich pisarzy, którzy walczyli argumentem, że zaniedbane i zagniewane bóstwa zsyłają teraz na ziemię ciężkie doświadczenia, usiłowano dowieść, że dawniej nie bywało lepiej, a w nowych czasach bynajmniej gorsze dopusty nie nękają świata. Przytem trzeba brać i to pod uwagę, że wielka część najeźdźców germańskich była chrześcijańską, chociaż przeważnie wyznawała naukę Arjusza, która na Zachodzie była potępiona.

Tymczasem mimo tych ułud, iż ludzie w swej przyrodzonej uczciwości pozwolą żyć dalej mniej więcej tak samo, jak się żyło, fakta doniosłe świadczyły, że coś kona, zmienia się w dziejach, że nastąpił przełom w życiu i historji. I fakta te nie mogły przejść bez głębokiego wrażenia na duszach nawet letnich, wiecznie chcących nie widzieć i nie dopatrzyć grozy, a tem głębszem echem odbiły się w sercach gorących.

Więc św. Ambroży, pisząc może koło r. 378, kiedy Gotowie wkraczali na południe, nekrolog brata swego, Satyrusa, »wśród ogromnej trwogi, gdy wszystko wskutek zamieszki barbarzyńców jest w zawieszeniu«, błogosławił zgon, wyzwalający zmarłego z tych udręczeń. Potem po roku 400 wyprawy Alaryka na Italję zaniepokoiły wszystkich. Dużo ludzi uciekało na południe, do Afryki, a nawet chroniono się do Palestyny przed barbarzyńską nawałą. W pieśni pogodnego poety Paulinusa z Noli, śpiewającego i skowronkującego w Kampanji na cześć św. Feliksa, odezwały się dźwięki grozy, przestrachu, wreszcie triumfu, kiedy Stilicho w r. 406 zatrzymał narazie dzikich hufców postępy. A potem nastąpił straszny rok 410, w którym bandy Alaryka Rzym zajęły i przez trzy dni paliły i plądrowały. Od lat 800, od napadu Gallów, drugi raz teraz obcy pogromca wtargnął do miasta wiecznego. Wrażenie w całym świecie było ogromne, przekonano się, że zegar historji zaczyna wybijać godziny zapowiadające tę ostatnią, która zabija.

Św. Augustyn w Afryce odczuł to pohańbienie Rzymu całą głębią swych uczuć i wziął się niebawem do pisania,

przedstawiającego przyczyny nieszczęść, wielbiącego to państwo Boże, które w chrześcijaństwie ma swój zakon i podwaliny, a ostać się zdoła wśród ruin i przetrwać wszelką pożogę. Ale dusza nie drgała mu tylko pragnieniem i nadzieją nowych form i rozwojów, lecz i boleścią nad klęską Rzymu i tem, co w pogromie zginęło; tem bardziej piętnował on tych uchodźców ze stolicy, którzy aż do Kartaginy zbiegli, aby tu po teatrach szaleć za aktorami i aktorską sztuką *(De civ. dei* 1, 32—33). Równocześnie w wielu umysłach groza położenia wywoływała strachy, że koniec świata — *excidium mundi* — się zbliża, i myśli te znalazły odgłos w listach św. Augustyna, który wśród rozpaczań nawoływał do hartu i wytrwania.

Kiedy w tym samym czasie do pustelni betlejemskiej doszły wieści o poniżeniu i sponiewieraniu Rzymu w r. 410, odzywał się św. Hieronim w listach pełnych smutku, że »świat się zapada«, że Rzym zniszczony jest »grobem ludu rzymskiego«. Ta straszna wieść ze zachodu — *terribilis de occidente rumor* — iż miasto wieczne stało się łupem barbarzyńców, napełniała duszę drżeniem i głęboką żałobą (Por. listy Hieron. 127, 128, 130). I nawet pod pióro Salvianusa, który przecie z tendencyjnym optymizmem łagodził przeciwieństwa między Germanami i Rzymem, cisnęły się niekiedy skargi na pogrom i upadek świata *(De gub. dei* 4, 4 i 6, 8). Bo w piątem stuleciu zawisły coraz czarniejsze chmury nad imperjum. Po r. 400, kiedy Stilicho na obronę Italji ściągnął wojska z zachodnich prowincyj, zaczęły się tem ośmielone fale Germanów przelewać przez Ren na Zachód bezbronny. Tutaj też niebawem zawiązywały się nowe państwa germańskie, całe krainy odkruszały się od ciała państwa: Alanowie, Wandalowie, Burgundzi zajmowali Galję, Wizygoci sadowią się w Galji i Hiszpanji, nareszcie Wandalowie w Afryce, Św. Augustyn dożył w swej diecezji tego najazdu i w r. 429 dodawał odwagi swym owieczkom w oblężonej Hipponie. Kiedy zaś w r. 431 wielki myśliciel chrześcijański umierał, Afryka

stawała się już ofiarą i dziedziną przemocy barbarzyńców; wśród złomów cywilizacji, na której się wykształcił i którą mimo wszystkiego pokochał, przyszło mu rozstawać się ze światem. Boleść i troska była tem krwawszą, ponieważ w wielkich umysłach chrześcijańskich żyło przekonanie, że imperjum rzymskie dlatego tak dalekie zapuściło zagony, aby przygotować glebę pod posiew ewangelji. Z upadkiem rzymskiego cesarstwa załamywało się rusztowanie, na którem wielcy mistrze nowego zakonu opierali swą budowę, ową *civitas dei*, która miała być dopełnieniem i światłem królestwa tej ziemi i wypełnieniem nauk i przyrzeczeń Chrystusowych.

Około połowy piątego wieku, pośród ogólnej zamieszki, grasował po Europie obok Germanów szczep mongolski jezdnych Hunnów, którzy na zwykłych śmiertelników zupełnie zwierzęce czynili wrażenie. U ludzi epoki znać odrazę fizyczną i moralną do tego plemienia (Amm. Marcell. 31, 2), które pod Attylą się wzmogło i ze śmiercią jego ustępować zaczęło z widowni. Później germańscy Wandale zaczęli uchodzić za wcielenie wszelkiej dzikości. Bo u Germanów, którzy, według zdania starożytnego geografa »prawo na sile opierają«, dochodziły powoli dzikie instynkta nad czcią dla starego i słabego Rzymu do głosu, przypominało im się, że Rzym nie jest tylko *Roma aeterna*, lecz i *Roma aurea*, obiecującą obfite złotych skarbów zdobycze. W r. 410 złamały zastępy Alaryka czar, wstrzymujący barbarzyńców od bram stolicy. Niebawem, w r. 455, grabili Wandale Genseryka wieczne miasto przez dni czternaście. I nie było to ostatnie w tem stuleciu spustoszenie. Germanie, którzy w tych czasach tak często znajdowali się na przewodnich, szczególnie wojskowych w cesarstwie stanowiskach, mogli łatwo nadużyć swej władzy, poczuć w sobie wezbranie nienawiści do gnębicieli narodów Romy, odgrywać rolę nieomal wallenrodyczną; już Stilichona podejrzywano o takie zdradliwe zamiary i w r. 408 poniósł on śmierć wśród przelotnej antygermańskiej reakcji. Później wybił się na prze-

możne stanowisko wojskowe w Rzymie Swewijczyk Rycymer. On to tworzył i zwalał z kolei cesarzy upadającego Rzymu. Kiedy zaś w roku 472 poważnił się z cesarzem Anthemiusem, obróciły się jego germańskie roty na stolicę, która wtedy doznała trzeciego w piątym wieku pogromu z ręki Germanów [1]. W cztery lata później nastąpił ostateczny upadek zachodniego cesarstwa [2].

Państwo, którego męże nie zdobywali się na służbę i odwykli od miecza, na którego czele stawały jako władcy dzieci niedorosłe, ulegające wpływom kobiet, i mężczyźni niemęscy, musiało ustąpić jędrniejszej, świeżej, barbarzyńskiej sile muskularnej. Wśród łoskotu walącego się świata jedni bawili się nazabój, aby zgłuszyć w sobie wszelkie wyrzuty, czy strachy; inni z obojętnością bezkrwistą marnieli na gruzach. Inni znowu uciekali od świata ginącego, w którym czuli się obcymi i który za obcy sobie ogłaszali, aby w odosobnieniu lub pustelni przepędzić życie. Klasztory i anachoretyzm zaczęły w piątym wieku krzewić się na dobre. Rok 476 pogrzebał i usunął zachodnie państwo i obdarł ostatecznie z tylowiecznego znaczenia dawną świata stolicę.

Ale myśl o imperjum nad światem koniec ten przeżyła. Św. Augustyn stawiał w pierwszych dziesiątkach piątego wieku (413—426) obok marniejącego miasta i państwa wielką *civitas dei*, państwo Boże, twór ideowy i idealny, który miał ludzkim państwom służyć za wzór, wyrzut i zwierciadło. Tę civitas dei usiłowała później naśladować i urzeczywistnić naj-

[1] W szóstym wieku, w r. 546, miało miejsce najokropniejsze spustoszenie Rzymu przez Ostrogotów pod Totilasem. Czwarte to z rzędu i najdotkliwsze.

[2] Już po napisaniu niniejszej pracy omówił wrażenia upadku Rzymu na współczesnych Geffcken w artykule: Stimmungen im untergehenden Weströmerreich, ogłoszonym w Neue Jahrbücher, XXIII 6/7. Znam ten artykuł ze streszczenia, bo praca ta ugrzęzła, jak tyle innych wysłanych do Krakowa książek gdzieś w rękach opieszałych urzędników. Czy to byli pruscy urzędnicy??

większa, uniwersalna nad duszami monarchja, Kościół katolicki. Prócz tego i w świeckim zakresie odżywały ciągle marzenia o rządzie nad światem i u Karola Wielkiego i u Hohenstaufów i u Napoleona, a nawet u najmniej do takiego posłannictwa powołanych Hohenzollernów. Marzenia te objawiały się u cesarzy i carów, którzy od Cezara urobili nazwisko, i w królach i kralach, którzy Karola Wielkiego nazwę uwieczniali w tytule. Potomkowie mianowicie tych, którzy państwo rzymskie zburzyli, przejęli się najbardziej jego dążeniami i najczęściej i najdłużej usiłowali podobne budowy wskrzeszać i służyć hasłom zaborczym i zachłannym. Ale nato, aby zawładnąć wielkiemi odłamami ludzkości potrzeba albo siejby Chrystusowej, albo potężnego genjusza człowieka; powszednia i tuzinkowa ambicja, romantyczne i chorobliwe zachcianki politycznych dorobkiewiczów, które pną się zbyt wysoko, rozbiją się o rzecz większą, niż pyszałkowatość jednego plemienia lub duma pospolitego księcia, o prawa narodów, które są wypływem przyrodzonego i boskiego porządku i zakonu, a stwierdzić mają na ziemi, że jest więcej mieszkań u Pana i to nietylko w niebiosach.

VII

GŁOS ŻYWY I SŁOWO NIEŻYWE
W STAROŻYTNOŚCI I DZISIEJSZYM ŚWIECIE

Kiedy z dzisiejszego społeczeństwa i państwa, w którem pisanie tak ogromną gra rolę, w którem pióro chce kierować czynami i wysunęło się niemal na stanowisko głównej sprężyny w rządzie i administracji, przeniesiemy się wzrokiem i myślą w odległe wieki, w dziedziny państw starożytnych, uderzy nas zasadnicza pod tym względem odmienność ich ustroju, przekonamy się stanowczo, iż to rozpanoszenie się pióra jest nowszych czasów nabytkiem, że w starożytności przeważało słowo żywe w wielu zakresach, z których dziś je martwa wyparła litera. Człowiek nowożytny nie może sobie wystawić machiny państwowej bez tysięcy biur i siedzących za niemi pisarków; Sparta tymczasem nie miała ani kancelarji państwowej, ani pisarza urzędowego na swoje usługi. W nowożytnem państwie spiętrzają się z dniem każdym coraz wyższe stosy dokumentów, archiwów, zawierających często martwe i nieżywotne piśmidła, służące bezmyślnym potomkom ich autorów natchnieniem do równie bezmyślnych wytworów. W starożytności tymczasem pamięć ludzi często zastępowała archiwa; w różnych państwach greckich spotykamy urzędników, opatrzonych tytułem *mnemones*, którzy w swej pamięci utrwalili i przekazywali następcom układy

i zarządzenia przeszłości. To, co dzisiaj nieme pismo roznosi po biurach, urzędach i całym kraju, rozbrzmiewało w państwie starożytnem głosem heroldów, obwieszczających po rynkach, ulicach i wiejskich nawet ustroniach wolę rządu i nakazy. Znaczenie i przewaga żywego głosu w państwie starożytnem ujawnia się również w tem, że od mężów politycznych żądano w pierwszym rzędzie wymowy, a ludzi przewodnich w państwie wprost mowcami, retorami zwano. Mowcy i w Atenach i w Rzymie wybijali się na kierujące stanowiska, a ludzie bez daru słowa skazani byli na bierność lub podrzędne działania. Żywy głos był wreszcie głównym środkiem w starożytności do szerzenia i udzielania sobie potocznych wiadomostek. U nas załatwia to przeważnie druk i rozwielmożniona prasa, której potęgi ani wszechwładztwa starożytność nie znała. Dlatego wieści, pogłoski tak wielkie miały u ludów klasycznych znaczenie, że aż w bóstwa osobne wcielano ich potęgę; Ossa występuje u Homera, Feme u Hezjoda, Fama z atrybutami boskiemi u Rzymian. Ustna wiadomość obiegała miasta i sioła i w miarę szerzenia się, stroiła się w coraz nowe rysy i często urojone szczegóły. Przynoszono ją na towarzyskie zebrania i uczty, które wskutek tego większą miały doniosłość, niż w dzisiejszych czasach. Były one jednym z głównych życia i współżycia objawów i dlatego Rzymianin nazwał je *convivia*, przypisując im niemałe społeczne znaczenie. Żywy głos we wszystkich wspomnianych zakresach spełniał zadania, w których dziś nieme pisanie i czytanie się rozwielmożniło.

Po tych ogólnych uwagach, które nam uwidoczniły przedział wieków i zasadnicze między starożytnością i nowszemi czasami różnice, przypatrzymy się szczegółowo uprzywilejowanemu stanowisku, jakie słowo wobec cichej myśli w starożytności dzierżyło. A zaczniemy od myśli samej.

* * *

Człowiek nowoczesny i człowiek północy mówi mniej od ludzi południa, którymi byli i Rzymianie i Grecy. Jest on bardziej zamknięty w sobie, nie ujawnia ani wszystkich tajni, ani zawikłanych procesów i walk swego wnętrza, uważa zbytnią gadatliwość za rys raczej dziecięcy lub prostaczy. Grek starożytny natomiast zbliżał się pod względem wielomowności raczej do dziecka żywego i nie cofał się przed odsłanianiem wszelkich zarodków i rozwojów swej myśli. Plato nazwał przecie myśl rozmową ze samym sobą, a jako rozmowa występowała też ona niewątpliwie często głośno w życiu i występuje nierzadko w literaturze. Homerowski bohater, rozważając, co mu czynić wypada, przemawia do siebie: Rzekł on następnie urażon do swego ducha zacnego.

Grek częstokroć więc głośno myślał, a to pojęcie rozważania jako rozmowy ze swym duchem pociągnęło za sobą ten skutek, że monolog, który nam ludziom północnym wydaje się czemś nienaturalnem, miał zupełne uprawnienie w greckiej poezji i szeroko wybujał [1]. Prowadziło to dalej do tego, że autorzy filozoficzne roztrząsania ubierali często w formę rozmowy, jużto znów ze samym sobą, jużto w kształt dialogu między wielu osobami, żeby tylko wspomnieć Marka Aurelego rozmyślania, skierowane do własnej osoby i nieśmiertelne utwory Platona. Stąd pochodziła pewna wielomowność dialogów platońskich; nowoczesny filozof prowadzi szybko do wniosków i wyników swych rozważań, nie zatrzymując się długo przy wszystkich przesłankach. Plato natomiast wielbi głośną myśl i lubuje się w roztaczaniu przed nami całego rusztowania budowy, wszystkich zakrętów swoich wywodów, które powoli do ostatecznego celu zmierzają. Pewna gadatliwość jest znamienną dla wielu utworów greckiego ducha, rozmiłowanego po wszystkie czasy w szermierce słowa i języków.

* * *

[1] Por. Leo. *Der Monolog im Drama.* Berlin 1908, mian. str. 4.

Głośno więc objawiała się częstokroć myśl w starożytności, a niemniej głośno rozbrzmiewała rozmowa z Panem Bogiem czyli modlitwa, która u nas kryje się przeważnie nietylko przed wzrokiem, lecz i uchem bliźniego. U św. Mateusza (6, 6—7) czytamy te wspaniałe słowa Chrystusa Pana: »A gdy się modlicie, nie bądźcie jako obłudnicy, którzy się radzi w bożnicach i na rogach ulic stojąc modlą, aby byli widziani od ludzi... Ale ty, gdy się modlić będziesz, wnijdź do komory swojej, a zawarłszy drzwi, módl się Ojcu twemu w skrytości... A modląc się nie mówcie wiele, jako pogani: albowiem mniemają, iż w wielomówności swojej będą wysłuchani«. — Zupełnie inne przekonania żywili pod tym względem starożytni ludzie i wręcz przeciwne Chrystusowym dawali przepisy. Cicha modlitwa uchodziła za coś nagannego, niebezpiecznego, bo w niej mógł błagalnik przemycić do bóstwa różne poziome prośby, wychodzące nawet częstokroć na krzywdę bliźniego. Epikur twierdził, że gdyby bóstwo wysłuchało wszelkie tajne prośby, do niego w cichości zanoszone, życzliwość ta zaciężyłaby złowrogo na mieniu, nawet istnieniu bliźnich. Dlatego wzywano do głośnej modlitwy, w której nie uchodziło zdrożnych pragnień i próśb wyjawiać przed bóstwem i... świadkami. A prócz tego panowało przeświadczenie, że błaganie głośno wyrażone jest donioślejszem i łatwiej dochodzi do uszu boga. Im ważniejszym był więc przedmiot modlitwy, im gorętszem pragnienie, aby się bóstwa do prośby przychyliły, tem głośniej powinna była ona rozbrzmiewać. Wskutek tego matka u Juwenalisa (10, 289), zatroskana o przyszłość swych dziatek, błaga Wenerę o krasę dla synów dosyć cicho, a głos dopiero podnosi, kiedy córom piękność zamierza wyprosić. Natężeniu pragnienia wtórowało więc natężenie modlitwy i mowa bardziej doniosła[1].

* * *

[1] Por. Sudhaus'a w *Archiv für Religionswissenschaft*, 9 1906), str. 187.

Niemniej rozbrzmiewał głos ludzki przy innych czynnościach, które w dzisiejszych czasach cisza osłania. Wiek nasz jest wiekiem czytającym; czytanie wzmogło się niepomiernie u tych zarówno, którzy chcą czas wyzyskać, jak u tych, którzy zamierzają go zabić. Bo czytanie może być pracą i myślą, lub formą lenistwa i bezmyśli. Ta ostatnia zapewnia ludziom, którzy trudu nie zaznali i na wytchnienie nie zasłużyli, luby spoczynek przy czytaniu lichych powieści i lichszych jeszcze dzienników. W starożytności znacznie mniej czytano i czytano w razie danym inaczej. Lektura była przedewszystkiem rzadszą, bo była mniej wygodną. Kto brał zwój zapisany w swe dłonie i jedną ręką go przytrzymywać a drugą rozwijać był zniewolonym, ten ani o zbyt wygodnem siedzeniu, ani o miękkim ciała i ducha wywczasie marzyć nie mógł. Prócz tego sama techniczna strona czytania przedstawiała pewne trudności; pismo bywało niewyraźne, wyrazy mało oddzielone od siebie, znaki pisarskie rzadko ułatwiały prędkie tekstu zrozumienie: więc też człowiek zamożniejszy oszczędzał sobie tych mozołów i trzymał wyszkolonych lektorów w zastępie swych niewolników, którzy wyuczyli się zwalczać te trudności i zwycięsko je pokonywać. *Anagnostai* czyli lektorzy, którzy posiadali sztukę dobrego i dźwięcznego czytania, należeli więc do najcenniejszych członków niewolniczej czeladzi. Ale człowiek, który nie miał pod ręką i na usługi swoje lektora lub sam czytać zamierzał, inaczej także czynność tę uprawiał, niż to dzisiaj się dzieje. W starożytności panował bowiem zwyczaj głośnego czytania nawet wtedy, kiedy się czytało samemu. Skłaniała do tego natura samej literatury, która nietylko myślą zajmować i kształcić, ale i dźwiękami cieszyć i ucho pieścić zawsze zamierzała. Wywoływała dalej ten objaw żywość południowca; po dziś dzień ludzie prości i dzieci częstokroć głośno czytać przywykli, a po kawiarniach włoskich nierzadko się słyszy ludzi na głos odczytujących swe dzienniki. Ciche rozczytywanie się w księdze

uchodziło w starożytności za coś nadzwyczajnego; św. Augustyn opowiada nam w *Confessiones*, że pewnego dnia zeszedł św. Ambrożego na czytaniu, i zaznacza wyraźnie jako objaw wyjątkowy, że głos Ambrożego przytem i język spoczywały — *vox autem et lingua quiescebant*[1].

Również zaś przy pisaniu głos, który u nas jest przytem zupełnie niemym, miał w starożytności swe prawa. Plato nazwał pisanie marnem mowy zastępstwem, a Goethe nadużyciem mowy, *Missbrauch der Sprache*. Dzisiaj jednak pisanie i pisanina rozwielmożniły się z krzywdą żywego słowa, a nawet z krzywdą czynu, przed którym niejeden pisaniem się uchyla. Najwięksi nauczyciele ludzkości, i Sokrates, i Epiktet, niczego nie pisali; Chrystus Pan żywą nauką i słowem wyłącznie działał na słuchaczy. Ale oczywiście pisano także w starożytności i pisać musiano; czynność ta jednak przeważnie odbywała się w odmienny od naszego sposób. Sam spisywał człowiek jedynie doraźne pomysły, najpoufniejsze listy, robił notatki; rzeczy jednak przeznaczone dla szerszego grona przeważnie dyktowano. A do takiego pisania niezbędną była sztuka ozdobniejsza, poprawna; więc osobna warstwa ludzi, zwana *librarii* lub *notarii*, stała tu na posługi autora. Głos tedy był czynnym przy samej dzieła koncepcji, a to nieobliczone skutki pociągało za sobą, przyczyniało się walnie do większej dźwięczności i gładkości formy językowej. — Św. Paweł dyktował n. p. swe listy do gmin skierowane; jedynie list do umiłowanego Filemona, który mu wypłynął doraźnie z pod serca, własną napisał ręką. Ten zwyczaj dyktowania utworów tak był powszechnym w starożytności, że słowo *dictare* w późnej łacinie stało się synonimem *scribere*, pisania. I temu zawdzięcza niemiecka nazwa poetów, *Dichter*, swój początek. Z pewnem też zastrzeżeniem przyjmować należy twierdzenia średniowieczne, odmawiające sławnym i zna-

[1] Norden, *Antike Kunstprosa*, str. 6 i dodatek do str. 6.

komitym osobistościom dziejów sztuki pisania. Twierdzono to n. p. o Karolu Wielkim, z większem już prawdopodobieństwem o naszym Jagielle. Przeważnie należy twierdzenia tego rodzaju tak rozumieć, iż ludzie wybitni niekoniecznie posiadali sztukę ozdobnego pisania, które było zadaniem i zajęciem wspomnianych notarjuszów.

* * *

A głos towarzyszył książce nawet w dalszych jej kolejach za starożytnych czasów. U nas księga rodzi się w ciszy samotnej pracowni, a potem przechodzi do rąk cicho ją czytającego nabywcy. U Greków i Rzymian losy księgi, która na świat wychodziła, były znów nieco odmiennemi. Autor towarzyszył jej przy pierwszych krokach, stawianych na arenie publicznej; zanim się przedostała w szerokie koła czytelników, sprawiał on jej chrzest wśród ciaśniejszego grona wybrańców, a chrzest ten był zarazem reklamą i zaleceniem na dalsze jej koleje. W Grecji ustalił się oddawna ten zwyczaj, że zarówno prozaicy, filozofowie i historycy, jak i przedewszystkiem poeci występowali przed publicznością z odczytami swych nowych utworów; literatura ta wszakże w pierwszym rzędzie przeznaczoną była dla słuchaczy, nie dla czytelników[1]. A z Grecji zawitał ten zwyczaj recytacji do Rzymu i szczególnie w czasach augustowskich zagnieździł się na dobre. Stały się one tu niebawem codziennym życia umysłowego objawem, nawet plagą, przed którą się nie było bezpiecznym w żadnem miejscu i w żadnej porze roku. Recytowano po salach, kąpielach publicznych, nawet pod gołem niebem, spiekota lipca i sierpnia nie chroniła przed natrętnymi, żądnymi upustu i zbytu deklamatorami. Wędrujący poeci nagabywali wszędzie swe ofiary, porównywano ich do dzikich zwierząt,

[1] Por. Rohde: *Der griechische Roman* (2 wyd. z roku 1900), str. 326 i następne.

nieprzebaczających nikomu, do pijawek, krew wysysających z ofiary; niepohamowany poeta Eumolpus deklamuje u Petronjusza nawet wtedy, kiedy fale zalewają okręt i śmierć nieszczęśliwym podróżnym w oczy zagląda. Plinjusz Młodszy opisuje nam w sposób jaskrawy i barwny podstępy poetów, czyhających na swe ofiary, wybiegi słuchaczy, którzy chcą przynajmniej skrócić sobie chwile męczarni i katorgi. Opowiada nam tedy, jak autorzy napędzają do sali wykładowej publiczność, jak zapewniają sobie klakę, a z drugiej strony przedstawia nam słuchaczy, którzy przed drzwiami troskliwie się wypytują, jak daleko recytator postąpił, czy rzecz ma się ku końcowi, i po tem zapewnieniu wkraczają śmielej przed oblicze oprawcy. Bo według słusznego twierdzenia wielkiego uczonego ród ludzki wobec niczego nie objawia większej odporności, jak wobec długiego odczytu. A zwyczaj ten recytacji wpływał znów wielokrotnie na formę literatury; dźwięczność wielka języka mogła jedynie oczarować i trzymać na uwięzi umysły, pewne podnioślejsze ustępy powtarzające się od czasu do czasu — *lumina ingenii* — odświeżać i krzepić uwagę i wywoływać poklaski. Pisarz zaś, poddający się tej próbie ogniowej, dobitnie się przekonywał, czy dzieło jego posiadało dostateczną ozdobność i gładkość, aby je można w świat szeroki wypuścić. Było to więc reklamą i próbą generalną. Reklama ustna towarzyszyła następnie dziełu także w księgarni. Zdarzało się często, że ksiąg przekupnie odczytywali klientom piękniejsze ustępy autorów, aby zalecić swe skarby do kupna. Tak więc głos żywy niańczył utworom od chwili ich powstania przez dalsze ich losów koleje.

Recytacje zastępowały poniekąd starożytnemu człowiekowi produkcje muzyczne i koncerta. Wrażliwość na dźwięki słowa i pragnienie upajania się żywem słowem znajdowały w nich zadosyćuczynienie. Podobnych wrażeń czy rozkoszy można było zażyć również przy produkcjach deklamatorów, którzy na urojonych i zmyślonych tematach, zaczerpniętych

czyto z dziejów, czyto z dziedziny kryminalistyki, ćwiczyli siebie i uczniów, a popisywali się zarazem wymową. Deklamacje takie zakorzeniły się w Rzymie od pierwszego wieku przed Chrystusem; miały one być uczelnią i szkołą przygotowawczą dla przyszłych mówców, ale kiedy życie za cesarstwa dawało mało sposobności dla triumfów oratorskich, zapomniano wnet o ich celu i deklamacje zwyrodniały w czcze i często bezcelowe popisy. Przedstawiano więc w nich trzystu Spartańczyków, rozważających pod Termopilami, czy mają wytrwać na posterunku, Cycerona deliberującego, czy ma przebłagać gniewnego Antonjusza, a z drugiej strony kreślono czarnych tyranów, pastwiących się nad ofiarami; roztaczano też często najjaskrawsze obrazy z kryminalistyki rodzin, wśród których raz wyrodni ojcowie, raz znów wyrodniejsi synowie szli w zawody o palmę przewrotności i nienaturalnych instynktów. W tych kuźniach wymowy wyrabiano gromowładne frazesy, oszałamiające przesadą, strzelano ślepemi nabojami, które uśmiercić nikogo nie mogły, ale zabijały jednak zmysł dla prostoty, rzeczywistości i prawdy. Ogromne jedynie słowa przystawały do nienaturalnych i potwornych sytuacyj, na których ćwiczono myśli i wymowę; nastało panowanie superlatywu, który bywa według Voltaire'a cechą ludzi niemądrych, a w każdym razie głupoty bywa posiewem.

Dodaliśmy tych kilka słów o szermierkach i popisach deklamatorów, wybujałych szczególnie za cesarstwa rzymskiego, aby poznać zboczenie, do którego nadmierny kult słowa doprowadzał. Dostrzec można w tym objawie czegoś, cobyśmy pijaństwem słowa słusznie nazwać mogli.

* * *

Nowsze literatury w ciszy na świat przychodzą, a utwory ducha ludzkiego mniej są dziś narażone na niebezpieczeństwo, aby w nich wzgląd na formę ducha wypaczył i przytłumił,

zaś dźwięki wzięły nad treścią przewagę. Raczej obawiaćby się częstokroć można przeciwnego błędu, braku troskliwości o kształt zewnętrzny i wygładzenie. W starożytności wiersze pełnemi rozbrzmiewały dźwiękami, a nawet w prozie dbano o rytmiczność zdań, która u wielu pisarzy się znaczy; starano się między innemi unikać zetknięcia wyrazów, któreby niemiłe dla słuchu wytwarzało rozziewy. W dzisiejszej natomiast prozie spotykamy niekiedy wadliwe szorstkości i chropowate zgrzyty, które w cichem czytaniu rażą, a w głośnem bywają nieznośnemi. Odraza do rozziewów niemiłych nawet w poezji zamarła. Z niemieckich poetów nie unika takich *hiatus* ani potoczysty Schiller, ani skądinąd śpiewny Henryk Heine; u Goethe'go stwierdzono już większą troskliwość w usuwaniu rozdźwięków, które ze zetknięcia samogłosek na pograniczu wyrazów ze sobą sąsiadujących powstają. W naszej zaś poezji, której najwspanialszy utwór zaczyna się od słów: Litwo, ojczyzno moja... zakorzenił się także pewien brak wrażliwości na niedostrojenia dźwięków, któreby raziły niepomiernie rozpieszczone w tym kierunku uszy ludzi starożytnych.

Grek i Rzymianin był niepowściągliwym w słuchaniu, w nowszych czasach raczej niepowściągliwość pisania i czytania rażącym bywa objawem. Pisanina nadmierna znaczy się nietylko w biurokracji, która nasypami z papieru tamuje najczęściej życie, ale także w literaturze. Niewybredne i chciwe machiny prasowe pochłaniają i rozpowszechniają zbyt natarczywie nietylko wytwory myśli, lecz i bezmyśli tandetne wyroby, które niemniejszym jak rzeczy cenne cieszą się zbytem, aby czas i ludzi marnować. Podzielił ktoś słusznie pisarzy na trzy kategorje: takich, którzy myślą przed napisaniem książki, drugich, którzy myślą podczas pisania, i wreszcie ostatnich, którzy ani przed rozpoczęciem pracy, ani podczas pracy tego trudu sobie nie zadają. Ta trzecia warstwa składa się z opryszków, rabujących myśli cudze, czas i pieniądz czytelnika, wyjaławiających ducha i kalających często język narodu. Póki druku

nie było, czytelnik własnym, nieuprzedzonym sądem mógł się kierować w wyborze swego czytania. Dziś druk mu imponuje, mimowoli przypuszcza on, że to, co uznano tłoku i prasy godnem, było rzeczywiście coś wartem. Książka wprawia go w taki podziw, że o człowieku, którego słowa go uderzają, powie jakby na największą pochwałę, iż mądrze mówi, jakoby z książki czytał. A przecież z równem prawem żądaćby należało od książki, aby to głosiła, co zdrowy rozum, choć niedrukowany, w życiu wygłasza. Pisaninie bezmiernej wtórzy więc w nowszych czasach bezmierne również czytanie. Czytanie zaś może zwyrodnieć w nałóg, w chorobliwą niepowściągliwość, a przedewszystkiem w lenistwo. Są ludzie, którzy dążą ciągle za swoim wiekiem, chwytają wlot wszelkie nowości, aby tylko dotrzymać kroku swej epoce, bieżącej i nawet pobieżnej literaturze. Tyle czytają, tak się pasą ciągle cudzą myślą, że wkońcu zatracają zdolność samoistnego myślenia i popadają w niestrawność umysłową; bo umysł, podobnie jak ciało, nadmiaru strawy nie ścierpi. Schopenhauer znał takie ofiary przejedzenia wśród uczonych; *sie haben sich dumm gelesen*, powiada on o nich w swym jędrnym, gryzącym języku. I Schopenhauer poczynił już złote o sztuce czytania przepisy[1], bo jest ono sztuką, która ma swój zakon i przykazania, na równe poszanowanie zasługujące, jak w innych sztukach. Po nim głęboki Szwajcar Hilty zajął się tym problemem[2], a wreszcie Emil Faguet w ładnej książeczce *L'art de lire* trafne o nim zamieścił uwagi. Zgodni oni w ostrzeganiu przed zaziajaną gonitwą za ostatniemi nowościami, których nowość polega częstokroć na świeżości papieru i okładki; zgodnie także piętnują ludzi, dla których prasa codzienna jedynym jest pożywieniem umysłu. Powolne czytanie, powracanie do dawniejszych lektur, odczytywanie nieśmiertelnych autorów, w których się zawsze odkrywa nowości, jest jedy-

[1] W *Parerga u. Paralipomena: Über Lesen und Bücher.*

[2] *Lesen und Reden.*

nym i skutecznym środkiem, aby dusze pokrzepiać, pożywić i jędrność swej myśli zabezpieczyć przed jałowością i leniwą biernością. Pewna dieta niezbędną jest w lekturze, podobnie jak w kuchni, a więc dobór i ograniczenie w przyjmowaniu strawy umysłowej. Bywają ludzie, którzy o wszystkiem rozprawiać gotowi, bo się napaśli odcinkami gazet i odpadkami ze stołu bogaczy, innych mowa i myśl złożoną jest z samych cytatów, pożyczek obcego dobra. Pasorzyci to umysłowi, którzy zdołają swą pozorną wszechstronnością oszałamiać naiwnych, ale myśli ludzkiej ani nie pogłębią, ani naprzód nie popchną. Inni znów chętnie pozostają wśród czeladzi umysłowej, do królów zaś i mistrzów nigdy się nie zbliżą; czytają oni ciągle książki o książkach, zamiast sięgnąć po same nieśmiertelne dzieła ludzkości. Są wreszcie tacy, którzy cudze myśli z cudzych książek wyłącznie przejmują; pożyczają więc oni namiętnie druki od innych, a wiadomem jest, że cudza książka pozostanie zawsze czemś obcem, nie stanie się tym wiernym przyjacielem na życie, który w ciężkich chwilach nie odmówi nigdy rady i ukrzepienia, w swobodniejszych nie poskąpi słodyczy i radości. Pierwszem jednak przykazaniem jest w tej dziedzinie, aby tandetą literacką nie kalać swej duszy i nie kazić swego języka, drugiem, aby czytać książki w celu ożywienia własnej myśli, a nie poto, aby nas w gnuśnej bezmyślności ukołysały.

* * *

Jeżeli więc w starożytności były nadużycia słowa żywego, pewien nadmiar w słuchaniu i upajaniu się dźwiękiem, to w nowożytnych czasach stwierdziliśmy za to hipertrofję pisania i czytania. Obie skrajności pociągały za sobą ujemne następstwa. Prawda leży w środku, w pomiarkowaniu zbytnich wybujałości. Wobec wielomówności starożytnych uczył Chrystus Pan: »A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest; Nie, nie.

A co nadto więcej jest, od złego jest«. W nowszych czasach nadmierna pisanina zasłużyłaby na podobne skarcenie. Pewnym bowiem ludziom wydaje się, że pisaniem życie i postęp naprzód się popycha, że akta pociągają za sobą akcję i nieledwie za działanie starczą. Stąd plaga biurokracji, która w świętej wierze, że *scripta manent,* tą wiarą się zadawala, choćby nieśmiertelność tylko na papierze święciła swoje triumfy; stosami z kart powija biurokracja swe dzieci i dusi je zarazem. I stąd nadmierny kult dla pisarzy i ich utworów, wyrosły z przekonania, równającego słowo pisane z czynem. A przecie książka tylko w wyjątkowych razach takiego uwielbienia jest godną, jeżeli jej słowo tchnie w dusze jakąś nową siłę i polot, jeżeli ukrzepi uczucia i myśli swego narodu i uskrzydli je do śmiałych postępów i wzlotów. Zresztą czyn o nieba góruje nad słowem, a mieli to przeświadczenie nasi poeci, z których jeden śpiewał:

Zginście me pieśni, wstańcie czyny moje,

a drugi, największy, mądrze pouczał:

W słowach tylko chęć widzisz, w działaniu potęgę,
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

To samo przeświadczenie stwierdzał wymownie epitaf Ajschylosa, może z myśli samego poety poczęty, a wielbiący go nie za to, że wspaniałe napisał tragedje, lecz wyłącznie za to, że był kiedyś w szeregach i walczył dzielnie pod Maratonem.

VIII

MODLITWA W STAROŻYTNYM RZYMIE

WYKŁAD WSTĘPNY PRZY OTWARCIU UNIWERSYT. W R. 1906

Wyraz, oznaczający nasz stosunek do Bóstwa — »religja« — zapożyczyliśmy, zarówno jako i inne narody, od Rzymian, którzy sami oddawali sobie to świadectwo i od innych zdanie to nieraz usłyszeli, że są *religiosissimi mortalium.* Niektórzy uczeni rzymscy wywodzili ten wyraz od słowa *religare*, wiązać. Chociażby to zestawienie nie było zupełnie słusznem i trafnem pod względem językowym[1], poczucie tego pochodzenia odbiło się istotnie na całym poglądzie Rzymian na stosunek do bogów. Religja jest rzeczywiście u nich pewnem związaniem, które tysiącznemi pętami oplata całe życie ludzkie i na człowieku cięży. Gdyby też ta religja rzymska nie była takiem wiązadłem dla śmiertelników, nie byłaby ona tak gwałtownych protestów wywołała z duszy tych, co ją zwalczali; bezbrzeżna namiętność Lukrecjusza tłumaczy się siłą pętów, któremi religja dusze omotała, brzemieniem tych łańcuchów, które on ogniem swego świętego gniewu stopić, rozmachem filozoficznej myśli na zawsze rozciąć usiłował. Od tego związania nie wyzwoliła się jednak religja Rzymu prawie nigdy, aby postąpić na ten wyższy

[1] Por. Wissowa: *Religion und Kultus der Römer* (1902), str. 318.

szczebel religijny, który nasz język wyrazem »przywiązania« tak ślicznie określił.

Pętała więc Rzymianina jego religja, pętała nawet w tem, co jest rdzeniem stosunku człowieka do bóstwa, co ten stosunek wyraża i najrzetelniej odbija, w modlitwie. W tym zakresie, w którym indywiduum powinno mieć zupełną niezależność i prawa, w którym z głębi serca powinien głos płynąć przed bogów trony, religja urzędowa narzucała człowiekowi ulane zgóry i stężałe formułki, w które modlący się miał ujmować to, czego dusza jego pożądała. Zamiast więc głosem życia, miał Rzymianin przemawiać do swych bogów językiem mroźnym i martwym, wystygłym i zwietrzałym w starych zbiorach, które nie drgały tętnem indywidualnem, ani krwią serca nie ociekły. Modlitwa więc ta nie była prostym aktem nabożeństwa i nabożności, lecz formalnością, którą trzeba, i to w całej pełni, dokonać, aby bogów uprosić, nakłonić do powolności względem człowieka. Bo w słowie tej formułki była jakaś siła, która bogów do życzliwości niejako zniewalała. Żyje tu ta sama wiara w potęgę czarodziejską słowa, którą znajdziemy we wszystkich prymitywnych religjach; słowo do bogów zwrócone jest zaklęciem, wiążącem bóstwo, przemową o niechybnej skuteczności[1].

Najwyżsi kapłani byli stróżami i szafarzami tych modlitw; od nich dowiedzieć się było można, do jakiego bóstwa w danym wypadku i w danej potrzebie zwrócić się należało, oni wskazywali, jakiemi słowy aktu dopełnić wypadało. Każda drobnostka była tu ogromnej wagi, wszystko było zgóry obmyślane i określone. Strach, aby zboczeniem od przepisanych słów nie narazić swej inwokacji na daremność, odbierał takiemu obcowaniu z bóstwem wszelkie ciepło, zamieniał modlitwę w układ niemal prawniczy i prawomocny. A więc

[1] Por. Lasaulx: *Die Gebete der Griechen und Römer.*

naprzód trzeba było dokładnie się wywiedzieć, który bóg w danym wypadku mógłby być pomocnym, przed czyje forum sprawa się należała. Aby tedy w razie wątpliwości usunąć wszelkie niebezpieczeństwo pomyłki, uciekano się do nieokreślonych formułek, jak: *Si divus si diva esset, volens propitius adesset*, lub też kończono modlitwę do pojedynczych bogów generalną inwokacją wszystkich: *Di deaeque omnes*, byleby w ten sposób na wszystkie przypadki być pokrytym, byle nierozważnem pominięciem interesowanego w pewnem położeniu bóstwa całej modlitwy na szwank nie narazić. A znów, gdy do pewnego bóstwa się zwracano, nastawała trudność, jakiem nazwiskiem, jakim epitetem je zakląć, bo przecież wieloimienność była właściwością wszystkich bóstw pogańskich; w prymitywnych zaś religjach panuje przekonanie, że modlitwa zyskuje na sile przez uroczyste wygłoszenie stosownego imienia boga. W pierwotnej psychologji nazwisko jest cząstką indywidualności czyto bożej, czyto ludzkiej, w tem nazwisku jest dusza i siła czyto boga, czy człowieka. — *Nomina sunt numina*, mówiono nie bez powodu. Dlatego wybór odpowiedniego imienia we formułce był tak ważnym. Ale i na tę trudność znalazła się rada. Dla uniknięcia pomyłki miały te religije i mieli Rzymianie niezawodne środki. Rzymscy *pontifices* modlili się więc w ten sposób do Jowisza: *Juppiter optime maxime sive quo alio nomine te appellare volueris*, t. j. kazali bóstwu właściwe imię dośpiewać, — albo znów uciekano się do litanij różnorodnych epitetów; by nie pominąć jednego, właściwego i skutecznego, wyliczano ich całe szeregi [1]. Kiedy więc Horacjusz w sławnem *Carmen Saeculare* woła do Diany

Lenis Ilithyia tuere matres
Sive tu Lucina probas vocari
Seu Genitalis,

[1] Por. Ausfeld: *De Graecorum precationibus quaestiones.* (*Jahrb. f. Philologie.* Suppl. Band 28, 1903, str. 520). — Por. dziś o tem

to idzie tylko za tradycją liturgiczną rzymską. Bo rzymski modlitewnik zalecał całe litanje tak samo, jak Egipcjanin wzywał pomocy boga *Ra* pod 75 nazwiskami.

A więc nazwisko, słowo, litera tworzyły tu cuda. Byle dokonać ściśle przepisanych aktów i formułki, zobowiązywało się bogów do pomocy; wiara w *opus operatum* panowała tu wszechwładnie. Czynem zdobywał Rzymianin miasta, ale i słowem; na grody oblegane rzucał przekleństwa i wierzył w ich skuteczność. Słowem, i formułką wywabiał z twierdz osaczonych bóstwa ich opiekuńcze, obiecując im cześć nową i panowanie w zwycięskim Rzymie. A *pontifices* winni byli dlatego zachować w najzupełniejszej tajemnicy nazwiska właściwych patronów opiekuńczych Rzymu, aby wrogowie miasta podobnym czarem czy formułką nie zdołali ich wywołać (*evocatio*) poza mury i dla siebie pozyskać.

Modlitwy podyktowane zgóry wznosił więc Rzymianin do bogów przy uroczystych aktach publicznych, takiemi zwracał się do bóstwa prywatny człowiek, skoro w potrzebie udał się był o poradę do najwyższych kapłanów. Ale poza tą religją, uświęconą przez wieki, państwo i kapłanów, jest przecie jeszcze religja domowa, prywatna, więcej indywidualna, służąca na powszednie życia wypadki i trudy. Jeżeli już w tamtej religji przypisywano modlitwie pewną moc czarodziejską, to w zakresie prywatnych wierzeń i praktyk przyznawano słowu jeszcze większą potęgę; czar i zabobon zapanowały tu wszechwładnie, bo zabobon jest wszakże, według trafnego zdania wielkiego mitologa nowoczesnego, religją przeznaczoną do powszedniego, domowego użytku.

Rzymianin odnosił wszelką czynność życia, wszelkie wydarzenia domowe lub gospodarcze, wszelką klęskę lub niebezpieczeństwo do jakiegoś szczególnego boga; obok istot

---

Georgius Appel: *De Romanorum precationibus*, w *Religionsgesch. Versuche* T. VII (1908—1909), szczególnie str. 83 i nast.; prócz tego Norden'a *Agnostos theos*, Berlin 1913, szczególnie str. 144 i nast.

wyższych, panujących nad światem, ustanowił i czcił on całe szeregi bóstw niższych, których potęga w ciasnym, szczegółowym obracała się zakresie. A że był rolnikiem z urodzenia i powołania, zaroiło się niebawem w jego wierze od bóstw, które z gospodarstwem stoją w związku. Były to bóstwa lub podbóstwa, demony, których łaskę pozyskać, szkodliwość zakląć należało, jeżeli człowiek chciał ubezpieczyć siebie i dostatek przed zgubnemi wpływami i siłami przyrody. Rzymianin zna więc boginię zwaną *Febris*, czci bóstwo *Robigus*, chroniące zboże od rdzy, boga *Verminus*, zsyłającego robaki na bydło, obchodzi święto molów i myszy, ma kult *Tempestates* — i szereg taki idzie w nieskończoność. Klęski płynące od tych bóstw odżegnywał on zabobonnemi obrzędami, modlitwami, które zwał odpędzającemi, *depulsoriae*. Na pierwszym bowiem stopniu religijności modły bywają zawsze broniące, są t. zw. *apotrope. Do, ut abeas* — »Czczę cię, abyś się oddalił, nie uszkodził mego dobytku«, to jest hasłem i motywem pobożności pierwotnego człowieka, otoczonego zewsząd złośliwemi demonami[1]. Rzymianin wierzył i tutaj w wszechpotęgę słowa. Wyrazem stosownym można było odeprzeć grożące niebezpieczeństwo, zażegnać zło, które już zaczęło dzieło zniszczenia. W medycynie zarówno jak w rolnictwie wytwarzała ta wiara cały zasób formułek na codzienne życia potrzeby[2]. Stary Varro, typ domorosłego Rzymianina, wspomina o *carmen*, formułce zapożyczonej od Etrusków, na leczenie podagry: *Terra pestem teneto, salus hic maneto.* Te słowa miano w czczym stanie po trzykroć wyśpiewać, dotykać się przytem ziemi i wreszcie splunąć. Jest to akt zabobonu, jaki się natrafia i u innych narodów. A charakterystycznem jest to, że ziemia ma wchłonąć i niejako uwięzić ludzką

[1] Por. Jane Harrison: *Prolegomena to the study of greek religion* (1903), p. 124.

[2] Heim: *Incantamenta magica* (1892, »Jahrb. f. Phil.«, Suppl. Band, 19).

chorobę. U wszystkich bowiem ludów prymitywnych i w starych pokładach wiary ludów starożytnych jest to przeświadczenie, że boleść, choroba, wszelkie zło, jest czemś przedmiotowem, co można przenieść, transferować na inne miejsce lub na inną istotę[1]. I dlatego w modlitwach rzymskich bardzo często obok prośby: »Odwróć od nas Panie«, znajdujemy dodatek z przydaniem wskazówki, w którą stronę owo zło ma się skierować. Dwustronność prośby staje się tak rysem znamiennym. A podobna wiara w translację jest już widoczną w Starym Zakonie. Aaron bowiem według *Leviticus* (16), »włożywszy obydwie ręce na głowę kozła ofiarnego«, wyznaje »wszystkie nieprawości synów Izraelowych i wszystkie występki i grzechy ich«, a potem wypuszcza obciążone tak zwierzę na puszczę. Tu więc składa się grzechy na kozła. Tak samo choroby u różnych ludów pierwotnych i w zabobonie starożytnym można było zaklinać w ziemię, kamień, rzeki lub morze, a wreszcie w pustynię i góry[2]. Dlatego wśród moru, co gnębi Teby, modli się chór do boga w *Królu Edypie* Sofoklesa:

Wyprzyj go na morską toń
Lub pędź w niegościnną dal
W głębie trackich fal;

dlatego u Terencjusza znajdujemy zaklęcie, aby ludzka przewrotność oddaliła się *in solas terras*, na puszczę. W tym samym celu u wielu ludów starożytnych i późniejszych chory człowiek obwija przepaską, którą nosił na chorym członku, drzewo, aby chorobę nań przenieść.

Taka modlitwa, która gnała klęskę w martwą i pustą naturę, lub drzewo, była względnie lub zupełnie niewinną. Gorzej jednak było, kiedy swoje cierpienia i niedomagania usiłowano przenieść na żyjącą istotę. A przecież i to się wy-

[1] Por. Frazer: *The golden bough*. II, 148.
[2] Por. Gruppe: *Griech. Mythologie* (1903), str. 895.

darzało. Plinjusz Starszy opowiada nam w 28-ej księdze o rozmaitych zabobonach tego rodzaju; jeżeli kto n. p. ugryziony przez skorpjona wyszepta to w słuchy osła, choroba przeniesie się na biedne i niewinne zwierzę. Zabobon szedł dalej i nawet ludzi nie oszczędzał; znachorzy rzymscy nakazywali ludziom chorym na powrotną gorączkę ucinać paznogcie u nóg i rąk, zmieszać je z woskiem i przed wschodem słońca nalepić na drzwiach sąsiada.

Takie naiwne praktyki mogły się tylko wydarzać wśród nieokrzesanych. Ale co nas uderza, to to, że i w modlitwie podnioślejszej starożytnych często bardzo z modlitwą za siebie i swoich splotło się przekleństwo i złorzeczenie na wrogów [1]. Dwie te rzeczy tak się ściśle łączą w pojęciu niektórych ludzi i narodów, że nawet język jednem opatrywał je mianem; grecka *ara* oznacza i modlitwę i klątwę, łacińskie *preces* są w związku z *imprecatio*, niemieckie *Fluch* z *flehen*, a wyraz *Segen* w t. zw. *Mittelhochdeutsch* oznacza błogosławieństwo i złorzeczenie zarazem.

Starożytny tedy człowiek bardzo często dwustronnie się modlił. Prośbie do bogów w tragedji greckiej w najczęstszych razach towarzyszą przekleństwa rzucane na wrogów; również w poezji łacińskiej spotykamy się co krok z tym objawem. Kiedy Horacjusz, aby jeden przykład wymienić, błagał Apollina, aby naród rzymski osłonił przed wojną, głodem i morem, nie omieszkał on wskazać na Persów i Brytannów jako na gotowe dla gniewliwego bóstwa ofiary.

Diligite inimicos vestros, wielkie słowo Ewangelji jeszcze nie było rozbrzmiało nad światem [2]. Dlatego nienawiść nie miała żadnego wstydu i obnażała się przed ludźmi i przed Bogiem; dlategoteż to, co u nas uchodzi za przeciwieństwo, zaprzeczenie modlitwy, przekleństwo, tak ogromną odgrywało

[1] Por. moją rozprawę *Catulliana et Ciceroniana* (1903), str. 20.

[2] Por. *List św. Jakóba* 3, 10: »Ex ipso ore procedit benedictio et maledictio. Non oportet fratres mei haec ita fieri«.

rolę w życiu starożytnych. Słowu przypisywano tu znowu ogromną doniosłość, aby zniszczyć człowieka lub jego dobytek, czar rzucić na jego zdrowie lub mienie. *Incantatio*, użycie formułki czarnoksięskiej do tego wystarczało. Celowali w przekleństwach Żydzi; klasyczne narody, Grecy i Rzymianie, dotrzymywali im kroku. Klątwa związała się u Rzymian z prawem i układami prawnemi, groziła zgubą przestępcy, coby porządek naruszył. Prywatny człowiek mógł też przez zaklęcie poszukiwać sprawiedliwości, zemsty lub kaźni na przeciwniku lub rywalu. Stąd w literaturze, a mianowicie w poezji rzymskiej, tyle wyklinań i złorzeczeń. A nowsze odkrycia pozwoliły nam głębiej wglądnąć w ten świat ciemnych praktyk i wierzeń, w których nienawiść do bliźniego splata się z miłosną odezwą do bogów [1]. Na całym obszarze rzymskiego imperjum wyłaniają się dziś z ziemi tabliczki, przeważnie ołowiane, lub strzępy ołowiu z napisami, obejmującemi nazwiska ludzi, którym mściwi przeciwnicy od bogów, najczęściej podziemnych, wypraszają śmierć, zgubę i wszelakie nieszczęścia. Zwyczaj taki panował już w Grecji w V wieku przed Chrystusem. Platon wyraźnie o nim wspomina. Ze Wschodu przyszedł on do Rzymu.

Wyrycie nazwiska było tu najważniejszem; ono przedstawia przecież człowieka i jest cząstką jego indywidualności. Przekleństwa wyrażone są w języku greckim lub łacińskim, często zaś znajdujemy mieszaninę językową, upstrzoną dźwiękami i dziwolągami niezrozumiałemi, które w każdej magji tak poczestną odgrywają rolę. Tabliczkę taką składano pod progiem domu, na którego właściciela zamierzano ściągnąć nieszczęście, najczęściej jednak w grobach, bo tu była skrytka najpewniejsza, bo stąd droga do bóstw podziemnych, jak Pluton i Hekata, najkrótsza. Czasem na tabliczce wyrzynano jeszcze podobiznę ściganego gniewem wroga, czasem skła-

[1] Por. prace W ü n s c h ' a, oraz dzieło A u d o l l e n t: *Defixionum tabellae.*

dano obok niej lalkę z wosku lub ołowiu, jako jego wyobrażenie. Te lalki przebijano igłami lub pętano nićmi w tej wierze, że cokolwiek wyobrażenie cierpi i znosi, odcierpi także człowiek na podstawie tak zwanej *sympatheia*. Po grecku takie przekleństwo nazywało się *katadesmos*, spętaniem; przeklęty człowiek był niejako ubezwładnionym i oddanym bogu na pastwę; po łacinie zwano to *defixio*, bo na utwierdzenie klątwy i ofiary zarazem gwoździem przebijano ołowianą tabliczkę. Tak zamawiali ludzie uwikłani w proces swych przeciwników, tak poszkodowani swych krzywdzicieli, kochankowie swych współzawodników, wreszcie bardzo często rywale na wyścigach współubiegających się o palmę woźniców.

Praktyki te rozszerzyły się znacznie za rzymskiego cesarstwa, gdy rozmaite bóstwa orjentalne, przyjęte do rzymskiego panteonu, do takich posług szczególnie się nadawały; w kronice zbrodni cesarskiego Rzymu u Tacyta i Swetonjusza ciągle powracają te zaklęcia, a oświecony nawet Plinjusz Starszy, piszący *Historia Naturalis*, nie wahał się powiedzieć: »Każdy się obawia, aby go straszliwe nie omotały klątwy«.

Nowe więc światło padło dziś w te ciemne podłoża oficjalnej i rzekomo jasnej i promiennej religji, która czciła olimpijskich bogów; obok niej rozwijał się i krzewił bujnie zabobon, nurzający się w mrokach magji i najróżnolitszej demonologji. A klątwy te, zaklęcia i zamawiania, tak częste w literaturze i życiu, dają nam komentarz do słów, które niegdyś filozof grecki, Epikur, wypowiedział: »Gdyby bóg — mówił on — zechciał wszystkie życzenia i prośby ludzkie wysłuchać, ród ludzki niebawem zniknąłby z powierzchni ziemi — tyle złego i szkody ludzie bezustanku wzajemnie na się wymadlają«.

Podnieśliśmy tych kilka rysów z dziejów rzymskiej i starożytnej duszy, które się na wierzch wybiły i nas doszły; modlitwa, polegająca na rozmowie człowieka z Bogiem, jest

takim tajnikiem, iż zrzadka tylko dochodzą jej odgłosy. Ale to, co poznaliśmy, nie daje nam wyobrażenia zbyt podniosłego o istocie tej modlitwy. Raczej w niej ściągano boga na ziemię, wikłano go w tysiączne sploty powszednich interesów i nienawiści poziomych, zamiast żeby człowiek podnosił się ku nadziemskim wyżynom, ku Bogu. Jeżeli zadaniem modlitwy jest obcowanie człowieka z Bogiem, to tu pospolitować się miał bóg ze śmiertelnikiem, zniżać do jego drobnych namiętności i interesów. *Curvae in terras animae* — twarde te słowa rzucił satyryk rzymski Persius w twarz swemu pokoleniu. A najczęstszym bodźcem modlitwy jest tu strach przed potęgą bóstwa i jego złośliwością, którą na wszelki sposób odwrócić od siebie usiłowano, choćby i kosztem żywej istoty, choćby ze szkodą bliźniego. Bo zabobon, według słusznej uwagi Plutarcha, strachem żyje i karmi się, a w greckim języku nazywał się wprost strachem przed demonami, *deisidaimonia.*

Mówiliśmy o tem, co z głębi dusz na wierzch się wydostało i dożyło naszych czasów. A ileż próśb i modlitw nie wybiło się ani słowem głośnem, ani pisanem na słońce, ileż błąkało się po mrokach serc i dusz i miało wszelkie powody, aby się nie wychylić na światło! Jaśniejsze promienie w tę religijność rzymską zaczęły padać od Wschodu, z Grecji. Tam, już w V wieku przed Chrystusem mnożyły się fakta znamienne, świadczące o postępie i wzlocie religijnych pojęć. Kiedy w r. 415 lud ateński, podrażniony na bujnego Alcybjadesa, wydał nań wyrok potępienia, kiedy równocześnie zażądał od wszystkich kapłanów, aby klątwą swoją obostrzyli wyrok sędziów, oparła się temu pewna kapłanka, nazwiskiem Theano, mówiąc, że dla modlitw, nie na klątwy została kapłanką. W tych przecie czasach rozbrzmiewało też na scenie greckiej słowo Antygony:

Współkochać przyszłam, nie współnienawidzić,

i w tych także czasach wielki przesłannik Chrystusa, Sokrates, rzucał wzniosłą swą siejbę w dusze ateńskich młodzieńców. Wśród wielu roztrząsań potrącił on także o problem modlitwy. Wystąpił on mianowicie przeciw tym, którzy o złoto, srebro, potęgę nagabują bogów; sam zaś poprostu błagał ich o dobro, nadmieniając, że bogowie wiedzą najlepiej, co jest dla kogo dobrem. Po nim uczeń jego, Plato, przemawiał ostro przeciwko targom z bogami, twierdząc, że ani ofiary, ani wysokość ofiar, lecz duch sprawiedliwy jest najlepszym zadatkiem skuteczności modłów człowieka [1].

Przeciwko ciasnemu egoizmowi i martwemu formalizmowi religji wypowiedziano więc słowa ostre i stanowcze. Tym, którzy marną żebraniną o swoje osobiste dostatki i powodzenie zaprzątali bóstwa, przypominano Persów zwyczaje, którym według Herodota nie wolno było za siebie i gwoli własnej korzyści składać ofiary i modlić się, lecz zawsze tylko o dobro ogółu i szczęście króla. Tym zaś, którzy korzystając z tajemnicy, w rozmowie z Bogiem nieprawe swe pragnienia przemycali do niebios, zwracano uwagę na Pytagorejczyków, którzy w swym związku tylko na głośne przyzwalali modły i kazali ludziom *aperto vivere voto*, piętnując tych, co według wyrażenia Seneki, *turpissima vota dis insusurrant* [2].

Przyszła więc ewolucja i na modlitwę. Dzicy i prymitywni ludzie modlą się tylko o materjalne dobra dla siebie; wyższym już jest stopień tych, którzy korzyść społeczeństwa wciągają do swej prośby [3]. Stary Kato uczy rolnika rzymskiego błagać boga, aby tenże był życzliwym *mihi domo familiae-*

---

[1] Por. o tem pracę Henryka Schmidta: *Veteres philosophi quomodo iudicaverint de precibus (Religionsgesch. Versuche,* Tom IV, 1907), szczeg. str. 7 i t. d.

[2] Por. Schmidt, l. c. str. 55: *De precationibus aut tacitis aut clara voce prolatis.*

[3] Farnell: *The evolution of religion* (1905), str. 173.

que nostrae. Ponad ten najniższy szczebel egoizmu religijnego wznosi się nieco stara modlitwa ateńska, w której proszono Zeusa o rosę niebiańską w następnych wyrazach: »Puść deszcz, puść deszcz, drogi Zeusie, na mieszkańców Aten i (sąsiednich) Pediajów«. Tu altruizm sięgnął do sąsiada. Szersze on otrzymał granice, gdy się modlono za lud cały, jak to u Persów było starym zwyczajem i prawem. Ale poza prośbę o materjalne dobra myśl ani uczucie jeszcze prawie się nie wznosi i ludzie nie wiedzą jeszcze, że modlitwa może się obywać bez prośby, a może być świadczeniem miłości i świadectwem przywiązania, rozmową z Tym, którego się ukochało nad wszystko, *homilia pros ton theon*, jak się wyraził Clemens Alexandrinus. I ludzie nie wiedzą najczęściej jeszcze, że człowiek może Bogu pozostawić zupełną dowolność w szafowaniu dobrami, jak już napomknął Sokrates, ten sam Sokrates, który w przeddzień grożącej mu śmierci wypowiedział pamiętne słowa: »Jeżeli tak bogom się podoba, niechaj się tak stanie«. — Ta modlitwa znalazła jednak już wielkie uznanie w tej szkole filozoficznej, w której myśl ludzka i dusza ludzka przed Chrystusem najwyższe etyczne osiągła wyżyny. Stoicy, którzy od III wieku przed Chrystusem zaczynają działać, a w Rzymie niebawem dochodzą do wszechwładnego wpływu, głosili co do stosunku człowieka do bogów rozmaite nauki. Raz twierdzili, że wszystkiem tu na świecie rządzi konieczność i przeznaczenie i że dlatego wszelka prośba jest bezcelową i bezskuteczną; innym razem chcieli ratować modlitwę, ale zarazem ją uszlachetnić. A więc głosili, że zewnętrzne dobra podlegają prawu niezłomnemu przyrody i przeznaczenia, że jednak w wnętrzu duszy ludzkiej panuje prawo wolności; w tym więc zakresie można bogów prosić o łaski i pozyskać sobie ich błogosławieństwo. Hasłem tedy ich było, aby człowiek zanosił modły o dobrą i sprawiedliwą myśl, *bona mens* i *mens sana*, a nie o bogactwa, zdrowie i dobra materjalne. Filozof na tronie Cezarów, Marek Aureli, ra-

dzi ludziom, by nie błagali o zsyłanie szczęścia, lub odwrócenie moru, lecz o to, aby Bóg im dał łaskę niepożądania niczego, wyzwolił ich od obaw i strachu przed klęską, dał im myśl zdrową i spokojną, *mens sana*. Te nauki natchnęły satyryków i moralistów rzymskich I wieku cesarstwa do wysmagania modlitw kalających świątynie. Persius w drugiej swej satyrze napiętnował tajne pospólstwa prośby, wyszeptywane do bogów, które domagają się prywatnych zysków, a nawet śmierci bliźniego, jeżeli im na drodze szczęścia zawadzi; wystąpił przeciw kupczeniu i targowaniu się z bogami zapomocą ofiar kosztownych. Dusza czysta jest według niego najlepszą dla bogów ofiarą. Po nim Juvenalis w dziesiątej satyrze wyszydził pożądliwe prośby ludzkości, przedkładane w świątyniach. *Ut sit mens sana in corpore sano* — to według niego powinno być jedyną modlitwą szlachetnej duszy. I podobne zdania rozbrzmiewały wtedy w Rzymie przez usta Seneki, który mówił, że człowiek to, coby ukrył przed bliźnim, śmie wyjawiać przed bogiem, następnie zaś przez usta Greka Epikteta i cesarza Marka Aurelego. Słowa Sokratesa o zdaniu się na wolę bożą uznawali oni za hasło i ideał, a modlitwą więzienną Sokratesa: »Jeżeli tak bogom się podoba, niechaj się tak stanie«, kończy się sławny podręcznik Epikteta, który odgrywał rolę naszej *Imitatio* w pogańskim świecie.

Był więc niewątpliwy postęp w pojęciach i duszach; od dawnych, oschłych formułek i zabobonu do nauki stoickiej odstęp jest ogromny. Przełom stanowczy przyszedł jednak skądinąd. W progu cesarskiej epoki, kiedy odświeżano pamięć Sokratesa, zdającego się na bogów wolę, pokrewna i potężniejsza modlitwa zabrzmiała gdzieś na dalekim Wschodzie, pod wioską judajską Gethsemani; w przededniu śmierci wypowiedział Chrystus modlący się, po trzykroć pamiętne słowa: »Ojcze mój, jeżeli nie może ten kielich odejść, jedno abym go pił: niech się dzieje wola twoja, *fiat voluntas tua*«.

Słowa te odbiły się i odbijają się po dziś dzień tysiącznem echem na całej ziemi. Prośba smutnych i nieszczęśliwych miała więc być zdaniem się na wolę Bożą. Nie do tego jednak ograniczyć się miało zadanie i posłannictwo modlitwy. Ważność jej stała się jednym z węgłów Ewangelji; odczuwano jej potrzebę gwałtownie i miano przeświadczenie, że duch ludzki nowych wyrazów i form potrzebuje dla obcowania z Bogiem. Dlatego też, gdy Chrystus był na »niektórem miejscu modląc się, gdy powstał, rzekł do Niego jeden z uczniów Jego: Panie, naucz nas modlić się!« A Chrystus w odpowiedzi na tę prośbę zwrócił w pierwszym rzędzie uwagę na to, co słyszał naokół w pogańskich świątyniach, aby słowem wyzwalającem zerwać z tem, co panowało na ziemi: »A modląc się nie mówcie wiele, jako poganie, albowiem mniemają, że w wielomówności swojej będą wysłuchani«. Przypomniał więc Chrystus owe drobnostkowe wymianki nazw i przymiotników, owe zaklęcia pełne powszednich szczegółów i pragnień, o których mówiliśmy poprzednio. A potem dał uczniom tę modlitwę, zaczynającą się od słów: »Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech«, która jest najwznioślejzą pieśnią na wzrost chwały Bożej na ziemi, najszlachetniejzą prośbą, bo wykluczającą ludzkie »ja« i jego pożądania, modlitwą nawskróś społeczną, zaprzeczeniem tego wszystkiego, o co *curvae in terras animae,* pełzające po szarych powszedności nizinach dotąd bóstwo błagały, a wreszcie słowem, wyżeniającem przekupniów, tych wszystkich, co po świątyniach frymarczyli i targowali się z bogami. — Ostały się i ostać się mogą w cieniu obok tej prośby modlitwy indywidualne; o nich przecie myślał Chrystus Pan w kazaniu na górze, kiedy mówił: »Ale ty, gdy się modlić będziesz, wnijdź do komory, a zawarłszy drzwi, módl się ojcu twemu w skrytości«. Wymierzonem to przeciwko chełpiącym się nabożnością Faryzeuszom, lecz godzi także w pogan, u których prośba

publiczna i głośna za właściwą modlitwę po wszystkie czasy uchodziła [1].

Według miary duszy miewają te ciche rozmowy z Bogiem i dziś jeszcze wznioślejsze poloty, lub niższe poziomy, bo człowiek błąka się wśród nędz swoich i nie wie często, jak do Boga przemówić. »O cobyśmy prosić mieli, jako potrzeba nie wiemy«, pisał św. Paweł do Rzymian. Ale tenże sam Apostoł pogan wspomniał przy tem o *gemitus inenarrabiles*, t. j. o »wzdychaniach niewymownych«, jako innej jeszcze formie modlitwy, poddanej nam przez Ducha św., który w nas żyje [2]. Owe »wzdychania niewymowne«, to prośby bez słów, które jak dzwony zaklęte drgają na dnie każdej duszy szlachetnej, rwącej się do tego, aby lepiej się działo na ziemi, wtórzą i towarzyszą każdej pracy, podjętej dla chwały Boga i na pożytek swego narodu. Te wzdychania poczynają się z bólu nad tem, co nas otacza — a jest dziś tego bólu i troski dosyć, z miłości i tęsknoty za poprawą naszej niedoli — a jest i co kochać i za czem tęsknić. Robią one z każdej naszej pracy ofiarę na ołtarzu Boga i społeczeństwa i z każdej pracy prośbę, bo działanie, podjęte z takiem uczuciem, jest także i to bardzo szlachetną modlitwą. *Laborare est orare*, mówi stare przysłowie. Bierzemy je za hasło w nowym roku trudów około dusz naszej młodzieży i duszy naszego narodu.

W KRAKOWIE

---

[1] Por. *Cambridge Bible (St. Matthew)* str. 65 (1902) i Sudhaus: *Lautes und leises Beten* w *Archiv für Religionswissenschaft* (1906), IX. 2. 190.

[2] Por. o tem Schleiermacher: *Predigten*, III, 70.

TREŚĆ

Str.

I Cesarz Tyberjusz 5
II Cesarz Klaudjusz 69
III Romans z czasów Nerona 96
IV Cesarz Hadrjan 128
V Juljan Apostata 213
VI Rzymianie i Germanie z epoki schyłku państwa rzymskiego . 254
VII Głos żywy i słowo nieżywe w starożytności i w dzisiejszym świecie 270
VIII Modlitwa w starożytnym Rzymie 283